318/69

twórczość

KWIECIEŃ 1960

Tymoteusz Karpowicz · Maria Dąbrowska · Tadeusz Łubiak · Jerzy Andrzejewski · Nguyen Trai · Paweł Jasienica

twórczość

KWIECIEŃ 1960 ROK

4

twórczość

ROK XVI KWIECIEŃ 1960 NR 4

SPIS TREŚCI

Tymoteusz Karpowicz
HISTORIA BIAŁOPIENNEGO ŹRÓDŁA
str. 5

Maria Dąbrowska
KLARA I ANGELIKA
str. 16

Tadeusz Kubiak
WASYL BŁAŻENNY ŚWIAT Z GÓRY NA DÓŁ W PIECZARSKIEJ ŁAWRZE W KIJOWIE
PORTRET SPOTKANEJ W CERKWI WAGANKOWSKOJE KŁADBISZCZE
str. 24

Jerzy Andrzejewski
BRAMY RAJU
str. 27

Nguyen Trai
ORĘDZIE O UŚMIERZENIU NGO
(z przekładu francuskiego spolszczył *Witold Wirpsza*)
str. 74

Stanisław Maria Saliński
OKRUCHY LUSTRA
str. 80

Archiwum
NIEZNANE AUTOGRAFY CYPRIANA NORWIDA
(opracowała *Jadwiga Rudnicka*)
str. 92

Zbigniew Bieńkowski
ANTYNOMIE
str. 97

Książka miesiąca

Paweł Jasienica
KONIEC SREBRNEGO WIEKU
str. 101

Wśród książek
KONIEC CZY POCZĄTEK — *Jacek Trznadel*
str. 111

W MROKU GWIAZD — *Jan Józef Lipski*
str. 114

POETYKA MAŁOOBRAZKOWA — *Michał Głowiński*
str. 117

POETYKA PASTISZU — *Janusz Sławiński*
str. 119

RÓŻNE DROGI KREACJONIZMU — *Bożena Danek*
str. 124

STAN NIEPOKOJU — *Henryk Bereza*
str. 126

Z NATURY I Z OBYCZAJNOŚCI — *Danuta Danek*
str. 129

O NARODZINACH BUNTOWNICZOŚCI — *Wojciech Natanson*
str. 131

KTO CZYTA RAPORTY? — *Włodzimierz Maciąg*
str. 133

OPORTUNIZM PRAKTYCZNY I TUPET BEZ SKRUPUŁÓW — *Eustachy Czekalski*
str. 136

Na widnokręgu

TECHNIKA I HUMANIZM — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 138

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 139

UWAGI O POEZJI WIKTORA GOMULICKIEGO — *Paweł Hertz*
str. 142

O HAMSUNIE — *Jan Koprowski*
str. 146

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 150

Noty
str. 165

Korespondencja
str. 170

Książki nadesłane
str. 172

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Tymoteusz Karpowicz

HISTORIA BIAŁOPIENNEGO ŹRÓDŁA

Jest to osobliwa historia dwudziestu wieków ludzkich i własnego życia, spisywana przez starego kronikarza. Dzieje świata, a właściwie dzieje miłości sławnych kobiet oraz opis stanów i urzędów poprzeplatają osobiste wspomnienia kronikarza. Granica pomiędzy opisywanymi dziejami jest niejasna. Kronikarzowi mogły się przydarzyć dzieje ludzkości, a ludzkości — dzieje kronikarza. Ani historia, ani jednostka nie ma tu spraw własnych, tylko wspólne. Czy świat przez to zubożał, czy kronikarz — nigdy się o tym nie dowiemy.

nie uporządkowane zastaję więc dzieje mokre daty wilgotne fakty luzy w srebrze luki w źródle łatane koszałki opałki spod łaty historii płat powietrza wyziera nad karbowanym zwierciadłem wody ja anonim w tym karbowaniu jak w pytii z fali amalgamatu ja srebrnolistna ręka wiatru albo topoli albo twoja próbuję poczuć rude bicie serca lisa albo listu z wyjałowionej torby listonosza i opisać dzieje jego drogi choć rękę trzymam na kamieniu więc o osobach pierwszą lilię położę pod korzenie słowa i niech zawrotna droga kwiatu przez węzły znaczeń ma w opiece piszącą rękę bez powierza

marilyn monroe pocałowała kucyka i dała mu kluczyk do szminkowanej trawy i nakazała przyjść do pamięci zachwianej w ruchu kluczyka co kościołowi przyniosło wielu wiernych i wielu niewiernych przyśpieszyło zbrojenie i kwitnienie wodorododendronu

jest to miejsce zaklęte anno dziś w twoją wstążkę na której prowadziłaś białego królika co zjadł ci górę zbiegałaś z niej codziennie więc dziś rozżalona prosiłaś z królika zrób znów białą górę na saneczki na koszulę to było w dwudziestym wieku tuż za dzisiejszą szybą w dwudziestym wieku twego królika który okazał się kluczykiem na wszystkie przypadki poza jednym o nim już zapomniałem i nie przypomnę bo stoi na nim twój dom moja ziemia i marabut wszechświata i mówią a kuku

george sand dźwięczną głowę szopena do wędrówek wzdłuż wierzby i brązu i stuleci zachęcała mówiąc w sandałowym drzewie moje sandałowe nogi i moje sandały i zanim przyjdzie alfred de musset płyń biała nuto głowy wzdłuż wszystkiego co nie twoje unoś się fermato ciała nad ciałem mgła nad mgłą białe forniry zaprasowane przez śniegi północne sklejone że równoleżnik od równoleżnika południk od południka krwawią kiedy się odrywa klawisz od palca struna od klawisza nuta od struny w tym wszystkim niepotrzebnie białe jaskółki narodowe w komżach ukośnych requiescat ale tak biały to śnieg pada i elizejskie pola w świecy zwijają się nad samotnością dwóch wielkich a niedoskonałych

jest to miejsce zaklęte anno domini anno gdzie swoją głowę podkładałem pod obosieczny promień twojej nogi stawiałem archaniołów z trawy po obu stronach jakiegokolwiek twego ruchu jak stoi morze wokół ryby powietrze po dwóch stronach liścia byś mogła do mnie wejść przez włosy niedotykalna i powiedzieć jak się nazywasz wtedy właśnie szukałem nazw pokrowców rzeczy i jeśli kiedy żyła hostia to właśnie szła przez mleczny piasek na którym głowę położyłem by pocałunek był pokorny dział się poza mną i był dzwonem bijącym bez dotyku rąk a było to w wieku dziewiętnastym twojego śmiechu z którego posypał się śnieg stałem w kryształy zasupłany śnieżynka na języku mrozu zabrałem swoją pustą głowę i omijając twoje ślady tlące się ogniem błękitnawym swój dziwny mróz przed sobą niosłem pośród pingwinów ty na sankach po śniegu który wypromienił ze mnie i z ciebie wiozłaś swój śmiech maleńkie i kudłate zwierzątko to nie był biały królik nie różowym pazurkiem przewiercał w płozie małą dziurkę z kamienną robił to powagą a może sam też był z kamienia

margrabina de pompadour joanna antonina wyszła z loary dotknęła korony ludwika dziesiątego plus piątego i już rozdwojona z rozdwojonych rąk podała mu rozszczepione rzeki francji niby różdżkę którą wyszukuje się deszcz w chmurze i zalotność w oczach kurtyzany a król jak król przepołowiony powiedział madame za wąskie są twoje rzeki na moje szerokie pragnienia i pompadour musiała zabić różą wielu wodzów co znosili wodę do źródła by płynęła loara jeszcze węższa i tak pragnienia nikt nie zaspokoił bo wszyscy się zwęzili weszli w ucho igielne zaszyli w nici w igle jeszcze czasem ich ktoś odłuszczy trochę pobiały z ręki pompadour trochę wyżła z sandału króla ale daleko im do loary a nawet daleko loarze do loary o czym ona wie bo już nie płynie w powietrzu tylko dnem pospolitym między rakami i szczeżują bo trzeba czymś zapłacić za to co się straciło

jest to miejsce zaczarowane dziś w łamanie suchych gałęzi suchych ptaków wysuszonych borsuków w pył w nozdrza w dunajec co

się zwapnił w twoją pierwszą białą kąpiel nad którą wisiałem jastrząb ponad białym gołębiem pierwszy raz pojmując że między nami oprócz tamtego królika i kamiennego zwierzątka jest jeszcze krew wymieniająca się na razie przez powietrze jak zapachy kwiatów może jak ćmy albo chodzenie owiec po lodowcach zacząłem osuwać się po tej piramidzie po tym śliskim powietrzu i ustami z pumeksu i pianogumy spiłem jedną kroplę z twego śniadego karku i zatrułem się anno domini do dziś lub jak śniedź jak grynszpan to się wszystko wżarło jęczmieniem w nieodwracalnym podniebieniu nieodwracalny smak jagody to było w osiemnastym wieku twej szyi albo mojej nie wiem wypici do swych stóp staliśmy jak puste dzbany na pustyni

margrabina de sévigné maria de rabutin-chantal bretońskim koniem po pomostach surowy kamień w każdym oku odbijający wszystkie dłuta odbijający nawet kulę która jej męża przepoławia ksiądz de coulanges na klęczkach przed rzemykiem u stopy ze stu rzemieni żadne zęby tej stopy żaden wiatr nie pofalował drucianego włosa w hotelu rambouillet ta pani wszystkich uświęca to jest odwet za własną przymusową świętość jeszcze cios jeden dłuta w promień jej oka lecz kiedy z tego białe gołębie na zamku grignan dokonana tragiczna niewzruszoność brwi

było to w miejscu zaklętym anno domini anno w pliszkę która porwała jedną kroplę źródła aby swoje własne morze z wielorybami czytającymi dzieje jonasza w pustyni swoich brzuchów kagańce z tranu oświata pływająca dla małej pliszki dar synkopy żywość ogona ciepły robak łososiopstrągi w tunelach prądów podrybnych międzypłetwych anno domini anno wtedy budowaliśmy gotycki wiatr świątynię z wiecznym olejem i okiem skrzydlatym pływającą po tym morzu w wesołych piórach małej pliszki piraci nieoczekiwanej świętości więżący własne ciało autoanioły oszołomione możliwością aureoli spiralnej drogi do boga potomkowie jonasza i pliszki boskiej złodziejki bo trzeba było cofnąć się od śniadego karku od jastrzębia od dzbanów bezwodnych anno domini anno w siedemnastym wieku pierwszych świętych pomysłów kiedy siedem grzechów głównych płynęło nad nami nad białopiennym źródłem a cień ich ścierał nam pot z czoła nam pot z serca nam pot z paznokci z konfesjonałów w nas pobudowanych

lukrecja borgia do połowy hiszpańska i włoska od połowy jadowita i słodka na podniebieniach jana sforzy księcia pesaro księcia biscaglia i alfonsa d'este ścieli łóżko w obłoki i węże grząskie po oczy po pomniki rano z marmuru wyrąbują halabardami brzuch kochanka lukrecję borgię się wymawia na milion stóp pod czarną ziemią bo tam z fallusem zamieszkała i tylko czasem zagląda do westalek by je podtrzymać na duchu na promieniu na marmuro-

wych nogach bowiem lukrecja nie ma już nic do stracenia i bez obawy może zbliżać się do świętych

jest to miejsce zaklęte anno domini w cień białopiennego źródła gdzie do dziś stoją białe wiewiórki z białymi orzechami w środku a może konwalie tego z całą pewnością nie mogę było to w szesnastym wieku rozpinania twojej bluzki w czasie potopu który zmył wszystkie dalsze fakty i została tylko arka noego i ona niepotrzebnie nas zabrała do dalszej podróży do lisa do małpy do pterodaktyla podejrzanego o zadziobanie samego siebie by udowodnić że fakty są nikomu niepotrzebne jeśli są zwietrzałym ptakiem a ci co wychodzą sucho z potopu niegodni byli potopu

joanna d'arc dziewica la pucelle wbrew voltairowi białostopa szła by gołębia napoić co znosił chrust w dzień upalny na trzydziesty pierwszy maja i przez ceglaną powiekę rouen widzi nie widzi w jej wiosce domremy druga joanna d'arc całuje piwowara i kładzie się w pokrzywy wtedy szmelcowany pancerz miecz chromowany jest jak zbawienie i trzeba wojny trzeba śmierci by pancerzowi nie było samotnie z gorącym ciałem łaskotaniem włosów i zanim schiller jungfrau von orléans to przecież patrząc na zabiegi kata miłość joanny istniała w pokrzywach nie tylko pszczoły nabijały żądła lecz poparzone dziewczęta swe uda dawały lizać pienistemu słońcu i stojąc w środku gryzącego stosu joanna nie wie czy to pierwsza miłość czy tylko przyszła po prostu śmierć pierwsza

było to miejsce zaczarowane anno domini anno gdzie w ogniu źródła mała ryba żary mieszała rubinowe w pierścionku wody napój z siebie i pancerz z łusek nadaremno z wszystkiego pancerz nadaremny wówczas widziałem jak zwierzątko to na saneczkach poruszyło się w swojej skórze zaczęło obserwować rybę i głód po lesie i po wodzie i głód po śpiewie i po rękach szedł z napowietrznej żółtej skóry a ryba wciąż warzyła siebie w pierścieniu swego oka nie wiedząc że podwójnie warzy ten najdziwniejszy obiad z ognia w piętnastym to się działo wieku twojego szeptu jednak przyjdź

victoria pastuszka z kalabrii i niepołomic zewsząd i z mocnego ciała do życia batem przypisana przez bożą krówkę poświęcona przez deszcz pionowa wprowadzona na grzybobranie pierwsze nikt nie zapisał nawet jej jednego włosa ani jednej sukienki palimpsest ludzki choć na łące leżała zawsze nie do starcia kwiat mięsisty ale to na pewno ona papieżowi grzegorzowi jedenastemu wody gorącej nalała do snu bo była trzpiotem stąd też może nikt poważnie nie brał serków przez nią wytopionych soli w jej oku piołunu w ustach ciężkich chmur we włosach i tak przemknęła pośród skrybów jak zając pośród strzelców lub jak mnich wśród nagich dziewcząt nie wiem gdzie ciepło jej zło-

żone biegnące nogi włos rosnący to dla niej inconnue lilię wygrzaną w moim sercu poza cień własny wyprowadzę by nie wyziębła człowiek zimny rozpustnik w solach rozpuszczony victorii z wszystkich pyłów drogi bo była najgorętsza z komet jeśli do dzisiaj w bazylice sen grzegorzowy pokazują z kipiącym morzem wewnątrz snu

za wszystkie miejsca pogubione i złote nogi do tych miejsc anno domini anno w czternastym wieku twoich nóg mała victoria kronikarza zmówmy modlitwę z niezapominajek ze strumyków i ptaków co swe pióra moszczą by się okrąglej nocą spało i sny podsuńmy pod gorącą rękę tej kalabryjskiej i niepołomickiej i z wszystkich razem azji amen a teraz dajmy miejsce stanom i urzędom posypmy trochę ziarna piórom niech tłuste ptaki liter i skromnie ręka ciężko dysząc bo to trzynasty wiek za pasem i koziorożce bodą palce

mnich trzyma w ręku ukrzyżowane wąsy kupca

jest to drzewo na źródle zaklęte anno domini anno chyba w trzynaste stulecie twojej miotły

a wąsy kupca do canossy w królewskie nogi miękkie ślady powozi kupiec cień swój długi przez cztery konie karoserie okrągłych pięcin stu talarów bicz sypie się i jasne wąsy są dojechane do ostatka

są to schody paczesie cienia schodzisz nimi w głąb swoich rąk w głąb swoich nóg i mówisz ogień ignis ignis fatuus podaj zapałki które w lnie małe ogniska zasupłane nie we włosach i pilnuj bo wykipi mleko zanim przydźwignę chłód do pieca w dwunaste stulecie lofiksu anno domini logarytmu ciepła przesuń zapałkę do poduszki już białe nogi snu na białopiennym źródle liście po węglu piszą swoje mane choć alfabet zwykł się zaczynać nie od nóg lecz ust litera niecierpliwa co chwilę biega gdzieś po ogień spod źródła małe żbiki iskier przynosi i na palce dmucha bo to niedobrze kiedy róże podwodne rosną pod paznokciem

kupiec trzyma w ręku samozapalną nogę policjanta

jest to wysiłek kamienia który wydał pierwszą kroplę chmurze naprzeciw naprzemianlegle anno domini anno chyba w jedenastym stuleciu twojej pierwszej borówki

samozapalne nogi w wodzie chłodzone ogniem wciąż pod górę kalendarzowych everestów policjant między różdżką cienia przetapia wodę

ręce wąsy sam w ślimacznicy ruchu ognia od róży wiatru purpurowy kto się ustalił jakoś płynie przez palce przeźroczyste rzeki piskorz z ognistym dzwonkiem w dzwonach na członach ruchu i człowieka pod średniowieczem wysprzedanych kupców a nogi bardzo ogniem w rybie neron przypieka z boku na bok maleńki rzym przybrzeżnej trawy co tylko samo się zapali to zaraz w nodze samo zgasi

są to kominki przy ognisku gdzie zapieczone krasnoludki cieniutko w korytarzu świecy ciasto świecące roznosiły słodkie tapety wzory ognia w źródle pod pokrywą czajnika tam małe kaczki wciąż nurkują woda w kaczuszkach zanurzona kolebie się i dom kaczuszką na zapalonej nodze przez step w twych oczach zastępiony niedobrze woły w stepie deszcz stepowy kłem zielonym w oku wilka to wilk niesie w pysku wąski ogień na drodze pewno coś popsuto bo goście coraz to zdrożniejsi i bardziej z ogniem za pan ogień to było w dziewiątym wieku świecy która za długo anno domini anno poprzez języki smutnych wilków kapturki pieców krasnoludków zbyt cienko wyprzędzone światło urwało się w przędzącej fali i wilk przez język przepalony ogląda teraz twoje ręce widzi pod nimi dłonie źródła za długo na nie chyba patrzy bo źródło również się przepala w kominku biały krasnoludek czapkę odsuwa od węgielka bo wie że mała sprawa iskry jest większa od dużego lasu i nie chce aby twardy ogień zagnieździł mu się w miękkiej czapce

policjant trzyma w ręku wino po generale

są to płynne dzieje owocu ludzkiego o tyle ludzkiego że mu nieobce wszystko co zwierzęce a przecież ani z kruchych głów grona mądrość tego wina ani z pączków oczu gazeli zaczarowanych anno domini anno w dziewiąte stulecie twojego spojrzenia na szklankę napełnioną do dna swoją pustką

generał trzyma w ręku pole po marszałku polnym

są to przed źródłem puste cienie niewypełnione twoim ciałem w bylinach zimnych podczerwonych wiek dziewiąty z kory wyszły anno domini anno drzewa z jemiołą i dzięciołem wołamy długo się wołamy coraz to dłuższe rzeki włosy po włosie zstępujące brzegi a oddech krótszy jesteś to jemioła do pustych ust nalewa ziemię cień próżny wolno się przechyla karoca pod królewską stopą korona z praw grawitacji jeszcze raz spada na dno kielicha cienia pijemy roztopione złoto rąk swoich szyi nóg i bioder dzięcioł puste dzbany po nas do świtu będzie leczył przy źródle jednak puste cienie jeszcze się bardziej staną puste zwierzęta wszystkich lasów sny swoje w nich wygodnie złożą i żaden z długich snów żyrafy o sen nasz obok nie zawadzi nikt naszych włosów nie powiąże z grzywami lwów rozwarstwią się na

ręce świtu moje odpłyną w prawe drzewo twoje odejdą w drzewo lewe dwubrzeżna miłość po raz pierwszy potoczy naszą falę włosów

marszałek trzyma w ręku prezydenta po władzy

jest to miejsce gdzie narodził się pomysł białopienny a potem przyszło źródło oplątało się na tym pomyśle i zostało albinosem śród źródeł z białymi fujarkami w malutkich ale ruchliwych uszach straszących jana sebastiana bacha w blachach organów w jego butach podkładanych pod zasypiające czteroleśne łóżko zaklęte anno domini anno w siódme stulecie tego miejsca gdzie byłaś białym dźwiękiem we mnie perkozem dwuniebnym otwierającym dziobem ręce małej alicji która pokradła wszystkie czarodziejstwa ale została złapana i zaklęta w papier najcierpliwszy biały słoń wśród pobielałych słoni i słoń raz jeszcze białe kły wypolerował do swych uszu

prezydent trzyma w ręku mocium panie hidalgo graf von sir seniore i primadonnę

są to właśnie popioły środy popielcowej a może czwartku może piątku może nawet całego popielcowego tygodnia albo i miesiąca popielcowego jeśli nie roku bo i to się zdarzyło małym jeżom które małżowinę potłukłszy posypywały jabłko by im urodziło perłę ale jabłko pod skórką kura domestica wstała w szlafroku i powiedziała pola jak pola panowie jeże mogę urodzić jedynie małą cygankę która was pozbiera do swych kolczastych włosów i zrobi wam obóz i krematorium w śniadym kominie swego ciała bo tak jest gorąca bo tak jest sprasowana mika żaru żar-ptak cygański stepowy ale perłę wygotuje ocean z całego życia w swoim zielonym płynnym palenisku i wam ten popiół panowie jeże na wędrówkę popielcową po epokach gwoździach waszych bitych dróg zaklętych anno domini anno w szóste stulecie pierwszego spalonego listu i obróconej w popiół łąki głogu w czarniowej koronie wiatru coraz się gorzej to pamięta tam stała pościel leżał dom szczekała buda o północy tuż przy psich łapach prawda

mociumpanie trzyma w ręku pozłacanego mnicha najlepszej roboty kufę złoconą z pływającą w tym złocie złotą meduzą serca tak jest szczęśliwy wyzłacany tak jakoś złoto jest

jest to właściwie berberys kubrak na krzewie zagniewanym pokrowiec na czerwonym koniu a trzeba w barwie łagodniejszej przebiec pod płakiem pod drzewami miejsca najbardziej lisie słowa najbardziej wąskie pętle znaczeń i nieporozumień cieniste gaje filozofów gdzie ostre barwy są szczególnie zauważalne i gdzie sokrates

w mig toporem odcina co czerwieńsze poły a jak przepłynąć pod pianą afrodyty przez gałęzie rosochate jej nóg podcielesnych tym zdradliwszych że podmiłosnych spoza szeptu jak pył wulkanu zasypujący uszy i oczy wraz z wodorostami snów nad głową wraz z kluczeniem żurawi aby zbyt jawnie nie odlecieć i niby-manny która nie ma już ani ziemi ani nieba by spadać wprost na głodną trawę na wszystko tutaj przypomniane zaklęte anno domini anno w piąte stulecie twojej pierwszej nieprawdziwej ręki kiedy poczułem zamiast niej na pół dorzeczny cień berberysu

hidalgo trzyma w ręku drugą nogę policjanta już w ogniu już nie w bucie nie w przestrzeni a w ataku na przestrzeń

jest to kopyto kopyt takich jest na kopyta i na kopy to są kopyta na kopycie coś tak jak kamień na kamieniu tylko że te są pozostałe tak trwale tak na bieżąco i pod koniem i dokąd ruszą te kopyta bo one przecież ruszyć muszą one są z ruchu a nie z tarcic choć je kwiatami owinąć to będą to kopyta w kwiatach a nie kwiaty w kopytach i w małym domku naprzeciwko nikt takich kopyt nie podleje i nie postawi w płynnym oknie przy białopiennym źródle wyglądają na oblężenie przy owocu na taborytów ściętych z pnia przez własne głody na kokosy zaklęte anno domini anno chyba w czwarty wiek twojej pierwszej ucieczki twoich nóg już wrogich już bijących bez tkliwych dzwonków tylko głucho przez włosy powalonej ziemi a może w piórach głuszca dzwon już nie wiem echo przeszkadza zardzewiałe być może w skale się odezwał nieprzewidziany w głosach ptak albo to skała zapieściła do twardej śmierci gardło ptaka

graf von trzyma w ręku pierwszy krok generała jego pierwszy krzyk oseska dźwięku barwy z gorącym smoczkiem pierwszej gwiazdy ssącej usta maleństwa lulanie krwi świecącej a przecież nic ze światła wewnętrznego jeszcze przez skórę przez ucho przez paznokcie jak chytry kiełek morza spod bazaltu

jest to załom biegu białej stopy do pierwszego kroku białopiennego źródła przystosowanie harmonii do strojenia podanie głowy dla mirtu struny dla smyczka anioła dla aureoli tak się czeka na błogosławieństwo zwalniające od świętości od ciężaru na kimś od gorąca na lodzie od szybkości na nieruchomym pokora wobec niemożności pojednania krzywych zamiarów powoju wobec pionu rośliny po której się pnie i prostuje spiralnie wszystko się trzyma białopiennego źródła bo napełnione źródłem jest płynniejsze po kolana w obcej osobowości ale obezwładniające tę osobowość przez to wrastanie przez to pokorne przebicie dosięganie drugiej istoty z zamiarem pocałunku z rozwagą czci dla cudzego krzyża w którym staje się gwoździem powrót do architektury przewrotnej gdzie fresk zniewala całe mury gdzie mury pękają by wyjść z fre-

sku ale uduszone we własnym pęknięciu przyrastają znów do siebie do fresku jemioły jemioł głuchojedzące własne podstawy zaczarowane anno domini anno domini anno być może w trzeci wiek twojego powrotu capri pod ojcowem rosemarie pokorna na własnych rogach chusta świętej weroniki z jej własnym odbiciem dwa jeziora przelewające się do siebie niepomne że w tym czasie ryby umierają na wietrze albo wiatr umierający w rybach i nie rosemarie nie capri tylko listonosz nadchodzący z tymi lisami albo farmer wybaczcie nawet czasem zegar gdy go na odwrót się nakręci więc to nie była rosemarie tylko aldona w wieży z włosów i pierwsze z smutkiem obcowanie

sir trzyma w ręku o prezydencie jakże ci nie wstyd sir w ręku ciebie ciebie w ręku a obok orzech po łupinie i chiński słowik po cesarzu obrączka po miłości szrama po nocy co kąsała tamte ważniejsze wszystkie rzeczy bo ty po sobie nie jak one po tym co jeszcze z nimi będzie o prezydencie prezydencie

jest to sześciostronna chmura nad zbliżającym się zmierzchem wody nie wiem być może zanim zmierzch się zbliży chmura już będzie ośmiostronna a woda reniferem odgrzebującym księżycowe skórki po uczcie na polarnym stole gdzie magnetyczne winogrona ułożyły się w magnetyczne smaki gdzie zęby magnetyczne łączą się tylko z właściwymi biegunami chleba nie wiem kronikarz czasem nie wie i wtedy bywa najprawdziwszy przynajmniej głowa mu zostaje czeka na śpiew rannej gwiazdy i wolniej rosną mu paznokcie nie ma przymusu w jego cieniu śpi obok nogi pana zaklętej anno domini anno domini anno w drugi wiek twego przywiędnięcia na moim ręku cóż to znowu pokorne niebezpiecznie ucho nie ma już drzew szumiących w sobie stuk o podłogę łupin obieranych ziemniaków kastaniety corrida biało umiera biały byk piasek się dziwi taki byczy byk byczo bił w buławę i nagle taki biały byk z białym jelitem i śledzioną to wypatroszone antarktydy z albinosami chyba gadają na temat puchu anielskiego anno corrida i fregata przez uszy głuchego kronikarza tylko kotwica w małżowinie i idzie głowa pod fregatą na fioletowe dno dziesięciostronna gibka chmura przygotowuje swą jedenastą i dwunastą stronę matematyk wchodzi do morza lecz między rybami naszej kotwicy już się nie dolicza

seniore trzyma w ręku o mociumpanie o mociumpanie odwrotną stronę cienia mociumpana łuskę węża stary but nie pamiętający już nogi ani ciężaru ani lekkości but zakatarzony swoim własnym zimnem i starością but kichający sobą przywiązany własnym rzemieniem podbity własną zelówką pokłuty własnymi dziurkami dziurawy dla własnego języka wypadający z siebie i wciąż wskakujący do siebie na jednym bucie zakalec skóry proszący o zęby psa istna strychnina

skórza but szczurołap pozbawiony wnętrzności zwymiotowany do ostatniej szpilki zupełnie zadręczony sobą nawet bez pierwszej strony mociumpan skórzy sprzed wszystkich pamiętnych epok jeszcze sprzed homo pekiniensis sprzed mandarynek co to właściwie jest co to jest czy jest to nawet pytanie

to jeszcze jest niewyjaśnione przyjście głuchego listonosza długo naciskał oko gospodyni nie słysząc dzwonka ani z bazylei ani z rogożna białe źródło pod nim stało a on dzwonił i zapadał się w to niedodzwonione dzwonił dzwonił bo to była kariatyda nie pani domu i już był w białym domu po bieliznę swoich uszu po sznur żurawi po siebie samego jeszcze tylko zamknął swoją wyjałowioną torbę wyborował w niej otwór jak tamto zwierzątko w płozie i wyciągnął małego lisa chociaż białe źródło było już nad lisem biały lis był właśnie listem anno domini anno dominī anno no anno na wszystkich łąkach świata białe bociany co za nonsens pisz wyraźniej pisz chociaż tak jak bociany bo przyniosę ci ogień pod strzechę albo żmiję pod paznokieć anno aldono arabia saudyjska dziewczyno araby krwi i krokiet w drewnianym młotku puk puk zaczarowany w pierwszym wieku istnienia czego ala ma kota requiem aeternam kot ma alę dona eis domine ala ma mamę et lux perpetua mama ma alę luceat eis i upadł biały list liść białego źródła z wyjałowionej torby listonosza na wyjałowiony cień po adresie

a primadonna trzyma w ręku a primadonna trzyma w ręku co trzyma w ręku primadonna o trzeba stanąć na orionie bo to co trzyma takie duże ta primadona nic nie trzyma i tak się kończy epoka białopiennego źródła którą ktoś żartem przyniósł na świat w cyrkowym kapeluszu

były potem inne epoki cynobrowego garnka i słodkiego śledzia rozmowy z mumią i ogonów lwich dywanów podwodnych i okularów z jarzębiny tłoczono wino z kamieni chirurgicznie leczono szubienice do organów wstawiano puste konie by rżenie było konkretne były epoki bawienia się w kotka i myszkę naśladowania ciżemki była epoka kiedy pingwiny wyśpiewały śnieg spod swoich skrzydeł wtedy właśnie dziewczynce z zapałkami zamarzł ogień i pokruszył się wraz z jej ciałem ale to nieważne najważniejsze dla ludzkości jest to że zawsze coś było jakiekolwiek ale stało pod oknem i wiozło w nieznanym kierunku

być może nie wiem zacznie się teraz epoka białego konia tego od kopyt który na chwilę przystanął pod moim oknem i zjadł macierzankę bosą i niewyspaną

znajdzie się kronikarz co tę epokę opisze równie somnambulicznie jak ja dzieje białopiennego źródła ale to nie będzie ważne bo dla ludzkości ważne jest to by pióro nie spało na papierze bo pióro jest nocnym stróżem białej nocy i musi gęsto się zastawiać przed wrzaskliwym ptactwem które anno domini no anno anno gotowe wydziobać resztkę światła resztkę porcelany srebra okruchy podbiału muszle lodu no anno anno domini anno no anno obudź się obudź się pośrodku jakiegokolwiek roku jakiegokolwiek stulecia bo to nieważne jakiego byle stanąć choć raz jeden pośrodku wiatru i choć raz jeden osłonić oczy liściem od nadmiaru światła

Wrocław 1959 r.

Tymoteusz Karpowicz

Maria Dąbrowska

KLARA I ANGELIKA

— Nie chciałbym być natrętny...

— A obrał pan sobie zawód...

— ... który zmusza do naprzykrzania się ludziom. Właśnie. I jeszcze w takim dniu! Ale na tę niedzielę moje małe „Z wizytą u..." nie może się obejść bez pani. Cała kolumna będzie zresztą poświęcona temu jubileuszowi. Pani raczy nie zwracać na mnie uwagi. Jeszcze tylko jedno zdjęcie. O, tak jest świetnie. Chwileczka...

Przeraźliwy błysk światła, drążący i bolesny niby igła wyjmująca nerw z zęba. Klara Naimska stoi oszołomiona pośrodku pokoju zawalonego kwiatami jak przedpogrzebowa kaplica. Młody człowiek zamyka potrzaskując swoje przybory fotoreportera, wyjmuje długopis i karteczkę papieru.

— Jeszcze tylko parę słów tekstu. Na przykład, jak się zaczęła pani wielka kariera teatralna? Co panią skłoniło? Albo — jaka jest najulubieńsza pani rola? Pani wybaczy, ale taki jestem zaharowany, że nie widziałem pani w tym... w tym...

Klara spostrzega, że młody człowiek mało wie o jej „karierze teatralnej". Prawdopodobnie chadza głównie do kina, jeśli i na to nie brakuje mu czasu. Czułby się bardziej na swoim gruncie, gdyby miał do czynienia z gwiazdą filmową.

— Jak się zaczęła?... — powtarza młody człowiek.

— Jak się zaczęła... — powtarza Klara. Oboje nudzą się śmiertelnie. Młody człowiek myśli, czy zdąży dzisiaj załatwić przeprowadzkę do nowego mieszkania i dlaczego ta sławna baba tak długo nie wie, co mu powiedzieć. Ach, wreszcie mówi.

— Tak się zaczęła — powiada — że za młodu chciałam zostać pianistką. Studiowałam fortepian. I wie pan gdzie? Aż w Brukseli.

— Expo 58! — ucieszył się reporter. — To już jest coś. Może powiemy tak: miasto sławne z Expo 58 było miejscem pierwszych studiów artystycznych naszej wielkiej... Expo 58! Expo 58!

— Expo 58 — powtarza machinalnie Klara. To brzmi, jakby oboje przywoływali psa, który wabi się Expo.

— Więcej mi nie potrzeba — raduje się fotoreporter. — Początki kariery — muzyka. Nieoczekiwanie przychodzi natchnienie, właściwa droga — scena. I tak dalej.

— I tak dalej — powtarza Klara.

Dzwonek. Klara słyszy podziękowania, wśród których młody człowiek znika, jakby wchłonięty przez ściany pokoju.

W uchylone drzwi wciska się głowa. Twarz frasobliwej mopsicy. Pod grubymi okularami drwiące oczka w zaczerwienionych powiekach.

— Przyśli — oznajmia głowa — z filmu.

— Jak to? Nie telefonowali przedtem? — płoszy się Klara. — Kto ich umówił?

— Pani kazała wyjąć telefon — obraża się głowa boleśnie krzywiąc mopsią twarz. I do siebie: — Zgłupieć można.

Jeszcze do tego wszystkiego ta niemiła nowa gosposia — martwi się Klara — ta Pachulska! Mieć w tych okolicznościach kogoś takiego w domu, to dodatkowa udręka.

A właśnie ze względu na „te okoliczności" nie można było dłużej zwlekać. Biedna mała Zosia, taka miła i bliska, musiała iść na wiele miesięcy do przeciwgruźliczego sanatorium. Cała rodzina mazowieckich małorolnych zagruźliczona. Jeden z niej tylko, zdrowy byś, wyszedł na powiatowego dygnitarza, ale ten nie chciał się odpowiednio zająć mniej wydarzoną siostrą. Nieważne. Grunt, że trzeba było na gwałt wziąć kogoś do pomocy w domu. Wybór niewielki, trzeba brać, co się zdarzy. No, i nadarzyło się coś tak dziwnego, nieżyczliwego i obcego, jak ta Pachulska. Już wczoraj, mimo dodanych jej stu złotych, orzekła, że nie godziła się do tego, żeby co pięć minut otwierać drzwi i przyjmować depesze. „Jakbym wiedziała, że to będzie taka zarwańska ulica — żaliła się — to bym tu nigdy nie przyszła."

Klara stoi nadal nieruchomo, pełna niesmaku, zdumienia i zaskoczenia. Ba, gdybyż i ona wiedziała! Jubileusz czterdziestolecia jej pracy scenicznej, a sześćdziesięciolecia jej urodzin, niechciany, nieproszony i nieoczekiwany wybuchnął poza nią i wtargnął do jej domu jak powódź przez źle strzeżoną, przerwaną tamę. Tego i owego się spodziewała, lecz nie aż takiego szturmu do jej intymnych i osobistych progów. Obawia się, że nie podoła temu wydarzeniu. Tak nie spodziewała się najść już od dziś z rana, że nie zdążyła się ubrać. Stoi ciągle w powszedniej domowej długiej sukni i w rannych patynkach, kiedy ukazuje się, jeszcze młodszy od poprzedniego, chłopiec z filmu. Błaga („gotów jest uklęknąć") o udzielenie mu dwu dni po kilka godzin dla nakręcenia prywatnego życia „największej, najpopularniejszej aktorki naszych czasów".

— Już był tu ktoś z największego, najpopularniejszego dziennika stolicy. Tak powiedział. Już mnie fotografował, właśnie w moim prywatnym życiu. Prawie w szlafroku...

— Dziennik? Najwyżej dwieście tysięcy czytelników — osądza z pogardą filmowiec. — To nie ma tego znaczenia, co film. Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę... Miliony ludzi chcą widzieć swoich wielkich rodaków. A zwłaszcza w ich domowym życiu, codziennym otoczeniu, tylko film to może pokazać. Pani chyba wie, czym pani jest dla wszystkich. Najbardziej czczona, kochana, szanowana... Tak, właśnie szanowana... O ten szacunek dziś niełatwo, o tym ja już coś wiem, choć żem taki młody. A pani go zdobyła. I to powszechny.

Klara kipi od wewnętrznego protestu. Szacunek zdaje się jej wyłączać zachwyt, jedyną rzecz, której pragnie artysta. Sztuka nie chce być szanowana. Chce być kochana bez tych szacunków, a za to wściekle, z pasją, która się kłóci, nawet lży, aż pokonany bunt ukorzy się przed magią twórczą w uszczę-

śliwionym zachwycie. Nie, żadna myśl Klary nie jest jubileuszowa. Wszystko w niej wre od niestosownych uczuć. Ale nie można dopuścić do skandalu, którego natury i tak by nikt nie zrozumiał.

Mówi więc z hamowanym zniecierpliwieniem:

— Och, zaraz „dla wszystkich...". Aktorzy znani są tylko w miastach. I to tylko w dużych. W moim wieku coraz rzadziej zdarza mi się brać udział w teatralnych objazdach po co głuchszej prowincji...

— Jak pani może mówić o wieku! Pani jest wiecznie młoda. Wszyscy to mówią, jak Boga kocham. I taka fotogeniczna!

— Przypomniano mi tymi dniami bardzo dokładnie mój wiek. Czy to ktoś młody grywa stuletnie baby? — żartuje Klara znużona i obezwładniona jak zwierzę wśród poskramiaczy.

— Właśnie — potwierdza naiwnie młody filmowiec. I zaraz się poprawia: — Tym bardziej trzeba panią pokazać na filmie, jaka pani jest naprawdę. Że wiecznie młoda. Słowo daję, ja tych czasów nie pamiętam, ale ciągle słyszę, że pani teraz wygląda piękniej niż kiedykolwiek.

— Cóż stąd? Kochano nas, gdy byliśmy brzydcy i młodzi.

— Ach, i jaka dowcipna! — entuzjazmuje się operator filmowy. — Co za szkoda, że to ma być bez tekstu!

— Co ma być bez czego? — powstrzymuje ziewanie Klara.

— No, ta nasza krótkometrażówka z pani życia osobistego, domowego. Pani nie odmówi chyba. Pani wie, jak ludzie lubią, żeby im to pokazać...

Dzwonek rozlega się teraz bez ustanku. Klara jest przerażona, czuje w sobie klnącą wściekłość Pachulskiej; zdegustowana gosposia pojawia się ze stosem depesz jubileuszowych.

— Czy pani Pachulska ma jeszcze dwuzłotówki dla listonoszy? — niepokoi się Klara. — Tam jest zapas w portmonetce. Na stoliku. Nie na tym... na tym koło fotela.

— To trzeba od razu powiedzieć, że koło fotela — zżyma się Pachulska.

— Na Boga — mówi Klara do młodego filmowca. — Przecież ja całe życie nic innego nie robię, tylko się pokazuję. Zostawcie mi choć ten skrawek prywatności, to trochę życia osobistego... Tak wiecznie być na widowni, to przecież można... — Klara nagle upada na duchu — Nie mam już tyle sił, co wam się zdaje. Stać mnie jeszcze na kreowanie ról, ale i na nic więcej.

— Nie wierzę — upiera się kokieteryjnie filmowiec. — Pani ma w sobie tyle życia. Panią stać jeszcze na wszystko. Błagam tylko o małe dwa dni. Proszę wyznaczyć mi termin i już uciekam.

— Panie, robili już coś z mojego życia osobistego do kroniki filmowej. Czy to nie dosyć?

— Kronika? To był „temat", fragmencik — obrusza się filmowiec. — A my zrobimy śliczny film krótkometrażowy. Nasza genialna pani Klara w zaciszu domowym, powiedzmy. Robiłem to już z kilkoma i pisarzami, i aktorami. — Filmowiec wymienia sławne nazwiska. — Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Pani jedna się tak opiera. Najpopularniejsza, najbardziej kochana, podziwiana...

— Niech pan zostawi te wszystkie „naj" — męczy się Klara. Boże, jak to wszystko zaczyna jej się zdawać podejrzane. Nikt naprawdę wielki nie bywa aż tak fetowany i uznawany. Klara niemal łaknie wrogów, napaści, które by ją podżegły do nowego skoczenia ponad siebie. Powodzenie jest bodźcem,

i koniecznym, ale przychodzi pora, kiedy staje się tylko mordercą czasu i sił. A ile ich jej potrzeba, żeby się dźwigać z klęski znużenia i rozpaczy! Ach, czasy, gdy próbowała swe pierwsze wielkie role! Mało kto się nią wtedy interesował. Całe obszary skupienia i spokoju należały wyłącznie do niej. Teraz jej mówią: „To już nigdy nie wróci. Pani już nie należy do siebie". Los każdego wirtuoza! Wypada go dźwigać z idiotycznym uśmiechem tryumfu i wdzięczności właśnie wtedy, kiedy tak okrutnie zwątpiła już o sobie, o znaczeniu aktorstwa, własnych natchnień, teatru. Kiedy patrzy na siebie jak ironiczny widz, powtarzający cierpko: wszystko nieprawda!

Dzwonek, dzwonek, dzwonek. Pachulska anonsuje przybycie „delegacji z rodzinnego miasta wielkiej artystki". Skrzypi nadto piskliwym głosem, od którego Klarze robi się słabo, że przyszedł też „jakiś z gazety". Klara w pośpiechu kończy z filmowcem.

— Dobrze — ustępuje — ale kiedyś później... dużo później. Pan widzi, jak wygląda moje „domowe zacisze". Wczoraj przedstawienie jubileuszowe. Dziś w Bristolu bankiet Związku Aktorów. Jutro akademia... mam recytować. Pojutrze podejmuję już wykłady w Szkole Dramatycznej, w południe probuję nową sztukę, wieczorem gram. Więc może kiedyś później... kiedyś później...

— Ale kiedy? Za tydzień? Za miesiąc?

— Za... dwa miesiące — mówi Klara na chybił trafił.

— Cóż mam robić. Ale umówione, prawda? Pani pozwoli, że za dwa miesiące będę się znów napraszał?

— Pozwolę, pozwolę. Jeżeli tylko doczekam.

— Nie wolno tak mówić. Pani będzie żyła sto lat.

— Tylu ludzi życzy mi od wczoraj stu lat życia, że to byłby cud, jakby się te wszystkie życzenia spełniły. A cuda się nie zdarzają.

— W tym wypadku to nie byłby cud, ale naturalny bieg rzeczy. Pani jest o tyle młodsza od samej siebie.

— Ładnie powiedziane. — Widząc, że filmowiec naprawdę zabiera się do wyjścia, Klara gotowa jest obsypać go najwyszukańszymi pochlebstwami. — Pan jest uroczy. I taki uzdolniony. Pana ostatni reportażowy film...

— Serio? Pani raczyła widzieć?...

— I z podziwem. Do widzenia, najmilszy.

Tu wkracza delegacja z rodzinnego miasta, obarczona monstrualnych rozmiarów koszem róż. A bokiem przemyka się dziennikarz.

— Nie chciałbym być natrętny... Pani nie odmówi kilku słów. To doprawdy zajmie pięć minut czasu. Co panią skłoniło do pójścia na scenę? Jaka jest pani najulubieńsza rola? Pani hobby?

— Czcigodna pani — zaczyna wygłaszać delegacja rodzinnego miasta — stajemy tu przed najsławniejszą córą naszego...

— Ale dlaczego stajecie? Siadajcie, panowie.

Dzwonek, dzwonek. Pachulska wnosi stos depesz. Wykrzywia się, bliska drwiącego śmiechu czy też płaczu.

— Proszę p a n i ą, przyszedł ten pan z teatru.

Pan z teatru przybywa w imieniu dyrektora i wręcza feerycznie piękną wiązankę żółtych róż.

— Naszej najczcigodniejszej koleżance, uwielbianej, wielkiej...

— Nie wygłupiaj się, Leoś. Oszalałeś?

— To nie ja, to dyrektor. To jest nie oszalał i będzie, oczywiście, wieczorem na przyjęciu. A tymczasem przysyła ci „ten róży kwia-a-t" — nuci falsetem aktor. — Bo, jak powiada, nie pozwoliłby sobie naruszyć twojego spokoju przed męczącym bankietem...

— Za to pozwolił sobie na obsadzenie kim innym roli, na którą czekałam lata...

— Nie rób naiwnej, Klara. Ta rola w twoim wykonaniu miałaby zbyt wielki rezonans.

— I pozwolił sobie oddać tę sztukę najmniejszemu teatrowi Warszawy. Przecież u nas tłumy by na to waliły.

— Właśnie. A to nie jest sztuka dla mas.

U drzwi wchodowych słychać zgrzytanie kluczy, obtupywanie butów ze śniegu, potem w korytarzu — szelest zdejmowanego płaszcza. To przyszedł mąż Klary, Tytus Naimski, po prostu prawnik z pasją do teatru, której też „padł ofiarą" — jak to sam określał — zakochawszy się przed dwudziestu laty w starszej o lat piętnaście, już wtedy sławnej aktorce.

W tym stadle on był stroną kochającą, ona — kochaną. Tak ustalił Tytus, a gdy on coś ustalił, nie było więcej dyskusji, traciły moc wszelkie przeciwdowody. Klara dała się w końcu przekonać, że nie jest w stanie sprostać jego tak wielkiej, że aż zrozpaczonej namiętności. Ale musiała często myśleć o swoim pierwszym mężu, zmarłym w kwiecie wieku i którego nazwisko porzuciła, choć znane już było na scenie. Z tamtym zmarłym, rzadkiego talentu aktorem nie było nigdy kwestii, kto jest kochający, a kto kochany. Zamieniali między sobą te role po tysiąc razy, jednako zafascynowani każdym z nich w każdej; ale to pewno dlatego, że byli oboje młodzi. Klara podejrzewa, że z Tytusem mogło być, że chyba było to samo. Ale on mówił: „Wiem, co wiem", albo: „Zawsze byłem tym, który więcej kocha" — musiała więc się z tym zgodzić. Jej walką była scena — reszta ma być pokojem. „Choć bywa piekłem" — przekomarzała się czasem. „I domem wariatów" — uzupełniał zazwyczaj pojednawczo.

Klara czekała teraz w napięciu wiedząc, że Tytusa drażni ten cały jubileusz. A tu w dodatku nagle zadźwięczał telefon.

— Kto włączył telefon? Szału można dostać! — zawołał Naimski podrywając słuchawkę. I zaraz potem: — Halloo? Kto? Wystąpić w telewizji? Jutro? Skąd?! Pani Naimska będzie nadto zmęczona. Pojutrze? Mowy nie ma. Kiedy można zadzwonić? No, za tydzień. O której? O... o pierwszej minut siedem i pół. Do widzenia.

Tytus odłożył słuchawkę i wyszarpnął kontakt ze ściany. — Kto włączył telefon? — powtórzył z irytacją.

Dał się słyszeć skrzypiący lament Pachulskiej: — Ja włączyłam telefon. Pani gniewała się, że bez telefonu przychodzą. Ja teraz powinnam — zachlipała płaczliwie — proszę pana mecenasa, być u doktora. Mam taką złą analizę, a muszę tu sterczeć i jeszcze hałas dostaję.

— Proszę nie włączać przed piątą. Żyć tej kobiecie nie dają — sarknął mając na myśli Klarę.

— Prawda? Sam pan mecenas widzi. Żyć nie dają — zajęczała Pachulska.

Naimski wszedł do żony.

— Bój się Boga, Klara! To od rana tyle kwiatów nanieśli? Nie siedź tu. Przecież tu się można udusić.

— Nie masz pojęcia, co się dzieje — poskarżyła się Klara. — Ja już nie daję rady.

— Uspokój się. Ty byś czemu dała radę! Gość we własnym domu. Zaczekaj, teraz ja ci się wszystkim zajmę. Ty idź i połóż się w jadalnym. Tu zaczadziejesz od zapachu. Te kwiaty trzeba rozstawić po mieszkaniu. Odpocznij, ważne jest tylko, żebyś na wieczór nie była zmęczona. Idź się połóż.

Klara kładzie się potulnie w jadalnym na kanapie. Z kuchni słychać Pachulską. Popłakuje i gada do siebie głośno:

— A co to takiego świętego ta Naimska? Że się pokazuje w teatrze? To ja dlatego nie mam iść do doktora?

Po chwili ciszy Pachulska wchodzi z małą karteczką w ręku.

— Pani tu leży? — przestrasza się zaskoczona. — A ja do pani szłam.

I roniąc spod okularów łzy wszczyna swą sprawę. Już dawno powinna siedzieć w ubezpieczalni, czekać na numerek, a potem na lekarza. Ona się na tym nie zna i niedowidzi, nawet w tych okularach. Ale znajoma przeczytała i mówi, że jest pięć leukocytów w nerkach. To jakaś ciężka choroba. Z tym trzeba by zaraz iść do doktora. Podaje Klarze straszny dowód swojego zagrożenia. Klara czyta kartkę zaopatrzoną w stempel ubezpieczalni.

— To doskonała analiza — mówi. — Śmiało można z tym poczekać do jutra. Jakoś to urządzimy.

I wie, że nic nie poradzi, jej słowa będą wzięte za bestialską nieludzkość. Bo Pachulska widzi tylko pięć potworów zagryzających jej nerki.

„Nieszczęśliwa kobieta — myśli Klara z litością. — Brak jej tego wszystkiego, czego nadmiar mnie tak... unieszczęśliwia."

O trzeciej Klara wymyka się domownikom, gratulantom, depeszom, posyłkom z kwiaciarń i śpieszy do fryzjera, by zrobić sobie manicure. Jej manikiurzystka pracuje w spółdzielni fryzjerskiej, przy tej samej ulicy, o kilka domów dalej. Klara idzie pomału, rozkoszując się chwilą odetchnienia. Pada obfity śnieg, na mieście jest paradnie i jakby odświętnie. Szum pojazdów mechanicznych rozlega się ciszej, rzekłbyś, ostrożniej w zawojach sypkiej bieli. Klara myśli po drodze: „Mój Boże, w ciągu życia tyle oklasków... sukcesów... Powinnam być szczęśliwa... Powinnam być szczęśliwa. To przecież jest szczyt i to wszystko, co może mieć aktor. Gdy zniknie to trochę ciała, największy aktor już w nikim nie wzbudzi podziwu ani zachwytu. Dla aktora nie ma potomności. Cała jego sława i wielkość ginie z nim samym, zostaje tylko wątłe echo w teatralnych dokumentach epoki. Powinnam się cieszyć, cieszyć... A chciałabym skryć się pod ziemię, wiać gdzie pieprz rośnie. Pieprz, pieprz..."

W zakładzie fryzjerskim jest cicho, także biało, dość czysto i o tej godzinie dnia — prawie pusto. Tylko dwie cierpliwe twarze wyglądają spod dzwonów suszarek; manikiurzystka, pani Angelika, duma samotnie nad swym stoliczkiem.

Pani Angelika zdobi paznokcie Klary już od bez mała dziesięciu lat. Wie, kim jest Klara, czyta o niej w prasie, ogląda jej zdjęcia, słyszy ją w radiu, możliwe, że widuje ją czasem także w teatrze. Wszystko to znosi z obojętnie życzliwym spokojem. Jest chyba jedyną osobą, która w nader częstym stykaniu się z Klarą nie powiedziała jej nigdy nic o jej grze, nie zrobiła jej nigdy żadnego komplimentu. Klara czuje się dobrze w atmosferze tej obojętności. Nareszcie nie musi reagować, za coś dziękować, czemuś skromnie zaprzeczać lub

coś prostować, albo co gorsza z czegoś się zwierzać, bo i do tego nieraz cudze zachwyty i nieuchronne pytania ją zmuszają.

Angelika zdaje się być osobą o silnym samopoczuciu, nie potrzebującą wzbogacać swego istnienia przeżywaniem siebie w kimś innym, czy to będą wielcy aktorzy, gwiazdy filmowe, bohaterowie powieści i tym podobnie. Ludzie dostarczający tego rodzaju przeżyć nie imponują jej, choć, owszem, darzy ich (a właściwie je, gdyż tylko ze znakomitymi damami ma do czynienia) uprzejmą protekcyjnością.

Z tego niewiele, co Angelika o sobie Klarze w ciągu dziesięciu lat uważała za stosowne powiedzieć, można było wnioskować, że to jest ktoś, kto na swym skromnym stanowisku życiowym umie korzystać z luksusu bycia sobą. I ktoś, co nie lubi, żeby mu w tym byciu sobą przeszkadzano.

Ujrzawszy Klarę wita ją powabnym uśmiechem i gestem pulchnej różowej ręki. Cała jest pulchna, różowa, jasnowłosa i błękitnooka. Odpowiednio do swego imienia przypomina zażywne, tęgie anioły z odpustowych obrazków.

— Proszę, proszę — mówi głosem nie tak miękkim, jak postać. Drga w nim srebrna nutka stanowczego charakteru.

Angelika obrabia paznokcie Klary sprawnie, precyzyjnie i z zainteresowaniem dalekim od roztargnionej nieobecności przeciętnych manikiurzystek. Pracuje na ogół milcząc, ale tym razem robi wyjątek.

— Ostatnio — powiada — częściej pani robi sobie paznokcie.

— Jakoś ciągle są takie okazje, że trzeba — usprawiedliwia się Klara.

— Wiem. Słyszałam — stwierdza grzecznie Angelika. — Wyobrażam sobie, jak panią muszą męczyć. Te wywiady. Fotosy. W ogóle.

— Męczą — przyznaje Klara. — Ja, wie pani, poza sceną lubię tylko ciche domowe życie („czyż je mam? — zadrwiła w sobie. — Może ten gwałt ratuje mnie przed świadomością porażki?"). A tu mi wciąż — podjęła — zawracają głowę. Ciągle trzeba się uśmiechać, na coś odpowiadać...

— Ja panią rozumiem, bo ja też tego nie cierpię — współczuje Angelika. — A mnie też ciągle tak męczą. Ja na przykład nie znoszę upałów i słońca. Mam słabe serce. To urlop, to biorę sobie zawsze w zimie. I mówię pani, jak mam te kilkaset klientek na miesiąc, to każda, każdziutka musi mnie spytać: a czy byłam już na urlopie, a kiedy jadę na urlop, a dlaczego w zimie, nie w lecie, a czy aby jadę w góry? Nie jadę w góry. Najczęściej nigdzie nie jadę. Przecież ja mieszkam za miastem. To ja tylko podczas urlopu mogę być trochę w domu. A te panie wciąż w kółko.

Klara poczerwieniała: — Masz tobie, a ja niedawno też panią o to zapytałam.

— Żeby pani jedna, to jeszcze... Ale wszystkie! Nieraz jak widzę klientkę, to aż mi się gorąco robi, że zaraz usłyszę to pytanie. Czasem płakać mi się chce od tej ludzkiej ciekawości. Jak mi się znudzi, to dla kawału każdej odpowiadam co innego. Ale nie zawsze ma się humor do takiej zabawy. Jak ludzie nie rozumieją, że nikt nie lubi, żeby go tak ciągle wypytywać! I to tak co roku. Taka tym jestem zmęczona, że prawie chora.

— To z sympatii, z życzliwości — tłumaczy Klara. — Pani jest mistrzynią manikiuru. My się o panią dobijamy...

— Tak, ja umiem to robić. I lubię swoje zajęcie — przyznaje łagodnie Angelika.

— A my lubimy taką wyborną robotę. To trudno, pani jest popularna. Klientki za panią przepadają. Okazują to, jak umieją, przejmują się pani losem, nawet pani wypoczynkiem. Nie wolałaby pani chyba, żeby o panią nie dbały?

— Ja wiem. Tu jedna pani — też z artystów, gra na skrzypcach... To ona mówi o mnie: nasza sławna pani Angelika. Tylko to wypytywanie się, wie pani, to jest takie... jak się nazywa...

— Niedyskretne — podpowiada Klara.

— O, właśnie. Ja się cieszę, że i pani tego nie lubi.

— Cóż, widzi pani, żyjemy w takiej epoce. Każdy chce o każdym wszystko wiedzieć. I to pomaga, taki rozgłos. Klientek ma pani coraz więcej. — Klara już nie wie, na czyj rachunek to mówi.

— Tak, to prawda. Ale ja nie uznaję takiej ciekawości. Ja ani męża, ani nawet syna, chociaż chłopak ma dopiero szesnaście lat, jak sami nie powiedzą, to nigdy o nic nie zapytam.

— Pani ma już szesnastoletniego syna? Nie domyśliłabym się. Taka młoda!

— Ja tak wyglądam, ale mam już swoje trzydzieści osiem lat, mam. Damy emalię drugi raz? Nie, prawda, pani woli, żeby nie było jaskrawo. No, ta emalia ma bardzo delikatny kolor...

— Taki, jak lubię. Ale wystarczy raz. Już chyba wyschło. Dziękuję.

— Pani to też fajnie się trzyma — pochwaliła manikiurzystka. — Nikt by nie powiedział, że pani ma te sześćdziesiąt lat. I po co to rozgłosili? Dałabym pani, no, najwyżej pięćdziesiąt.

— Rzeczywiście? — uśmiecha się Klara, bezsensownie rozczarowana. I nagle: — Jak ja pani zazdroszczę, Angeliko.

— Czego? — zdumiewa się manikiurzystka, lecz w tonie głosu brzmi pewność, że warto jej zazdrościć.

— Tego, że pani jest naprawdę tą, którą pani jest. I pani o tym wie. A ja uchodzę za coś, czym nie jestem.

Młoda osoba ze zrobionymi na miedź włosami, modnie potarganymi, schyla się nad stolikiem.

— Czy pani prędko będzie wolna?

— Już służę. Do widzenia, pani Naimska.

W białym zmierzchu palą się już latarnie. Lśniące igiełki śniegu tną w twarz orzeźwiająco, jak masaż elektryczny. W zgiełku trolejbusów, autobusów, taksówek i limuzyn, w głosie szczekającego psa, rozmawiającego przechodnia Klara słyszy okrzyki: — Jak się zaczęła pani kariera sceniczna? Pani najulubieńsza rola? Pani hobby? Kiedy pani jedzie na urlop? Czemu w zimie?

Spiesząc do domu w mroźnym, stłumionym przez śnieg tumulcie Klara myśli: „Zabalsamowali, poświęcili, jakbym leżała już w trumnie. A ja się jeszcze nie zaczęłam. Żadnej roli nie zagrałam nigdy tak, jakbym chciała, jak powinnam, jak mogę. Czy jeszcze mogę? Muszę! Czy to nie Hokusai powiedział: jeśli dożyję stu lat, to może nauczę się malować? Powtarzaliśmy to sobie kiedyś za młodu. Ach, zdążyć jeszcze przed końcem! Zagrać choć jedną rolę tak, żebym mogła powiedzieć, jak Angelika: — Ja umiem to robić. I lubię moje zajęcie...".

Luty, 1960

Maria Dąbrowska

Tadeusz Kubiak

WASYL BŁAŻENNY

Monomachy, diakony w bizantyjskich czapach,
bojary, hospodary brodate i krępe,
niedźwiedzie na dwóch łapach i jeszcze w turbanie
zielono, żółto, złoto trefionym z południa,
tatary i turkmeny zamienione w kamień.

Z miejsca kaźni Razina noc czarna jak studnia.

ŚWIAT Z GÓRY NA DÓŁ W PIECZARSKIEJ ŁAWRZE W KIJOWIE

Na szczycie architektury
krzyże z księżycem pod stopą.
Kopuły jak złote jabłka
na młyńskiej pianie obłoków.

Niżej na wsze strony — święci
z pociemniałego szkarłatu.
Popiersia bez nóg nad zielem
w dół opadających dachów.

Jeszcze niżej — biel pionowa.
Ściany oklepane wapnem.
Wrota ciężkie — wpół otwarte
drogi pierwszej i ostatniej.

Za murem o krok — urwiska.
Dachy stajenne, gołębnik.
Pod nimi gęstwa jesienna
akacji, wierzb i jarzębin.

Im dalej od świętych z brodą,
tym bliżej do życia z pieprzem.
Chałupy, koty, dziewczyny
o ślepiach moczonych w Dnieprze.

Na sznurze wiszą koszule —
skrzydła cerkiewnych aniołów.
Obok gołębie i kury
żrą, co im sypną ze stołu.

W dół wąwozami do rzeki
krzyk gęsi i kaczek w krzakach.
Na prawo w gęstwinie jaru
toki zalotnika ptaka.

A na samym dole Wowa,
co z ojca zna tylko imię,
naostrzył kozik na cegle,
struga rohatkę w gęstwinie.

PORTRET SPOTKANEJ W CERKWI

Taka ładna, taka wielka dama.
Dla jej smagłych oczu
z monastyrskiego muzeum
karetę bym kniaziów wytoczył.

Kazał zaprzęgać konie.
Krzyżować halabardy.
Bić przed nią pokłony
mnichom hardym.

A ona stoi w kącie jak ikona,
z pociemniałego srebra i drzewa.
I patrzy. I nic nie mówi.
I niczego się nie spodziewa.

WAGANKOWSKOJE KŁADBISZCZE

Deszcz — koła na wodzie. Widnokręgi cieni.
Horyzonty czasu godziny ostatniej.
Zamknięte pierścienie trzydziestu jesieni.

Z roztańczonych palców Izadory Duncan
strącony na ziemię najcięższy z pierścieni.

Pod wierzbą o deskę od matki — to tutaj,
i nigdzie i nigdy gdzie indziej na ziemi.

Jesienin. Jesienin.

Tadeusz Kubiak

Jerzy Andrzejewski

BRAMY RAJU

Jak potężnym i powszechnym było religijne rozmarzenie, świadczy o tym owa dziwna wyprawa krzyżowa dzieci, która na kilka lat przed śmiercią Innocentego III (1213) poruszyła południowo-wschodnią Francję, a nawet niektóre niemieckie okolice. Pastuszek pewien począł głosić, że duchy niebieskie oznajmiły mu, jako grób święty może być wybawionym tylko przez niewinnych i małoletnich. Chłopcy i dziewczęta w wieku od ośmiu do szesnastu lat opuszczali swoje rodzinne miejsca, zbierali się w tłumy i dążyli ku brzegom morza. Wiele ich poginęło z utrudzenia i niedostatku, wiele także stało się łupem chciwych handlarzy, którzy wabili te dzieci do siebie, a potem je sprzedawali w niewolę.

Fryderyk Schloesser: *Dzieje powszechne*

Na czas powszechnej spowiedzi zaprzestano wszelkich pieśni, miał się właśnie ku końcowi trzeci dzień powszechnej spowiedzi i wciąż szli ogromnymi lasami kraju Vendôme, szli bez pieśni i bez dzwonienia w dzwonki, w ciasno stłoczonej gromadzie, tylko monotonny szelest paru tysięcy nóg było słychać, czasem skrzypienie wozów, które zamykały pochód dzieci, wioząc te, które zasłabły z wyczerpania lub miały nogi zbyt dotkliwie poranione, aby móc iść pieszo, droga wśród starej puszczy zdawała się nie mieć początku i końca, już piąta niedziela mijała od owej przedwieczornej godziny, kiedy Jakub z Cloyes zwany Jakubem Znalezionym, a ostatnio niekiedy Jakubem Pięknym, opuścił był swój samotny szałas ponad pastwiskami należącymi do wsi Cloyes i powiedział do czternastu pasterzy i pasterek z Cloyes: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, które jest w rękach pogańskich Turków, ponieważ ponad wszelkie potęgi na ziemi i na morzu ufna wiara oraz niewinność dzieci największych dzieł może dokonać, w czternaścioro wyruszyli w tę noc wiosenną pełną bicia dzwonów i płaczu opuszczanych matek, lecz teraz, gdy weszli w puszczę i od trzech dni trwał czas powszechnej spowiedzi, oczyszczającej z wszelkich grzechów i prze-

winień, było ich wiele ponad tysiąc, dalekie słońce obojętnie płonęło ponad obszarami cienia, wilgoci i ciszy, mocniejszym od jego dalekiego blasku był mrok potężnych pni i konarów, liści i gałęzi, o świtach, gdy światło jeszcze kruche i nieśmiałe poczynało się powoli wznosić nad obszarami zieleni i milczenia, poranne ptaki wrzeszczały w gąszczach puszczy, wrzeszczały również i wtedy, gdy zapadał zmierzch, a nocami, kiedy szli, aby nie przerywać czasu spowiedzi, więc nocami pełnymi monotonnego szelestu paru tysięcy bosych nóg, biegły ku nim z ciemności żałosne kuwikania puszczyków, w ciemnościach kołysały się bezgłośnie czarne krzyże, chorągwie i feretrony, teraz miał się właśnie ku końcowi trzeci dzień powszechnej spowiedzi, a stary człowiek, który od trzech dni spowiadał dzieci, był dużym i ciężkim mężczyzną w brunatnym habicie brata minoryty, na czas powszechnej spowiedzi nie Jakub, lecz on szedł na czele pochodu, szedł powoli, jak człowiek zmęczony, ciężkie i obrzęknięte stopy niezgrabnie wdeptując w ziemię, dzieci kolejno, od najmłodszych począwszy, podchodziły do niego i idąc u jego boku wyznawały swoje drobne, jeszcze niewinne grzechy, myślał: jeśli tego świata nie ocali od zagłady młodość, nic go ocalić nie zdoła, oto wszystkie nadzieje i pragnienia złożyłem w tych dzieciach zdążających do celu, który przerasta i ich, i mnie, i wszystkich ludzi na ziemi, Boże, bądź przy tych niewinnych dzieciach, ja, któremu nie jest obcy żaden grzech i który znam do ostatniego tchu wszelkie zabłąkanie, ja, który mimo mego habitu i mojej usychającej skóry, i moich starczych warg i stóp, które są obrazą radości i harmonii, znam równie dobrze dno ciemnych przepaści, jak urojone blaski tęsknot, ja, wielki i wszechmogący Boże, nie pozwól, aby mogło się kiedykolwiek stać to, co ujrzałem w okrutnym śnie w ową noc, kiedy zapragnąłem służyć tym niewinnym dzieciom, widziałem we śnie martwą i spaloną słońcem pustynię, spójrz — usłyszałem obok siebie obojętny głos — oto Jerozolima spragnionych i łaknących, tu wznoszą się jej święte mury i baszty, tutaj widzisz bramy raju, ponieważ bramy raju istnieją prawdziwie tylko na martwej i spalonej słońcem pustyni, kłamiesz — powiedziałem — pustynia jest tylko pustynią, pustynia jest grobem spragnionych i łaknących — odpowiedział ten sam obojętny głos — na pustyni wznoszą się święte mury i baszty Jerozolimy i na niej, martwej i spalonej słońcem, otwierają się przed spragnionymi i łaknącymi olbrzymie bramy raju, pamiętam, chciałem jeszcze raz powiedzieć: kłamiesz, pustynia jest tylko pustynią, gdy zrozumiałem, że ów niewidzialny głos już przy mnie nie jest, ujrzałem dwóch młodziutkich chłopców idących samotnie pustynią, Boże — pomyślałem — czyżby spośród wielu tysięcy oni byli jedynymi, którzy ocaleli, Boże, spraw, aby tak nie było, i wtedy, gdy to pomyślałem, starszy, który prowadził za rękę młodszego, potknął się i upadł, idź — powiedział, ostatnim wysiłkiem podnosząc głowę — chwilę odpocznę, zaraz będzie świt, widziałem jego dłonie głęboko zanurzone w suchy piasek i jego ciemną głowę widziałem broniącą się przed śmiertelnym i ostatecznym znużeniem, idź — powiedział jeszcze raz — teraz jest jeszcze mrok, ale za chwilę będzie świt, zobaczysz Jerozolimę, wtedy ten młodszy, drobny i jasnowłosy, spytał: nie pójdziesz ze mną? idź — powiedział tamten i widziałem, że głowa mu bezsilnie opada, już wargami dotykał piasku — idź przed siebie, prosto przed siebie, już zaczyna świtać, za chwilę zobaczysz mury i bramy Jerozolimy, idź, chwilę odpocznę i zaraz pójdę za tobą, wówczas tamten

począł posłusznie iść przed siebie i po jego ruchach od razu poznałem, że jest ślepy, Boże — pomyślałem — przebudź mnie z tego snu, wciąż jeszcze nie widziałem twarzy ślepego chłopca, szedł samotny wśród martwej i spalonej słońcem pustyni, nieporadnymi rękoma macając w pustce, jakby szukał dla nich oparcia, a tamten, już martwiejącymi wargami dotykając pustynnego piasku, jeszcze zdołał powiedzieć: już świta, widzę ogromne mury i bramy Jerozolimy, złote dzięki światłu, które nie wiem, skąd się bierze, z samych murów, bram i baszt, czy też ze złotego poblasku, który ponad nimi ogarnia powietrze i niebo, Boże, nie dopuść, aby mógł się kiedykolwiek sprawdzić ten okrutny sen, już byłem przebudzony, lecz jeszcze we śnie pogrążony, gdy ten oślepły, drobny i jasnowłosy, wciąż przed siebie idąc i w taki sposób dotykając dłońmi pustego powietrza, jakby dotykał prawdziwych murów, odwrócił ku mnie swoją twarz i wtedy, nie, nie wtedy, lecz zaraz po tej dręczącej nocy, gdy pełen wszystkich grzechów i bardziej niż ktokolwiek przezwyciężenia grzechów spragniony, wyszedłem naprzeciw krucjacie dzieci i powiedziałem: dzieci moje najmilsze, wybrane przez Boga dla odnowienia nieszczęsnej ludzkości, jeśli podążacie do celu tak wielkiego, oczyśćcie się ze wszystkich swoich niewinnych grzechów, niech nastanie wśród was i u początku waszej dalekiej drogi czas powszechnej spowiedzi, wtedy tę twarz samotnego ślepca wśród martwej i spalonej słońcem pustyni ujrzałem przed sobą i, nie dopuść do tego, wielki, wszechmogący Boże, była to twarz Jakuba z Cloyes, teraz miał się ku końcowi trzeci dzień powszechnej spowiedzi, ostatnie spowiadały się dzieci z Cloyes, które szły na czele pochodu, wśród nich szedł Jakub, szedł Aleksy Melissen, on jedyny nie z Cloyes pochodzący, szła Blanka — córka kołodzieja, szedł Robert — syn młynarza, szła Maud — córka kowala, myślał Jakub: słysząc każde słowo, które on leżący obok mnie w ciemnościach wypowiadał, po raz pierwszy ujrzałem ogromne mury i bramy Jerozolimy, złote dzięki światłu, które nie wiem, skąd się brało, z samych murów, bram i baszt, czy ze złotego poblasku, który ponad nimi ogarniał powietrze i niebo, myślał idący obok niego Aleksy Melissen: kocham cię, choć nie wiem, czy moja miłość wynika tylko z ciebie i ze mnie, czy też zbudził ją z nieistnienia ten, który już teraz nie istnieje, powiązaniem mnie i ciebie jest ta miłość, czy też odblaskiem miłości innej, tej, która pierwsze swoje słowo zdążyła tylko raz wypowiedzieć, a potem poszła w chłód i szum śmiertelnych wód, aby już nigdy nie objawić się w ciele i w słowie, nie wiem, skąd się wzięła moja miłość do ciebie, ale skądkolwiek zaczerpnęła swój początek i swoje pierwsze oczarowanie, nigdy cię kochać nie przestanę, ponieważ, jeśli istnieję, to tylko dlatego, aby, sam nie kochany, potrzebę miłości całym sobą potwierdzać, myślała Blanka: niechby już nadeszła noc, podejdzie wtedy do mnie i gdy już wszyscy dokoła będą zmorzeni ciężkim snem, powie półgłosem: chodź, wtedy wstanę i pójdę za nim, będziemy szli ostrożnie, żeby nikogo nie zbudzić, aż wreszcie znajdziemy się w miejscu, gdzie będzie pusto i gdzie będziemy tylko sami, będziemy się rozbierać w milczeniu, ponieważ ani mnie, ani jemu nie są potrzebne słowa, wiem, o czym on myśli, i on wie, o czym ja myślę, wejdzie we mnie brutalnie i gwałtownie, będziemy nawzajem czerpać ze swoich ciał rozkosz, myśląc wśród rozkoszy złączeni cieleśnie: ja, że nie on mi ją zadaje, on, że nie mnie ją przeznacza, myślał Robert: za parę godzin będzie ciemno, noc będzie chłodna i ziemię

pokryje rosa, jeżeli przed nastaniem ciemności nie dojdziemy do żadnej wsi, będziemy nocować w puszczy, pod gołym niebem, noc będzie chłodna i Maud będzie drżała z zimna, gdyby mnie kochała, ciepłem własnego ciała chroniłbym ją przed chłodem, mogłaby w moich ramionach bezpiecznie spać, miłością nawet głód można uciszyć, myślała Maud: dobry, miłosierny Jezu, Jezu, do którego dalekiego grobu idę, wybacz mi, dobry, miłosierny Jezu, że idę do twego grobu nie dlatego, aby go wyzwolić z rąk pogańskich Turków, nie miłość do ciebie kazała mi opuścić matkę i ojca, nie miłość do ciebie każe mi iść do twego dalekiego grobu, ale inna jest miłość we mnie, miłość, która wypełnia wszystkie moje myśli i jest w całym moim ciele, idąc w chwilę potem u boku starego spowiednika mówiła: zawsze wieczorem przed zaśnięciem odmawiałam pacierz, którego nauczyła mnie matka, ale teraz, od kiedy opuściłam Cloyes i idę ze wszystkimi dziećmi z Cloyes i z innymi dziećmi z wielu innych wsi i miasteczek, teraz każdego dnia przed zaśnięciem oprócz pacierza, którego nauczyła mnie matka, odmawiam jeszcze jedną modlitwę i to jest modlitwa tylko moja, to jest, ojcze, modlitwa mojego ciężkiego grzechu, innych grzechów równie ciężkich nie pamiętam, i dlatego mogę mówić o tym jednym najcięższym moim grzechu, tą modlitwą, którą dołączam do codziennych pacierzy, nie umniejszam mojego grzechu, ponieważ nie potrafię się go wyrzec, nie proszę również o miłosierdzie, ponieważ wiem, że mogłabym prosić o miłosierdzie tylko wówczas, gdybym potrafiła się wyrzec mego grzechu, mojej słabości, moich grzesznych pragnień, a mimo to codziennie wieczorem przed zaśnięciem odmawiam tę modlitwę, modlitwę mego grzechu, i leżąc w ciemnościach mówię nie na głos, tylko w myślach: dobry, miłosierny Jezu, Jezu, do którego dalekiego grobu idę, wybacz mi, dobry, miłosierny Jezu, że idę do twego grobu nie dlatego, aby go wyzwolić z rąk pogańskich Turków, nie miłość do ciebie kazała mi opuścić matkę i ojca, nie miłość do ciebie każe mi iść do twego dalekiego grobu, ale inna miłość jest we mnie, miłość, która wypełnia wszystkie moje myśli i jest w całym moim ciele, w moich ustach, dłoniach i oczach, jest we mnie ta moja miłość, jak gdyby była mną we wszystkim, co jest mną, to ona, ta miłość wypełniająca wszystkie moje myśli i wypełniająca mnie cieleśnie, kazała mi opuścić rodzinny dom, porzucić bez słowa pożegnania matkę i ojca, wybacz, dobry, miłosierny Jezu, że idę do twego dalekiego grobu nie z miłości do ciebie, lecz związana i wypełniona inną miłością, szła z opuszczonymi oczami, dostosowując swój drobny krok do kroków spowiednika, szedł powoli i ciężko, jakby przy każdym zetknięciu z ziemią swych bosych i obrzękniętych stóp usiłował możliwie najdokładniej przylgnąć do ziemi, stawiał obie stopy trochę niepewnie i dopiero wówczas, gdy dotykał nimi ziemi, odzyskiwał siłę, która pozwalała mu znów odrywać się od ziemi, pomyślała: jest stary i zmęczony, szła z opuszczonymi oczami, widziała bose stopy człowieka, któremu miała powierzyć swój grzech, ale widziała także swoje dłonie nieruchomo skrzyżowane na piersiach, widziała białość swojej sukni powoli posuwającej się naprzód, przechodziły poprzez tę biel cienie bezgłośnej i nieruchomej puszczy, szła wśród tych cieni, jak gdyby była złowiona w sieć ukształtowaną z cieni i z jasności, mimo to, uwięziona przez tę sieć, szła z nią razem związana, widziała jeszcze swoje drobne stopy instynktownie usiłujące dostosować się do zmęczenia człowieka, u którego boku szła, aby wyznać mu swój najcięższy grzech, ale

choć szli nikogo na wyciągnięcie ramienia nie mając w pobliżu, czuła, że tak, jak cienie puszczy i poblaski niewidzialnego słońca oplątują i wiążą sztywną biel jej sukni, tak i jej ciało oplątuje i więzi niewidoczny i milczący tłum, wiedziała, że tuż poza nią, idącą na czele pochodu, kołyszą się wśród cieni puszczy i poblasków niewidzialnego słońca czarne krzyże, chorągwie i wielokolorowe feretrony, a pod nimi płynie, jak ogromny oddech, ciasno stłoczone mrowie jasnych i ciemnych dziecięcych głów, słyszała poza sobą monotonny szelest paru tysięcy bosych stóp wciąż mimo znużenia posuwających się naprzód i naprzód, szła z niezmiennie opuszczonymi oczami i tyle w tym dobrowolnym ograniczeniu widząc, i tyle w ciszy, która ogarniała tę porę przedwieczorną słysząc, widziała jeszcze wydłużone cienie idących najbliżej, cienie, które dzięki ich różnorodnym cechom potrafiła nazwać po imieniu, oto cień strojnej i bogatej sukni Blanki, lekko kołyszący się cień purpurowego płaszcza należącego do Aleksego Melissena, nieco z boku smukły cień Roberta, dopiero po chwili dojrzała pomiędzy tymi trzema cieniami delikatny cień Jakuba, pod dłońmi skrzyżowanymi na piersiach poczuła przyspieszone pulsowanie serca, pomyślała: wybacz, dobry, miłosierny Jezu, że idę do twego dalekiego grobu nie z miłości do ciebie, lecz związana i wypełniona miłością inną, spytał: zasypiasz, moje dziecko, po tej modlitwie? tak, ojcze — powiedziała — po tej modlitwie zasypiam, myślała: ze wszystkich godzin dnia i nocy najbardziej lubił przedwieczorną, szałas, który sobie wzniósł na skraju puszczy, górował nad łąkami, więc stojąc przed nim mógł widzieć całe pastwisko, nieraz pragnęłam zobaczyć nasze pastwisko jego oczami, oczami, które są czyste, nie znajduję dla ich czystości dość wiernego porównania, są czyste, kiedy wśród szmaragdowej doliny poczynały się kłaść pierwsze cienie, a niebo nasycało się fioletem i ciszą, w trawach ćwierkały świerszcze i ptaki w gęstwinie dębów nawoływały się przed snem, wówczas nie mogąc widzieć tego wszystkiego jego oczami widziałam swymi: stał przed szałasem, w górze, z ręką na biodrze, blask słońca schodził z niego powoli, lecz on cierpliwie czekał, aż ostatnia smuga światła zagaśnie u jego stóp, i wtedy, gdy ostatnia smuga światła gasła u jego stóp, podnosił do ust dłonie i rzucał przed siebie w rozległą przestrzeń i w ciszę gardłowy okrzyk — idąc wciąż z opuszczonymi oczami wypełniała płaski cień ruchem dłoni podnoszących się do ust, a ciszę cienia wypełniała gardłowym okrzykiem wznoszącym się triumfalnie wśród szmaragdowej doliny, nasycanej pierwszymi cieniami nocy — na ten dźwięk ze wszystkich stron pastwiska zrywali się pasterze i podobnie pokrzykując swymi jeszcze dziecinnymi głosami poczynali spędzać rozproszone krowy, kończył się dzień, wszyscy wracali do wsi, wszyscy odchodzili, tylko on zostawał w swoim szałasie, a kiedy stało się tak jednego wieczora, iż zszedł, cień, który wciąż towarzyszył jej swoim milczeniem, ponieważ szła z niezmiennie opuszczonymi oczami, cień podobnie jak ona uwięziony w sieci ukształtowanej z cieni puszczy i z poblasków niewidzialnego słońca, wypełnił się nagle nieomal dotykalną cielesnością: jest drobny i niewiele ode mnie wyższy, zawsze w płóciennej, krótkiej do kolan tunice, z nagimi nogami i obnażoną szyją, ma brunatne włosy o złocistym połysku, lekko się wijące nad wysokim czołem, kocham jego uśmiech, który nie jest uśmiechem, ale jak gdyby nieśmiałą zapowiedzią uśmiechu, jego uśmiech otwiera przede mną niebo, całym sobą otwiera niebo, zawsze mogła się do niego modlić jak do

nieba, więc, gdy cień, który jej towarzyszył, wypełnił się nagle dotykalną nieomal cielesnością, ujrzała go pobladłym ową czystą i natchnioną bladością, która wydaje się odbiciem szczególnej jasności wewnętrznej, ujrzała go schodzącego ze wzgórza, które wznosiło się ponad pastwiskami, na skraju puszczy, niezrozumiale obecnego wśród oniemiałych ze zdumienia pasterzy, wtedy powiedział: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy... powiedział spowiednik: wydaje mi się, moje dziecko, że i teraz, gdy masz otworzyć serce przed Bogiem, więcej myślisz o swojej miłości niż o tym, że rozmawiasz z Bogiem, cień Jakuba zmienił nagle kształt, podniósł teraz głowę — pomyślała — i spojrzał na niebo, nigdy nie zobaczę nieba jego oczami, nigdy nie będę wiedziała, co on swymi oczami widzi, powiedziała cicho: tak, ojcze, to jest prawda, teraz, gdy mam otworzyć serce przed Bogiem, też więcej myślę o mojej miłości niż o tym, że mam otworzyć serce przed Bogiem, kochasz swój grzech?, kocham Jakuba z Cloyes, ojcze, a on?, kocham go, ojcze, więc nie umiem rozpoznawać jego myśli, odkąd sięgam pamięcią, wychowywał się razem ze mną i z moją siostrą w domu mego ojca, ale widocznie zawsze, odkąd sięgam pamięcią, musiałam go kochać, ponieważ nigdy nie potrafiłam rozpoznawać jego myśli, nie wiem, co myśli, nie znam jego myśli, ale wiem, że mnie nigdy nie pokocha w inny sposób niż się kocha przybraną siostrę, tego dnia, kiedy po raz pierwszy wyszedł z szałasu, ponieważ przez trzy dni nie opuszczał go i nie odpowiadał na nasze prośby i wezwania, więc tego wieczora, kiedy opuścił szałas i zszedł pomiędzy nas i powiedział: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, rycerzy i książąt dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, które jest w rękach pogańskich Turków, ponieważ ponad wszelkie potęgi na ziemi i na morzu ufna wiara oraz niewinność dzieci największych dzieł może dokonać, i potem, kiedy wśród śmiertelnego milczenia powiedział: zmiłujcie się nad ziemią świętą i samotnym grobem Jezusa, wtedy zrozumiałam, że mnie nigdy nie pokocha, ponieważ Bóg powołał go do wielkich rzeczy i on im oddał swoje serce, nigdy zatem nie wyznałaś mu swojej miłości?, kiedy jestem, ojcze, sama, potrafię prowadzić z nim długie, poufne i nawet zuchwałe rozmowy, potrafię przemawiać do niego najpiękniejszymi słowami, ale gdy jestem przy nim, opuszcza mnie odwaga i wszystkie myśli i uczucia, które pragnęłabym mu wyjawić, zamierają we mnie w trwożnym milczeniu, nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham, i nigdy mu tego nie powiem, ponieważ zrozumiałam, że Bóg go powołał do wielkich rzeczy, większych niż moja miłość, moja miłość należy tylko do mnie, to jest tylko moja miłość, a on, wybrany przez Boga dla wielkich celów, należy do wszystkich dzieci, które usłuchały jego wezwania i już za nim idą lub pójdą za nim jutro, Bóg słowami Jakuba i poprzez niego objawił nam wszystkim, co mamy robić, jeszcze tej samej nocy ruszyliśmy w drogę, aby uwolnić miasto Jerozolimę z rąk pogańskich Turków, wyruszyliśmy nocą wśród bicia dzwonów i płaczu naszych matek, w otwartych na roścież oborach ryczały krowy, ponieważ spędziwszy je z pastwiska zapomnieliśmy o wieczornym udoju i wtedy, gdy do nas, opuszczających rodzinne domy, zgromadzonych dokoła Jakuba i gotowych do dalekiej drogi, drogi pełnej tajemnic i nieznanych niebezpieczeństw, drogi, ojcze, u której niepojętego koń-

ca wyrastały jak we śnie ogromne mury i bramy Jerozolimy z grobem Jezusa najsamotniejszym ze wszystkich grobów na ziemi, ponieważ poddany został przemocy i niewoli, wtedy, ojcze, gdy biły nam bardzo mocno serca, ponieważ tylko przyśpieszonym i trochę trwożnym biciem serc mogliśmy mówić o dalekiej i nieznanej drodze, która otworzyła się przed nami tej nieoczekiwanej nocy, wtedy wśród ciemności, bicia dzwonów, płaczu naszych matek i ryku krów cierpiących z nadmiaru mleka Jakub rozkazał nam rozejść się do swoich domów, aby każdy z nas po raz ostatni wydoił krowy powierzone jego opiece, dopiero po tym ostatnim udoju ruszyliśmy w drogę i tej nocy po raz pierwszy zwróciłam się do dobroci i miłosierdzia Jezusa z modlitwą, aby mi wybaczył, że opuściłam rodzinny dom, matkę i ojca nie z miłości do niego, lecz związana i wypełniona miłością inną, szła wciąż z opuszczonymi oczami i wydało się jej, że bose i obrzęknięte stopy idącego obok starego człowieka stąpają z coraz większym wysiłkiem, dłużej niż dotychczas i jak gdyby poszukiwały koniecznej ulgi nieruchomiejąc przy zetknięciu z ziemią, powiedział głosem, który również wydał się jej bardzo zmęczonym: moje dziecko, moje biedne, zagubione dziecko, wierzysz, że wam, niedoświadczonym, a za jedyną broń posiadających swoją niewinną młodość, uda się osiągnąć to, czego w ostatnich latach nie zdołali osiągnąć najpotężniejsi tego świata, królowie, książęta i rycerze? wierzysz, że istotnie zdołacie wyzwolić pohańbiony grób Chrystusa z rąk pogan?, wierzę ojcze — powiedziała nie podnosząc głosu, ale z akcentem jasnej pewności — wierzę, że Jakub doprowadzi nas do dalekiej Jerozolimy i jednego dnia, nie wiem, kiedy ten dzień nastanie, może za miesiąc, a może za rok, ale na pewno nastanie taki dzień, gdy otworzą się przed nami bramy Jerozolimy i my wejdziemy tymi bramami, aby już na zawsze wyzwolić grób Jezusa od przemocy i niewoli pogańskiej, wierzę, ojcze, że taki dzień nastanie, choć nie wiem, czy to będzie za miesiąc, czy za rok, stary człowiek zatrzymał się na moment, pomyślał: spraw, miłosierny Boże, aby nigdy się nie spełnił mój okrutny sen, jest stary i zmęczony — pomyślała — nie starczyłoby mu sił, aby dojść razem z nami do Jerozolimy, tylko my dzięki Jakubowi wejdziemy jednego dnia w bramy Jerozolimy, teraz powinien mnie pobłogosławić, ponieważ nie powinien mnie pozostawić z moją miłością jak z grzechem śmiertelnym, nie moja miłość jest grzechem, lecz to, że jej tylko potrafię służyć, a nie tej miłości większej, której służy Jakub, jeżeli mnie pobłogosławi i rozgrzeszy, wówczas pozostanę z moją miłością, ale nie w grzechu śmiertelnym, poczuła się oczyszczona tą chwilą rozgrzeszenia, chwilą, która się jeszcze nie stała, ale miała się stać za chwilę, pomyślała przeniknięta nagle ogromnym wzruszeniem: kiedy nadejdzie ten daleki dzień i otworzą się przed nami bramy Jerozolimy, otworzą się lekko i bezgłośnie, ponieważ będzie nas tysiąc tysięcy, wszystkie dzwony będą bić i wówczas, gdy staniemy u grobu Jezusa, na zawsze uwolnionego od przemocy i niewoli, on podejdzie do mnie, weźmie w swoją rękę moją dłoń i powie: tobie, najmilsza Maud, zawdzięczam, że dzieci z Cloyes wysłuchały mnie i poszły za mną, ty pierwsza uwierzyłaś mi i przy mnie stanęłaś, ty byłaś przez cały czas ze mną i teraz, gdy się już spełniło to, co mi Bóg powierzył, mogę ci, Maud, powiedzieć: kocham cię, Maud, zawsze cię kochałem, najpierw kochałem cię jak siostrę, ale od dawna kocham cię tak, jak mężczyzna kocha kobietę, kocham cię, Maud, i tylko ciebie kocham, najmilsza moja Maud, pro-

myczku mój, ptaszku mój, oczy jej napełniły się łzami i już nie widziała ani bosych, obrzękniętych stóp spowiednika, ani cieni i poblasków płynących bezgłośnie dokoła, ani nawet własnych stóp i raczej wyczuła niż ujrzała ruch dużej i ciężkiej ręki, kreślącej nad jej głową znak krzyża, rozgrzeszam cię z twoich grzechów, moje dziecko — powiedział zmęczonym głosem — i nie daję ci żadnej pokuty, ponieważ wydaje mi się, według mego rozeznania w sprawach ludzkich, iż twoja miłość stała się dla ciebie dostateczną pokutą, niech Bóg wszechmogący ulituje się nad tobą i pozwoli, aby Chrystus, do którego grobu idziesz, zajął w twoim sercu pierwsze miejsce, w imię ojca i syna i ducha świętego amen, pochyliła się, wciąż z oczami pełnymi łez, aby ucałować rękę starego człowieka, była to duża i spracowana dłoń, pokryta zgrubiałą, szorstką i twardą skórą, całując tę zgrubiałą, szorstką i twardą rękę pomyślała: gdy odejdzie, pozostanę sama z moją miłością, i podczas kiedy on, już obcy i daleki, szedł dalej przed siebie z trudem dotykając bosymi stopami ziemi, ona stała samotna, już oderwana od tamtego człowieka i jeszcze nie ogarnięta cieniami, które poczynały się stawać żywymi ludźmi, pomyślała: weźmie mnie za rękę, i wówczas, już nie widząc cieni, lecz czując się otoczona żywymi ciałami, pomyślała: to się nigdy nie stanie, nigdy mnie nie pokocha, zobaczyła, że równym i spokojnym krokiem przechodzi obok Robert, zobaczyła jego silne ramiona i ciemne, krótkie włosy, cały był spokojem, pewnością i zaufaniem, nigdy go nie pokocham — pomyślała prawie z żalem i w tym momencie przypomniał się jej niedawny wieczór, kiedy nadaremnie prosiła Jakuba, aby przyszedł do Cloyes, ponieważ tej nocy miała być zabawa z okazji ślubu jej siostry Agnieszki, stali przed szałasem, z pastwiska dobiegały pokrzykiwania pasterzy spędzających krowy, kukułka zakukała w głębi puszczy, powiedziałam cicho: myślałam, że choć trochę mnie lubisz, uśmiechnął się i powiedział: lubię cię, z dołu dobiegł głos Roberta, zawołał: Maud!, Robert cię woła — powiedział Jakub, zawołałam: och, Jakubie, dlaczego jesteś inny od wszystkich?, patrzył na mnie, jakby nie rozumiał, co chciałam powiedzieć, zawsze zamyślony i daleki — powiedziałam — nie lubisz ludzi?, lubię — powiedział, ale ich unikasz, dlaczego?, teraz nie patrzył na mnie, patrzył gdzieś w bok, powiedział: nie wiem, nie nudzisz się zawsze sam? — spytałam, zaprzeczył lekkim ruchem głowy, i nie bywa ci smutno?, czasem — powiedział wciąż spoglądając w bok, Robert znów zawołał: Maud!, czeka na ciebie — powiedział, wtedy pomyślałam: nigdy mnie nie pokocha i przestraszona, że mogę się rozpłakać, odwróciłam się i szybko poczęłam biec, Robert czekał na skraju pastwiska, minęłam go biegnąc i wtedy się dopiero zatrzymałam, gdy mnie dogonił i chwycił za rękę, szliśmy w milczeniu nie patrząc na siebie, powiedział: Maud, chciałam rękę cofnąć, lecz mocniej ją przytrzymał, kocham cię, Maud — powiedział — i nigdy cię kochać nie przestanę, szedł spokojnym krokiem, silny i skupiony, cały był spokojem i to, co mówił, też było spokojem i pewnością, miał ciepłą, mocną rękę, przy nim mogłabym się czuć bezpiecznie, powiedziałam szeptem, aby swoje słowa uczynić mniej dotkliwymi: nie mogę cię kochać, Robercie, chwilę milczał, potem powiedział: wiem, ale ja cię kocham i będę czekać tak długo, aż i ty mnie pokochasz, wtedy zatrzymałam się z sopelkiem lodu w sercu, nie — zawołałam — nigdy go kochać nie przestanę, już ostatnie krowy zeszły z pastwiska, głosy pasterzy rozbrzmiewały coraz dalej, tu była cisza i pustka, byliśmy

sami, nie mógł nie poczuć, że moja ręka drży, chodź — powiedział — robi się chłodno, teraz szedł przed nią nie dalej niż o pięć, sześć kroków, widziała jego mocną sylwetkę tchnącą spokojem i zaufaniem, widziała jego nagie ramiona i ciemne, krótkie włosy, szedł swoim zwykłym, równym i spokojnym krokiem, nie czuł zmęczenia, ponieważ czujność, która go wypełniała, nie pozostawiała w nim miejsca na zmęczenie, widział przed sobą, gdy szedł teraz u boku starego spowiednika nikogo przed sobą nie mając, tylko ów leśny szlak, który był ich wspólną drogą, szlak porośnięty trawą i biegnący pomiędzy ogromnymi murami puszczy, dopiero teraz, gdy po raz pierwszy od kiedy opuścili Cloyes szedł samotnie na czele pochodu i nikt mu nie przesłaniał drogi, którą mieli przebyć, zdał sobie sprawę z mnogości dni i nocy, które w swoim obojętnym przemijaniu i natychmiast, ledwie to pomyślał, pojął, że i dnie i noce, które będą odmierzać ich nie kończącą się drogę, nie będą nieść ze sobą cierpliwej obojętności, natomiast w upałach, kiedy niebo będzie płonąć nad nimi, pozbawionymi skrawka cienia, w ciężkich upałach, w burzach i w ulewach wirujących gwałtownie ponad obnażonymi przestrzeniami, w uporczywych deszczach i we wszystkim innym, co mogą nieść ze sobą ziemia i niebo dni i nocy, będą ich owe dnie i noce, nie dające się ogarnąć w swojej mnogości, ścigać i dręczyć, niekiedy tylko obdarowując przychylną łaskawością, aby po krótkich godzinach ulgi i bezpieczeństwa znów wtrącić w otchłań żywiołów, pomyślał o Maud, o jej delikatnych stopach i dłoniach, nie są kruche — pomyślał — ale i nie są nazbyt silne i odporne na trudy, pomyślał o jej dziewczęcych ramionach, które wydawały się i zbyt delikatne, i zbyt słabe, aby zostać bezbronnie wydane na spiekoty, burze i deszcze, jeszcze raz pomyślał o małych, dziewczęcych stopach Maud, stąpających po kamieniach i piaskach, po ziemi bezpłodnej i twardej, spieczonej słonecznym żarem, po czym wszystkie te myśli nagle w sobie uciszając począł mówić: mój ojciec, Filip z Cloyes, jest młynarzem, nasz młyn jest stary, mocny i bardzo piękny, takiego młyna nie ma w całej okolicy, mój pradziadek był młynarzem, mój dziadek był młynarzem, ojciec jest młynarzem i ja także miałem nim być, mam już piętnaście lat i jestem jedynym synem mego ojca, ponieważ wszyscy moi starsi bracia nie żyją, zawsze myślałem, że do końca życia będę pracować przy moim młynie i kiedyś po latach zajmie moje miejsce mój syn, ale oto przyszedł dzień, kiedy musiałem opuścić mego ojca, chociaż jest stary i już potrzebuje mojej pomocy, nigdy nie chciałem być złym synem, a jednak stałem się nim, z miłości do dziewczyny, która ma na imię Maud i jest córką kowala Szymona z Cloyes, uczyniłem, ojcze, to, co uczyniłem, ale nie mogłem uczynić inaczej, ponieważ ponad wszystko na świecie kocham Maud, kocham ją, chociaż ona mnie nie kocha, ona jest krucha i delikatna, ma drobne, delikatne stopy, już teraz, choć zaledwie piąty tydzień jesteśmy w drodze, widzę w jej oczach zmęczenie, kto by ją chronił przed nazbyt ciężkimi trudami, kto by nad nią czuwał, gdyby mnie przy niej nie było? nie mogłem, ojcze, uczynić inaczej i nie chcąc tego musiałem memu ojcu sprawić ciężki ból moim odejściem, zrozumiałem wtedy, że cieniem każdej miłości jest cierpienie, nie można nie kochać, ale jeśli się kocha, miłość rozszczepia się na miłość i cierpienie, gdy widziałem mego ojca po raz ostatni w tę noc, kiedy opuszczaliśmy naszą rodzinną wieś, nie czynił mi żadnych wyrzutów, nie usiłował zatrzymać siłą, stał przygarbiony i z pochyloną

głową we drzwiach naszego młyna, ja stałem o krok przed nim, nic nie mówiliśmy, ale on już o wszystkim wiedział, biły wszystkie dzwony w naszym kościele, staliśmy długą chwilę przy sobie, tak blisko, iż zdawało mi się, że słyszę bicie jego starego i zmęczonego serca, aż nagle podniósł głowę, położył mi rękę na ramieniu i powiedział nie głośno, ale i nie zupełnie cicho: Robercie, tylko to jedno słowo powiedział, ale ja wiedziałem, że w tym jednym słowie chciał powiedzieć wszystko, zdjąłem więc jego dłoń z ramienia, pocałowałem ją i powiedziałem: muszę iść, ojcze, i odszedłem w noc pełną ciemności i bicia dzwonów, które biją u nas w ten sposób tylko na pogrzeby albo wesela, a teraz biły nie wiem, czy na pogrzeb czy na wesele, biły z powodu czegoś, co się jeszcze w naszej wsi nigdy nie stało i chyba się nie stało nigdzie na świecie, a czego ja, choć się temu z miłości do Maud poddałem, nie mogłem zrozumieć, myślę, ojcze, że wtedy w tę noc, kiedy opuszczaliśmy naszą rodzinną wieś i nasze domy, i naszych ojców i matki, nikt z nas tego nie rozumiał, może oprócz jednej Maud, nie rozumieliśmy, co się stało Jakubowi, gdy przez trzy dni nie opuszczał swego szałasu i z nikim z nas nie chciał rozmawiać, nikogo do szałasu nie chciał wpuścić, zawsze był trochę inny od nas, był nie tylko piękniejszy od wszystkich chłopców, ale także inny, mój ojciec mówił, że dlatego, że był sierotą i chociaż się między nami od samego początku wychowywał, nikt nie wiedział, kim byli jego rodzice, stary dzwonniczy, który jeszcze żyje, znalazł go jednego dnia przed piętnastoma latami podrzuconego w koszyku na stopniach kościoła, ochrzczono go wtedy i dano mu imię Jakub, bo był akurat dzień św. Jakuba, kowal Szymon, ojciec Maud, wziął go wtedy do siebie na wychowanie, odkąd sięgam pamięcią, zawsze pamiętam, że Jakub był inny od nas wszystkich, nazywano go Jakubem Znalezionym, nigdy nie lubił wspólnych zabaw, wolał być sam, a jeśli się z nami bawił, to w taki sposób, jakby był pomiędzy nami i był jednocześnie gdzie indziej, mimo to wszyscy kochaliśmy go, bo był bardzo piękny, i kiedy się uśmiechał tym swoim trochę nieśmiałym, a trochę kuszącym uśmiechem albo kiedy mówił, urzekając nas łagodnym i melodyjnym brzmieniem swego głosu, nie mogliśmy go nie kochać, od roku był przywódcą wszystkich pasterzy w Cloyes, ale ostatnio coraz mniej był z nami, nigdy nie wracał z nami na noc do wsi, wybudował sobie szałas na skraju puszczy, wysoko ponad naszymi pięknymi pastwiskami, w tym szałasie spędzał noce, ale musiał się chyba udawać na spoczynek bardzo późno, ponieważ bardzo często wielu z nas widziało, że jeszcze po północy żarzyło się przed jego szałasem samotne ognisko, nawet niedawno, kiedy w naszej wsi była wielka zabawa, bo było wesele Agnieszki, starszej siostry Maud, Jakub nie przyszedł do nas i dlatego nic nie rozumieliśmy, kiedy po tych trzech dniach, kiedy nikogo nie chciał widzieć i z nikim nie chciał rozmawiać, wyszedł nagle pod wieczór z tego swego dobrowolnego więzienia, zobaczyliśmy go takim, jakim widzieliśmy go zawsze, gdy pod zachód słońca nadchodziła pora spędzania krów z pastwiska, stał przed szałasem wyprostowany, z ręką na biodrze, blask słońca schodził z niego powoli, a on czekał, aż ostatnia smuga zagaśnie u jego stóp, lecz gdy zawsze w tym momencie podnosił do ust dłonie, aby wyrzucić przed siebie gardłowy okrzyk, znak dla nas, że mamy rozpocząć zganianie krów z pastwiska, tego wieczoru nie podniósł dłoni do ust, nie usłyszeliśmy jego głosu, powoli począł schodzić łagodnym zboczem ku nam stojącym w dole, dobrze

pamiętam, że był bardzo blady, wiedziałem, że coś się stanie, ale nie wiedziałem, co się stać może, nikt z nas nie myślał, że już nadeszła pora spędzania krów z pastwiska, staliśmy w milczeniu i to trwało bardzo długo, zanim do nas doszedł, ponieważ im był bliżej, tym wolniej szedł i wydawał się coraz bardziej blady, jakby wszystka krew odpłynęła mu z policzków, wreszcie wśród zupełnej ciszy znalazł się pomiędzy nami, już wiedzieliśmy, że chce coś powiedzieć, stłoczyliśmy się dokoła niego, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszał taką ciszę, jaka była wtedy, i w tej ciszy i wcale na nas nie patrząc począł mówić, wiesz już na pewno, ojcze, co wtedy powiedział, jego słowa wciąż krążą w nas i poza nami, znamy je na pamięć, każdy z nas mógłby je powtórzyć zbudzony gwałtownie z najgłębszego snu, ale chociaż je znamy na pamięć, nie wiem, czy je rozumiemy, ponieważ one nas przerastają o to wszystko, czego zrozumieć nie możemy, ale wtedy, gdy je wśród nas i dla nas czternastu pasterzy i pasterek z Cloyes wypowiadał, rozumieliśmy je jeszcze mniej niż teraz, kiedy te słowa przekształciły się w drogę ciągnącą się przed nami i w daleki cel, którego nie potrafimy sobie wyobrazić, ale który stał się naszym celem i gdzieś w nieznanym kraju i pod nieznanym niebem zarysowuje się naszym oczom bramami i murami nieznanego miasta, wtedy, gdy pobladły i nie patrząc na nas, stłoczonych dokoła, mówił o bezdusznej ślepocie królów, książąt i rycerzy i nas, bo przecież tylko myśmy go słuchali, wzywał, abyśmy okazali łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, które jest w rękach pogańskich Turków, i jeszcze powiedziawszy, że Bóg wszechmogący nas wybrał, ponieważ ponad wszelkie potęgi na ziemi i na morzu ufna wiara oraz niewinność dzieci największych dzieł może dokonać, gdy umilkł to wszystko niepojęte i niezrozumiałe powiedziawszy, a potem bardzo cicho i głosem, w którym było już tylko zmęczenie i błagalna prośba, powiedział: zmiłujcie się nad ziemią świętą i samotnym grobem Jezusa, kiedy to wszystko już się stało i znów stała się cisza taka sama, jaka była, gdy stanął pomiędzy nami, myślałem, ojcze, i mógłbym przysiąc, że to samo co ja myśleli wszyscy, myślałem: biedny, nieszczęsny Jakub, oszalał w swojej samotności, zabiła go pycha, gdyby to było w mojej mocy, dałbym sobie rękę uciąć, aby móc odwrócić to, co się stało, wiedziałem, że po raz drugi Jakub nie może powtórzyć swego wezwania, ponieważ było to wezwanie, które można złożyć tylko raz jeden i tylko zwycięstwo odnosząc lub ostateczną klęskę, wiedziałem, że poniósł klęskę i za chwilę zaczniemy się rozchodzić w milczeniu, jego pozostawiając jego samotności i obłędowi, już chciałem podejść do Jakuba, aby powiedzieć: odprowadzę cię do szałasu, powinieneś się położyć, jesteś chory, gdy nagle poczułem na ramieniu dotknięcie lekkiej dłoni, to była Maud, która stała przez cały czas za mną, teraz tym ruchem dłoni zmusiła mnie, że się ku niej odwróciłem, ale nie patrząc na mnie, jakby mnie wcale nie widziała, przeszła obok, podeszła do Jakuba, stała przy nim chwilę bez słowa i nieruchoma, chciałem zawołać: Maud, nie rób tego, lecz nim zdążyłem to uczynić, ona odwróciła się ku nam, wzięła w swoją dłoń rękę Jakuba i równie pobladła, jak on, ale piękniejsza niż kiedykolwiek, z twarzą, która wydawała się w tej chwili twarzą świętej, i z oczami wypełnionymi światłem, którego i blask, i głębia wydawały się nieziemskimi, zaczęła mówić, nie pamiętam ani jednego słowa z tego, co mówiła, myślę, że ona sama i Jakub, i wszyscy inni także tego nie pamiętają, nikt

tych słów nigdy nie powtarzał, a jednak to one, zapomniane przez wszystkich i nawet przez nią samą, sprawiły, że idziemy teraz tą drogą, one, jej zapomniane obecnie słowa, były jak kamień rzucony do wody, sam ginący w głębi, lecz pozostawiający po sobie ruch fal, to Maud dokonała cudu, którego nie potrafił zdziałać Jakub, ona dlatego, że przy nim stanęła i zaczęła mówić, wydźwignęła go z klęski i jego szaleństwo przemieniła w posłannictwo, słabość w siłę, teraz nikt już tego nie pamięta, ale ja pamiętam, ponieważ przeżyłem w ciągu tych kilku chwil więcej niż przez całe dotychczasowe życie i jeśli można powiedzieć, że się widzi nieznaną przyszłość, to ja ją wówczas zobaczyłem i chociaż były we mnie tylko ciemność i rozpacz, żadnej wiary i nadziei, tylko ciemność i rozpacz, ponieważ w tej godzinie i moja miłość do Maud była jedynie ciemnością i rozpaczą, podszedłem do nich, gdy Maud skończyła mówić, stanąłem przy nich, przy Jakubie i Maud, i było nas już troje, a za chwilę, która była krótsza od najkrótszej chwili, byli przy nas wszyscy, opowiadali później niektórzy, iż widzieli w tym momencie ogromną błyskawicę, rozcinającą swym potężnym blaskiem pogodne niebo, inni poczuli, iż ziemia zadrżała pod ich stopami, już mrok zapadał, gdy śpiewając wracaliśmy do Cloyes, Jakub szedł pierwszy, szedłem obok Maud i wciąż były we mnie tylko ciemność i rozpacz, nie wyznałem ci jeszcze, ojcze, że Maud, którą kocham, kocha Jakuba, ale on jej miłości nie odwzajemnia, potem, gdy wciąż śpiewając wchodziliśmy pomiędzy pierwsze chaty, noc się nagle dokoła stała i w naszym kościele poczęły bić dzwony, umilkł, a ponieważ stary człowiek w brunatnym habicie też się nie odzywał, więc szli w milczeniu, stary człowiek ciężko wdeptując w ziemię swoje duże, obrzęknięte stopy, Robert u jego boku, spokojny i skupiony, oszczędny w ruchach, jak gdyby świadomie ograniczał swoje siły, przygotowując w ten sposób i ciało, i umysł do sprawnego wypełnienia wszystkich przyszłych trudów i obowiązków, pomyślał: za godzinę będzie ciemno, noc będzie chłodna i ziemię pokryje rosa, jeżeli przed nastaniem ciemności nie dojdziemy do żadnej wsi, będziemy nocować w puszczy, noc będzie chłodna i Maud będzie drżała z zimna, gdyby mnie kochała, ciepłem własnego ciała chroniłbym ją przed chłodem, mogłaby w moich ramionach bezpiecznie spać, miłością nawet głód można uciszyć, mój synu — powiedział stary człowiek i umilkł, jakby zagubił potrzebne mu słowa, znów szli w milczeniu, pomyślał niespodziewanie dla samego siebie: nie umiałbym teraz mówić tak, jak mówiłem wtedy, miałbym teraz do ofiarowania i mniej, i więcej, to była ta piękna, przedwiosenna i księżycowa noc, kiedy cała wieś się bawiła, ponieważ odbywało się wesele siostry Maud, Agnieszki, duża polana nie opodal naszego młyna pełna była tańczących, kilku wędrownych muzykantów przygrywało do tańca na lutniach i bębenkach, ale Maud nie chciała tańczyć, wciąż się jeszcze łudziła, że Jakub przyjdzie, staliśmy z dala od tańczących, w cieniu młodziutkich tarnin, mówiłem: gdybym był bogaty, zebrałbym wielu znakomitych rycerzy i zdobyłbym dla ciebie potężny zamek, miałabyś najpiękniejsze suknie i klejnoty, a truwerzy układaliby pieśni o sławie twojej urody i dobroci, dojrzałem nagle na jej twarzy ożywienie, serce mocniej mi zabiło, ale zaraz zrozumiałem swoją omyłkę, Maud nie patrzyła na mnie, patrzyła na chłopca, który przeciskał się pomiędzy tańczącymi i z drobnej postawy i z jasnych włosów wydawał się podobny do Jakuba, ale gdy odwrócił w naszą stronę głowę, natychmiast przestał być

Jakubem, Maud przygasła i po chwili cicho powiedziała: nie jestem dobra, chciałem zaprzeczyć, gdy Blanka, przebiegając koło nas swym wyzywającym, tanecznym krokiem, musiała nas dojrzeć, chociaż staliśmy w cieniu tarnin, nagle się zatrzymała, o, to wy — zawołała swym niskim, gardłowym głosem — czemu nie tańczycie?, podeszła do nas zarumieniona, świadoma swojej urody, chodź, zatańczymy — powiedziała do mnie, a gdy milczałem, roześmiała się: nie chcesz? jakiż z ciebie niedołęga, Robercie, wszyscy wiedzą, że ona się bez pamięci kocha w Jakubie, a ty za nią łazisz jak cień, gdybyś był mężczyzną, jestem — nim — powiedziałem — i dlatego nie uderzę cię, znów się roześmiała i powiedziała do Maud: wiesz, głupia gąsko, co teraz zrobię? mam ochotę na twego ślicznego Jakuba, a jeżeli mam na coś ochotę, to zawsze to osiągam, baw się wesoło, Maud, mój synu — powiedział stary człowiek — jestem oto o tyle lat od ciebie starszy, iż mógłbyś być moim synem, jeśli nie wnukiem, myślałem słuchając cię: daj mi, Boże, dość siły i mądrości i dość wiary, nadziei i miłości, abym potrafił pomóc temu chłopcu, ojcze mój — powiedział cicho Robert — chcę wierzyć, że dojdziemy do dalekiej Jerozolimy, ponieważ chcę być silny, mój synu — powiedział stary człowiek — twoja wiara, i umilkł, bowiem pomyślał: z nieszczęść, z cierpień i z zagubienia rodzi się pragnienie wiary, z tych samych zatrutych źródeł kształtuje się wiara, nie dopuść, Boże, aby miał się kiedykolwiek spełnić mój okrutny sen i aby martwa i słońcem spalona pustynia miała się stać kresem drogi tych dzieci, tych jeszcze nie zbudzonych do życia i dlatego niewinnych, i tych, którzy już zaznali pierwszych udręk, wiara — powiedział — wielkich rzeczy może dokonać, góry może przenieść, wiem — powiedział Robert — dlatego chcę wierzyć, że wejdziemy któregoś dnia w bramy Jerozolimy, wtedy tamten począł odmawiać formułę rozgrzeszenia, po czym zwróciwszy się ku idącemu obok całym swym dużym i ciężkim ciałem podniósł spracowaną dłoń do błogosławieństwa i kiedy kreślił nad głową chłopca znak krzyża, spojrzenia ich spotkały się na moment, musiał dużo cierpieć — pomyślał Robert, wielu jeszcze dozna cierpień — pomyślał stary człowiek, po czym Robert zatrzymał się, a tamten szedł dalej samotny i w plecach pochylony, teraz ty — usłyszał Robert za sobą głos Aleksego Melissena, minęła go Blanka, szła ku spowiednikowi krokiem nieśpiesznym, za to natarczywie wyzywającym, tu, na tym leśnym trakcie, obca i szczególnie natarczywie wyzywająca, miała na sobie suknię z ciężkiego, jasnozielonego jedwabiu, gęsto przetykaną złotymi nićmi, na niej purpurowy bliaut bez rękawów, szeroki u dołu, smugi cieni i słonecznych poblasków migotały na purpurze jej wierzchniej szaty i na włosach swobodnie opadających na purpurę szaty, poruszała się w tym bogactwie materii i barw swobodnie, jakby się urodziła w przepychu, lecz również i wyzywająco, ponieważ miała to we krwi, myślała zbliżając się ku samotnie i już tylko o krok przed nią idącemu człowiekowi: chciałabym, żeby już była noc, nienawidzę go, ale nie wtedy, kiedy mi to robi, ponieważ robi to lepiej niż wszyscy inni, z którymi się kładłam, wchodzi we mnie gwałtownie, ale potem przebywa we mnie długo, akurat tak długo, jak to jest moją i jego potrzebą, nic nie mówi, wiem, że gdy we mnie wchodzi, myśli nie o mnie, lecz o kim innym, i nie mnie, lecz kogo innego chciałby trzymać w ramionach, ale ja, gdy we mnie wchodzi i także później przez cały czas również myślę nie o nim, lecz o kim innym, wiemy to oboje i dlatego możemy to robić ze sobą tak długo, a potem może-

my się nienawidzić i znów, gdy zapadnie noc, zdzierać z siebie ubrania i przebywać ze sobą bez wzajemnej miłości, za to niewolniczo spętani wspólną miłością, słucham cię, moje dziecko — powiedział stary człowiek, przyjrzała się uważnie jego dużym, obrzękniętym stopom, potem odsunąwszy się cokolwiek na bok przemknęła spojrzeniem po grubym i szorstkim suknie brunatnego habitu, szedł nie patrząc na nią, z dłońmi wsuniętymi w rękawy habitu, i z głową trochę ku ziemi pochyloną, o czym mam mówić temu staremu dziadydze? — pomyślała — jest stary, brudny i śmierdzi, jak stary cap, ujrzała siebie biegnącą pastwiskiem, które było jasne od poświaty księżyca, o tym mu opowiem — uśmiechnęła się przekornie — ale milczała i widziała siebie biegnącą pastwiskiem, zagrodził jej sobą drogę, gdy dobiegała do brzozowego zagajnika, zjawił się przed nią tak niespodziewanie, iż gdyby nie biały i rosły andaluzyjczyk, którego w chwilę potem dostrzegła uwiązanego nie opodal do drzewa, mogłaby przypuścić, że śni lub dotknięta została złudzeniami czarów, nigdy go przedtem nie widziała, lecz gdy zrozumiała, że nie śni i nie znajduje się we władaniu czarów, natychmiast odzyskała pewność siebie, był ciemnowłosy, o smagłej i pochmurnej twarzy, szeroki w ramionach i silnej budowy, miał na sobie krótką, srebrzystą tunikę, obcisłe nogawice z zielonego płótna, skórzane ciżmy, krótki mieczyk u pasa, przepędził cię — powiedział, w pierwszym odruchu zranionej miłości własnej zawołała: nie! potem już spokojnie spytała: skąd wiesz?, uśmiechnął się pogardliwie i powtórzył swoim niskim, lekko schrypniętym głosem: przepędził cię, nie mogła nie spytać: znasz dziewczynę, z którą śpi?, nie odpowiedział, tylko przyglądał się jej natarczywie, jest piękniejsza ode mnie? — spytała, a gdy wciąż milczał, powiedziała patrząc mu wprost w ciemne, pochmurne oczy: potrafisz tak zrobić, żebym przestała o nim myśleć?, wtedy wziął ją za rękę, ścisnął jej dłoń tak mocno, iż krótko krzyknęła, pociągnął ją głębiej w cień, zobaczyła rozłożony na trawie purpurowy płaszcz, rozbierz się — powiedział, wiedziała, że to uczyni, lecz spytała: kim jesteś?, rozbierz się — powtórzył, leżałam naga na purpurowym płaszczu, nigdy jeszcze nie leżałam na materii równie przyjemnej w dotyku, słyszałam, że się rozbiera, ale robił to nie śpiesząc się, słyszałam szelest rzucanych na ziemię ubrań, miałam oczy otwarte i kiedy wszedł bosymi nogami na płaszcz i stanął nade mną, zobaczyłam go w całej jego nagości, ale wówczas jeszcze nie wiedziałam, że i swoje ciało, i swoją męskość pragnie ofiarować nie mnie, lecz komu innemu, powiedział stojąc nagi nade mną: przepędził cię, jeszcze nigdy w życiu nie pragnęłam tak Jakuba, jak w tej chwili, powiedziałam: zrób tak, żebym nie myślała, i wtedy wszedł we mnie, a gdy już było po wszystkim i leżał obok z głową wspartą o rękę, spytał: myślałaś o nim?, odpowiedziałam: tak, myślałam o nim, ja też myślałem o nim — powiedział — czy wiesz, kto jest w jego szałasie?, nie spytałam i on po chwili powiedział: mój pan i opiekun, hrabia Ludwik, pan całej tej ziemi, hrabia na Chartres i Blois, po czym bez słowa, zamknąwszy oczy, wziął mnie w ramiona i znów we mnie wszedł, moje dziecko — powiedział stary człowiek — oprócz milczenia nie masz mi nic do wyznania?, wyprostowała się i krokom swoim świadomie nadała taneczny rytm: nie prosiłam cię, stary człowieku, żebyś słuchał moich wyznań, chcesz więc odejść bez spowiedzi i rozgrzeszenia?, roześmiała się pogodnie i powiedziała: bez twego pozwolenia to uczynię, i gdy się lekko odwróciła, ujrzała przez moment tak wolno się po-

suwający, iż prawie nieruchomy tłum, tysiąc jasnych i ciemnych głów jedna przy drugiej, biel dziewczęcych sukienek i chłopięcych zgrzebnych, wiejskich tunik, w górze czarne krzyże, chorągwie i kolorowe feretrony, była cisza i tylko gdzieś bardzo daleko, u niewidocznego końca pochodu, zabrzmiał krótkim i wysokim tonem przez nieuwagę najwidoczniej potrącony dzwonek, wydało się jej naraz, że wszystko, co w tej chwili widzi, jest tylko snem i wystarczy dłoń podnieść lub głębiej odetchnąć, aby przebudzić się w innym świecie, lecz nim zdążyła to uczynić, ujrzała przed sobą Aleksego, stał od niej nie dalej niż o krok z twarzą, której niepokojącą pochmurność przywykła była oglądać w jeszcze większym zbliżeniu i zawsze pochyloną nad sobą, gdy równocześnie, patrząc szeroko otwartymi oczami w tę twarz równie znaną, jak obcą, przywykła przyjmować jego męskość gwałtowną i uporczywą, stała bez ruchu, ścisnął jej dłoń i powiedział: dlaczego się nie spowiadasz?, puść — powiedziała, coraz mocniej ściskał jej rękę, puść — powiedziała — nie chcę się spowiadać, ale musiała się cofnąć, ponieważ ją do tego zmusił, i znów przez krótką chwilę ujrzała przed sobą i ponad ciemną głową Aleksego nieruchome czarne krzyże, chorągwie i feretrony, nad nimi pył żółtego kurzu migocący wśród cieni puszczy i przedzierających się przez nią poblasków zachodzącego słońca, wróć do niego — powiedział tym samym głosem, ściszonym i trochę chrapliwym, którym mówił: rozbierz się, puść — powtórzyła, wtedy powiedział: zatłukę cię jak sukę, jeżeli się nie wyspowiadasz i nie dostaniesz rozgrzeszenia, kłam, ale bądź taka, jak wszyscy, więc znów się znalazła u boku starca, który śmierdział jak stary cap i dużymi, obrzękniętymi stopami powoli i z cierpliwym namysłem wchodził w ziemię wilgotniejącą od rosy przedwieczornej, wie o mnie wszystko — pomyślała — śmierdzi jak stary cap i wie o mnie wszystko, wybacz, ojcze — czuła, że jej głos jest bardziej niż kiedykolwiek czysty — wybacz mi moją gwałtowność i pychę, mój głos — myślała — jest śpiewem, mam piersi tak piękne, jakich nie posiada żadna inna dziewczyna, potrafię kochać i przyjmować w siebie mężczyznę, jak nie potrafi tego robić żadna inna dziewczyna — wybacz, ojcze, że zbłądziłam znalazłszy się przy tobie, ale lęk mnie ogarnął, lęk, że nie tyle własne grzechy muszę wypowiedzieć, ile o grzechach innych ludzi należy mi mówić, nie pytaj mnie, ojcze, o imiona tych ludzi, wiem, że sama muszę ci je wyznać, mój narzeczony i przyszły małżonek, gdy Bóg wszechmogący pozwoli nam obojgu stanąć kiedyś w przyszłości u grobu pana Jezusa, mój przyszły pan i małżonek, hrabia na Chartres i Blois, hrabia Aleksy Melissen Vendôme, wspomógł mnie przed chwilą i paroma słowami utwierdził mnie w przekonaniu. że nie powinnam skrywać tego, co mi jest wiadomym, a co przede wszystkim przed tobą, ojcze, powinno być ujawnione, a jeśli uznasz to za potrzebne, również przed całym światem, muszę ci zatem wyznać, ojcze, iż jest prawdą, przysięgam, że to jest prawda, przysięgam na zbawienie duszy, iż ten, który siebie uważa za wypełniającego posłannictwo boże i w oczach idących za nim niewinnych dzieci również za takiego uchodzi, przysięgam, że człowiek, który nazywa się Jakub z Cloyes, moje dziecko, mów o sobie — powiedział stary człowiek, ojcze mój, ja jedna wiem, że Jakub już dawno przestał być niewinnym chłopcem, nie jest ani czysty, ani niewinny, nie jest taki, za jakiego chce uchodzić i za jakiego uchodzi, jego noce są rozpustne, pełne występnych uciech zmysłów, moja córko — znów powiedział stary czło-

wiek, mówię prawdę, przysięgam, ojcze, że mówię prawdę, niedawno, kiedy w naszej wsi była zabawa, ponieważ było wesele Agnieszki, siostry Maud, pobiegłam już w nocy do szałasu Jakuba, żeby go namówić, aby przyszedł na zabawę, zawołałam na niego stojąc przed szałasem, myślałam, że śpi, więc zawołałam jeszcze raz, wtedy wyszedł z szałasu obnażony, był na tyle bezwstydny, żeby mi pokazać swoją niczym nie osłoniętą nagość, milcz — powiedział półgłosem stary człowiek, a w jego szałasie, bardzo dobrze to widziałam, na tym nędznym jego legowisku leżała Maud udająca niewiniątko, milcz! — tym razem jego głos, jakkolwiek wciąż ściszony, zabrzmiał tak twardo, iż umilkła, pomyślała: stary, śmierdzący cap wie o mnie wszystko, czemu każesz mi milczeć? — powiedziała — nie chcesz wysłuchać mojej spowiedzi?, nie chcę słuchać twoich kłamstw — odpowiedział, skąd wiesz, że to są kłamstwa? wiem, co o mnie myślisz, myślisz, że jestem kłamliwa, próżna i rozpustna, ale teraz powiem prawdę: gdyby mnie Jakub pokochał, nie byłabym ani kłamliwa, ani próżna, ani rozpustna, chwilę milczał, potem powiedział: nie ma człowieka, który by od pierwszych swych kroków aż po ostatnie potrafił i mógł być tylko i wyłącznie złym, bywa tak, że gdy człowieka wszystkie nadzieje i złudzenia opuszczą, uśmierca w sobie człowiek człowieka, w jednej sekundzie można się dobrowolnie życia pozbawić, dalej przecież żyjąc, lecz by uśmiercić w sobie potrzebę miłości i potrzebę nadziei, na to trzeba wielu ciężkich lat, tonący nawet powietrza i garstki wody się chwyta, więc gdy człowiek nie uśmiercił siebie jeszcze całkowicie i wśród ciemnych obszarów jego zła kołacze się bodaj najniklejszy promyczek tęsknoty za dobrem i potrzebą dobra, pochyla się człowiek nad tym wątłym płomyczkiem, aby łudzić się w chwilach samotności, że to, co jest teraz słabe i kruche, może się przekształcić w ogromny blask, może się mylę, moja nieszczęsna córko, lecz obawiam się, że gdyby cię kiedykolwiek Jakub pokochał, nie ty przestałabyś być kłamliwa, próżna i rozpustna, lecz również on stałby się kłamliwy, próżny i rozpustny, uśmiechnęła się: uważasz, że jestem tak silna, myślę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa, mylisz się, ojcze, wcale się nie czuję nieszczęśliwa, spójrz na mnie, czy tak wygląda istota nieszczęśliwa?, powiedział nie spojrzawszy na nią: człowiek, który zabłądził w obcej i nieznanej okolicy i wie, że zabłądził, poczyna szukać drogi właściwej, ten natomiast, kto znalazł się w sytuacji podobnej i nie zdaje sobie sprawy, iż zgubił słuszny kierunek, nawet tej szansy przed sobą nie ma, słuszny kierunek! — zawołała — powiedz mi, co jest słusznym kierunkiem, gdzie jest słuszny kierunek?, nie wiem — pomyślał, powiedział: Bóg, wtedy pomyślała: niechby już nadeszła noc, podejdzie do mnie, kiedy będę udawała śpiącą i gdy już wszyscy dokoła będą zmorzeni ciężkim snem, powie półgłosem: chodź, wtedy wstanę i pójdę za nim, będziemy szli ostrożnie, żeby nikogo nie zbudzić, aż wreszcie znajdziemy się w miejscu, gdzie będzie pusto i gdzie będziemy tylko sami, rozłoży na ziemi swój purpurowy płaszcz, będziemy się rozbierać w milczeniu, ponieważ ani mnie, ani jemu nie są potrzebne słowa, wiem, o czym on myśli, i on wie, o czym ja myślę, wejdzie we mnie brutalnie i gwałtownie, będziemy nawzajem czerpać ze swoich ciał rozkosz, myśląc wśród rozkoszy złączeni cieleśnie: ja, że nie on mi ją zadaje, on, że nie mnie ją przeznacza, przysięgam, ojcze — powiedziała — że byłabym zupełnie inna, gdyby mnie Jakub zechciał pokochać, nie byłabym wtedy ani kłamliwa, ani próżna, ani rozpustna, wyrzekłabym się

i kłamstw, i próżności, i wszelkiej rozpusty, wszystkiego, co jest we mnie złe, wyrzekłabym się, gdyby mnie Jakub pokochał, ponieważ kocham Jakuba, na to, że go kocham, też mogę przysiąc, kocham go, ponieważ jest czysty i niewinny, jest lepszy ode mnie, jest jedyny na świecie, ale kocham go jeszcze i dlatego, że jest nieosiągalny, wszystko, co o nim mówiłam, było kłamstwem, to nieprawda, że wówczas, tamtej nocy, Maud była w jego szałasie, nikogo w jego szałasie nie było i nie wyszedł przed szałas obnażony, chciałam, żeby mnie wziął, ale on tego nie chciał, ponieważ jest czysty i niewinny, jest nieosiągalny, chwilami sama już nie wiem, czego bardziej pragnę i co podsyca moją miłość: pożądanie jego ciała i jego pieszczot czy spętanie jego nieosiągalnością, niewola, w którą własna moja natura mnie zepchnęła, ale także i coś, co się wymyka mojemu rozumieniu i moją naturę przerasta, jestem w niewoli, cała przeniknięta moją niewolą, nagle dotarło do niej jakieś poruszenie w zdążającym poza nią pochodzie, usłyszała coś, co się jej wydało westchnieniem zdziwienia lub ulgi wydartym równocześnie z tysiąca piersi, pomyślała: wypędzą mnie, jeżeli nie dostanę rozgrzeszenia, i wówczas, gdy w popłochu podniosła oczy, ujrzała przed sobą: niebo otaczające swym ogromem cały horyzont, ciemne i ciężkie chmury tam wzbierały, niżej, nagle wyswobodzona z nieruchomych murów puszczy, roztaczała się rozległa równina, płaska i nasycona groźnym poblaskiem ciężkich chmur, zobaczyła krótką, pośpieszną błyskawicę rozdzierającą nieruchomy gąszcz chmur, w dole zielone stawy, samotne drzewa, ogarnęło ją powietrze lżejsze i obszerniejsze od powietrza, którym oddychała dotychczas, droga spadała w dół, gdzie wśród płaskiej równiny otwierały się nieruchomą zielonością zielone stawy i gdzie z szarej i nieruchomej ziemi wyrastały samotne drzewa, znów niecierpliwa błyskawica wdarła się pomiędzy zwały chmur, czarne wrony poderwały się z ostatnich drzew na skraju puszczy i czarną chmarą, nisko nad ziemią, leciały ku zielonym stawom, daleki grzmot przetoczył się gdzieś bardzo daleko, znów poczęła mówić i tym razem jeszcze pośpieszniej: skłamałam mówiąc, że Aleksy Melissen będzie moim panem i małżonkiem, nie jest ani moim narzeczonym, ani kochankiem, jest dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałam, a ja jestem dla niego jak siostra, której też nigdy nie miał, ponieważ był dzieckiem, gdy w mieście, które nazywa się Bizancjum, zginęli na wielkiej wojnie jego rodzice, a jego, samotnego sierotę, zabrał ze sobą do Francji hrabia Ludwik i przez wiele lat aż do niedawnej śmierci obsypywał go swymi łaskami i sam dzieci nie mając uczynił go swym jedynym spadkobiercą, spotkał mnie jednego dnia Aleksy Melissen, gdy nad strumykiem, który płynie koło naszej wsi, zbierałam młodziutkie kaczeńce, aby z nich uwić wianek na ołtarz świętego Jakuba znajdujący się w naszym kościele, jechał na białym, bardzo pięknym koniu, potem mi powiedział, że w dalekiej Andaluzji takie konie się rodzą, był bogato ubrany, ale był zamyślony i smutny, spytał mnie o drogę do Chartres, a potem mnie spytał, czy chcę z nim razem pojechać i przy nim zostać, powiedziałam wtedy, że nie mogę tego uczynić, ponieważ moje serce jest zajęte kim innym, na to on patrzył na mnie długą chwilę i potem rzekł: moje serce też nie jest wolne, jakże więc mogę z tobą jechać i przy tobie zostać?, odpowiedział na to: będziemy ze sobą jak brat z siostrą i siostra z bratem, będę cię jak siostrę szanował i chronił przed wszelkim złem, a ty, jak siostra bratu, pozwolisz mi moją samotność uczynić

mniej dotkliwą, jestem bogaty, wszystkie te ziemie aż po horyzont i jeszcze dalej należą do mnie, zamieszkasz w potężnym zamku, będziesz miała swoje komnaty i swoje służebne, dam ci tyle strojnych sukien i drogocennych klejnotów, ile tylko zapragniesz, a jeśli obawiasz się, że nasze życie może być martwe, jak bezwartościowy kamyk, któremu przydano bogatą oprawę, nie lękaj się, oboje będziemy mieli dużo do działania, będziemy, mając po temu środki czynić dokoła siebie wiele miłosierdzia, będziemy tak czynić, aby odjąć ludziom dręczących ich utrapień, nieszczęściom, nędzy i cierpieniom ciała zapobiegając, klęski natury własną ofiarnością łagodząc, a chcąc i pamięci wielkiego rycerza, jakim był zmarły hrabia Ludwik, pomnik dla przyszłych wieków postawić i panu Bogu miłość naszą i wdzięczność okazać, złożymy uroczyste śluby, iż w sławnym Chartres, naszym mieście, dokończymy budowy katedry, pod której mury, już teraz dumnie górujące nad miastem, kamień węgielny położył przed ośmioma laty hrabia Ludwik, pomyśl — powiedział na koniec, gdy słuchałam go w milczeniu — pomyśl, moja siostro, o tym wszystkim, nie chcę, żebyś zaraz w tej chwili podjęła decyzję, wrócę tu za trzy dni i wtedy powiesz mi: tak, lub: nie, po czym odjechał, a ja — poczuła łzy w oczach, a w całym ciele omdlałość, która szczególną słodyczą przeniknęła całe jej ciało, ciężkie chmury na horyzoncie wznosiły się coraz wyżej i swym gęstniejącym mrokiem ogarniały coraz rozleglejsze obszary nieba, znów zapaliła się błyskawica prosta, jak lot płonącej strzały, i znów grzmot głucho zawarczał w głębi chmur — a ja, gdy odjechał, przez trzy dni i trzy noce biłam się z myślami, modliłam się i płakałam, byłam szczęśliwa i nieszczęśliwa, zdecydowana i niezdecydowana, aż wreszcie nadszedł ów trzeci dzień, więc wprzód dłonie rodziców ucałowawszy, z samego rana pobiegłam nad strumyk, w to samo miejsce, gdzie mnie spotkał po raz pierwszy Aleksy Melissen, i ledwie się tam znalazłam, ujrzałam jadącą traktem wspaniałą, złocistą kolaskę, zaprzężoną w sześć białych koni, a obok niej Aleksego Melissena na czarnym koniu, z ramion spływał mu purpurowy płaszcz, gdy podjechał do mnie, zobaczyłam, że twarz ma, jak i za pierwszym naszym spotkaniem, smutną i zamyśloną, ale także promieniejącą jakimś niezwykłym blaskiem, to jest mój brat — pomyślałam i od tej chwili byłam dla niego siostrą, a on był dla mnie najczulszym, opiekuńczym bratem, a i teraz, gdy postanowił porzucić na długie miesiące wszelki dostatek i wygodę, aby przyłączyć się do krucjaty zdążającej do dalekiej Jerozolimy dla uwolnienia grobu Jezusa z niewoli pogańskich Turków, i ja mu w tej pełnej trudów drodze towarzyszę, ponieważ i on, i ja, oboje w niewoli nieosiągalnej miłości, przysięgliśmy sobie, iż zawsze i w każdej chwili, w doli i w niedoli, w dostatku i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie, w chwale i poniżeniu, będziemy się wzajemnie myślą i uczynkiem wspierać i wspomagać, on będąc dla mnie bratem, a ja dla niego siostrą, wiosenna burza szybko się przybliżała, ciemne i ciężkie chmury docierały już do najwyższej wysokości nieba, szli prosto w burzę i w błyskawice coraz częściej się zapalające i w grzmoty, które przetaczały się już nie u kresu dalekiego horyzontu, lecz wybuchając u szczytu nadciągających ciemności spadały nieskończenie długo w ciemność, jeszcze o echo przedłużając swój groźny warkot, aby, nim ono ścichnie — znów i prawie równocześnie z oślepiającym błyskiem targnąć mrocznym sklepieniem nieba, nagle, jakby z trwałego bezruchu zrodzony, zerwał się wiatr,

żółty tuman kurzu wzbił się nad płaską równiną, skłamałam — krzyknęła Blanka — wszystko skłamałam, wówczas, nie rzekłszy słowa, stary człowiek podniósł dłoń i uczynił nad jej głową znak krzyża, Aleksy Melissen odetchnął w tym momencie z ulgą, dopiero teraz uświadomił sobie, iż przez cały czas, gdy Blanka szła u boku spowiednika, trwał w napiętym aż do bólu pogotowiu, pomyślał: nie wiem, co by się stało, gdyby nie otrzymała rozgrzeszenia, lecz coś by się stać musiało, zdjął z ramion swój purpurowy płaszcz — do białości rozżarzony błysk rozświetlił półmrok i wśród kłębiącej się żółtej kurzawy wbił się nie nazbyt daleko w niewidoczną ziemię, ogłuszający huk grzmotu targnął ciemnościami i natychmiast ścichł, gdzieś daleko, na tyłach pochodu, zapłakało dziecko — z płaszczem podobnym do płomienia, ponieważ targał nim wiatr, przysunął się do Jakuba, który szedł o krok przed nim, narzucił mu płaszcz na nagie ramiona, a kiedy tamten odwrócił głowę i uczynił ruch, jakby chciał płaszcz z ramion zerwać, powiedział: nie chciałeś dotychczas przyjąć tego płaszcza, chociaż tobie, jako przywódcy, bardziej go nosić wypada niż mnie, ale teraz, na czas mojej spowiedzi, proszę cię, uczyń to, i odszedł, nim Jakub zdążył słowo powiedzieć, nagle ścichł wiatr i przez chwilę krótszą od oddechu stała się dokoła cisza, cisza, wśród której na chwilę krótszą od oddechu wszystko, co istnieje, wydało się porażone ostatecznym zgonem, jak gdyby słońce stanęło, niebo i gwiazdy, a ich śmiertelny bezwład również i wszelkiemu życiu na ziemi odjął ruch i dźwięk, po czym lunął rzęsisty deszcz, znów poczęły płonąć błyskawice i dudnienia piorunów, przygłuszone szumem ulewy, przetaczały się ciężko wśród szumu ulewy, szedł wyprostowany, obojętny na ulewę, znów czujny i wewnętrznie napięty, nie spojrzawszy na nią, minął Blankę, która szła potykając się, jakby oślepła, bezradna i zagubiona w strumieniach ulewy, nim kilkoma niespiesznymi krokami zrównał się ze starym spowiednikiem, ziemia pod potokami wody rozmiękła i już gwałtowną obfitością wilgoci nasycona przestała się ulegle potopowi poddawać, ogromne kałuże, bite deszczem, poczęły się na jej powierzchni tworzyć, stary człowiek szedł nie wolniej i nie prędzej niż dotychczas, szedł swoim zwykłym, ciężkim krokiem, jego duże, obrzęknięte stopy grzęzły w błocie i w kałużach, woda grubymi strugami spływała po jego habicie, pierwszy raz w życiu będę myśleć na głos — pomyślał Aleksy, podniósł dłoń do twarzy, aby przetrzeć oczy zalewane wodą, nasilenie burzy zdawało się słabnąć, bardzo zapragnął obejrzeć się za siebie, wiedział, że ujrzałby wówczas Jakuba w chłopięcy sposób stąpającego po błocie i wśród kałuży, ale Jakuba purpurowym płaszczem chronionego przed deszczem, ujrzałby również w górze czarną puszczę wydaną bezbronnie na oszalały żywioł, nieruchomą pod błyskawicami i grzmotami, nie obejrzał się jednak, niebo nad dalekim horyzontem, skąd nadciągnęła burza, już się poczynało przejaśniać i naraz, gdy tu jeszcze półmrok panował i deszcz szumiał, tam na krańcach równiny poblask zachodzącego słońca wyłonił spośród ciemności smugę ziemi i nieba, obie z doskonałą czystością ukazujące swe kształty i barwy, spokojny seledyn nieba nasycony złotawym światłem, płaską i zieloną ruń wiosennych łąk i wśród niej samotne wierzby, które mimo swej samotności zdawały się teraz związywać ziemię z niebem, teraz po raz pierwszy w życiu będę głośno myśleć — pomyślał i odczuł to dobrowolne poddanie — nie jest dobrowolne — pomyślał — odczuł swoje konieczne poddanie ja-

ko wyzwanie rzucone całemu światu, myślał: niech poprzez uszy tego starego człowieka, który obchodzi mnie nie więcej niż ta oto woda, w której chłodzie zanurzam moje stopy, nie więcej niż woda, która spływa po mojej twarzy, niech poprzez uszy tego starego człowieka słyszą mnie uszy wszystkich żyjących, wszystkich nie wyłączając Jakuba, który idzie o kilka kroków za mną chroniony przed deszczem moim purpurowym płaszczem, płaszczem, na którym, gdy staje się noc, biorę co noc tę dziwkę i biorąc ją i sobie, i jej zadając długą rozkosz, myślę nie o niej, lecz o Jakubie, wiedząc również, że i ona, poddana ulegle rozkoszy, myli nie o mnie, ale o Jakubie, Boże — pomyślał — wielki i wszechmogący Boże, którego nigdy nie było i nie ma, wielki Boże, który istniejesz tylko poprzez nasze nieszczęścia, Boże nieobecny i nieistniejący, tylko przez nas stworzony, nie wiem, o co mógłbym cię prosić, gdybyś był, pamiętam, iż jest napisane, że miłość może zdziałać cuda, góry może przenosić i jeszcze coś robić, czego nie pamiętam, mnie moja miłość, nigdy mnie nie kochał, nawet nie musiał powiedzieć: rozbierz się, ponieważ byliśmy w łaźni i byłem nagi, rozłożył na ławie mój purpurowy płaszcz, który mi ofiarował, kiedy skończyłem czternaście lat, pamiętam, że kiedyś, w czasie tak odległym, iż wydaje mi się, że nie mogłem w nim istnieć, ale przecież istniałem, była wiosenna, pełna światła księżyca noc, ale obudziłem się nie w ciszy nocy i nie w blasku księżyca, lecz w migocących dokoła odblaskach płomieni i we wrzawie, szczęku oręży, skowycie, płaczu kobiet i jękach umierających, kobieta i mężczyzna stali przy mnie, kiedy się obudziłem, za mną, za oknem, płonęła ogromna łuna, pamiętam tylko tę łunę i mężczyznę i kobietę stojących przy moim ogromnym łożu, nie pamiętam, jak wyglądali, byli moim ojcem i moją matką, ale nie pamiętam ich twarzy, nie mogę usłyszeć ich głosów, pamiętam zbliżającą się w migocącej łunie wrzawę, szczęk oręży, płacz kobiet i jęki umierających, pamiętam i jego, gdy nagle pękły ogromne drzwi, pamiętam, że były tak wysokie, iż wydawały mi się nie drzwiami, nie pamiętam, czym mi się wydawały, ale gdy nagle, jakby wpół przełamane, pękły, wówczas stało się dokoła mnie mroczno, wtedy go ujrzałem po raz pierwszy, był młody, promienny, pokochałem go wtedy, pamiętam krótkie błyski jego miecza, potem na moje dłonie, pamiętam, zaciśnięte przy szyi, trysnął ciepły strumień, to była krew moich rodziców, nie wiem, czy to była krew mojej matki, czy mojego ojca, miałem krew na dłoniach i na ustach, chciałem krzyczeć, ale nie krzyczałem, a potem, to pamiętam, jakby to było wczoraj, on się nade mną pochylił, zamknąłem oczy, poczułem jego dłoń na czole zroszonym potem, chciałem płakać i nie mogłem płakać, ponieważ czułem na wargach mdły smak krwi, o której nie wiedziałem, że jest krwią mojej matki albo mojego ojca, pamiętam, że wziął mnie w ramiona, pamiętam jego nachyloną nad sobą twarz, ale nie pamiętam, co było potem, teraz po raz pierwszy w życiu będę myśleć głośno, zaczął mówić, deszcz się uciszał, a przestrzenie ziemi i nieba ogarniane czystą jasnością wciąż się poszerzały: do czternastego roku życia wiedziałem o swojej przeszłości tylko tyle, że jestem Grekiem z Bizancjum, nazywam się Aleksy Melissen, i kiedy w ową noc sprzed ośmiu lat, gdy rycerze chrześcijańscy pod dowództwem dwóch sławnych mężów, hrabiego Baldwina z Flandrii i hrabiego Bonifacego z Monferrat, ulegając namowom przebiegłych Wenecjan, zamiast podążać ku Jerozolimie, aby z niewoli pogańskiej uwolnić grób Chrystusa, jak przysięgli,

uderzyli zdradziecko nocą na mury Bizancjum i potem wtargnąwszy w nie pomordowali okrutnie tysiące takich samych, jak oni, chrześcijan, powodując się nie wiarą, tylko żądzą zdobycia bogactw i władzy, mnie w tę noc pożarów i krwi, gdy zamordowani zostali moi rodzice, uratował jeden z rycerzy, Ludwik z Vendôme, hrabia na Chartres i Blois, byłem ośmioletnim dzieckiem, gdy z narażeniem własnego życia wyniósł mnie z płonącego pałacu, mówił mi potem, gdy już byłem przy nim i on był moim opiekunem i ojcem i tego dokonał, że ja, obcej krwi i obcego nazwiska, uznany zostałem przez pana króla, Filipa Augusta, za jedynego spadkobiercę starożytnych hrabiów panujących na Chartres i Blois i całej tej ziemi Vendôme, która teraz się dokoła nas rozpościera, mówił mi, już dorastającemu chłopcu, że wówczas, w tę okrutną noc rzezi i pożarów, on, który dwudziestoletnim młodzieńcem ślubował, iż wszystkie dane mu dary i przywileje złoży w ofierze służącej uwolnieniu z pogańskiej niewoli grobu Chrystusa, obudził się tej nocy, jak ze snu, i zrozumiał, że została dokonana ciężka zbrodnia, i mnie, któremu zamordowano ojca i matkę, unosząc we własnych ramionach z płonącego domu ratował właśnie dlatego, by chociaż w drobnej cząstce złożyć zadośćuczynienie dokonanym zbrodniom i nieprawościom, niegodnym sławy chrześcijańskich rycerzy, to wiedziałem do lat czternastu, wychowując się w Chartres, które stało się moim miastem rodzinnym, i jeśli pamiętałem cokolwiek z lat mojego dzieciństwa, to jedynie to, co mi mój najlepszy opiekun i ojciec o tych zagubionych w niepamięci czasach opowiadał, przestał padać deszcz, od mokrej ziemi bił odurzający zapach ziemi i wiosennej zieleni, daleko, ale już jakby w innym świecie, przetaczały się ciężkie grzmoty, poblaski zachodzącego słońca znów opiekuńczo poczynały ogarniać płaską dokoła równinę, wyłoniły się z ciemności spokojne, zielone jeziora, ziemia pod stopami była grząska i pełna już nieruchomych kałuż, zobaczył tęczę i mówił: tyle wiedziałem o swojej przeszłości do lat czternastu, a wtedy jednego dnia, było wczesne przedwiośnie, i pamiętam, ziemia była jeszcze twarda i kałuże po nocnym deszczu ścięte cieniutką warstwą mrozu, powietrze było chłodne, ale słońce świeciło, i pamiętam jego radosne ciepło na ramionach, był wczesny ranek, wyszliśmy w kilku poza mury miasta, gdzie były łąki nad rzeką Eure, krucha powłoka mrozu, gdy nadeptywałem ją bosą stopą, kruszyła się bardzo lekko i wtedy czułem, że wchodzę w zimną wodę, ale ponieważ słońce czułem na ramionach i na szyi, było to bardzo przyjemne, była na tych łąkach sucha i już chyba martwa wierzba, do niej strzelaliśmy z łuków, właściwie nie do niej, ale do malutkiego pączka tarniny, który był biały i delikatny i wydawał się tylko białą plamką, gdy został uwięziony w twardej korze umarłej wierzby, do tego celu strzelaliśmy z łuków, pamiętam, że w pewnym momencie moja strzała, drżąc niecierpliwie, wbiła się w sam środek tej białej plamy, cały pień martwego drzewa był już pełen dygocących strzał, tkwiły w nim, jakby nie chciały zostać, ale i nie mogły się oderwać, wówczas, kiedy udało mi się trafić strzałą w sam środek małego pączka tarniny, stała się cisza, potem ci, którzy byli ze mną, poczęli jeden po drugim podchodzić do drzewa, aby z bliska zobaczyć moją strzałę tkwiącą nieruchomo w samym sercu białego pączka tarniny, zostałem sam, serce biło mi z radości i z dumy, pamiętam, o krok przede mną szkliła się duża kałuża ścięta mrozem, postawiłem na tej gładkiej i nieruchomej powierzchni stopę i już chciałem

zmiażdżyć uległy opór odchodzącej zimy, gdy naraz poczułem, że nie jestem sam, odwróciłem się i wtedy ujrzałem tego człowieka, od razu wiedziałem, że nie jest stąd, był czarny, smagły i drobny, w prostackiej opończy z kapturem, ale pod tą opończą miał zniszczoną wprawdzie, lecz z drogiego materiału uszytą suknię, stał ode mnie nie dalej niż o dziesięć kroków, pomyślałem: widział moją strzałę nieomylnie osiągającą trudny cel, ale także pomyślałem, że ten człowiek dlatego tu jest, ponieważ nie z kim innym, tylko ze mną chce rozmawiać, czekałem chwilę z łukiem napiętym nową strzałą, aż on do mnie podejdzie, ale ponieważ tego nie uczynił, więc, wciąż trzymając łuk z napiętą na cięciwie strzałą, zbliżyłem się ku niemu o kilka kroków i wówczas on, stojąc w miejscu bez ruchu, powiedział kilka słów w języku dla mnie niezrozumiałym, ale chociaż słowa, które wypowiedział, były dla mnie niezrozumiałe, odczułem je, jakby od początku mego istnienia spoczywały we mnie, musiałem w tym momencie zblednąć i on to musiał dostrzec, powiedziałem: nie rozumiem, wtedy on już w moim języku, choć z cudzoziemską wymową, spytał mnie: ty jesteś Aleksy Melissen?, powiedziałem: ja jestem Aleksy Melissen, a ty kim jesteś?, szukałem cię sześć lat — powiedział — nieźle strzelasz z łuku, dlaczego mnie szukałeś? — spytałem, nieźle strzelasz z łuku — powtórzył — ale gdy mierzysz do celu i wypuszczasz strzałę, powinieneś mieć mięśnie bardziej rozluźnione, wysiłek powinien być w tobie, głęboko ukryty, ale twego wysiłku nikt z zewnątrz nie powinien widzieć, dlaczego mnie szukałeś? — powtórzyłem, przyjdź wieczorem po nieszporach do kościoła św. Józefa, powiem ci wtedy, dlaczego cię szukałem, potrząsnąłem głową: jeżeli masz mi coś do powiedzenia, możesz uczynić to teraz, obejrzałem się na moich rówieśników, stali przy martwej wierzbie, patrzyli na nas, ale żaden z nich nie uczynił ruchu, aby podejść do nas, chodź — powiedziałem do nieznajomego — jeżeli to, co mi masz do powiedzenia, jest tajemnicą, łąki nie mają uszu, po czym zacząłem iść przed siebie, wciąż trzymając w dłoniach łuk z napiętą na cięciwie strzałą, tamten po chwili wahania poszedł za mną, słońce grzało coraz mocniej, zamróz głośno trzeszcząc pękał pod naszymi stopami, twój ojciec — powiedział nieznajomy — miał na imię tak, jak i ty, Aleksy, a twoja matka nazywała się Teodozja, wiem — powiedziałem — czy po to mnie szukałeś przez sześć lat, aby mi to powiedzieć?, nie — odparł — szukałem cię przez sześć lat po to, żeby ci powiedzieć, że jestem wysłannikiem twoich rodziców, wtedy się zatrzymałem i spojrzałem prosto w jego twarz: znasz imiona, a nie wiesz, że nie żyją od sześciu lat?, wiem — odpowiedział — ponieważ na własne oczy widziałem ich ciała, ale wiem również, że jeśli tamtej nieszczęsnej nocy przed sześcioma laty zginęło w okrutnej rzezi wiele tysięcy Greków i ponad pół miasta zniszczyły pożary, to przecież ręka losu dotknęła i tych również, którzy dokonali tych zbrodni, nie dłużej niż dwa lata cieszył się tronem bazileusów samozwańczy cesarz, Baldwin, konał w długich męczarniach na dnie głębokiego wąwozu, gdzie go jak psa lub padlinę ciśnięto na rozkaz króla bułgarskiego, Jana, wprzód mu uciąwszy ręce i nogi, w bitwie z Wołochami poległ drugi przywódca zachodnich grabieżców i gwałcicieli, Bonifacego, samozwańczego króla Tessalonii, siostrzeńca senechala Szampanii, Gotfryda de Villehadrouin, samozwańczego władcy Koryntu, kazał ukrzyżować w Epirze Michał Kommnem, również i wielu innych zbrodniarzy doścignął sprawiedliwy los, na-

tomiast do tej pory kary uniknął i po świecie chodzi jeden z nich i to z tobą, jeśli rzeczywiście jesteś Aleksym Melissenem, szczególnymi węzłami złączony, ponieważ to on w tę noc, gdy ty byłeś małym dzieckiem, własnymi dłońmi zamordował twoich rodziców, dopiero, gdy umilkł, zdałem sobie sprawę, że już od paru chwil nie idę przed siebie, lecz stoję w miejscu, wiedziałem, że to, co powiedział, jest prawdą, nie umiem powiedzieć, jak to się stało, ale naraz wszystko, co w mglistych i nie połączonych ze sobą kształtach pamiętałem z dzieciństwa, teraz stało się we mnie aż do bólu przejrzyste, podniosłem łuk ze strzałą na napiętej cięciwie, wypuściłem strzałę i patrzyłem, jak z cichym gwizdem mknie ku niebu, wzniosła się w przejrzystym powietrzu bardzo wysoko, ale nie straciłem jej z oczu i widziałem, wciąż ogarnięty obrazami tamtej nocy, krew rodziców czując na wargach i jego twarz widząc nachylającą się nade mną, słysząc jęki mordowanych i skowyt płaczących kobiet, wszystko to widząc i słysząc, widziałem lot mojej strzały, teraz już szybko opadającej, wbiła się w ziemię bardzo daleko i widziałem, że lekko drży, wbita w ziemię, jak gdyby nie wyczerpała jeszcze siły swego pędu, i dopiero, gdy stała się nieruchoma, odwróciłem się ku nieznajomemu i powiedziałem patrząc mu w oczy: kłamiesz, gdyby zaprzeczył lub począł dowodami potwierdzać prawdziwość swoich słów, być może, zwątpiłbym, że było tak, jak on powiedział, ale milczał, nie rzekł ani jednego słowa, lecz oczu, ciemnych i głęboko osadzonych, nie oderwał od mego wzroku, to ja pierwszy oczy spuściłem i powiedziałem: kimkolwiek jesteś i jakiekolwiek plany masz wobec mnie, nie chcę cię więcej widzieć i jeżeli jeszcze raz staniesz na mojej drodze, zabiję cię albo każę cię zabić, wtedy on powiedział, i wydało mi się, że w jego głosie jest smutek: tak więc kochasz człowieka, który ma dłonie splamione krwią twoich rodziców?, powtórzyłem, wciąż nie podnosząc oczu: nie chcę cię więcej widzieć, a jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, zabiję cię albo każę zabić, dobrze — powiedział po chwili milczenia — odejdę i więcej mnie nie zobaczysz, ale nim odejdę, chcę ci jedno powiedzieć: kiedy byłem twoim piastunem, a ty dzieckiem powierzonym mojej opiece, stało się raz tak, że pod nieobecność twoich rodziców ciężko zachorowałeś, byłeś nieprzytomny i majaczyłeś, wszyscy lekarze zwątpili, aby można cię było uratować, ja przez wszystkie dnie i noce czuwałem przy tobie i gdy trzeciej nocy, wciąż nieprzytomny, począłeś konać, byłeś sztywny i mimo gorączki stopy i dłonie miałeś jak lód zimne, wtedy ja cię wziąłem w ramiona i powiedziałem: musisz żyć, musisz usłyszeć, że ja do ciebie mówię: musisz żyć, musisz mnie usłyszeć, że mówię do ciebie: musisz żyć, nie pamiętam, może te słowa powtórzyłem dziesięć razy, a może sto, pamiętam natomiast, że ty w pewnym momencie otworzyłeś oczy i spojrzałeś na mnie, trzymającego cię w ramionach, przytomnie, przeklinam, Aleksy Melissenie, chwilę, kiedy do ciebie umierającego zawołałem: musisz żyć, to powiedział, każde jego słowo dokładnie pamiętam do dzisiaj, po czym odszedł, ale nie spojrzałem na niego, stałem bez ruchu, chyba o niczym nie myśląc, wreszcie odwróciłem się i zacząłem iść wolno w przeciwnym kierunku, moi towarzysze wołali za mną, nie odpowiedziałem im, chciałem być sam, dopiero o zmierzchu wróciłem tego dnia do zamku, a potem, patrzył chwilę na tęczę, która już teraz ogromnym łukiem wspinała się po niebie, po czym mówił dalej: potem usiłowałem nie myśleć o tym, czego się dowiedziałem, była wiosna, czułem, że jego spoj-

rzenie częściej niż przedtem kieruje się w moją stronę, tej wiosny otrzymałem od niego w podarunku purpurowy płaszcz, dając mi go powiedział: za dwa lata otrzymasz złote ostrogi i złoty rycerski pas, jednego dnia, położywszy dłoń na moim ramieniu, powiedział: jesteś wciąż zamyślony, chciałbym znać twoje myśli, ja sam ich nie znam — odpowiedziałem i powiedziałem prawdę, ponieważ istotnie swoich myśli nie znałem, chodziłem jak we śnie, w ciężkim, dręczącym śnie, robiłem wszystko, co zwykłem robić przedtem, ale obcy wszystkim i wszystkiemu, pomyślał: tych dni i tych nocy, gdy chodziłem jak w ciężkim i dręczącym śnie, było bardzo dużo, lecz potrafię o nich powiedzieć nie więcej niż to, że były, było ich wiele i chodziłem wśród nich jak w ciężkim i dręczącym śnie, jednego dnia tej samej wiosny zabrał mnie do łaźni, dotychczas chodziłem do łaźni z moimi rówieśnikami, lubiłem chodzić do łaźni, lubiłem gorąco, jakie w niej było, lubiłem kłęby pary ogarniające ciało gorącą wilgocią, lubiłem swobodną nagość, a ponieważ byłem silny, więc w zapasach, jakie urządzaliśmy, ja zawsze moich towarzyszy pokonywałem, lubiłem te zapasy, nagość rozgrzanych ciał i moją siłę, a potem odpoczynek na niskich łożach, ale tego dnia poszedłem nie z moimi towarzyszami, tylko z nim, byliśmy sami, ponieważ odprawił pachołków, którzy posługiwali nam przy kąpieli, czułem się z początku trochę skrępowany, ale nie nagością, tylko ciszą, jaka była dokoła, przyzwyczaiłem się bowiem, że w łaźni zawsze było gwarno, brakowało mi tego gwaru i brakowało mi moich towarzyszy, chyba o niczym nie myślałem, czułem trochę zmęczenia po całym dniu spędzonym na koniu, pojechałem bowiem samotnie z samego rana w głąb puszczy, ale gorąca woda natychmiast zmyła ze mnie znużenie, potem położyłem się na niskim łożu i wciąż chyba o niczym nie myślałem, nawet wtedy o niczym nie myślałem, gdy on zbliżył się do łoża, położył obok i bez słowa objąwszy mnie ramieniem przyciągnął do siebie, poczułem jego nagość przy swojej, a jego twarz wąską i suchą, jeszcze młodą, choć pooraną ciemnymi bruzdami, twarz o ostrym nosie i oczach głęboko osadzonych, a tak jasnych, że wydawały się nagimi, ujrzałem tę twarz w takim zbliżeniu, jak wówczas, gdy przed sześcioma laty zobaczyłem ją po raz pierwszy, w pewnej chwili, wciąż mnie obejmując ramionami, zamknął oczy, ja miałem oczy otwarte, powiedział cicho: jesteś już mężczyzną, tak — odpowiedziałem i nie czyniąc najmniejszego ruchu, aby oddalić się od jego nagości, spytałem: to prawda, że zabiłeś moich rodziców?, nie czułem, żeby zadrżał, a przecież leżałem tak blisko przy nim, że gdyby drgnął lub nawet gdyby mu serce szybciej przez moment zabiło, musiałbym to wyczuć, powiedział, wciąż mając oczy zamknięte: tak, a po chwili spytał tym samym ściszonym głosem: jest ci dobrze?, tak — odpowiedziałem, ponieważ rzeczywiście było mi dobrze i w tej chwili nie myślałem o niczym innym, tylko o tym, że jest mi dobrze, nie wiem — powiedział — kiedy i od kogo dowiedziałeś się, że zabiłem twoich rodziców, nie chcę zresztą tego wiedzieć i nie musisz mi o tym mówić, wystarcza mi, że wiedząc o tym jesteś przy mnie i leżysz w moich ramionach, sam bym ci zresztą wszystko powiedział, może już nawet w tym roku, ponieważ jesteś już mężczyzną, to prawda, uczyniłem tę straszną rzecz, ponieważ pełen wiary i nadziei sądziłem, że jeśli nosimy płaszcze krzyżowców i złożyliśmy ślubowania, iż poświęcimy wszystko, aby wyzwolić grób Chrystusa z pogańskiej niewoli, wówczas i wszystko, co uczynimy, jest słuszne i konieczne, ponieważ

służy temu jednemu i najwyższemu celowi, to był błąd mojej ślepej wiary, zbrodnia mojej ślepej wiary — gdy to mówił, myślałem, że mi jest w jego ramionach dobrze, a równocześnie ujrzałem wnętrze kościoła świętego Piotra w Chartres podobne kamiennej przepaści wzlatującej ku niebu, w dole ogarniętej łuną świateł, mroczniejącej w górze, miał na sobie tylko czarną i długą do kostek tunikę ściśniętą w biodrach złotym pasem, składał przed głównym ołtarzem przysięgę, przysięgał, że resztę życia poświęci wyzwoleniu grobu świętego, tuż obok ja stałem w bogatym stroju pazia, słowa przysięgi, wzmacniane echem, samotnie rozbrzmiewały pod sklepieniem kościoła, biskup Wilhelm stał na najwyższym stopniu ołtarza, stał nad Ewangelią podtrzymywaną przez dwóch młodziutkich diakonów, przysięgając dotykał mieczem kart Ewangelii, dzień był jesienny, na witrażach, wysoko w chłodnym mroku, czuwali święci i aniołowie, dokoła w blaskach zbroi tłoczyli się baronowie, rycerze i szlachta, widziałem to wszystko, ale przede wszystkim myślałem, że mi jest w jego ramionach dobrze, mówił: nie umiem już teraz powiedzieć, kiedy zrozumiałem, że popełniam zbrodnie i nie tylko nie przybliżam się do upragnionego celu, lecz oddalam się od niego i czynię go prawie nieosiągalnym, jakbym zdążając ku szczytowi potężnej góry zlatywał w przepaść, może po raz pierwszy przeniknęła mnie owa świadomość wówczas, gdy sam zbryzgany krwią ciebie ujrzałem na ogromnym łożu, również splamionego krwią, którą przelałem, o kilka godzin za późno, o tę noc za późno zrozumiałem, że tylko przed tymi, którzy posiadają czyste myśli i czystość towarzyszy ich uczynkom, mogą się otworzyć bramy Jerozolimy, ale teraz po latach wielu wyrzeczeń i umartwień, kiedy czyniłem więcej niż pragnąłem, aby zmazać zło przeze mnie w zaślepieniu wiary popełnione, teraz, trzymając cię w ramionach, znów, ale już dobrowolnie zamykam przed sobą bramy dalekiej Jerozolimy, ponieważ ponad wszystko, co we mnie istnieje, silniejsza jest moja ciemna miłość do ciebie, który miałeś być moim synem i spadkobiercą, a którego od dawna pożądam jak kochanka, możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz — powiedziałem, gdy umilkł, on zaś mnie spytał: będzie ci to miłe?, możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz — powtórzyłem — cokolwiek zrobisz, będzie mi to miłe, i wtedy to się stało, ale gdy się już stało, nie byłem szczęśliwy, byłem tylko nasycony nie znaną mi dotychczas rozkoszą i powtórzenia jej spragniony, ale nie czułem się szczęśliwy, ponieważ już wtedy zrozumiałem, że nie kocha mnie, tylko pożąda mego ciała, wiem, że i on o tym wiedział, choć starał się oszukać i siebie, i mnie i mówił mi, że mnie kocha, ale gdy to mówił, mówił nieprawdę, ponieważ tylko mego ciała pożądał, pragnął miłości, lecz nie potrafił mnie kochać, tylko głodna żądza była w nim prawdziwa, wiem, że nieraz, trzymając mnie w ramionach, mówił, że mnie kocha, a myślał: wszystko jest daremne, nie umiem go kochać i nie umiem bez niego żyć, a ja myślałem, gdy nasyciwszy się mną zostawiał mnie nagle samego, myślałem wówczas: jestem jego własnością, jego rzeczą, dlatego woli pogardzać mną niż sobą, nienawidzę go, ale siebie także nienawidzę, ponieważ ulegle godzę się na wszystko, czego chce, sprawia mi to przyjemność, a jeśli ją mam, nie umiem jej nie lubić, za to siebie nienawidzę, wiedziałem, że prócz mnie szukał innych ciał i miał je, ale potem znów do mnie wracał, a ja, choć wiedziałem, że przyjdzie do mnie jeszcze ciepły od ciepła innego ciała, czekałem na niego, a później, później stało się jednego dnia tak, że gdy

opuścił mnie, sądząc, że śpię, pierwszy raz począłem go szukać, leżałem na moim purpurowym płaszczu na wznak, z głową wspartą o ramię, i gdy obudził się jeszcze za dnia i pochylił nade mną, udałem, że śpię, oddychałem spokojnie, tak jak oddycha się w spokojnym śnie, powiedział głośno: Aleksy, nie poruszyłem się, była cisza, w głębi puszczy pogwizdywała wilga, wówczas wstał ostrożnie, żeby mnie nie zbudzić, wstał ostrożnie, jak człowiek, który chce uciec, nałożył na siebie wierzchnią szatę, z ziemi podniósł płaszcz i miecz, a potem jeszcze raz ogarnąwszy mnie spojrzeniem człowieka, który chce uciec, zszedł ku strumieniowi, gdzie spętane pasły się spokojnie nasze wierzchowce, otworzyłem wtedy oczy i widziałem, jak zbliżywszy się do swego czarnego ogiera uwalnia go z pęt i przytrzymując za uzdę prowadzi w stronę ścieżki wdzierającej się w gęste podszycie lasu, zostałem sam, pomyślałem: niech ucieka, wiem, że wróci, tylko żądza jest w nim prawdziwa, a potem, gdy już zmierzch począł powoli zapadać i wciąż nagi, ale nie czując chłodu, leżałem na moim purpurowym płaszczu, tym samym płaszczu, który teraz na czas spowiedzi zdjąłem z ramion i narzuciłem go na ramiona Jakuba, wtedy więc, kiedy zmierzch powoli zapadał i byłem sam, począłem myśleć nie o sobie, lecz o tym, jakie jego mogą być myśli, znałem nie tylko jego ciało i nie tylko rozkosz, jaką mi dawał, znałem również jego myśli, mogłem sobie wyobrazić, że jadąc samotny wśród puszczy ogarnianej pierwszym zmierzchem myśli: wszystko prócz krzywdy i wstydu jest daremne, nasycenie zmysłów nie zaspokaja pożądania, z pragnienia osiągniętego rodzi się sto nowych jątrzących, czyny zrodzone z najczystszych pragnień dogorywają w hańbie, może w ogóle nie ma czystych pragnień? potrzeba gwałtu i okrucieństwa targa naturą człowieka, człowiek przed nimi ucieka, ucieka od samotności, boi się jej i wstydzi, potem w stadzie, silny i szalony, zadaje i szerzy gwałt, jest ślepy, jest głuchy, ale jest silny, ponieważ jest szalony, aż przychodzi chwila przebudzenia i wówczas człowiek znów zostaje sam, tylko o całą zbrodniczość opętania bardziej niż przedtem samotny, i w tym osamotnieniu ostatecznym, w więzieniu ciała i myśli, poczyna szukać ratunku, jednak daremnie go szuka, daremnie czepia się cieni ocalenia, tylko w gwałcie potrafi się zatracić, w gwałcie już odartym ze złudzeń, nagim i ciemnym jak nienawiść, to mógł myśleć, jadąc samotny wśród puszczy ogarnianej pierwszymi cieniami zmierzchu, a jeśli się zdarzyło, iż spojrzał w pewnej chwili na swoje dłonie, wówczas musiał myśleć: te dłonie były dłońmi mordercy, czymże jest ślepa wiara i w ogóle wiara wobec dłoni, które są dłońmi mordercy, teraz potrafiąc tylko rozkosz wydzierać z uległych ciał, tylko rozkosz potrafiąc brać i dawać, bowiem, kiedy wszystko zawodzi, zostaje żądza, ona jedna, nie miłość i nie wierność, tylko żądza, przyjaciółka samotnych, czujna i poszukująca, wierna nawet we śnie, nigdy nie nasycona, z nią i przez nią idzie się na dno, więc po co uciekać, jeśli uciec nie można? i myślał dalej: uciekłem, ponieważ nad pewność posiadania silniej mnie pociąga niepewność poszukiwań, wczoraj, pozawczoraj, dzisiaj i zawsze kusiły mnie i wciąż kuszą niewiadome obszary czasu i przestrzeni, jakie się przede mną mogą otworzyć i jakie się niekiedy przede mną otwierają, one mnie niecierpliwie i nagląco wabią, ponieważ mogą zawierać w sobie wszystko, wiem, że kresem oczekiwań jest rozczarowanie, ale przecież, choćby złudny, wolę cień nadziei od jej nieuchronnej śmierci, każda zdobycz jest grobem nadziei,

każde osiągnięcie jest grobem nadziei, czas zazdrośnie się zacieśnia wokół wszelkiego posiadania, tylko pragnienia, jakkolwiek i one muszą ulec zniszczeniu, użyczają nocom i dniom swobodniejszego oddechu, wszystko to wiem, znam ciężar tej wiedzy, jest ciężka jak góra kamieni i równie jak ona jałowa, jedźmy dalej, może się coś stanie, tak myśląc jego myślami leżałem z głową wspartą o ramię, aż naraz, zgubiwszy się w jego myślach i nie widząc go, ponieważ nagle stało się dokoła mnie ciemno, podniosłem się, chwilę klęczałem zagubiony w ciemnościach i jeśli czegokolwiek w tej chwili pragnąłem, to tego jedynie, żeby był przy mnie i przed strachem, samotnością i wszystkimi moimi splątanymi myślami obronił mnie swoim ciałem, pamiętam, powiedziałem klęcząc w ciemnościach na głos: możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz, cokolwiek zrobisz, będzie mi to miłe, potem jechałem ciemną puszczą, już nie znałem ani jego myśli, ani własnych nie miałem prócz naglącego pragnienia, aby mnie wziął w ramiona i przed strachem, zagubieniem i samotnością obronił mnie swoimi ramionami, nagle znalazłem się na skraju puszczy, za mną, tuż przy moich ramionach, stała nieruchoma na podobieństwo szeroko rozlanego jeziora, ale tam również trwały ciemności i milcząca ściana mroku, przede mną, w dole, biała rosa szkliła się na łąkach i wszystko, co było życiem, wydawało się w nich zatopione i dopiero, gdy podniosłem głowę, ujrzałem bardzo wysoko ponad sobą czarne niebo pełne kruchych gwiazd, wówczas, wciąż ogarnięty natarczywą tęsknotą za jego ciałem i za rozkoszą, którą sobie sprawiając i mnie ją zadawał, sięgnąłem po róg, który miałem przewieszony przez plecy, i myśląc, że się chcę znaleźć w jego mocnych ramionach i o wszystkim zapomnieć prócz świadomości, że jestem w jego ramionach, zadąłem w róg, słyszałem jego ostry głos wdzierający się w ciemności, potem słyszałem dalekie echo powtarzające zanikającymi w oddali dźwiękami głos mojego rogu, potem stała się cisza, a jeszcze w chwilę potem doszedł do mnie z głębi ciemności przeciągły i gardłowy, długo wibrujący okrzyk, jakim zwykli się zwoływać pasterze, on tam jest — pomyślałem i przeczekawszy, aż dalekie wezwanie ścichnie, znów zatrąbiłem w róg, i po chwili znów odpowiedział mi z ciemności ten sam gardłowy i wibrujący okrzyk, ruszyłem w tamtą stronę, wciąż pewien, że go odnajdę, akurat w dole, gdzie musiały się rozciągać rozległe łąki, wschodził w rudej poświacie ciężki księżyc, jechałem skrajem puszczy, wysokim smugiem coraz to wspinającym się w górę i opadającym w dół, w dole rzeczywiście były łąki, nie wiem, jak długą przebyłem drogę, ponieważ mając już pewność, że go odnajdę, jechałem wolno, pomyślałem nawet w pewnym momencie: zawrócę, ale nie uczyniłem tego i nie żałuję, że tego nie uczyniłem, bowiem dzisiaj już wiem, że jakąkolwiek bym wówczas decyzję powziął, nie mogłaby ona odwrócić rzeczy, które już się dokonały, jechałem zatem wolnym stępem skrajem puszczy, aż nagle mój andaluzyjczyk poruszył się niecierpliwie i wyciągnąwszy szyję zastrzygł uszami, pchnąłem go naprzód i znalazłszy się w tej chwili na szczycie łagodnego wzniesienia ujrzałem w dole, nie dalej niż o dwieście kroków, ognisko dogasające tuż przy ciemnej krawędzi puszczy, tylko drobne płomyki migotały przy ziemi, a przy ognisku, lekko ku niemu pochylony i z nogą wspartą o kamień, stał młody pasterz, twarz miał pełną światła, nagimi ramionami opierał się o kolano, było tak cicho, iż słyszałem suchy szelest dopalających się gałęzi, wówczas — umilkł i potem

powiedział — pozwól mi, ojcze, chwilę milczeć, ponieważ chciałbym, nie musisz się śpieszyć — powiedział stary człowiek, noc się zbliża, nie muszę cię widzieć, żeby cię słyszeć, możesz iść i milczeć, jeśli ci to jest potrzebne, szedł więc milcząc, ponieważ rzeczywiście milczenie było mu potrzebne: już miałem powiedzieć, iż gwałtownie spiąłem mego wierzchowca ostrogą, gdy w tej samej chwili zamiast siebie to czyniącego i zamiast Jakuba, który stał w dole pochylony nad dogasającym ogniskiem, ujrzałem jego, i o tym, choć po raz pierwszy myślę na głos, nie wolno mi głośno myśleć, ujrzałem z natarczywą ostrością jego, powiedział twardym, lecz spokojnym głosem, jakim zwykł był wydawać rozkazy: taka jest moja wola i nie próbuj jej zmienić, po czym odwrócił się ode mnie, spiął swego konia i już się na mnie nie oglądając zjechał ku brzegowi, teraz, chociaż idę z otwartymi oczami i widzę przed sobą drogę wśród rozległej i płaskiej równiny, jeszcze jasną, ale już się przygotowującą do przyjęcia pierwszych cieni zmierzchu, widzę moje nogi stąpające po ziemi jeszcze wilgotnej, widzę zielone stawy na równinie, widzę tęczę już bledniącą na niebie, słyszę za sobą stąpania tych wszystkich, którzy idą za mną, słyszę już bardzo odległe odgłosy grzmotów, ale chociaż to wszystko widzę i słyszę, widzę przed sobą szeroko rozlane, żółte i spienione wody Loary, słyszę niski szum wezbranej rzeki, spoglądam na ten groźny żywioł trochę z wysoka, ponieważ jestem na koniu, lecz nie dalej od brzegu niż o kilkanaście kroków, mogłem go uratować, wiem, że mogłem go uratować, ze wszystkich moich rówieśników pływam najlepiej, mogłem go uratować, ponieważ żółte i gwałtownie prące przed siebie fale nie pochłonęły go w jednej sekundzie, tonął niedaleko brzegu i długo opierał się śmierci, nim wreszcie zniknął wśród żółtych i spienionych wód, na pewno nie chciał umrzeć, a gdy już czuł, że traci siły i idzie na dno, na pewno szedł na dno, w chłód i szum śmiertelnych wód z obrazem Jakuba pod zalewanymi wodą powiekami, mogłem go uratować, ale nie uczyniłem tego, myślałem: teraz będę wolny, więc niech się to stanie, ponieważ gdy jego nie będzie, będę wolny, będę wyzwolony od jego ciała i od pożądania jego ciała, lecz kiedy się to stało i już tylko szeroko rozlane, żółte i spienione wody Loary widziałem przed sobą, nie czułem ulgi, ale również i cienia żalu nie odczuwałem, był we mnie lód, zimno w sercu i zimno w dłoniach i na wargach, niski szum wezbranej rzeki toczył się ode mnie nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, przedtem, gdy w ów wczesny poranek wracaliśmy do Chartres, jechaliśmy bardzo długo milcząc, milczenie było od dawna naszą najczęstszą rozmową, ale te ostatnie godziny naszego ostatniego milczenia były inne od wszystkich poprzednich godzin naszego milczenia, jechaliśmy obok siebie, lecz dalsi od siebie, niż jeślibyśmy byli ślepi, głusi i niemi, już się zbliżaliśmy do Loary i słychać było niski szum jej wezbranych wód, gdy on nagle powiedział: Aleksy, tak, panie — odpowiedziałem i znów jechaliśmy w milczeniu, teraz pamiętam, że jechaliśmy wilgotnymi łąkami, wtedy nie widziałem tych łąk, ale teraz je widzę, wtedy nie słyszałem szelestu traw gniecionych kopytami naszych koni, ale teraz go słyszę, słyszę również plusk wody nasycającej nadmiarem wilgoci rozmiękłą ziemię, tak jak teraz słyszę podobny plusk pod własnymi nogami i także pod stopami tego człowieka, który idzie obok mnie i który pozwolił mi milczeć, nie odczuwam wobec niego wdzięczności, choć powinienem, muszę milczeć, ponieważ nie mogę myśleć głośno, powiedział: nic z tego, co się stało,

nie można przekreślić, ale jeśli pomiędzy dwojgiem ludzi dzieje się rzecz zła, nie pamiętam, co mówił dalej, pamiętam tylko to, iż zrozumiałem z tego, co mówił, że wzbogacony uczuciem, którego do tej pory nie zaznał, uczuciem nowym i urzekającym, uczuciem, które z dna rozterki i nieszczęścia wynosi go na przestrzenie niecierpliwej radości, zrozumiałem tylko tyle, że ja mam w jego życiu przestać istnieć i mam wrócić do miasta, z którego mnie wziął niosąc w ramionach, gdy płonął mój dom rodzinny i miałem na dłoniach i na ustach krew moich rodziców przez niego przelaną, mówił: to pamiętam, i nigdy pamiętać nie przestanę: teraz wszystko się już dokonało, abyśmy się rozeszli i aby moje życie nie było twoim życiem i twoje moim, spytałem: kiedy mam odejść?, powiedział: wyposażę cię tak, jak się należy człowiekowi, który miał być spadkobiercą mego imienia, kiedy mam odejść? — spytałem jeszcze raz, i pamiętałem tę chwilę, kiedy po raz pierwszy wziąwszy mnie w ramiona mówił: jesteś już mężczyzną, a ja, nie czyniąc najmniejszego ruchu, aby się oddalić od jego nagości, spytałem: to prawda, że zabiłeś moich rodziców?, a potem mówił: ponad wszystko, co we mnie istnieje, silniejsza jest moja ciemna miłość do ciebie, który miałeś być moim synem i spadkobiercą, a którego od dawna pożądam jak kochanka, i ja powiedziałem: możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz, myślałem: Jakuba, o którym nic nie wie, mógł pokochać, mnie, o którym wie wszystko, nie mógł pokochać i chociaż z początku mówił, że mnie kocha, wiedziałem, że gdy trzymał mnie w ramionach, myślał: wszystko jest daremne, nie umiem go kochać i nie umiem bez niego żyć, teraz, wciąż mnie nie kochając, zdecydował, że może beze mnie żyć, myślałem o dalekiej drodze, jaka mnie czeka, ale nie widziałem tej drogi ani nie pojmowałem, dokąd ma mnie zaprowadzić, jeszcze przedtem, nim wyruszyliśmy w tę powrotną drogę do Chartres i dokonywały się między nami te ostatnie godziny naszego ostatniego milczenia, aż po chwilę, gdy jego zaciśnięta pięść po raz ostatni wyłoniła się spomiędzy żółtych i spienionych wód Loary, jeszcze przedtem i jeszcze, jakby we śnie, obudziłem się z głębokiego snu z ogniem na ciele, a w ramionach trzymając nagie ciało, o którym we śnie zdążyłem zapomnieć, obudziłem się nagle, jakby tymi ognistymi znakami wyciągnięty z wszelkiej niepamięci: leżałem na moim purpurowym płaszczu nagi i nagą dziewczynę trzymając w ramionach, przedtem, w nocy, leżąc na tym skraju łąk widziałem ją biegnącą niecierpliwie ku szałasowi Jakuba, a potem widziałem ją wracającą i wtedy wstałem i powiedziałem: przepędził cię?, powiedziała: potrafisz tak zrobić, żebym przestała o nim myśleć?, odpowiedziałem: rozbierz się i ona to zrobiła i ja też zrzuciwszy z siebie odzienie stanąłem nad nią, myśląc: tu oto przed tobą leży Jakub, pośpiesz się, ponieważ za chwilę Jakub przestanie być Jakubem, leżała naga na moim płaszczu, po raz pierwszy nagimi stopami wszedłem na ten płaszcz, dlatego po raz pierwszy, ponieważ do tej pory, jeśli mi służył, to tylko mojemu oczekiwaniu, wszedłem na mój purpurowy płaszcz i powiedziałem: przepędził cię?, ponieważ nic innego powiedzieć nie umiałem i wcale nie dlatego, abym tej nagiej, pode mną leżącej nie znanej dziewczyny pożądał, lecz tylko z tęsknoty, z pragnienia i z własnej samotności, jeszcze raz powiedziałem, wcale o tym nie myśląc, powiedziałem: przepędził cię?, wtedy powiedziała: zrób tak, żebym o nim nie myślała, wtedy nagle poczułem, że moja męskość jest moją męskością, i położyłem się na niej i kiedy potem obudziłem z najgłębszego snu z og-

niem na ciele i ją, to obce ciało trzymając w ramionach, wtedy gdy otworzyłem oczy odurzone ciężkim snem, zobaczyłem: stał nad nami, złączonymi miłosnym uściskiem, ale bez gniewu, jego oczy w jego ciemnej twarzy i tak jasne, iż zawsze wydawały się nagimi, teraz były bardziej nagie niż kiedykolwiek przedtem, bił nas tym samym skórzanym harapem, który zgubił w pośpiechu, gdy ja zatrąbiłem na rogu, a on chciał się przede mną w szałasie Jakuba skryć, bił nas, ona podobnie jak ja z ciężkiego snu obudzona, chciała się przed pierwszymi uderzeniami skryć we mnie, ponieważ ja byłem najbliżej, ale potem, gdy go musiała zobaczyć, ponieważ my byliśmy nadzy, a on ubrany i nas smagał swoim harapem, ona w pewnym momencie wyśliznęła się z moich ramion i krzycząc, jakby ją zarzynano, uciekła, leżałem już samotny na moim płaszczu, stał nade mną i wciąż mnie bił, jeśli ten człowiek rzeczywiście był kiedyś moim piastunem, miał słuszność mówiąc: gdy mierzysz do celu i wypuszczasz strzałę, powinieneś mieć mięśnie rozluźnione, twój wysiłek powinien być w tobie głęboko ukryty, aby twego wysiłku nikt z zewnątrz nie widział, leżałem przyjmując ostre i do krwi raniące razy, nagle przestał mnie bić, stał nade mną nieruchomy, spytałem: dlaczego mnie bijesz, dlatego, że spałem z tą kurwą, czy dlatego, że ukryty przede mną w szałasie Jakuba musiałeś przede mną skłamać?, wówczas rzucił harap, klęknął przy mnie i żeby uciec przede mną, a pewnie i przed sobą, wziął mnie w ramiona, wiedziałem, że po raz ostatni bierze mnie w ramiona, i podczas kiedy on czynił ze mną to, co zawsze zwykł był czynić, zamknąłem oczy, aby nie dojrzał w nich łez, wstydziłem się tych łez, nienawidziłem swojej słabości, przysiągłem wówczas samemu sobie, że już nigdy w życiu nie zapłaczę, potem jeszcze raz byłem w tym samym miejscu, była wczesna noc, stałem pod tym samym drzewem, pod którym bił mnie leżącego, a potem trzymał mnie po raz ostatni w ramionach, nie myślałem o nim, nie więcej niż tydzień minął od tamtego świtu, ale i ta godzina, gdy mnie bił, a potem trzymał w ramionach po raz ostatni, a także i późniejsza godzina, gdy z zimnem w sercu i z zimnem w dłoniach i na wargach widziałem przed sobą szeroko rozlane, żółte i spienione wody Loary, a jego już nie było, wszystkie te godziny sprzed nie więcej niż tygodnia wydawały się tak odległe, jakby stały się przed wieloma latami, nie myślałem o nim, gdy znów się w tym miejscu znalazłem, nie myślałem o nim, lecz nie czułem się od niego uwolniony, stał jak gdyby obok i tak samo jak gdyby tuż obok stał przy mnie, gdy doczekawszy się zmierzchu, kiedy już wszystkie trzody zostały spędzone z pastwiska i cisza się stała dokoła i pustka, podjechałem pod szałas Jakuba, myślałem: spoczywający w ciężkiej trumnie, w ciemnym lochu i pod ciężkimi płytami grobu, nigdy już nie ujrzysz tego, którego raz tylko widząc pokochałeś, choć mnie, wciąż przy sobie mnie mając, nigdy pokochać nie mogłeś, nigdy się już tak nie stanie, żebyś mógł wypowiedzieć słowa: kocham, natomiast ja żyję, za chwilę ujrzę go i będę mógł powiedzieć to, czego ty już nie możesz, przed szałasem tliło się ognisko przed chwilą najwidoczniej dopiero rozpalone, ale Jakuba przy nim nie było, wyszedł z szałasu, wydał mi się jeszcze piękniejszy niż wówczas, gdy go ujrzałem po raz pierwszy, spytałem nie schodząc z konia: poznajesz mnie?, tak — odpowiedział i po chwili spytał: jesteś sam?, jak widzisz, szukasz swego pana?, nie — odpowiedziałem — tym ra-

zem nie szukam go, po czym zsiadłem z konia, on milczał, nie zaprosisz mnie do swego szałasu? — spytałem, wtedy usunął się na bok i powiedział: wejdź, nikły poblask ogniska słabo rozjaśniał mroczne i ciasne wnętrze, w kącie było posłanie z jelenich skór, tu śpisz?, tak — odpowiedział, czułem go przy sobie nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, czułem jego nagość pod płócienną, wiejską tuniką, wydało mi się przez moment, że w ciszy, jaka była, słyszę przyśpieszone pulsowanie jego serca, chciałem powiedzieć: tu, na tym posłaniu, trzymał cię w ramionach i mówił ci, że cię kocha i zawsze będzie kochać, chciałem to powiedzieć, ale milczałem i wreszcie powiedziałem: spytałeś, czy szukam mego pana? nie szukam go, ponieważ nie szuka się umarłych, i myślałem: widzisz, stojący tuż obok mnie, niewidzialny i nieistniejący, ja, który oddycham, widzę i słyszę, jestem tutaj zamiast ciebie i ja, a nie ty, zamknięty w ciężkiej trumnie i już bezsilnie gnijący, powiem za chwilę: jeżeli pójdziesz ze mną i będziesz przy mnie, uczynię wszystko, czego pragniesz, będę ci służył i będę cię ochraniać, będę dla ciebie wszystkim, czym pozwolisz mi być, będę daleki, jeśli tego zażądasz, i będę bliski, jeśli na to pozwolisz, będę przy twoich snach i zawsze przy twoich smutkach, ponieważ kocham cię i twojej obecności potrzebuję jak oddechu, kocham się od tej pierwszej chwili, gdy ujrzałem cię pochylonego nad wygasającym ogniskiem, kocham cię, choć nie wiem, czy moja miłość wynika tylko ze mnie i z ciebie, tylko z nas dwóch, z ciebie i ze mnie, czy też zbudził ją z nieistnienia ten, który teraz już nie istnieje, powiązaniem mnie i ciebie jest ta miłość, czy też natarczywym odblaskiem miłości innej, tej, która pierwsze swoje słowo zdążyła tylko raz wypowiedzieć, a potem poszła w chłód i szum śmiertelnych wód, aby już nigdy nie odnowić się w ciele i w słowie, nie wiem, skąd się wzięła moja miłość do ciebie, ale skądkolwiek zaczerpnęła swój początek i swoje pierwsze oczarowanie, nigdy cię kochać nie przestanę, ponieważ jeśli istnieję, to tylko dlatego, aby, sam nie kochany, potrzebę miłości całym sobą potwierdzać, to wszystko wśród śmiertelnej ciszy, jaka była, myślałem, już wiedziałem, że nie mam nic więcej do powiedzenia, jeszcze pomyślałem: ty, przygnieciony ciężkimi płytami grobu, nie myślę o tobie, ale nie uwolniłem się od ciebie, wtedy on powiedział: idź, nie pójdziesz ze mną? — spytałem, nie — powiedział, potem spytał: byłeś przy nim?, byłem, wiosenne rzeki są zdradliwe, i nie mogłeś go uratować?, nie — odpowiedziałem — to się stało tak szybko, jak szybko kamień idzie na dno, i znów była cisza, nie podsycane ognisko musiało wygasać, ponieważ całkiem ciemno stało się w szałasie, ale mimo mroku wciąż go szukałem przy sobie nie odleglejszego niż na wyciągnięcie ramienia, idź — powiedział, więc jeszcze raz spytałem: nie pójdziesz ze mną?, idź — powiedział, wtedy wyszedłem, wsiadłem na konia i po raz drugi począłem zdążać przed siebie ku wilgotnym w dole pastwiskom, ale wówczas, w tę pierwszą noc, ogarnięty zakochaniem i zazdrością, teraz tylko z rozpaczą w sercu, z przejmującym zimnem w dłoniach i na wargach, potem zatrzymałem się na skraju pastwiska, tam, gdzie było to drzewo, pod którym bił mnie leżącego harapem i potem po raz ostatni wziął w ramiona, ta dziwka zjawiła się nagle, stanęła przy mnie i powiedziała: ten straszny człowiek znów nas będzie bić?, rozbierz się — powiedziałem — jego już nie ma, leży w ciężkiej trumnie i jedynym jego

zajęciem jest pospieszne gnicie, potem leżąc pode mną naga spytała: przepędził cię?, wziąłem ją nic nie mówiąc, śmiała się i jęczała, wchodziłem w nią, jak w szeroko rozlane, żółte i spienione wody Loary, ale otwarte oczy mając wypełnione twarzą Jakuba, przedłużałem powolne narastanie rozkoszy, aby dłużej zachować ten obraz, śmiała się i jęczała, miłość jest tylko kłębkiem nieosiągalnych pragnień — myślałem — miłość daje tylko cierpienie, natomiast ciemna rozkosz powstaje i trwa wśród pogardy i nienawiści, nagle posłyszałem pod sobą, ale jakby z bardzo daleka, jej krótki krzyk, który zabrzmiał tak, jakby wrzasnęło umieraniem porażone zwierzę, poczułem się w tym krótkim krzyku panem i władcą, byłem panem i władcą w mojej niepośpiesznej i cierpliwej męskości, byłem panem i władcą tego ciała przemienionego dzięki mnie w uległość i jęk, powtarzałem w myślach: pójdziesz ze mną?, a kiedy nastał świt po nieprzespanej nocy, powiedziałem: jeżeli chcesz to mieć co noc, możesz pójść ze mną, gdzie? — spytała, to obojętne — powiedziałem — w zamkowej łożnicy, w lesie czy na pustyni, w dzień czy w noc — nikt ci tego nie zrobi lepiej ode mnie, zatem poszła ze mną i co noc miała to, co jej obiecałem, ale gdy i z nią byłem sam, albo w towarzystwie moich towarzyszy, wciąż była we mnie jedna myśl, jedna myśl, że musi się coś stać, musi się coś stać we mnie lub poza mną, miałem wszystko, co może posiadać człowiek, byłem teraz Aleksym z Vendôme, hrabią na Chartres i Blois, ja, Grek z Bizancjum, Aleksy Melissen, uratowany przed ośmioma laty z płonącego domu i miasta, jeszcze nieletni, ale prawowity hrabia, ponieważ wody Loary były szeroko rozlane, żółte i spienione, jednego dnia, gdy nie mogłem spać, a ona spała, wstałem przed świtem, miasto jeszcze spało i bramy były zamknięte, pojechałem przed siebie i wówczas, kiedy zaczynało się stawać jasno, ujrzałem posuwającą się po równinie gromadę kilkudziesięciorga dzieci i wyrostków, dziewczęta miały na sobie białe suknie, niektóre wianki z polnych kwiatów na głowach, chłopcy wiejskie płócienne tuniki, ciemnowłosy chłopiec, który szedł na przodzie, niósł krzyż, zagrodziłem im drogę swoim koniem, spytałem: gdzie idziecie, wtedy ten, który trzymał krzyż, powiedział: idziemy do Jerozolimy, wiesz, gdzie jest Jerozolima? — spytałem, nie wiem — powiedział, jakże więc dojdziecie do Jerozolimy?, nie wiem — powiedział — wszystkie dzieci idą do Jerozolimy, ponieważ przebywa w niej pan nasz, Jezus Chrystus, ustąpiłem im z drogi, przeszli obok mnie i szli dalej ogromną równiną, pojechałem wtedy do Cloyes, ale na łąkach, gdzie pasły się trzody, tylko kilku niedołężnych starców pilnowało krów, spytałem jednego z nich: gdzie są wasi pasterze?, podniósł na mnie wyblakłe, prawie niewidzące oczy i jedną dłonią wspierając się na kiju drugą, trzęsącą się, wzniósł nad głowę, która też mu się trzęsła, niech wszystkie przekleństwa — powiedział starczym, skrzypiącym głosem — niech wszystkie przekleństwa, głód, zaraza i hańba spadną na tego przybłędę, który sam oszalawszy zaraził szaleństwem nasze dzieci i wnuki, niech będzie przeklęty on i jego imię, czując, że blednę, spytałem: kogo tak przeklinasz, starcze?, jego przeklinam — odpowiedział — przybłędę, który musi być synem samego czarta, przybłędę, który przy pomocy diabelskich sztuczek uwiódł nasze dzieci i wnuki, jego przeklinam i jego imię przeklinam, i duszę jego, i ciało przeklinam, dowiedz się — mówił — nie mamy już ani dzieci, ani

wnuków, inne wsie dokoła też się wyludniły z dzieci i z wnuków, wszystkich ten przeklęty przybłęda opętał i zaraził swoim szaleństwem, spójrz — podniósł obie trzęsące się dłonie, w jednej trzymając kij — popatrz na te ręce, już nigdy te ręce nie oprą się o ramię wnuka i nigdy te ręce nie będą błogosławić wnuczki idącej za mąż, odjechałem nie rzekłszy słowa, wszystko już wiedziałem i wiedziałem także, że już nie wrócę do Chartres, stało się to, czego nie nazywając pragnąłem, i znów, gdy to się stało, nie czułem ulgi, w puszczy dogoniła mnie Blanka, jej koń był zgrzany i pianę miał na pysku, ale po niej nie było znać zmęczenia, powiedziała: wszystkie dzieci wyszły dziś rano z Chartres, wiem — powiedziałem, mówią — znów się odezwała po chwili milczenia — że na czele ogromnej i wciąż coraz większej rzeszy dzieci idzie przez kraj przemawiając po wsiach i miasteczkach: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, wiem — przerwałem jej i on zamknięty na wieki w ciężkiej trumnie, on bez oddechu i słowa, idący w szum i w chłód śmiertelnych wód, później wyrzucony przez nie na pusty brzeg, aby spocząć wreszcie na wieki w ciężkiej trumnie, on znów stał przy mnie obok, przez dwie noce i dwa dni jechaliśmy kilkakrotnie zmieniając kierunek, ponieważ różne słuchy chodziły między ludźmi, którędy posuwa się owa krucjata, krucjata bez niego spoczywającego w ciężkiej trumnie, ale z jego pragnień zrodzona, z ciemnych żądz jego ciała teraz gnijącego w ciężkiej trumnie zrodzona, aż wreszcie trzeciego dnia, w samo południe, gdy wyjechaliśmy z lasu, zobaczyłem ich pod ogromnym niebem i w takiej mnogości, iż cała w dole równina zdawała się płynąć wśród powolnego falowania, krzyże, chorągwie i feretrony połyskiwały w słońcu wznosząc się ponad tą płynącą równiną, one również wolno posuwały się naprzód, tworząc z nieprzebranym mrowiem głów jedną całość, ogromny śpiew wzbijał się spośród tej wolno płynącej i falującej równiny, potem, mijając ich, widziałem już tylko poszarzałą biel sukienek i tunik, twarze ogorzałe od wiosennego słońca, stłoczone jedna przy drugiej, twarze tysiąca dziewcząt i chłopców, czerwone i spotniałe, z otwartymi szeroko ustami, z ustami, które śpiewały, lecz które mnie przejeżdżającemu obok wydawały się otwartymi na skutek zdumienia paraliżującego te drobne ciała w poszarzałych białych sukienkach i zgrzebnych wiejskich tunikach, ciężki pył wzbijał się spod tysięcy bosych stóp, sucha, nagrzana ziemia dymiła pod ich stopami, szli stłoczeni, twarz przy twarzy, ramię przy ramieniu, ciało przy ciele, stłoczeni w ogromne i oślepłe stado, oślepłe, ponieważ nie widzieli ani nieba, ani ziemi, mogli widzieć tylko głowy i ramiona idących przed nimi, szli stłoczeni, jakby z bliskości swych ciał czerpali siły do dalszej i nie znanej drogi, a wrzask tysięcy dziecinnych głosów, wrzask, który wydobywał się z tysięcy otwartych w zdumieniu ust, rozdzierał rozległą przestrzeń ponad tym stłoczonym i wolno wśród kurzu, upału i słońca posuwającym się mrowiem, on szedł na czele tej falującej i naprzód się posuwającej równiny, z wrzaskiem chóralnych śpiewów za sobą, ale sam spokojny i cichy, lekko bosymi stopami dotykający ziemi, prosty i z nieruchomą, on jedyny ze wszystkich, równiną przed zamyślonymi oczami, widziałem go po raz trzeci, lecz po raz pierwszy w świetle dnia, wydał mi się tak samotnie idący młodszym niż wówczas,

gdy go widziałem wśród cieni nocy, podjechałem ku niemu i wtedy on się zatrzymał, zatrzymał się również cały pochód i śpiew powoli począł przycichać, poznajesz mnie? — spytałem, tak — odpowiedział i była już teraz cisza, zeskoczyłem z mego konia i powiedziałem: nie chciałeś pójść ze mną, więc ja pójdę z tobą, a mówiąc to myślałem: nikt bardziej niż ty nie potrzebuje miłości i opieki, nikt mniej niż ty nie zna życia i nie zna ludzi, jesteś kruchy jak łza i samotniejszy od wszystkich samotnych ludzi na świecie, bardziej zagubiony niż ktokolwiek z zabłąkanych na świecie, samotny i zagubiony, choć idzie za tobą ogromny tłum, nikt bardziej niż ty nie potrzebuje miłości i opieki, powiedziałem do Blanki: zejdź z konia, a gdy bez słowa uczyniła to, czego zażądałem, wziąłem jej wierzchowca za uzdę, cugle swego białego andaluzyjczyka drugą dłonią schwyciłem i oba konie podprowadziłem ku Jakubowi, wybierz, którego wolisz — powiedziałem — jeżeli jesteś wodzem krucjaty, nie możesz iść pieszo, jak wszyscy, wybierz tego, który ci się bardziej podoba, a ja będę jechać przy twoim boku i będę spełniać wszystkie twoje rozkazy, stał przede mną nie dalej niż o krok, drobny i jasnowłosy, samotny i zagubiony, nawet w swej piękności samotny, bliski i bardziej daleki niż kiedykolwiek przedtem, powiedziałem cicho, żeby ściszyć w swoim głosie rozpacz: zrób, o co cię proszę, on, gdyby żył, uczyniłby to samo, chwilę milczał, potem powiedział: nie, będę szedł pieszo, jak wszyscy, ale ty, jeżeli chcesz, możesz jechać na swoim wierzchowcu, wówczas bez słowa wyciągnąłem z pochwy mój krótki myśliwski mieczyk i jednym pchnięciem wbiłem aż po rękojeść jego ostrze w gładką i lśniącą szyję mego andaluzyjczyka, leżał u moich stóp już z bielmem śmierci w oczach, biały i ogromny, dreszcze konania wstrząsały jego brzuchem i smukłymi nogami, a kiedy schyliłem się nad nim i wyciągnąłem ostrze z szyi, krew gwałtownym strumieniem poczęła płynąć z rany, daj — powiedziała Blanka wyciągając rękę po mój mieczyk, bez słowa odsunąłem ją ramieniem i drugiego wierzchowca odprowadziwszy na bok, zdjąłem z niego siodło, cisnąłem je na pole, potem uwolniłem go z wędzidła, miał rozszerzone chrapy i niespokojnie strzygł uszami, ponieważ czuł bliski odór krwi, rzemienną uzdą ostro go po zadzie smagnąłem, wtedy wspiął się gwałtownie i raz jeszcze uderzony poderwał się do ucieczki, patrzyłem za nim chwilę, pędził, jak oszalały, płaską równiną i żółty tuman kurzu wzbijał się spod jego kopyt, przy Jakubie, ciężki odór świeżej krwi nasycał nagrzane powietrze, stał przy Jakubie chłopiec ciemnowłosy, o dużych, ciemnych i wilgotnych oczach, miał na sobie ciemnozieloną, do połowy łydek sięgającą suknię wełnianą, jakie zwykli byli nosić mieszczanie, powiedział: nic nie jedliśmy od wczoraj, Jakubie, jesteśmy głodni, pozwól nam to zrobić, powiedziałem: pozwól im to zrobić, ujrzałem w tym momencie dziewczynę, która stała nie opodal, była bardzo piękna, jasna i łzy spływały po jej policzkach, później dowiedziałem się, że ma na imię Maud i kocha Jakuba i ona go wsparła, gdy samotniejszy od najbardziej samotnego człowieka na ziemi mówił po raz pierwszy: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, nienawidziłem jej w tej chwili, nienawidziłem jej łez i wtedy jeszcze raz powtórzyłem: jeżeli są głodni, pozwól im to zrobić, ponieważ nie muszą być głodni, starczy mięsa dla wszystkich, płonęło ogromne

ognisko w samo południe, pośrodku pustej i słońcem palonej równiny, wtedy po raz pierwszy, choć go widziałem już trzeci raz, dostrzegłem na jego prawej dłoni ten pierścień, głupcze — pomyślałem patrząc na ognisko, dokoła którego jak olbrzymie ćmy biegali chłopcy w tunikach zaledwie okrywających ich nagość, inni ściągali z końskiej padliny skórę — głupcze, dłoń, którą zdobił ten pierścień, gnije teraz w ciężkiej trumnie, a przecież ona mnie co noc obejmowała, ona błądziła w ciemnościach po moim ciele, głupcze — zapach krwistego mięsa wypełniał nagrzane słońcem powietrze — głupcze, kogo kochasz i kogo pragniesz? gdy rozszarpali pomiędzy sobą nie dość upieczone, prawie surowe mięso, powiedziałem: każ im śpiewać, i uczynił to, jeszcze świeżą krwią zwilgotniałe kości nie zdążyły obeschnąć i roje cze — zapach krwistego mięsa wypełniał nagrzane słońcem powietrze — moje długie milczenie, lecz kiedy moja spowiedź poczęła dobiegać końca i już tylko w kilku zdaniach mogę opowiedzieć dalsze moje dzieje, pomyślałem, że u kresu mojej spowiedzi powinienem jeszcze raz cofnąć się w przeszłość, aby wróciwszy do niej utwierdzić się we własnym sumieniu, czy niczego z niej nie zataiłem i wszystko tak rzeczywiście opowiedziałem, jak było, nie odnalazłem mego dobroczyńcy i opiekuna w szałasie pasterza Jakuba, odnalazłem go dopiero nad ranem, ponieważ przez noc błądził w okolicy, nie mogąc odnaleźć właściwej drogi, wracaliśmy wczesną godziną poranną do Chartres i wtedy stało się to niczym nie odkupione nieszczęście, ciężkie i w całej swojej szorstkiej grubości nawilgłe sukno habitu wciąż obejmowało jego ciało przenikliwym i natarczywym chłodem, ciężko wdeptując w wilgotną ziemię swoje obrzęknięte stopy, myślał: stary i już chcąc tyle tylko zachować pragnień, aby wchodzących w życie ochronić przed błędami młodości własnej, ja, którego ciała już nikt nie może pożądać, ale również i ja, który w swoim dogasającym ciele, w ciele okrytym usychającą skórą, wciąż odczuwam błogosławione i rozpaczliwe dreszcze pożądania, ja, którego nikt nie zapragnie wziąć w ramiona, aby na moich usychających wargach złożyć pocałunek i ustami młodości objąć moje usta już usychające, ja oszukujący samego siebie i oszukujący tych, których muszę oszukiwać, aby oszukać samego siebie, śmiercią przywoływany, a wciąż pogrążenia w młodości spragniony, nigdy nie zaspokojony, bowiem ściganie uciekającej młodości nigdy nie może być zaspokojone, ja, który odrzuciłem wszystkie przywileje i bogactwa i imię moje zatarłem, jak zaciera się zdradziecki ślad, Boże zmiłuj się nade mną, ja, który w pysze fałszywej pokory i ścigany fałszywą koniecznością służenia, wziąłem na swoje ramiona ciężar ponad moje siły, myślałem: jeśli istotnie Bóg dotknął swym palcem martwej ziemi i z ziemi podniosła się młodość obiecując spełnienia, których nikt z żywych spełnić nie umiał, Boże, niech się tak stanie, myślałem: ja, któremu nie jest obcy żaden grzech, a który znam do ostatniego oddechu wszelkie zabłąkanie, ja, który mimo mojego habitu i mojej usychającej skóry i moich starczych warg i stóp, które są obrazą radości i harmonii, znam równie dobrze dno ciemnych przepaści, jak urojone blaski tęsknot, ja, wielki i wszechmogący Boże, słyszałem go, gdy myślał: wielki i wszechmogący Boże, którego nigdy nie było i nie ma, wielki Boże, który istniejesz tylko poprzez nasze nieszczęścia, słyszałem wszystkie jego myśli, ponieważ w jego milczeniu odnajdywałem samego siebie, ja, któremu zaufało tysiąc niewinnych dzieci, ponieważ wszy-

scy, którzy zwierzali mi swoje grzechy, istotnie byli dziećmi i ich niewinność była rzeczywistą niewinnością ich ciał, nie dusz, ponieważ dusz jeszcze nie mają, gdyby mieli dusze, nie byliby już niewinni, ale również ja, którego w ostatnich godzinach przebudzono nagle ze snu złudnych nadziei, ponieważ, sam pełen mrocznych pragnień, w tym tylko celu stanąłem naprzeciw pochodowi młodości, aby siebie w wyznaniach odnaleźć i siebie cudzymi pragnieniami jeszcze raz i może już ostatni raz przywołać do stanu radosnego oddania, ja przecież usłyszałem w tych ostatnich godzinach tyle wyznań prawdy i tak wiele kłamstwa i równie wiele milczenia zapierającego się i kłamstwa, i prawdy, iż wszystko wiedząc, kłamię, ponieważ wszystko wiedząc, nie wiem, co mam uczynić z tą wiedzą, spraw, Boże, aby się nie spełnił mój okrutny sen i aby bramy Jerozolimy nie stały się martwą pustynią, idzie teraz obok mnie i mówi słowa, w których nie ma nic prócz kłamstwa, mylę się, ponieważ to, co mi teraz wyznaje, nie jest kłamstwem, lecz dalekim, jak światło gwiazdy, odblaskiem utajonej prawdy, jeszcze mnie na to nie stać, za chwilę, gdy umilknie, podniosę dłoń, aby pobłogosławić go i z grzechów rozgrzeszyć, ale nie jego, tylko siebie i dla siebie, nie dla niego, wypraszam rozgrzeszenie, wszyscy, którzy kłamią, czynią to ze słabości i ze strachu, jego kłamstwa są moimi kłamstwami, teraz podnoszę dłoń i mówię: niech Bóg wszechmogący rozgrzeszy ci twoje winy, tak, jak ja je rozgrzeszam w imię ojca i syna i ducha świętego, ojcze — powiedział Aleksy Melissen — teraz, gdy już jestem z moich grzechów oczyszczony, pozwól, ojcze, że zwrócę się do ciebie z prośbą, już wszyscy, którzy podążamy do dalekiej Jerozolimy, wyznaliśmy ci swoje grzechy i mamy twoje rozgrzeszenie i błogosławieństwo, tylko jeden człowiek nie odbył jeszcze spowiedzi i tym człowiekiem jest Jakub z Cloyes, wiem, że u stopni konfesjonału wszyscy jesteśmy równi, ale jeśli tak jest, iż tylko jednego z nas wybrał Bóg, aby poprzez niego i jego ustami do nas przemówić, a tym jednym wybranym jest właśnie on, Jakub z Cloyes, przywódca i nas wszystkich, i tych, którzy się do nas przyłączą, uczyń, ojcze, tak, abyś go w oczach wszystkich podążających za nim wyróżnił, czyż już nie został wyróżniony? — spytał stary człowiek, dlatego proszę cię, żebyś się zatrzymał i zaczekał, aż on do ciebie podejdzie, a gdy to uczyni, żebyś go pobłogosławił, nie on, ojcze, potrzebuje tego, jest skromny i czysty i nie ma w nim pychy, nam potwierdzenie jego wyróżnienia jest potrzebne, dlatego proszę cię, ojcze, o to, nie dla niego, lecz dla nas, myślał, wciąż swoje zmęczone stopy wdeptując w wilgotną ziemię: już teraz powinienem się zatrzymać i całym sobą, choć jestem sam, powstrzymać ten pochód szaleństwa, szaleństwa i niewinności, szaleństwa i żądz, żądz i kłamstw, ale jeszcze nie mam dość sił, aby przeciwstawić się moim nadziejom i pragnieniom, szukałem źródła i znalazłem je zatrute, szukałem ucieczki od samego siebie i w tej ucieczce, w ucieczce od siebie, od siebie oderwać się nie mogę, tu szukałem wsparcia dla moich umierających nadziei, w młodości szukałem wsparcia dla mojej dogorywającej starości, ale jeszcze brak mi odwagi, aby to wszystko przekreślić i pozwolić się ogarnąć ostatecznym ciemnościom i już bez nadziei, lecz jeszcze jej spragniony, ponieważ ostatnią nadzieją nie jest ona, lecz potrzeba jej posiadania i łatwiej wszystkie nadzieje pogrzebać, łatwiej patrzeć na konanie wszystkich nadziei, niż potrzebę posiadania na-

dziei w sobie uśmiercić, ty, który w nie istniejących latach powiedziałeś: panie, odsuń ode mnie ten kielich goryczy, wybacz, że i ja, nie na krzyżu rozpięty, lecz do cięższej od krzyża młodości przywiązany, stawał się wczesny wiosenny zmierzch i już pierwsze cienie kwietniowej nocy kłaść się poczynały na rozległą równinę pierwszymi cieniami, lecz jeszcze w poblaskach ginącego słońca nasycając ziemię, powietrze i niebo, więc gdy powoli nadchodził pierwszy wiosenny zmierzch i mgły po ulewie, która biła ziemię, wznosiły się z ziemi zacierając kształt i ziemi, i nieba, i swój własny, gdy przy stojącym w milczeniu starym człowieku Aleksy podniósł ramię i na ten jego ruch wszystko nagle zamarło, tylko ku krzyżom, chorągwiom i feretronom, znieruchomiałym nad nieruchomą mnogością głów i ramion, wznosiły się podobne do kościelnych kadzideł powolne opary mgieł, ostatni poblask słońca użyczał im ostatnich, już zamierających poblasków, była cisza, wszystko było ciszą i bezruchem, wówczas Jakub, w swojej płóciennej tunice nie okrywającej nagości jego ramion i nóg, ale w purpurowym płaszczu na nagich ramionach, począł iść ku staremu człowiekowi, który stał pośrodku drogi, twarzą ku idącemu zwrócony, ogromny w swym ciężkim habicie na tle płaskiej i milczącej równiny nasycanej pierwszymi cieniami wiosennej nocy, szedł drobny i jasnowłosy, swym chłopięcym krokiem, lecz takie sprawiając wrażenie, iż nie po równej ziemi idzie, lecz po wysokich i niewidzialnych stopniach zdąża ku wysokiemu, wybranemu spośród wielu tysięcy celowi, który tylko jemu odsłania swoje tajemne istnienie, zatrzymał się o krok przed starym człowiekiem, który wciąż stał nieruchomy i na niego czekał, stał przed nim, drobny i jasnowłosy, okryty purpurowym płaszczem, lecz nim ukląkł, podniósł obie dłonie, aby zsunąć z ramion płaszcz, Aleksy obok czuwający podjął go z ziemi i wtedy wszyscy, którzy w ciasnej i znieruchomiałej gromadzie stali wśród równiny nasycanej pierwszymi cieniami wiosennej nocy, mogli zobaczyć, iż ten, który w ciągu długich trzech dni wysłuchiwał ich grzechów i potem rozgrzeszenia udzielał i błogosławił, teraz, ogromny w swym ciężkim brunatnym habicie na tle płaskiej i milczącej równiny, nasycanej pierwszymi cieniami wiosennej nocy, podnosi swoją dłoń i znak błogosławieństwa powoli kreśli ponad głową tego, który przed nim klęczy, wiem już teraz — myślał — że nie Bóg kieruje moją dłonią, tylko złudna nadzieja, że w młodości odnajdę sens i porządek świata, za chwilę, gdy on zacznie mówić, będę musiał porzucić wszelką nadzieję, nawet pragnienie posiadania nadziei, a jedyne, co mi pozostanie do uczynienia, idąc u jego boku Jakub mówił: moje imię jest Jakub, nazywają mnie Jakubem z Cloyes, ale nie wiem, gdzie się urodziłem, ponieważ nie mam matki ani ojca, przed piętnastoma laty znaleziono mnie niemowlęciem u drzwi kościoła w Cloyes, a ponieważ był to dzień świętego Jakuba, ochrzczono mnie tym imieniem — drobny i jasnowłosy szedł u boku starego człowieka, lekko ku niemu pochylając głowę, cień długich rzęs padał mu na policzki, ponieważ powieki miał półprzymknięte, mówił w skupieniu i półgłosem: moje życie zaczęło się bardzo niedawno, kiedy jednej nocy nie mogąc zasnąć usłyszałem tuż obok siebie w ciemnościach nocy głos, który mówił: opuść, Jakubie, swój szałas, idź pomiędzy dzieci i gdziekolwiek je znajdziesz, w małej czy licznej gromadzie, powiedz im: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozo-

limy, które jest w rękach pogańskich Turków, was wybrał Bóg wszechmogący, ponieważ ponad wszelkie potęgi na ziemi i morzu ufna wiara oraz niewinność dzieci największych dzieł może dokonać, zmiłujcie się nad Ziemią Świętą i samotnym grobem Jezusa, to mi mówił głos w ciemnościach nocy, kiedy nie mogłem spać, a ponieważ rozpoznałem w tym głosie głos człowieka, który pierwszy i jedyny odsłonił przede mną nieszczęsny los miasta Jerozolimy oraz samotność grobu Jezusa, i przedtem żyjący jak ślepy i głuchy, dopiero dzięki temu człowiekowi przejrzałem i począłem słyszeć, więc gdy jego głos rozpoznałem w głosie mówiącym do mnie wśród ciemności nocy i gdy ten sam głos również i następnych nocy wzywał mnie i przynaglał do spełnienia tego, czego żądał, nie mogłem nie być mu posłusznym i nie pójść za jego wezwaniem, człowiekiem, który pierwszy odsłonił przede mną los miasta Jerozolimy, był sławny rycerz, Ludwik z Vendôme, hrabia na Chartres i Blois, to on, nim gwałtowna śmierć wyrwała go spośród żyjących, on, ojcze, to uczynił, że przedtem ślepy i głuchy, nagle przejrzałem i począłem słyszeć, szli chwilę w milczeniu, gdybym był przy nim, potrafiłbym go uratować — myślał Jakub, nie kłamstwa, lecz prawda niszczy nadzieję — myślał stary człowiek, ale wciąż nie wiedział, co powinien uczynić, Jakub mówił dalej: po raz pierwszy w życiu a zarazem ostatni, ponieważ żywym nigdy go już nie miałem widzieć, ujrzałem go tej wiosny jednego wieczora, gdy nasze trzody zeszły już z pastwiska i zostawszy sam rozpaliłem ognisko w pobliżu mego szałasu, stałem właśnie pochylony nad ogniskiem, kiedy na swym czarnym, wspaniałym rumaku zjawił się przede mną zupełnie niespodziewanie, nie wiedziałem, kim był, nigdy go przedtem nie widziałem, z postawy i z ubioru wyglądał na szlachetnie urodzonego rycerza, pamiętam: miał na sobie długą, ciemnozieloną jedwabną suknię, na niej, pod czarnym płaszczem, fioletową szatę podbitą futrem popielic, twarz miał jeszcze niestarą, choć pooraną ciemnymi bruzdami, wąską i suchą, o ostrym nosie i oczach głęboko osadzonych, a tak jasnych, iż wydawały się nagimi, nie jest szczęśliwy — pomyślałem patrząc na niego, spytał mnie po chwili milczenia: jesteś pasterzem?, tak, panie — powiedziałem — jak ci na imię?, a gdy powiedziałem, że Jakub, wskazał ręką na szałas i spytał: to twój szałas?, tak, panie — odpowiedziałem, a twoi towarzysze?, we wsi nocują — odpowiedziałem — to jest tylko mój szałas, wtedy zsiadł z konia i podszedł do ogniska, zmarzłeś? — powiedział wyciągając obie dłonie ku ognisku, nie — powiedziałem — lubię patrzeć na ogień, a gdy milczał wciąż grzejąc dłonie nad ogniskiem, ośmieliłem się spytać: musieliście zabłądzić, panie, znasz drogę do Chartres?, Chartres jest tam — powiedziałem wskazując ręką — tam, gdzie gwiazda północna, jeżeli ruszycie zaraz w drogę, będziecie w Chartres nad ranem, noc była bardzo jasna, bo już pełnia księżyca wznosiła się nad łąkami w dole, pomyślałem, że zaraz odjedzie, i zapragnąłem, aby tego nie uczynił, byłeś w Chartres? — spytał, nie, panie — odpowiedziałem — nigdy w Chartres nie byłem, ale chciałbym zobaczyć kościół, który buduje hrabia Ludwik, ponieważ mówią ludzie, że będzie to najpiękniejszy kościół na świecie, przyglądał mi się chwilę w milczeniu, potem powiedział: hrabia Ludwik? któż to jest hrabia Ludwik? zrozumiałem wówczas, że po raz pierwszy musiał się znaleźć w naszych stronach, i powiedziałem: jest panem całej tej ziemi, panem Vendôme, hrabią na Chartres i Blois, tylko tyle — powiedział, o nie! — zawołałem — jest sławnym

rycerzem, złożył przysięgę, że zdobędzie Jerozolimę i uwolni z rąk pogan grób Jezusa, naraz z głębi nocy dobiegły skoczne dźwięki lutni, wtórowały im taneczne bębenki i gęśle, zabawa jest w naszej wsi — powiedziałem, ponieważ rzeczywiście tego wieczora była u nas zabawa, był ślub Agnieszki, starszej siostry Maud, znów pomyślałem, że zaraz ruszy w dalszą drogę, i powiedziałem: jeżeli nie chcecie jechać nocą, w Cloyes znajdziecie wygodny spoczynek, wolałbym z twojej gościny skorzystać — powiedział na to, a mnie serce mocniej zabiło, żartujecie, panie, mój szałas jest ubogi, nie lubisz go?, przeciwnie — zawołałem — kocham go, uśmiechnął się wtedy i jego jasne oczy wydały mi się jeszcze jaśniejsze, zatem twoje uczucia czynią go bogatym, pomyśl, co po wspaniałościach obdarzanych niechęcią lub pogardą? bogactwo traci wówczas blask, piękno urodę, potęga siłę, tylko miłość potrafi każdą rzecz, nawet najskromniejszą, uczynić piękną, pamiętam, że chciał mówić dalej, powiedział: miłość, ale umilkł, ponieważ nie nazbyt daleko, w stronie, z której musiał przybyć, rozległ się ostry dźwięk myśliwskiego rogu, jego poszukują — pomyślałem i także pomyślałem, że jeszcze przy żadnym człowieku nie było mi tak dobrze, jak przy nim, którego pierwszy raz w życiu ujrzałem i nic o nim nie wiedziałem, tymczasem on podszedł do swego rumaka i uchwyciwszy jego uzdę wprowadził do lasu, słyszałem w ciszy, że przywiązuje go do drzewa, po czym wrócił do ogniska i wtedy jeszcze raz zabrzmiał głos rogu, Jakubie — powiedział — potrafisz zawołać dość głośno, żeby usłyszał cię tamten człowiek?, szczęśliwy, że żąda ode mnie jakiejś przysługi, nawet tak drobnej, jak ta, uśmiechnąłem się i z nogą wspartą o kamień, tylko głowę nieco przechyliwszy do tyłu, lekko, bo od wielu lat potrafiłem to robić, rzuciłem przed siebie, w ciszę nocy, przeciągły i gardłowy, pasterski, długo w powietrzu wibrujący okrzyk i ledwo ten ścichł, jeszcze raz krótko odezwał się róg, nigdy już go nie zobaczę — pomyślałem, wówczas on powiedział: za chwilę mój giermek powinien tu przybyć, ale jeśli spyta cię, czy przejeżdżał tędy samotny rycerz, powiedz mu, że tak, przejeżdżał przed paroma godzinami, pytał cię o drogę do Chartres i natychmiast odjechał, a wy, panie? — spytałem cicho, nigdy jeszcze, ojcze, w życiu nie skłamałem, ale w tej chwili nie myślałem, że muszę skłamać, czułem tylko radość, że mogę uczynić to, czego ode mnie żąda, w twoim szałasie zaczekam — powiedział — mój giermek wie, że lubię niekiedy być sam, w Chartres mnie odnajdzie, skryjcie się, panie — powiedziałem, ponieważ już słychać było tętent konia, i kiedy on wszedł do mego szałasu, tętent szybko się przybliżał, niebawem na wzgórzu wznoszącym się ponad ogniskiem ukazał się na skraju puszczy i w poświacie księżyca jeździec na białym koniu, chwilę tam stał, widziałem, że podniósł rękę do czoła i uważnie się dokoła rozejrzał, po czym galopem zjechał po łagodnej pochyłości, wydało mi się przez chwilę, że wjedzie wprost na mnie, lecz nie dalej niż o parę kroków ode mnie ściągnął lejce tak gwałtownie, iż wierzchowiec pod nim, wspiąwszy się przednimi kopytami, przysiadł na zadzie, jeździec był niewiele starszy ode mnie, najwyżej szesnaście lat mógł mieć, był ciemnowłosy, smagły i silnej budowy, miał na sobie krótką, srebrzystą tunikę, obcisłe nogawice z zielonego płótna, skórzane ciżmy, krótki mieczyk u pasa, na ramionach płaszcz purpurowy, smukły rumak wciąż się pod nim niecierpliwie rwał, lecz on wyprostowany trzymał się go mocno i chociaż w bezustannym ruchu, ani na chwilę nie

odrywał ode mnie, stojącego przy ognisku, swych ciemnych, pochmurnie patrzących oczu, ty krzyknąłeś? — spytał, tak — odpowiedziałem, jak się nazywasz?, Jakub — powiedziałem, a ja jestem Aleksy Melissen — powiedział — przejeżdżał tędy samotny rycerz? przed paroma godzinami, jeszcze za dnia, i co?, pytał o drogę do Chartres, i co? — powtórzył natarczywie, tam jest Chartres — wskazałem ręką, dawno odjechał? — spytał, natychmiast — odpowiedziałem — musiał się spieszyć, tamten wciąż nie odrywał ode mnie swych ciemnych, pochmurnych oczu, jesteś pewien, że ów rycerz naprawdę odjechał?, nie wierzysz?, wtedy się roześmiał, wierzę — powiedział i wyminąwszy mnie podjechał pod szałas, czemu miałbym nie wierzyć — powiedział głośniej niż mówił do tej pory — Ludwik z Vendôme, hrabia na Chartres i Blois nie ma powodu, aby ukrywać się przed swoim wychowankiem i spadkobiercą, po czym nagle schylił się ku ziemi i podniósłszy rzemienny harap leżący na trawie, przy wejściu do szałasu, podjechał z tym harapem w ręku do mnie, miałeś słuszność — powiedział — mój pan istotnie musiał się śpieszyć, bowiem nawet tej zguby nie zauważył, patrzyliśmy przez chwilę na siebie w milczeniu, nie znałem, ojcze, do tej pory uczucia nienawiści, lecz jego w tej chwili nienawidziłem, do zobaczenia, Jakubie — powiedział — jeszcze się spotkamy, i smagnąwszy harapem swego wierzchowca pomknął zboczem ku pastwiskom leżącym w dole, tam odwrócił się i podniósł rękę w moją stronę, lecz ja nie poruszyłem się, stałem przy ognisku, płomienie już wygasły i tylko resztki żaru świeciły słabym poblaskiem, tamten szybko się teraz oddalał, niebawem tylko biały i jak gdyby ponad ziemią pomykający kształt jego konia majaczył, po czym i on zaniknął w przymglonej przestrzeni, była cisza, wysokie dźwięki lutni snuły w oddali skoczną melodię taneczną, wciąż stałem przy dogasającym ognisku, aż naraz, nie słysząc kroków, tak musiały być ciche, ujrzałem u swych stóp cień zbliżającego się człowieka, stał chwilę za mną bez słowa, aż wreszcie powiedział półgłosem: dziękuję ci, Jakubie, wtedy powiedziałem i jeszcze chyba ciszej niż on: domyślałem się w was szlachetnego rycerza, ale nie przypuszczałem, że jesteście panem tak potężnym, wówczas on, wciąż stojąc za mną, lecz nie dalej niż o pół kroku, zawołał: ja, panem potężnym? wierz mi, tylko złudą, złudą i pozorem jest moja potęga, nawet domyślić się nie możesz, jak bardzo innym od Ludwika istniejącego w twojej wyobraźni jest Ludwik, który stoi przy tobie, ponieważ z nas dwóch ty jesteś stokroć od Ludwika bogatszy, jesteś młody, jesteś piękny, a spojrzenie twoich oczu zaraz w pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, powiedziało mi, że masz duszę równie piękną i czystą, wskaż mi bogactwa większe od tych, które posiadasz, jeszcze przed chwilą, gdy stałem w ciemnościach szałasu, wydawałeś mi się snem nazbyt doskonałym, aby był rzeczywistością, ale na szczęście nie jesteś snem, nie mylą mnie zmysły, widzę cię, dotykam dłonią twego ramienia, które wzruszająco pod moją dłonią drży, żyjesz, poruszasz się, oddychasz, istniejesz, a jeśli się wydajesz z innej materii ukształtowany niż wszyscy ludzie, to chyba dlatego, że na skutek swych niepojętych i tajemniczych działań, a szczególnie dzięki boskiemu natchnieniu, które w sobie nosi, natura tylko raz jeden potrafi z powszednich elementów stworzyć istotę równie, jak ty, doskonałą, cudowną niepowtarzalnością nasycając zarówno poszczególne elementy, jak i całość, po czym, gdy milczałem, obrócił mnie ku sobie delikatnym ruchem

i spytał: nikt ci dotychczas nie mówił, że jesteś piękny?, odpowiedziałem: w taki sposób, jak wy, panie, nikt, i mówiłem prawdę, ponieważ nie znałem swojej twarzy i chociaż wiedziałem, że coraz częściej mówią o mnie we wsi już nie, jak dawniej: Jakub Znaleziony, ale Jakub Piękny, nikt mi dotychczas o tym w taki sposób, jak on, nie mówił, widziałem jego twarz tuż przy swojej, powiedział po chwili: jest ci to może niemiłe?, nic, co wy, panie, mówicie, nie jest mi niemiłym — odpowiedziałem, bo tak rzeczywiście czułem, wtedy położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: już późno, czas się udać na spoczynek — przez moment, ponieważ powieki wciąż miał półprzymknięte, a zmierzch wiosenny coraz głębszymi cieniami kładł się na ziemię, wydało mu się, że jest noc i wśród jej spokoju i ciszy idzie o boku tamtego człowieka ku pobliskiemu szałasowi, już mieli obaj wejść do niego, gdy chrapliwy wrzask wron przelatujących nisko nad ziemią rozjaśnił ciemność nocy, był zmierzch wśród rozległej wiosennej równiny, słyszał ciężki oddech idącego obok starego człowieka, mówił dalej: potem leżeliśmy obok siebie na moim twardym posłaniu, pamiętam, mówił: kiedy samotny jechałem przez puszczę, byłem śmiertelnie smutny, świat mi się wydawał jednym ogromnym obszarem nędzy i cierpienia, człowiek istotą zagubioną, życie bez nadziei, a oto ledwie cię ujrzałem stojącego przy ognisku, mrok świata natychmiast stał się nie tak ciemny, zagubienie człowieka nie tak ostateczne, życie nie całkiem wystygłe, pomyśl, jakie bogactwa w sobie posiadasz, jeśli samym swym istnieniem możesz wskrzeszać nadzieję, zabijać nadzieję — myślał stary człowiek — ponieważ nie kłamstwa, lecz prawda zabija nadzieję, i już prawie wiedział, co powinien uczynić, choć jeszcze nie wiedział, czy to uczynić potrafi, leżałem na wznak, z otwartymi oczami, ciemność mając nad sobą, a ponad nią mgliście poprzez sklepienie szałasu przeświturającą poświatę księżyca, już chciałem powiedzieć: nie znasz mnie, panie, gdy usłyszałem na dworze cichy szelest czyichś kroków, wtedy wstałem i wyszedłem na dwór, od razu w dziewczynie stojącej przede mną poznałem Blankę, czego szukasz? — spytałem, ciebie — odpowiedziała — pocałuj mnie, a kiedy milczałem, podeszła bliżej, głupia Maud — powiedziała — leje łzy dlatego, że cię nie ma na zabawie i nie może za tobą tęsknie wodzić oczami, ale ja jestem inna niż ona i nie potrzebuję, żebyś za mną wodził oczami, wystarczą mi ciemności twego szałasu, możesz mnie nie widzieć i ja mogę nie widzieć ciebie, wystarczy mi, że mnie weźmiesz tak, jak mężczyzna bierze kobietę, idź — powiedziałem, boisz się? — zaśmiała się — jeżeli jeszcze nie miałeś żadnej dziewczyny, ja cię nauczę, zobaczysz, że gdy we mnie wejdziesz, będziesz to chciał powtarzać ze mną co noc, idź — powtórzyłem, stała tak blisko, iż widziałem, jak zbladła i oczy jej zwęziły się i pociemniały, kto jest w twoim szałasie? — spytała, nikt — odpowiedziałem, kłamiesz — i chciała mnie uderzyć, lecz nim zdążyła to uczynić, przychwyciłem jej rękę w przegubie, szarpnęła się, puść — powiedziała i kiedy rozluźniłem palce, powiedziała szybko oddychając: będziesz mnie jeszcze na kolanach błagać, żeby mnie wziąć, i już nie musiałem po raz trzeci powiedzieć: idź, ponieważ gwałtownie się ode mnie odwróciwszy poczęła zbiegać ku łąkom w dole, chwilę jeszcze stałem, a gdy przestałem ją widzieć, wróciłem do szałasu i położyłem się na posłaniu, nie widziałem go, ale wiedziałem, że nie śpi, długo leżeliśmy obok siebie w milczeniu, wreszcie spytał: to była

twoja dziewczyna?. nie mam dziewczyny — odpowiedziałem, dlaczego? — spytał, nie wiem — odpowiedziałem — chyba dlatego, że żadnej nie kocham, ciebie kochają — powiedział, nie wiem — odrzekłem, po czym znów była cisza, słyszałem świerszcze śpiewające wśród traw dokoła szałasu, myślałem: nie wiem. kim był mój ojciec. chciałbym. aby on był moim ojcem, zasypiasz? — spytał cicho. nie. panie, mnie też odeszła senność — powiedział i wyczułem, że obie dłonie podłożył sobie pod głowę, twoi rodzice czy żyją? — spytał, nic nie wiem o moich rodzicach — mówiłem — nie wiem, kim był mój ojciec i kim była moja matka. opowiadał mi kiedyś jeden stary człowiek z naszej wsi. stary kościelny. że gdy mnie znaleziono niemowlęciem u drzwi kościoła, była akurat krótka burza. a potem zaraz wyjrzało słońce i wielka tęcza ukazała się na niebie, mógłbyś być moim synem — powiedział — chciałbym mieć takiego syna. jak ty. gdybym miał takiego syna, jak ty. wiedziałbym, że może osiągnąć to. czego ja dokonać nie potrafiłem, czułem, że łzy wzbierają mi się pod otwartymi powiekami. było mi dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu, nie znasz mnie. panie — powiedziałem, wówczas on powiedział: jeżeli drugi człowiek jest tylko ciemną tajemnicą, trudno go pokochać, ale jeśli nie ma w nim nic z tajemnicy. również kochać go nie podobna, ponieważ miłość jest poszukiwaniem i odkrywaniem. dążeniem i niepewnością, pośpiechem i oczekiwaniem. niecierpliwym, ale zawsze oczekiwaniem, jest owym szczególnym i jedynym stanem pragnień i pożądań, czystych i mrocznych. szczególnym i jedynym stanem pragnień i pożądań. które dążąc do zaspokojenia domagają się nieprzekroczenia ostatecznej granicy ostatecznego zaspokojenia. bowiem miłość, cała z racji swej natury będąc gwałtowną potrzebą zaspokojenia, nie jest nim, nie jest zaspokojeniem i nigdy nim stać się nie może, gdybym cię znał. nie mógłbym złożyć w tobie moich pragnień. ponieważ one żądają dla siebie niewiadomej miary. ale gdybym nic o tobie nie wiedział i nic nie potrafiłbym sobie o tobie dopowiedzieć. również cofnąłbym się przed tobą jak przed zdradziecką przepaścią w górach albo przed gwałtownym wirem rzeki, miłość jest wołaniem i poszukiwaniem, jest zaborcza. ale wszelkie zaspokojenie pragnień zabija ją, jest bezustannie spragniona, ale wszelkie zaspokojenie pragnień uśmierca ją, jest rozpaczą pomiędzy sprzecznymi żywiołami, jest samotnością pomiędzy sprzecznymi żywiołami, ale i jest także nadzieją. ciągle nadzieją pomiędzy sprzecznymi żywiołami — myślał stary człowiek, słuchając tych słów: tobie jednemu, ze wszystkich najbardziej czystemu i niewinnemu, tobie, który jednego słowa nie skłamałeś i cienia myśli nie zataiłeś, tobie jednemu nie mogę dać rozgrzeszenia i ciebie jednego nie mogę pobłogosławić — zapamiętałem słowo po słowie, wszystko, co mówił, ponieważ nie rozumiejąc wszystkiego, co mówił, słuchałem jego słów jak muzyki i teraz, u twego boku idąc, ojcze, potrafię z tamtej nocy, gdy leżałem obok niego, ciemność mając ponad otwartymi oczami, a jeszcze wyżej mglisty poblask księżyca przeświecający poprzez sklepienia szałasu, potrafię z tej nocy, gdy obok niego leżałem wstrzymując oddech, powtórzyć każde słowo, jakby żyły one teraz i tylko teraz tuż obok mnie, powiedziałem w pewnej chwili: panie, nigdy nie miałem ojca, ale zawsze pragnąłem mieć ojca, wtedy długo milczał i wreszcie. nie uczyniwszy żadnego ruchu, aby mnie objąć, jak syna, a czego pragnąłem wszystkimi moimi pragnieniami, powiedział: do wielu wspaniałych czynów może zdążać tu, na ziemi, chrześcijanin, wielu wspania-

łych czynów może dokonać, ale ku czemukolwiek by nie dążył i czegokolwiek by nie dokonał, wszystkie dążenia i czyny muszą, podobnie jak gwiazdy, które bledną przy słońcu, zblednąć i przygasnąć wobec powołania najwyższego, tym zaś powołaniem najwyższym jest dalekie miasto Jerozolima, a w nim samotny grób Chrystusa, który ku hańbie wszystkich chrześcijan i ku niezatartej hańbie każdego chrześcijanina wciąż się od wielu lat znajduje w rękach pogańskich Turków, Bóg mi świadkiem — mówił po chwili milczenia — mówię to nie dlatego, iż od paru wieków, od chwili, kiedy największy rycerz chrześcijański, pan Godfryd de Bouillon, pierwszy po stuleciach upokarzającej niewoli przyniósł grobowi Chrystusa wolność, wszyscy moi przodkowie, wszyscy hrabiowie na Chartres i Blois, nie szczędzili mienia oraz wszelkich ofiar, aby służyć grobowi Jezusa w jego zmiennych losach, w godzinach jego triumfu i w godzinach samotnej niewoli, nie dlatego. Bóg mi świadkiem, to mówię, żebym z ofiar i z rycerskiej sławy moich przodków chciał czerpać nierozumną pychę, ale dlatego to mówię, że ów najwyższy cel przynaglający swym wezwaniem sumienie chrześcijanina, samotny grób Chrystusa, poddany pogańskiej niewoli w dalekiej Jerozolimie, stał przy mnie, odkąd sięgam pamięcią, był przy mnie zawsze, a i teraz, gdy już wiem, iż nigdy nie wejdę w bramy Jerozolimy i nigdy nie zostanie mi dane to szczęście, aby swoje grzechy i winy odkupić u grobu Chrystusa, teraz ten nieosiągalny dla mnie cel, najwyższy kształt ofiary i sławy, również stoi obok mnie nie dalej niż ty leżysz, gdy to mówił ściszonym głosem, ale bardzo wyraźnie, leżałem obok niego bez ruchu, wciąż na wznak i z oczami otwartymi, z oddechem w sobie, cały przeniknięty dziwną niemocą, niemocą, która była i szczęściem, i smutkiem, wydawało mi się, że gdybym zamknął oczy, natychmiast ujrzałbym pod powiekami potężne bramy i ogromne mury dalekiej Jerozolimy, a po chwili ujrzałbym również i samotny grób Jezusa, nie zamknąłem jednak oczu, leżałem z oddechem w sobie, śpisz? — zapytał, nie panie — odpowiedziałem, pamiętam, długo milczał, nim znów począł mówić, mówił: gdy miałem lat niewiele więcej, niż ty ich masz teraz, popełniłem dużo ciężkich przewinień, nie wiem, czy ze ślepej wiary, zła dokoła siebie nie dostrzegając, czy też dlatego, że zło było we mnie, a ja go moją wiarą chciałem uśpić, jakkolwiek było, ofiarą zła się stałem, czy też zło z naturalnej potrzeby czyniłem, wśród obszarów czasu, które są poza mną, moje uczynki na zawsze pozostaną moimi uczynkami i zarówno ich kształtu, gdy powstawały, jak i ich rozlicznych przeobrażeń w dalszym trwaniu nie zdoła odmienić ani moja dobra, ani moja zła wola, znów umilkł, pamiętam, że tym razem milczał jeszcze dłużej niż przedtem, wreszcie znów się odezwał i mówił: miałem lat niewiele więcej, niż ty ich masz teraz, gdy począł się spełniać sen mego dzieciństwa i mojej najpierwszej młodości, sen żarliwych pragnień i tęsknot, który nagle przyoblekać się poczynał kształtem życia, każdy z wielu dni, gdy poprzez obce ziemie zdążaliśmy na Wschód, potem na wenecjańskich galerach płynęliśmy morzem, każdy z tych wielu dni przybliżał mnie do oczekującego wyzwolenia grobu Chrystusa, nie wiedziałem wówczas, nawet w tę noc wiosenną, gdy my w białych płaszczach krzyżowców, rycerze chrystusowi, staliśmy pod potężnymi murami i basztami Konstantynopola zamiast stać pod murami Jerozolimy i miasto chrześcijańskie, niosąc mu gwałt, ogień i zniszczenie, zdobywaliśmy zamiast

szturmować mury i wieże Jerozolimy, nawet w tę straszną noc naszego wiarołomstwa i triumfującej żądzy ziemskiego panowania i ziemskich zdobyczy, nawet w tę noc zdrady Chrystusa wstępując i czyniąc to samo, co czynili inni rycerze, nie wiedziałem, że aż po ostatni oddech mego życia pozbawiam się najwyższego i jedynego celu mego życia i nic nie zyskując wszystko stracę, w tę noc moje dłonie, dotychczas niewinne, przestały być niewinnymi, ponieważ splamiła je niewinnie przelana krew, słyszysz mnie? — spytał, tak, panie — odpowiedziałem, a on mówił: lecz nim się skończyła ta haniebna noc zdrady, wiarołomstwa i zbrodni, pełna płomieni pożarów, krzyku kobiet i jęków mordowanych, nim pierwszy wiosenny brzask stanął nad tą otchłanią zbrodni i cierpienia, stało się tak, iż zrozumiałem, że nie łamiąc prawa ludzkie i boskie, nie mieczami splamionymi niewinną krwią i nie ciemne i ciężkie żądze kryjąc w sercu i w myślach, lecz tylko w zbroi niewinności i z czystym sercem pod ową zbroją można dotrzeć do bram Jerozolimy, aby mogły się otworzyć przed tymi, którzy Chrystusowi spoczywającemu w samotnym grobie są najbliżsi, bowiem mówił: błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają, i również mówił: wchodźcie przez ciasną bramę, albowiem szeroka brama i przestronna jest droga, która wiedzie na zatracenie, a wielu ich jest, którzy przez nią wchodzą, natomiast ciasna brama i wąska jest drogą, która wiedzie do żywota, i mało tych jest, którzy ją znajdują, wtedy, przed ośmioma laty, u końca owej najcięższej w moim życiu nocy zrozumiałem, jakby mi to Bóg wszechmogący objawił, że wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy tylko dzieci chrześcijańskie mogą okazać łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, ponieważ ponad wszelkie potęgi na ziemi i na morzu ufna wiara oraz niewinność dzieci największych dzieł może dokonać, gdy to mówił, zamknąłem oczy i wtedy ciemnościami ogarnięty, lecz słysząc każde słowo, które on tuż obok mnie w ciemnościach leżący wypowiadał, po raz pierwszy ujrzałem ogromne mury i bramy Jerozolimy, złote dzięki światłu, które nie wiem, skąd się brało, z samych murów, baszt i bram, czy ze złotego poblasku, który ponad nimi ogarniał powietrze i niebo, potem słyszałem, że milczy, lecz wciąż będąc przy nim byłem również i pod ogromnymi murami i bramami Jerozolimy, które spoczywały pod moimi zamkniętymi powiekami nasycone złotą poświatą, posłyszałem nagle jego bliski i łagodny głos: świtać już będzie niedługo, pora zasnąć, z pierwszym świtem muszę odjechać, wtedy spytałem: czy ujrzę cię jeszcze kiedyś, panie?, gdyby to tylko ode mnie zależało — powiedział — mógłbyś być przy mnie zawsze i aż do końca, Aleksy Melissen — powiedziałem — wie, że skłamałem, skłamałem — powiedział — że Aleksy Melissen jest moim giermkiem, istotnie jest moim wychowankiem i chociaż obcego pochodzenia, był do tej pory spadkobiercą mojego imienia, powiedz mi, panie — powiedziałem — miasto Jeruzalem jest bardzo dalekie?, dalsze niż przypuszczasz i niż możesz to sobie wyobrazić — odpowiedział — dalsze, ale również i bliższe, niż to można zmierzyć czasem i przestrzenią, które nas od niego dzielą, widziałem przed chwilą mury i bramy Jerozolimy — powiedziałem i gdy to powiedziałem, była długa cisza, śpij — powiedział — a jeżeli potrafisz czekać, wrócę tu któregoś dnia, ale nie nocą, jak dzisiaj, tylko w samo południe, czy mury i bramy Jerozolimy są rzeczywiście złote? — spytałem, nie wiem — odpowiedział — nigdy nie widziałem murów i bram Jerozolimy

i nigdy ich nie zobaczę, ale jeśli ty je takimi widzisz, to na pewno trwają one w dalekim czasie i w dalekiej przestrzeni w kształcie zgodnym z twoim widzeniem, śpij — powiedział, i wtedy, pamiętam, już cały snem ogarnięty, snem, który był niemocą pełną szczęścia i smutku, powiedziałem: będę czekać, panie, i już nic więcej z tej nocy nie pamiętam, gdy zbudziłem się o pierwszym świcie i jeszcze oczy miałem zamknięte, cały jeszcze we śnie, usłyszałem wilgotny gwizd wilgi, której wzywanie zawsze mnie o świcie budziło, ale wówczas, zbudzony ze snu tym niedalekim głosem, natychmiast wiedziałem, że jego obok mnie już nie ma, leżałem na moim posłaniu bardziej sam niż kiedykolwiek przedtem, chociaż zawsze budziłem się w moim szałasie sam, pomyślałem: wszystko to było snem, i nawet, kiedy to pomyślałem, zapragnąłem, żeby to był tylko sen, ale w tej samej chwili, gdy tego zapragnąłem, strach mnie ogarnął, usiadłem na posłaniu i wtedy zobaczyłem na mojej ręce drogocenny pierścień, ten sam, który teraz widzisz, ojcze, na moim palcu, gdy odchodził, a ja spałem, musiał mi go wsunąć na palec, wówczas ukląkłem i odmawiając poranną modlitwę dziękowałem Bogu wszechmogącemu, że to nie był sen, a potem, potem przez wiele dni czekałem i byłem szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w życiu, aż wreszcie jednego wieczora przybył Aleksy Melissen i gdy mi to powiedział, spytałem: byłeś przy nim?, byłem — odrzekł — wiosenne rzeki są zdradliwe, i nie mogłeś go uratować?, nie — powiedział — to się stało tak szybko, jak szybko kamień idzie na dno, myślałem wtedy, gdy to mówił: gdybym był przy nim, potrafiłbym go uratować, a potem, kiedy odszedł i zostałem sam, tej nocy, leżąc bez snu, po raz pierwszy usłyszałem w ciemnościach jego głos, który mówił: opuść, Jakubie, swój szałas, idź pomiędzy dzieci i gdziekolwiek je znajdziesz, w małej czy licznej gromadzie, powiedz im: objawił mi Bóg wszechmogący, aby wobec bezdusznej ślepoty królów, książąt i rycerzy dzieci chrześcijańskie okazały łaskę i miłosierdzie dla miasta Jerozolimy, mój synu — powiedział stary człowiek i zatrzymał się pośrodku drogi, stał wśród gęstniejącego zmierzchu ogromny i ciężki w swym grubym brązowym habicie, a gdy obrócił się twarzą ku idącym, zatrzymali się pierwsi, potem ci, co szli za nim, przez chwilę to uspokojenie przenikało aż po ostatnich w pochodzie, teraz już prawie niewidocznych, stała się cisza, pomyślał: gdybym był posłuszny tylko memu głosowi wewnętrznemu, poszedłbym razem z nimi, wiedząc, że idę po zgubę własną i ich wszystkich, lecz po drodze do zguby ogarnięty cieniami nadziei, a w chwilach szczególnego uniesienia może nawet w złączeniu z ich niewiedzą sam łaski niewiedzy dostępując, tak bym uczynił, gdybym był posłuszny tylko mojemu głosowi wewnętrznemu, ale oto innemu głosowi poddany nie uczynię tego, co chcę, ale to, czego nie chcę, to uczynię, mój synu — powtórzył, Jakub stał obok z pochyloną głową, drobny i jasnowłosy, była cisza, więc nie musiał głosu zbytnio natężać, aby zostać dosłyszanym przez stojących nie opodal w ciasno stłoczonej i ginącej po krańcach w oddali gromadzie, synu mój — powiedział i głos mu cokolwiek zadrżał — nie mogę ci udzielić ani błogosławieństwa, ani rozgrzeszenia, ujrzał przed sobą pobladłą twarz Jakuba, a w jego oczach zdumienie, które nagle zmieniło się w śmiertelny strach, więc myśląc: Boże, dodaj mi sił, ponieważ nie może się sprawdzić mój okrutny sen, wyciągnął wszerz ramiona i tak stojąc pośrodku drogi, już prawie w mroku, naprzeciw milczącej i nieruchomej gromady, ogromny

i z ramionami wyciągniętymi w poprzek milczącej i nieruchomej gromady, zawołał mocnym głosem: dzieci moje, najmilsi moi, cofnijcie się póki czas i wróćcie do swoich domów, bowiem w imię Boga wszechmogącego i pana naszego Jezusa Chrystusa zabraniam wam iść za tym, którego nie mogę ani pobłogosławić, ani dać mu rozgrzeszenia, wtedy Jakub krzyknął głosem skrzywdzonego dziecka: Aleksy!, i gdy tamten, wciąż stojąc pośrodku drogi z rozkrzyżowanymi ramionami, wołał: proszę was, dzieci moje, proszę was i rozkazuję wam, słowa pieśni kościelnej: *O Maria, virgo davidica, virginum flos, vitae spes unica* — zaintonowane silnym głosem Aleksego podjęło natychmiast sto głosów innych, głusząc wołanie starego człowieka stojącego z rozkrzyżowanymi ramionami pośrodku drogi, potężniał śpiew, bowiem po chwili szedł już i z najodleglejszych krańców gromady, Jakub stał wśród tego śpiewu nieruchomy i pobladły, chodź — posłyszał przy sobie głos Aleksego, poczuł jego dłoń na swojej i wciąż ogarnięty potężniejącym dokoła śpiewem poddał się mocnemu uściskowi tej dłoni, przeszedł jak we śnie obok bezgłośnie wołającego człowieka, który w swym brązowym habicie stał pośrodku drogi z rozkrzyżowanymi i nienaturalnie długimi ramionami, minął go, wciąż z dłonią bezwładnie spoczywającą w silnej dłoni Aleksego, przed nimi była noc, i wtedy, gdy tylko chłód wilgotnej ziemi czuł pod bosymi stopami, a na dłoni dłoń Aleksego, zdał sobie sprawę, że nie idą sami, wielki śpiew stał się nagle jeszcze ogromniejszy, chciał się zatrzymać, chodź — powiedział Aleksy i mocniej ścisnął jego rękę, natomiast stary człowiek z ramionami rozkrzyżowanymi w gęstniejących ciemnościach, ogarnięty zewsząd śpiewem dziecięcych głosów, już nie samotny pośrodku drogi, lecz, sam nieruchomy, omijany przez wolno się posuwający i ciasno stłoczony tłum, wołał, przez nikogo nie słyszany, widząc o krok od siebie przesuwające się głowy, białe suknie i nagie ramiona, widząc nad sobą bardziej od zmierzchu czarne krzyże, białe chorągwie i niebo nad nimi jeszcze bez gwiazd, wołał: błogosławię wszystkich i wszystkich was rozgrzeszam z grzechów już popełnionych i z tych, które popełnicie, ponieważ, gdy nie ma nadziei, tylko pragnienie nadziei, wtedy, gdy to wołał, zachwiał się, ponieważ mały i pełen śpiewu chłopiec niosący krzyż dwukrotnie od siebie większy, potrącił krzyżem jego wyciągnięte ramię, poczuł w sobie zimny chłód bólu, czuł, że mu ramię jak złamane skrzydło bezwładnie opada, schylił się, żeby je z ziemi podjąć, i ciaśniej niż dotąd ogarnięty ciepłem przesuwających się dokoła białych sukien, białych tunik i nagich nóg, ale nagle ogromny śpiew słysząc wyżej ponad sobą niż go słyszał był do tej pory, upadł na kolana i mimo grubego sukna habitu poczuł pod kolanami wilgotną miękkość ziemi, poczuł zapach ziemi, a zaraz potem ślepo macającymi dłońmi poczuł pod dłońmi wilgotność ziemi, błogosławię was — powiedział bardzo wyraźnie, choć wilgotną ziemię miał tuż przy twarzy, i tak przywiązany do ziemi kolanami i dłońmi, nic przez moment nie widząc, ale otwartymi ustami wdychając wilgotny zapach ziemi i wysoko ponad sobą słysząc ogromny śpiew powoli przesuwający się wśród ciemności, całym sobą, całym swym ogromnym i ciężkim ciałem dotknął ziemi, leżał teraz na wznak i oczy miał otwarte, czuł pod głową, pod plecami i również pod bezsilną bezwładnością nieruchomych nóg czuł wilgotną ziemię, nigdy nie zobaczę Jerozolimy — pomyślał i śpiew wysokich dziecięcych głosów słyszał na wysokościach już tak dalekich, że były mu obce i obo-

jętne, natomiast bose i brudne i potem i ziemią cuchnące stopy dziecięce wchodziły w jego brzuch, w jego piersi i ramiona, w jego twarz, wchodziły w niego jak w wilgotną ziemię, leżał na wznak i nagle ciemniejącymi oczami zobaczył ciemność zamykającą się bezgłośnie ponad nagimi udami i bosymi nogami, które go coraz głębiej w wilgotną ziemię wdeptywały, pomyślał: nie kłamstwa, lecz prawda zabija nadzieję, i wówczas, gdy to pomyślał, stała się ciemność i w nim, i ponad nim, stało się przerażenie, potem strach większy od poprzedniego przerażenia, wciąż ściskając dłoń Jakuba i wraz z nim idąc w głąb nocy, śpiewem obaj ogarnięci, powiedział Aleksy, gdy poczuł, że dłoń Jakuba drży: jeżeli rozkażesz, będziemy iść całą noc, idźmy — powiedział Jakub.

I szli całą noc.

Wrzesień 1959

Jerzy Andrzejewski

Nguyen Trai

ORĘDZIE O UŚMIERZENIU NGO[1]

Słyszeliśmy po wielekroć:
Człowieczeństwo i sprawiedliwość polegają głównie na zapewnieniu ludowi spokoju
I nie należy dobywać broni jak tylko dla powalenia niegodziwości.

Kraj nasz, Wietnam,
Od dawna utwierdził swoją cywilizację,
Terytorium jego jest jasno określone.
W naszym kraju na południu i w Chinach na północy
Obyczaje nie są jednakie.
Dynastie Dinh, Le, Ly, Tran[2]
Ustanawiane były w rejonach niepodległych
W tej samej mierze, co dynastie Han, Duong, Tong, Nguyen.[3]

Zależnie od epoki
Kraj nasz to okazywał siłę, to czasami słabość,
Lecz nigdy nie zbywało mu na bohaterach.

I bywało tak,
Że Luu Cung[4] zdjęty był przerażeniem wobec naszej potęgi,
Że Trieu Tiet[5] drżał przed imieniem naszej sławy.
U ujścia Ham Tu potoczyła się głowa Toa Do[6],
Na rzece Bach Dang ujęty został O Ma[7]:
Świadectwa historii
Są w tym względzie olśniewające.

Ostatnio,
Na skutek złej polityki dynastii Ho[8],
Niezadowolona ludność podniosła bunt.
Korzystając ze sposobności
Barbarzyńskie watahy Mingów[9] wdarły się do naszego kraju
I zdrajcy na wyniosłych stolcach wydali im ojczyznę.
Iluż poddanych Naszych spłonęło na stosach barbarzyństwa!
Iluż niewinnych pogrążono w czeluści nieszczęścia!

Użyto tysiąca podstępów
W ciągu dwudziestu zaledwie lat tego zbrodniczego okresu.
Żadnych uczuć ludzkich: cały naród zdawał się pokonany!
Góry nasze i jeziora,
Wszystko było ogałacane, by spłacić nałożone ciężary!
Na rzecz najeźdźców przetrząsano lasy, wwiercano się w kopalnie,
Schodzono na dno morskie dla połowu pereł,
Zastawiano pułapki na czarne jelenie
Oraz sieci dla chwytania bażantów.
Nie oszczędzono ni owadów, ni roślin, ni drzew.
Biada! Ileż nieszczęścia i łez! Ileż wdów i wdowców!
Krzyczano z głodu,
Podczas gdy oni śmiali się z dosytu.
Najlepszymi nawet kąskami
Przenigdy nie można ich było zaspokoić!
Dziś należało wznosić budowle,
Nazajutrz zrównywać ziemię,
Skądże było brać rąk na wszystkie te posługi?
Służby były ciężkie,
Dla ich spełnienia pustoszały warsztaty.
Cóż za barbarzyństwo! Wszystkich bambusów dżungli
Nie starczyłoby dla spisania tylu zbrodni!
Jakaż hańba! Wszystkich wód morskich
Nie starczyłoby dla zmycia obmierzłości!
Jakże niebo i ziemia mogły ich cierpieć bezkarnie,
Jakżeż bogowie mogli okazać obojętność!
Co się tyczy Nas,
To, wycofawszy się w odludzie
Oraz wzniósłszy na szczycie Lam Son[10] sztandar powstania,
Poczuliśmy, spoglądając na cierpiącą ojczyznę,
Natchnienie wiekowej nienawiści
I zaprzysięgliśmy śmiertelną walkę z wrogiem.

Lat ponad dziesięć,
Nie bacząc na deszcz i spiekotę,
Ze zbolałym sercem i skołataną głową,
Racząc się żółcią i spoczywając na cierniach,
Znosiliśmy długo rozliczne udręki.
W gniewie zdarzało się Nam zapominać o posiłku,
Nieustannie staraliśmy się doskonalić
W umiejętnościach strategii i taktyki.
Powtarzaliśmy sobie przykłady przeszłości,
Aby poznać do głębi prawa wielkości i upadku,
Widziadła niepokoiły Nas podczas godzin snu
I do żywa paliło Nas dzieło oswobodzenia.
Kiedy Nasz sztandar się podnosił,
Nieprzyjaciel stał jeszcze u szczytu potęgi.

Niestety! Owej chwili
Bohaterowie wokół Nas byli nieliczni jak gwiazdy o świcie,
Talenty jak liście na gałęziach jesiennych.
Nie stawało Nam pomocników,
Brakowało Nam doradców,
Stoczyliśmy wprawdzie kilka bitew,
Lecz oczy Nasze wyblakły, wypatrując pochodu na Wschodnią Stolicę.[11]
Wypatrywaliśmy długo:
W powozie Naszym miejsce, przeznaczone dla męża wielkich darów,
pozostawało puste!
Wypatrywaliśmy daremnie, jak gdyby oczy Nasze spozierały w mgłę,
I musieliśmy wszystko obsprawiać sami, śpiesząc się jak dla ratowania
tonącego.
Pełni gniewu wobec wroga, który przed niczym się nie wzdragał,
Byliśmy zarazem pełni niepokoju o losy ojczyzny.
W Linh Son[12] brakowało Nam tygodniami żywności,
W Khoi Nguyen[13] nie pozostało Nam żadnego wojska!
Mniemając, że być może Niebo zechciało obarczyć Nas ciężkim jarzmem
I zmusić Nas do przejścia przez tysiąc prób,
Nie ustawaliśmy w Naszych wysiłkach,
Stając we wszystkich potrzebach i drwiąc tysiąckroć ze śmierci.
Armia zbierała siły, sztandary jej rozwijały się,
Ludność witała ją powszędy i zewsząd znosiła żywność,
Podczas festynów zroszonych aromatycznym winem
Wszyscy, od generała do prostego ciury, ożywieni byli duchem rodzinnej
jedności.
Nieprzyjaciel był silniejszy od nas,
A przecie z powodzeniem stawialiśmy mu czoła,
Był liczniejszy,
A przecie zawsze był pokonywany.

I tak oto sprawdziła się owa prawda,
Że sprawiedliwość triumfuje nad okrucieństwem,
Człowieczeństwo zaś nad barbarią.
Piorun jął grzmieć w bitwie pod Bo Dang,
W rejonie Tra Lan nieprzyjaciel został pobity,
Duch Naszych wojsk umocnił się,
Sława ich wzrastała.
Ogarnięci popłochem Tran Tri, Son Tho, Phung Chinh, Quy An[14]
Szukali wybawienia w zapamiętałej ucieczce.
Rozbiliśmy odwody nieprzyjacielskie zdobywając Stolicę Zachodnią[15],
Później odzyskaliśmy i Wschodnią Stolicę.
Pod mostem w Ninh Giang krew wraża lała się strumieniami,
Pod Tuy Long zwłoki zalegały pole.
Tran Lap poddał się, Ly Luong[14] został zabity,
Vuong Thong[14] zużył wszystkie swoje rezerwy,
Ma Anh[14] nie potrafił już ratować położenia.
Doprowadzeni do ostateczności

Nieprzyjaciele Nasi nie wiedzieli, czego się mają imać.
To mając na względzie, użyliśmy podstępu i groźby, aby podkopać ich ducha,
Tak że wszyscy zostali bez bitwy pokonani.

Mniemaliśmy, że po tym wszystkim
Nieprzyjaciel, zmądrzawszy, myśl swoją winien odmienić
I wycofać się w porę.
On wszakże usiłował na wszelki sposób
Do starych zbrodni dodać nowe.
Nawykły do przekonania o własnej słuszności
I stałej niesłuszności innych,
Spragniony był sukcesu nawet za cenę niesławy.
I to do tego stopnia, że taki dzieciuch, jak Tuyen Duc [16],
Goniąc za wojowniczymi mrzonkami,
Mógł był nakazać takim tchórzom, jak Moc Thanh [17] i Lieu Thang [17],
Wtargnąć ponownie do naszego kraju, aby dolać oliwy do ognia
W nadziei, że pożar opanuje!
Dziewiątego miesiąca roku Kozy [18]
Lieu Thang [17] wyruszył z Khau An,
Moc Thach [17] natomiast z Van Nam,
Aby najechać nasz kraj.
Myśmy wszakże zawczasu wydali rozkazy Naszym oddziałom:
Jedne z nich zatarasowały drogi,
Inne odcięły zaopatrzenie,
Osiemnastego Lieu Thang [17] został pokonany pod Chi Lang,
Ao [17] został zabity pod Ma Yen.
Dwudziestego ósmego zaś Ly Khanh [17] został przyparty do samobójstwa.
Hartowna klinga naszych wojsk
Zmusiła szpicę nieprzyjacielską do odwrotu.
Oddziały Nasze obległy cytadele
Zamierzając wytępić nieprzyjaciela do piętnastego dnia dziesiątego miesiąca.
Armia nasza była straszliwa niczym tygrys,
Władze i ludność cywilna wspomagały ją z całego serca.
Kiedy się ostrzy miecz o kamień,
Kamień ściera się po czasie.
Kiedy słoń pije ze strumienia,
Strumień w końcu wysycha.
W pierwszej bitwie nieprzyjaciel został rozproszony,
W drugiej zmuszony do ucieczki.
Pod uderzeniem wichru opadły obumarłe liście.
Mrówcze podkopy obaliły stare groble.
Thoi Tu [19] na kolanach prosił o łaskę,
Hoang Phuc [19] sam nałożył sobie pęta i tak prosił o kapitulację.
Trupy zaścieliły równiny Lang Giang i Lang Son,
Pod Xuong Giang i Binh Than wody spłynęły krwią.
Smutne to było i straszne: chmury zmieniły barwę
I pomroczniał dzień.
Armia Van Nam'a [19], ściśnięta pod Le Hoa, zdjęta była przerażeniem,

Oddziały Moc Thanh'a [19] uległy pod Thuong Tram rozsypce.
Pod Lanh Cau krew lała się jak grzmiąca woda potoków,
Szkielety pokryły ziemię pod Dau Xa niby trawa łąkę.
Jako że obie armie przysłane w sukurs podały tył
I miasta ze zbójeckimi załogami,
Doprowadzone do ostateczności, poddały się,
Zaś wzięci do niewoli generałowie nieprzyjacielscy pokornie przyznali się do swych zbrodni,

My, w zgodzie z miłosierdziem Niebios,
Darowaliśmy im łaskawie życie.
Ma Ky [19] i Phouong Chinh [19] otrzymali od Nas 500 łodzi, aby mogli powrócić:
Z dala od brzegu serca ich wybijały jeszcze werbel klęski.
Vuong Thong [19] i Ma Anh [19] otrzymali od Nas parę tysięcy koni:
Wróciwszy do swego kraju, ciała mieli jeszcze pokryte zimnym potem.
W lęku przed śmiercią
Pokornie prosili o pokój.
Jako że życie Naszych żołnierzy i spokojność Naszego ludu
Były dla nas najpierwszą troską, wyraziliśmy zgodę.
I było to mądre postanowienie,
Którego nikt był przed Nami nie powziął.
I oto naród Nąsz jest uznany a kraj zjednoczony.
Zaćmione światło ponownie rozsiewa blaski,
Ludzie wzburzeni chwilowo ponownie odnaleźli pokój.
Zręby naszej kultury położone są mocno
I hańba nasza została zmyta na lat tysiące.
Święte cienie naszych przodków
Dobrze się przysłużyły krajowi.

Przebywszy kraj wzdłuż i wszerz,
Zbrojni w dumne pawęże,
Zdołaliśmy ustanowić pokój
Umacniający się na wszystkich rubieżach
I zapowiadający długi okres szczęśliwości.
Przeto ogłaszamy to Nasze orędzie,
Aby każdy powszędy był powiadomiony.

Zredagował *Nguyen Trai*
dla cesarza Le Thai To

Z przekładu francuskiego spolszczył

Witold Wirpsza

PRZYPISY

[1] Po okresie panowania dynastii chińskiej Ngo (po chińsku Ou) na początku naszej ery Wietnamczycy zwykli byli nadawać nazwę „Ngo" wszystkim Chińczykom.

[2] Dynastia Dinh 968—980; dynastia Le, starsza, 980—1009; dynastia Ly 1010—1225; dynastia Tran 1225—1400.

[3] Nazwy wietnamskie dynastii chińskich Han,T'ang, Song, Yuan.

[4] Luu Cung: nazwa wietnamska jednego z cesarzy z dynastii Han, którego wojska zostały pokonane przez cesarza Wietnamu, Ngo Quyen w r. 938.

[5] Thieu Tiet: nazwa wietnamska jednego z generałów chińskich z okresu dynastii Song, pokonanego przez wietnamskiego generała Ly Thuong Kiet w czasie panowania dynastii Ly.

[6] W czasie najazdu, dokonanego za panowania mongolskiej dynastii Yuan, generał chiński Toa Do został zabity w bitwie pod Tay Ket w r. 1285.

[7] Podczas słynnej bitwy rzecznej na Bach Dang został wzięty do niewoli osławiony z powodu swych okrucieństw generał chiński O Ma Nhi.

[8] Dynastia Ho (1400—1407), której założyciel, Ho Qui Ly, był, wbrew podanemu tu sądowi, wielkim politykiem i strategiem.

[9] Chińska dynastia Ming: 1368—1628.

[10] Lam Son: góra w prowincji Thanh Hoa.

[11] Hanoi.

[12] Góry w prowincji Thanh Hoa.

[13] Miejscowość w prowincji Thanh Hoa.

[14] Generałowie chińscy.

[15] Niedaleko Thanh Hoa.

[16] Tuyen Duc: cesarz chiński z dynastii Ming.

[17] Generałowie chińscy.

[18] 1428.

[19] Generałowie chińscy.

Stanisław Maria Saliński

OKRUCHY LUSTRA

FRAGMENT WSPOMNIEŃ O LUCJANIE SZENWALDZIE

Nie zachowałem w pamięci ani ściślejszej daty, ani miejsca pierwszego spotkania z Luckiem. W każdym razie było to gdzieś po wypadkach majowych 1926 roku. A miejsce? Prawdopodobnie „przysiadł się" do naszego stolika w „Kresach", zamieniłem z nim kilka słów i kontakt został od razu nawiązany. Łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi miał ogromną. Za drugim spotkaniem witało się go jako dobrego dawnego znajomego. Jeśli pierwsza nasza rozmowa trwała zaledwie kilka minut — a może tyleż, co ostatnia — następne spotkanie zapewne zaczęło się od kordialnego z jego strony: „Co słychać? Masz na pół czarnej? Tak, no to chodźmy..."

A co do owego przysiadania się. Stefan Flukowski trafnie zaobserwował i zapamiętał ten jego rys: coś, co znakomicie oddaje nieprzetłumaczalne rosyjskie określenie: *stremitielnost'*. Był ciągle niejako w przelocie, w pośpiechu, bynajmniej nie zawsze uzasadnionym. Coś z iskry. Nie wchodził — wpadał, nie usiadł — przysiadał się. Nawet gdy podawał rękę — podawał szybko, gwałtownie. Coś z iskry, coś z jaskółczego niepokoju. Niewysoki, krępy, zwarty w sobie, z nieco za wielką w stosunku do tułowia głową, z szeroką twarzą o mięsistych, puszkinowskich wargach, łatwo podatnych uśmiechowi, o gardłowym, zduszonym głosie, który nabierał niespodziewanej pełni i dźwięczności, gdy recytował, mocno i wyraźnie skandując rytm wiersza — takim zobaczyłem go po raz pierwszy i w jakieś niespełna dwadzieścia lat potem — ostatni. Niewiele zmienił się zewnętrznie przez te dwadzieścia lat, poznany w „Kresach" i spotkany w Lublinie w sierpniu 1944 roku niewiele różnili się między sobą. Ten z „Kresów" był już całkowicie niemal ukształtowany i dorosły, mimo iż miał wówczas niecałe dziewiętnaście lat, chłopiec ze szkolnej ławy. Tamten z Lublina zachował wszystkie cechy: nie urósł, spod daszka oficerskiej czapki wyrywały się te same uparte blond-wicherki, ten sam gardłowy głos, szeroki uśmiech soczystych warg, ten sam uchwyt ręki przy powitaniu: mocno ściskał dłoń i energicznym ruchem pociągał ją ku dołowi. Miał mocne, chwytliwe palce. Przyglądałem się im kiedyś uważnie, jak w piekielnym prestissimo latały po klawiaturze fortepianu, szybkie i matematycznie nieomylne.

„Przysiadł się" i przylgnął. W naszym przyjacielskim gronie, które później uformowało się w „Kwadrygę", był nabytkiem doskonałym. W „Kwadrydze", zespole wszelakich instrumentów o wszelakich brzmieniach, był instrumentem

wielogłosym. Diapazon Szenwalda był szeroki — swobodne poruszanie się w wielojęzycznych literaturach, poliglotyzm, muzykalność, no i — swoiste *elan vital* młodości, wspólne nam wszystkim, a którego na przykład zupełnie nie dostrzegł i nie zrozumiał Uniłowski we *Wspólnym pokoju*, urabiając karykaturalnie „kwadrygowców" na niedorosłych śledzienników, cyników i niemal wykolejeńców.

Muzykalność Szenwalda podbiła nas wszystkich. Nie wiem, czy kształcił się muzycznie pod czyimś fachowym kierownictwem, lecz u podłoża jego muzykalności leżały niewątpliwie zdolności wrodzone. Improwizował z maestrią, której nie nauczyłby się w żadnej szkole muzycznej. Miał doskonały słuch i znakomitą technikę. Na sympozjonach naszych w mieszkaniach, gdzie był fortepian, huczało i grzmiało od jego muzykowania. Klawisze same podbiegały mu pod palce, raz z Bachem, kiedy indziej — z Chopinem i Beethovenem, to znów — z błyskotliwą improwizacją na tematy chociażby piosenek ulicznych warszawskich, włoskich canzon, francuskich bergeretek. Kiedyś przy Złotej 43 zaimprowizował cały poemat muzyczny na temat piosenki żołnierskiej garibaldczyków: *O, biondina capriciosa, Garibaldina tra-la-la....* Zdolności wrodzone Lucka zostały niewątpliwie ukształtowane przez jego matkę. Opowiadał mi kiedyś, że matka jego zna całego Beethovena na pamięć. Jeśli tak było — a raczej nie fantazjował, gdyż o porzuconym domu swoim mówił acz mało, lecz bez blagi — musiała to być nie lada pianistka. Tak samo prawdopodobnie z domu wyniósł znakomitą znajomość angielskiego. Ojciec jego rozczytywał się w angielskiej literaturze w oryginale, a szczególnym kultem otaczał Szekspira.

O tym jego dobrowolnie i stanowczo porzuconym domu wiedziałem na ogół niewiele, wspominał go niechętnie, półgębkiem. Jak można było wnioskować — środowisko rodzinne Lucka było wielce nieapetyczne: mimo Beethovena i Szekspira zatęchłe i drobnomieszczańskie, a już na pewno, jeśli tak rzec o nim można, konserwatywne, skoro *Skamander* był uważany tam za „bolszewicką zarazę", a jedna z ostatnich decydujących scysji Lucka z domem wynikła zdaje się na tle wydrukowania kilku wierszy Lucka w tym „bolszewickim piśmie". Bodajże tu przebrała się miarka: Lucjan machnął ręką na „strasznych mieszczan" i puścił się na niepewne wody bezdomności, niedostatku, ba, wręcz nędzy, na tułanie się z kąta w kąt, raz bardziej, raz mniej życzliwy.

Rzecz dziwna, lecz ten stan rzeczy, bezdomność, pobudzały, jak się zdaje, jego nieustający optymizm. Buzował nim, buzował młodzieńczą witalnością, przekorną radością życia, nic sobie nie robiąc z jego niewygód. Rzecz szczególna: nie przypominam sobie, abym widział kiedykolwiek Lucjana w stanie jakiejkolwiek depresji lub chociażby przelotnego przygnębienia. Nie wyobrażam sobie Lucka chmurnego lub zatroskanego poważnie. Bieda, dorywczość zarobków — bo o nie mimo wszystko musiał zabiegać, ze względu na chociażby minimalne potrzeby osobiste — niedojadanie, brak stalszego „miejsca pobytu" zupełnie nie deprymowały go. Czuł się dobrze w atmosferze wagabundy, we Francji średniowiecznej, do której miał wiele sentymentu, byłby wędrownym minstrelem z powołania. Swe „udręki życiowe" traktował z subtelnym sarkastycznym humorem, a tego — zgoła angielskiej autoironii i bajecznej *vis comica* — nie było mu brak. Nawet mistrz *vis comica*, Gałczyński, pasował niekiedy przed Lucjanem w swym irracjonalnym widzeniu własnego świata i własnej codzienności.

Bezdomność pomiatała Lucjanem z krańca na kraniec Warszawy. Pamiętam okres, bodaj kilkutygodniowy, zdaje się na jesieni roku 1927, gdyż tamtą chmurną, dżdżystą jesień przypłaciłem ciężką grypą, której skutki wlokły się za mną przez kilka lat, gdy Lucjan mieszkał w słynnym przytułku dla bezdomnych, tak zwanym „Cyrku" na Dzikiej. Mieszkał — to znaczy nocował, gdyż był to dom noclegowy. Nie wiem, ile było w tym konieczności, a ile jakiejś swoistej przekory czy wagabundzkiej ciekawości świata. Wiem, że w tym jednym z ostatnich kręgów warszawskiego ówczesnego piekła pozawierał multum wszelakich znajomości, a między innymi zaprzyjaźnił się z arcykapitalnym „bradiagą", iście gorkowskim „bosiakiem", zdeklasowanym oficerem białogwardyjskim, byłym pułkownikiem jakiejś elitarnej formacji carskiej. Pamiętam jego nazwisko — Lewkowicz, a imię zaiste z bylin rosyjskich — Oleg.

Lucjan i pułkownik Lewkowicz zaprzyjaźnili się na bazie — poezji. Pułkownik-„bosiak" był fanatycznym wielbicielem poezji, w Lucjanie znalazł bratnią duszę. Pułkownik miał zdaje się znakomitą pamięć, gdyż, jak opowiadał Lucek, potrafił recytować z pamięci całego *Eugeniusza Oniegina*, nie myląc się i nie opuszczając ani wiersza. Znał całą poezję rosyjską, bodaj od Łomonosowa aż do ostatnich dni.

Eks-pułkownika znałem z częstych opowiadań Lucka, osobiście poznałem w kilka miesięcy potem. Lucek już od dawna nie nocował w „Cyrku". Któregoś późnego wieczora znaleźliśmy się z Lucjanem przy przystanku tramwajowym na rogu Okopowej i Powązkowskiej. Prawdopodobnie wracaliśmy od Marii Weppo z pobliskiej ulicy Konarskiego, czekaliśmy na tramwaje, ja na Puławską, on na Powiśle („zamieszkiwał" wtedy, zdaje się, u prof. Leona Rygiera na Dobrej). Tramwaj nie nadjeżdżał. Nagle z mrocznej bocznicy ulicy Młocińskiej wyłonił się ku nam osobliwy cień — masywny olbrzym w jakiejś przeraźliwej kapocie, z ogromną, niechlujną brodą. Już na trzy kroki zionął wódką. Obłapił Lucjana, prawie dwukrotnie mniejszego niż on, przyciskał jak kota do piersi, wykrzykując tubalne rosyjsko-polskie powitania. Lucjan wykrzykiwał takież nawzajem. Gdy odsapnęli i Lucjan stanął wreszcie na nogi, nastąpiła zgoła wersalska scena. — Panowie pozwolą — powiedział coś w tym tonie Lucjan przedstawiając nas sobie. — Mój przyjaciel, pisarz Saliński, mój przyjaciel, pułkownik lejb-gwardii Lewkowicz. — Uścisnęliśmy sobie po wersalsku ręce, dłoń pułkownika lejb-gwardii lepiła się od brudu. Lucjan był serdecznie rad ze spotkania. Pożyczył ode mnie dwa złote (nie wypadało odmówić, gdyż wiedział, że mam) i razem z pułkownikiem ruszyli w kierunku knajpy-mordowni naprzeciwko czwartej bramy Cmentarza Powązkowskiego. Pamiętam jak dziś: posępna, dżdżysta perspektywa bezludnej Powązkowskiej, nagie gałęzie drzew zza muru cmentarnego i dwa cienie niknące we mgle — olbrzym w kapocie sięgającej do pięt, podobny z oddalenia do ogromnego, kroczącego zamaszystym krokiem pomnika, i przysadkowaty, podskakujący obok Szenwald. W scenie tego oddalania się było coś z Chaplina pomieszanego z Dostojewskim. Zaiste, osobliwy koktajl.

*

Wspomnienia o Lucku z tamtego okresu (lata 1926—1929) nie układają mi się oczywiście w jakiś chronologiczny porządek. Są to czasy „Kresów", nieco później „Małej Ziemiańskiej", spotkań u Gabrieli Pauszer w Alejach Jerozolimskich; u Ady Taubenhaus (późniejszej żony Henryka Drzewieckiego, autora *Kwaśniaków),* u Turowerów na Hipotecznej. Już istniała *Kwadryga.* Lucek drukował w niej swe wiersze — *Śpiew złodziejski,* jeden z najbardziej urzekających nie tylko dla mnie wiersz *Dancing, Portret młodzieńca* (zdaje się, że to cenzura zmieniła tytuł tego wiersza, brzmiący pierwotnie inaczej), *Rewolucjonistkę.* Z tym ostatnim łączą mi się konkretne i plastyczne wspomnienia.

Zaczęło się od tego, że gdzieś w końcu lata 1929 roku wynikła możliwość jakiegoś bardziej stałego locum dla Lucka, po prostu kwestia własnego pokoju. Mieszkałem wówczas jako sublokator u niejakiej pani B. przy ulicy Złotej 43, w staroświeckim mieszkaniu typowej warszawskiej kamienicy. Zajmowałem niewielki umeblowany pokoik z wejściem z przedpokoju. Pani B., dystyngowana, nobliwa, starsza madame, zdaje się eks-ziemianka, zajmowała sama jedna obszerne, trzypokojowe mieszkanie, odnajmując dwa pokoje sublokatorom, co stanowiło podstawę jej budżetu.

Z tych dwóch ja zajmowałem, jak wspomniałem, mniejszy. Łączy mi się wspomnienie o tym pokoiku ze wspomnieniem pierwszego spotkania ze śliczną, smukłą, orientalną panną Natalią Awałow, którą przyprowadził tam któregoś dnia Konstanty Gałczyński, przedstawiwszy jako swoją narzeczoną. Legendarna narzeczona Konstantego, o której słyszeliśmy, a której nikt z naszego grona jeszcze na oczy nie widział, objawiła mi się nagle w obrazie jakiejś egzotycznej Madonny w purpurowej sukni z wysokim stylowym kołnierzem. Przebaczyłem wtedy Konstantemu (a po kolei i my wszyscy), że zdradził nas, nasze sympozjony i noce, wdawszy się w romans z jakąś dziewczyną, co przedtem nie leżało zupełnie w jego charakterze.

Drugi pokój, większy, z balkonem na ulicę, właśnie opróżnił się, a pani B., mając już zaufanie do mnie jako do spokojnego, wypłacalnego lokatora, zagadnęła, czy nie mam przypadkiem kogoś, kto reflektowałby na pokój. O sublokatorów nie było wówczas łatwo, bramy kamienic roiły się od obwieszczeń „pokój do wynajęcia". Nie miałem w tej chwili nikogo, lecz traf chciał, że w kwadrans po ofercie pani B. spotkałem na rogu Złotej i Marszałkowskiej Lucjana. Był pełen radości — właśnie wracał od Mariana Kistera z „Roju", dostał tłumaczenie i zaliczkę. Po dłuższym okresie pożyczanych złotówek i dorywczych zarobków była to sprawa konkretna i opłacalna. Do „Roju" zaprotegował Lucjana Julian Tuwim, a to już gwarantowało, że Kister zapłaci i nawet zapłaci nieco więcej niż komuś bez takiej protekcji. Zamówienie „Roju" pociągało jednak za sobą znalezienie jakiegokolwiek kąta dla bardziej systematycznej stałej pracy. Nie można było tego robić przy stolikach kawiarnianych, potrzebne jest chociażby na miesiąc stałe locum, stolik, przy którym można rozłożyć się, słowem — warsztat.

Składało się doskonale: pani B. miała pokój do wynajęcia, Lucek potrzebował takiego właśnie pokoju i miał w tej chwili pieniądze na zapłacenie czynszu za miesiąc z góry. Od razu zawróciliśmy z Lucjanem na Złotą 43. Wszystko poszło jak po przysłowiowym maśle: pani B. była zachwycona, Lucek szarmancki, elokwentny, „widać, że z lepszego domu". Wzajemnego zadowolenia dopełnił fortepian. W swoim pokoju pani B. posiadała fortepian, była

melomanką, ale sama nie grywała. Lucek obiecał jej grać, co zechce. Pamiętam, że po tej rozmowie zaprowadziła nas do swego pokoju, Lucek zasiadł do fortepianu i na pokaz zagrał coś tak brawurowego, że pani B. składała ręce i nazywała go — maestro. Interes został ubity, czynsz zapłacony z góry, pani B. zaraz zawołała dozorcę, by przetransportował fortepian do odnajętego pokoju, przeprowadzka Lucjana miała nastąpić wieczorem.

Istotnie nastąpiła. Byłem w mieszkaniu sam, pani B. gdzieś wyszła. Otworzyłem drzwi na dzwonek. Lucjan, szeroko uśmiechnięty, z tobołkiem pod pachą (cały jego majątek — kilka brudnych koszul, pantofle nocne, plik papierów i kilka książek). Za nim, uśmiechnięty jeszcze szerzej — Andrzej Wolica. Obydwaj — czarująco podchmieleni. Lucjan wyjaśnił na wstępie, że Wolica tylko na tę jedną noc. Również nie ma dachu nad głową, a przecież miejsca na otomanie starczy na dwóch. Trudno, nie moja rzecz. Wolicę lubiłem, miał wiele w głowie, dobry poeta i jeszcze lepszy kompan, aczkolwiek ducha miał niespokojnego, a temperament i usposobienie kapitana Blooda, zwłaszcza po kilku kieliszkach — kiedyś po kilku takich urządził fantastyczny pogrom „Pod Rejtanem", lumpenproletariackiej i marynarsko-wiślanej knajpie przy moście Kierbedzia, a że był w mundurze marynarskim — wrócił z ćwiczeń do Warszawy i w porę nie zdjął munduru — zabrała go stamtąd żandarmeria wojskowa. „Jedna noc" Wolicy przeciągnęła się do miesiąca.

Minął zapłacony z góry miesiąc. Na zapłacenie drugiego pieniędzy nie było, a zresztą pani B. kategorycznie żądała wyprowadzki niespokojnych lokatorów. Żądanie zawisło w próżni, moje mediacje nie zdały się na nic. Sytuację nieco zaklajstrowało się, gdy pożyczyłem Luckowi na opłacenie drugiego miesiąca, a Wolica znikł nagle (później wydało się, że odsiadywał pakę). Szenwald zabrał się do roboty, otrzymał nowe zamówienie od Kistera — o ile pamiętam, była to tzw. żółta książeczka „Roju", tłumaczenie z amerykańskiego miesięcznika, coś o gwiazdach kinowych, a jako tłumacz figurował na niej „Dr J. P. Zajączkowski".

Z owego okresu — był to zapewne koniec sierpnia lub początek września — utkwił mi w pamięci pewien epizod, który, gdy wracam do wspomnień o ulicy Złotej 43, pani B., Luckowego muzykowania i tamtej warszawskiej jesieni — ostatniej mojej przed wyruszeniem w wielką afrykańską przygodę — odżywa za każdym razem, skoro tylko otworzę tom *Utworów poetyckich* Lucjana Szenwalda, wydanych już po wojnie, i czytam wiersz *Rewolucjonistka*, wiersz ten został napisany w ciągu niecałej nocy właśnie tam, przy Złotej 43.

W rocznikach pism warszawskich z tamtego okresu na pewno zachowały się opisy tej wyjątkowej nocnej burzy nad Warszawą. Zalane piwnice, zerwane sieci tramwajowe, potłuczone latarnie, powyrywane drzewa. Runął wtedy wielki dąb przed tak zwaną palmiarnią w Saskim Ogrodzie. Był to wyjątkowy huragan gdzieś około północy, z olbrzymią ulewą i potężnymi grzmotami. Byłem u siebie w pokoju, między dwoma grzmotami posłyszałem dzwonek w przedpokoju przy drzwiach wejściowych. (W trakcie wojny z niespokojnymi lokatorami pani B. odebrała im pewnego dnia klucze od drzwi i siłą rzeczy stałem się odtąd nocnym odźwiernym.) Otworzyłem drzwi. Lucek, przemoczony do cna, ociekający wodą, ale promieniejący — taki spacer na deszczu znakomicie odświeża, poza tym okazja do umycia głowy. Zziębnięty porządnie, gdyż przyszedł spacerkiem z „Małej Ziemiańskiej". Przebrał się, a raczej ro-

zebrał, gdyż nie bardzo miał się w co przebierać. Przyszedł do mnie na szklankę herbaty. Koniecznie szklankę gorącej herbaty.

Prowadziliśmy do pewnego stopnia własne gospodarstwo, gdyż pani B. odcięła niespokojnym lokatorom, a przy okazji i mnie, dostęp do kuchni i kuchenki gazowej. Poranną a czasem wieczorną herbatę gotowaliśmy na moim prymusie. Właśnie tego dnia zostało mi nafty tylko tyle, aby zagrzać rano wodę do golenia. Nie będę marnował kieliszka nafty na herbatę teraz. Obejdzie się.

Ale wybłagał, ustąpiłem ze złością. Napił się z apetytem.

Nazajutrz ledwie świtało, gdy obudził mnie w łóżku. Niech posłucham, co napisał. Przysiadł na skraju łóżka i zaczął czytać, odrąbując dłonią rytm na kancie łóżka:

Pędzą powietrzem rozjuszone chmury,
niosące burzę i księżyc. Wicher stentorowy
napełnia kłębami mgły cmentarne mury
i w porfirową katedrę wypręża się mgła.
Szumi rzeka,
szumią latarnie,
szumią drzewa nad grobami,
szumią trawy pod stopami,
szumią deszcze i gwiazdy płaczą na wysokości
i włosami złotymi opadają łagodnie na serca nieme,
niosące burzę i księżyc. Wicher stentorowy
przelata szczytami katedry
płacząc
i na zwał darni, i na mgły zwalisko
sypie wał miesięcznego szkła.
Pochylcie głowy...
Przed wami na katafalku,
w skłębionych świateł rzece,
leżą bezwładne i ciche
zwłoki kobiece...

Przeczytał cały poemat. We wspaniałym wierszu raz po raz szumiała mi ta właśnie nocna burza, przez którą kilka godzin temu szedł sobie spacerkiem po bezludnych warszawskich ulicach. W poszarpanych rytmach huczał cały zamęt tej groźnej nocy. Lucek był wspaniały. Zgorączkowany, z wypiekami zmęczenia — wcale nie kładł się spać tej nocy, a tylko pisał do rana — natchniony, pełen wewnętrznego żaru. Z twarzy jego, które widywałem w różnych okolicznościach, w różnym oświetleniu i w różnych uzewnętrzniających się nastrojach — tę, w mulistym odblasku szarzejącego nieba i sinego płomyka niewygaszonej latarni gazowej, tuż na wysokości okna mego pokoju, natchnioną, uduchowioną, pamiętam najwyraźniej. Jest jakiś rys na jego obelisku... Ale o tym przy końcu...

Epilog tego epizodu. Przeczytał cały poemat, zamieniliśmy kilka fachowo-rzeczowych uwag na temat „drzew tułowy", których to słów użył w wierszu, a która to licentia poetica wydawała mi się rusycyzmem. Zgarnął z mojej kołdry kartki wyrwane z zeszytu szkolnego, na których napisał Rewolucjonistkę.

pobiegł do swego pokoju i po chwili zza ściany zagrzmiała Chopinowska *Etiuda rewolucyjna,* jakże doskonały dalszy ciąg jego poematu. Dom zahuczał potężnymi akordami. *Etiuda* urwała się nagle gdzieś w połowie. Poprzez dwoje drzwi posłyszałem okrzyki pani B. Wychyliłem się ostrożnie do przedpokoju: pani B. stanowczo i natychmiast wypraszała sobie bębnienie na fortepianie po pijanemu o tej porze, cała kamienica jeszcze śpi, wszyscy porządni ludzie śpią, a tylko tacy...

Epilog epilogu: tego samego jeszcze dnia pani B. przetransportowała fortepian z powrotem do swego pokoju, ku zmartwieniu Lucka odcinając go od instrumentu. Ku zmartwieniu, gdyż fortepian służył nie tylko do shimmy, two-stepów i wariackich dżig marynarskich, lecz kołysał się Bachem, Chopinem i Mozartem pod palcami Lucka. Przy tym też fortepianie skomponował kapitalnie zabawny tekst słowny do jednego z walców Straussa, owo słynne *Jestem Mimi z Folie-Bergère,* śpiewane potem na zabój przez całą „Kwadrygę" przy każdej śpiewaczej okazji. Tu też, przy tym fortepianie, przetłumaczył sławetną *Ciotkę* na łacinę, która również weszła do żelaznego śpiewnika „Kwadrygi", a która to w języku Rzymian nabrała groteskowo-szlachetnej barwy, no bo czyż *Gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj...* nie zalatywało Horacym, gdy śpiewaliśmy *Visa me avuncula salutem porta...* Pamiętam, jak Lucek biedził się nad znalezieniem łacińskiego odpowiednika do polskiej „pończoszki" — wiadomo, że Rzymianki pończoch nie nosiły i nazwa taka nie istniała — aż triumfując znalazł *tegmenvat pedes* (okrycie nogi) i cieszył się z tego znaleziska jak dziecko z zabawki.

W listopadzie wyjechałem z Warszawy w dłuższą podróż, o której już wspomniałem. Wróciłem w kwietniu następnego roku, zamieszkawszy tym razem u matki Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego przy Nowiniarskiej 2, w karykaturalnie rozsławionym później przez Zbyszka Uniłowskiego „wspólnym pokoju". Dzieliłem w nim obszerne staroświeckie łoże w przytulnej alkowie ze Stanisławem Ryszardem. Kilka dni temu opuścił to wygrzane przyjazne miejsce Lucjan Szenwald, który sprowadził się tu po Złotej 43, lecz we „wspólnym pokoju" bywał nadal bardzo częstym gościem. Kiedyś w rozmowie zahaczyliśmy o temat mieszkania przy Złotej i pani B. Skwitował te wspomnienia rozbrajająco szelmowskim uśmiechem i uwagą, że to były czasy, co?

Na biurku Ryszarda piętrzył się stos ostatniego czy przedostatniego bieżącego numeru *Kwadrygi,* jaki wyszedł z drukarni z datą pierwszych miesięcy roku 1930. W numerze tym była Lucjanowa *Rewolucjonistka.* A więc gdy widzę ten poemat w starym roczniku *Kwadrygi,* nawija się jeszcze jedno wspomnienie:

Wesoły studencki bałagan „wspólnego pokoju", okno otwarte szeroko na wąskie podwórko, zawsze od rana do nocy wypełnione klekotem kuśnierskich młotków. Któryś gorący letni poranek w złocistym pyle słońca. Jest godzina, powiedzmy, dziewiąta. Zwlekamy się po kolei z naszych leży, jesteśmy w mieszkaniu sami, swobodni, roznegliżowani. Mietek poleciał gdzieś o świcie, mama Dobrowolska wyszła na miasto, jej dwie sublokatorki z sąsiadującego ze „wspólnym" pokoju poszły do pracy, studenci na wykłady czy egzaminy. Zbyszek już starannie pluska się w kuchni, szumi kuchenka gazowa, gotuje się kawa na śniadanie. Zbyszek pogwizduje swą ulubioną *Uliczkę w Barcelonie* lub podśpiewuje dyszkantem, wcale udatnie naśladując głos Ordonki.

Zasiadamy do śniadania przy wielkim stole, Ryszard, ja, Zbyszek — wszyscy trzej jeszcze z lekkim, łagodnym kacem po San-Rafaelu u Fukiera, jeszcze pełni szumu i radości życia po burzliwej, zawadiackiej nocy. Przed chwilą wpadła zdyszana Fela Stodulska (właśnie ta jedna z sublokatorek mamy Dobrowolskiej) przynosząc w kieszeni białego fartucha zawiniątko z pyszną polędwicą i szynką z pobliskiej wędliniarni, gdzie pracowała jako ekspedientka. Miła, wierna, czarnooka Fela Stodulska wiernie pamięta o apetytach swych sąsiadów przez ścianę (a owszem, i w tamtych czasach zdarzały się manka w wędliniarniach).

Zbyszek nalewa kawę. Apetyty mamy świetne, humory również. Pukanie. Wpada Szenwald — szeroka, księżycowa twarz, jeszcze szerszy uśmiech. „Mieszkał" gdzieś w pobliżu i na prawach byłego lokatora wpada tu na śniadanko, wiedząc o dobrym sercu i przyjaznym sprycie Feli, a więc, że śniadanko będzie, jak mawiał Zbyszek, *comme il faut*. Pukanie. Wchodzi Edward Boyé. Za wcześnie na „Małą Ziemiańską", więc przychodzi dowiedzieć się, jak się wreszcie skończyło to u Fukiera dziś w nocy, bo nie bardzo pamięta. Pukanie. Są Stefan Flukowski i Władysław Sebyła, mają redakcyjne sprawy *Kwadrygi* do Ryszarda, przynieśli pokazać nowe rysunki Felka Topolskiego dla pisma.

Jest i Konstanty Gałczyński — ostatnio rzadki gość, gdyż jest cały z Natalią, przy Natalii, o Natalii... (A za miesiąc czy półtora w piekielnie gorący letni dzień będziemy wraz z Ryszardem, jako ich drużbowie, trzymali ciężkie masywne „wieńce", od których mdlały nam ręce, nad ich głowami w czasie ślubu w cerkwi prawosławnej na Pradze.)

Krąg śniadaniowy rozszerza się. Przyszedł kochany nasz doktor, Jerzy Kempner. Zajrzał Stanisław Ciesielczuk — po skończeniu pracy korektorskiej w popołudniówce *Kurier Czerwony* w drodze do siebie do domu na Stare Miasto nie ominął Nowiniarskiej 2. Jest Mieczysław Bibrowski. Pracuje w kancelarii adwokata Duracza, idzie do sądu na Miodową z papierami, ma chwilę czasu, by po drodze odwiedzić nas.

Oto widzę je: śniadanko we „wspólnym pokoju", *senacle*, jak mawiał Konstanty. *Senacle* w słonecznym pyle, w klekocie młotków kuśnierskich, w dalekich dzwonkach tramwajów na Placu Krasińskich. Że też nie było żadnego magnetofonu — nie wiem, czy w ogóle już wtedy były? — który zanotowałby kalambury, kontrowersje, dowcipy, dyskusje, improwizacje, dialogi, recytacje z takiego, chociażby jednego *senacle*. Greczyznę Homera w ustach Lucka albo *Sytuację bez wyjścia* po raz pierwszy czytaną tu przez autora, Konstantego Gałczyńskiego, ze świeżutkiego numeru *Naokoło Świata*. Szumne tyrady Zbyszka i grzmiący, zagłuszający kuśnierskie młotki baryton Ryszarda. Aż dziw, ile tematów i o jakim diapazonie mogło przewalić się na takim jednym *senacle* przy wielkim stole biesiadnym, aż dziw... (A wspominam to dlatego, że utrwala się, niestety, opaczna legenda o „wspólnym pokoju", powielana przez powojenne, bezkrytyczne i niepotrzebne wydania tej książki. Naprawdę pokój ów i jego klimat wyglądały zupełnie inaczej niż w zakompleksowanej karykaturze Zbigniewa Uniłowskiego, co zresztą bardzo wiernie i prawdziwie, być może jednak nie do samego końca, odkłamał Ryszard Dobrowolski w swym *Kluczu do „Wspólnego pokoju"*.)

Rok 1930 i następne — och, jakże szybko biegły — były dalszym ciągiem

wykruszania się zgodnej kawalerskiej komuny „Kwadrygi". Zaczęliśmy zakładać własne gniazda domowe.

Z Lucjanem zaczęliśmy się spotykać częściej w latach 1935—1938, a to z racji mojej pracy w redakcji jednego z dzienników warszawskich. Nie tyle może pracy, co dostępu do prasy radzieckiej, która podówczas w Polsce nie miała debitu, a nadchodziła — ściśle kontrolowana — do redakcji, agencji, instytucji urzędowych itp.

Co kilka dni dysponowałem sporą paczką *Prawdy, Izwiestii, Komsomolskiej Prawdy,* tygodnikami i miesięcznikami. Po przejrzeniu ich przez osoby interesujące się tą prasą w redakcji gazety szły do koszy z makulaturą, dokładnie podarte, by nie wydostały się poza mury redakcji i nie zaraziły społeczeństwa. Szły do koszy — rzecz jasna, nie wszystkie. W koszach z makulaturą, wynoszonych przez sprzątaczki, tylko górna warstwa gazet radzieckich była w strzępach. Niżej, pod strzępami, znajdowały się egzemplarze całe, które znikały podczas wędrówki koszy z pokojów redakcyjnych poprzez drukarnię, hale maszyn rotacyjnych do magazynów. A i w magazynie jeszcze można było dostać od magazyniera, pana Leona, nie uszkodzony numer *Prawdy* czy *Krokodiła,* wygrzebany z samego dna kosza.

Prośba Lucka, by kompletować dlań gazety radzieckie i wycinki z nich na interesujące go tematy, była całkowicie do spełnienia. Był to okres — widzimy to teraz — gdy coraz głębiej wchodził w szeregi walczącego proletariatu, okres, gdy wykształcał się w nim poeta polityczny. Czasy *Czerwonej latarni,* nielegalnych jego podróży organizacyjnych i propagandowych po kraju, organizowania nielegalnych drukarni KPP. W tym właśnie okresie napisał *Scenę przy strumieniu,* o której powiedział sam w komentarzu, że jest „próbą wprowadzenia ruchu, działania, akcji, konfliktu do tego ideologicznego odłamu poezji, który pragnie wyrażać tęsknoty walczącego ludu, a dusić się już zaczyna w wąskich granicach nieruchomej ody i dytyrambu".

Co tydzień, co dziesięć dni, zwykle o bardzo wczesnej porze porannej, gdy w redakcji było najpuściej, wpadał do mnie. Miałem już przygotowane dlań w biurku paczki gazet i wycinki. Wypychał sobie kieszenie nimi, chował pod koszulę, w spodnie. Wybiegał tak jak wpadał — zawsze spieszący się, buzujący energią, niezmiennie pogodny, nieustający optymista. Ale prócz niewielkich zmian, jakie zaszły w jego wyglądzie zewnętrznym od czasów, powiedzmy, Złotej 43, wyczuwało się jakąś dojrzałą twardość jego wyrazu, wolę, świadomość celu. W głosie brzmiały tony agitatora. Był tak samo iskrą, lecz ta iskra była odpryskiem stali. Tak, jak i jego wiersze.

Któregoś dnia, w zamian za paczkę wycinków radzieckich, wyjął z kieszeni nowy numer *Lewaru* ze swoim wierszem *Do uświadomionej robotnicy.* Było bardzo wcześnie, zaraz po świcie. Pokój, w którym byliśmy sami, znajdował się na trzecim piętrze, z oknem wychodzącym na rozległą, przymgloną perspektywę Pola Mokotowskiego. Stanął przy oknie. — A to mi pasuje... — wykrzyknął.

Otworzył kartki *Lewaru.* Odmierzając kantem dłoni o parapet okna rytm, wyrecytował początek:

Jak lubię patrzeć z okna,
gdy w mgłami świt omyty
wychodzisz z węzłem sił porannych w sobie.

Pada twój lotny krok na
różowiejące płyty
i twarz się twoja śmieje w słonecznym zasobie.

Pamiętam — wyraźnie i dotkliwie blisko przypomniał mi się wówczas inny świt: Złota 43, skupiona, natchniona twarz, zawsze niepokorna płowa czupryna włosów, zduszony gardłowy głos, „rubato" dłoni odmierzającej rytm strofy.

Przeczytał kilka strof, sięgnął po pióro leżące obok na biurku i przez całą stronę *Lewaru* swym charakterystycznym rozwichrzonym pismem nakreślił dedykację dla mnie, bardzo przyjazną i rozumną. W dedykacji tej przewidział kataklizm roku 1939. Więcej: przewidział rok 1945 i zagładę hitleryzmu.

Któregoś dnia, w zimie 1938 roku, zamiast przyjść jak zwykle do redakcji po wycinki — zatelefonował. Nie przyjdzie, prosi, abym zabrał materiały dla niego do domu, wpadnie do mnie któregoś dnia i odbierze. Wyjaśnił mi później, że do redakcji woli nie przychodzić z pewnych względów — widocznie jego regularne odwiedziny u mnie były obserwowane. Odtąd prasa radziecka wędrowała do jego rąk via mój dom na Mokotowie. Wkrótce jednak podziękował mi za przysługę, znalazł inny, wygodniejszy dostęp do potrzebnej mu lektury.

Najmocniej utkwiło mi w pamięci spotkanie nasze ostatnie. Ostatnie w jego życiu. Lublin, sierpień roku 1944.

Wyjątkowy i niepowtarzalny klimat tego Lublina i tego sierpnia trafnie zanotowała Helena Boguszewska w *Nigdy nie zapomnę*. Miasto — stolica i front zarazem. Gorące, upalne dni u schyłku lata, jeszcze nie wywiany dym pożarów, bruki zryte gąsienicami czołgów.

Przygodny samochód z Milejowa wyrzucił mnie w samym centrum Lublina, tuż przy pomniku Unii Lubelskiej. Na placu i Krakowskiem stały szczelnym szeregiem czołgi, chodnikami walił zwarty tłum cywilów i żołnierzy. Nad placem i sąsiednimi ulicami wisiała nieruchoma błękitna chmura spalin i kurzu.

Przedzierałem się właśnie przez ciżbę przy pomniku, gdy posłyszałem wołanie za sobą po imieniu. Obejrzałem się i poznałem natychmiast: Lucek.

Nowe — że w mundurze. Dawne — ten sam: krępy, z rozjaśnioną twarzą, z tym samym szerokim uśmiechem. Te same płowe włosy spod daszka rogatywki z orzełkiem i ten sam uchwyt ręki przy powitaniu.

To było nadzwyczajne spotkanie, spotkanie na drogach wojny: dwóch ziarenek w korcu maku. Dla mnie o tyle niezwykłe i radosne, że Lucek był pierwszym z „Kwadrygi", którego spotkałem po tylu latach. W okupowanej Warszawie widywałem się z rzadka z Dobrowolskim i Maliszewskim, reszta z tego grona była w Niewiadomym.

Długo tarmosiliśmy się w objęciach. W grzmocie samochodowych silników, w turkotaniu gąsienic czołgów wykrzykiwaliśmy nawzajem bezładne pytania i odpowiedzi. Wymieniał jednym tchem nazwiska, imiona. Co z nimi? Żyją? Gdzie? Jak? Marek Markowski? — Zamordowany przez gestapo. — A Sebyła? — W niewoli. — A Maliszewski, Dobrowolski? — Przed powstaniem byli w Warszawie. — A Celina? — Razem z Ryszardem. — Olafowa, Lucyna? — Zginęły w getcie. — A Konstanty? — W stalagu. — Co ze Słobodnikami? — Nie wiem, rozstaliśmy się we Lwowie, w grudniu trzydziestego dziewiątego. —

Gabrysia Pauszer? — Nie wiem. — Flukowski? — W oflagu. — A Maria? — Maria jest ze mną i dziećmi w Milejowie, jakoś przetrzymaliśmy, ocaleliśmy.

I tak dalej, i tak dalej. Gorączkowe, bezładne pytania, telegraficzne odpowiedzi. Obok wydzierał się klaksonem gazik, przywołując Lucka. Zdołałem wreszcie zadać pytanie i ja: — A co z tobą? Widzę, że w wojsku. I co? — Ja? Idę na Berlin. (Może to było nieumyślne, a może zagrał na nucie swej precyzyjnej *vis comica*. „Idę na Berlin" było powiedziane z tą samą intonacją, z jaką na pytanie przy przypadkowym spotkaniu na ulicy warszawskiej „dokąd idziesz?" odpowiadał: do „Kresów" albo do „Małej Ziemiańskiej". Brakowało tylko, aby dodał: „Chodź ze mną".)

Gazik spazmował. Tyle tylko, że umówiliśmy się: za kilka dni, w sobotę, spotykamy się w Lublinie. Koniecznie. W sobotę o dwunastej, Lucek będzie albo w redakcji *Rzeczypospolitej* na Krakowskiem, albo na dole w tym samym budynku w cukierni Radomińskiego. Koniecznie: w sobotę o dwunastej, albo w redakcji, albo u Radomińskiego. Koniecznie. Tyle mamy do pogadania.

Gazik aż krztusił się ze spazmów. Ochrzaniano Lucka z samochodu, że marudzi. Ostatni pożegnalny uścisk ręki, ten sam, kurczowy, mocny. Szeroki uśmiech na zakurzonej twarzy z cieniami głębokiego zmęczenia pod oczami. Skoczył na stopień gazika, zasalutował. Znikł w sinej chmurze dymów. Powietrze nad placem wibrowało energią motorów. Był składową cząstką tej energii — tak to spotkanie odczułem.

Sobota, dwunasta. Pomyślnym trafem o świcie tego dnia miał wyruszyć z Milejowa samochód fabryczny do Lublina z jakimiś silnikami do warsztatów remontowych. Fabryka już dźwigała się z gruzów, objąć ją miało „Społem".

Zamiast o świcie wyruszyliśmy o dziesiątej. Kierowca zapewniał, że będziemy w Lublinie za godzinę. Jak na szosie głównej damy gazu, to proszę siadać. W oczekiwaniu na ten gaz wlekliśmy się po bocznej drodze do Biskupic ze trzy kwadranse. Dobiliśmy do Piasków Luterskich, tam kierowca miał jakiś drobny interes do załatwienia, mnie zostawił przy ciężarówce, bym pilnował cennych silników. Znikł w którymś z bocznych zaułków przy rynku.

Dziesięć minut, pół godziny, już grubo po jedenastej. Bronka nie ma i nie ma, w zatłoczonych po brzegi Piaskach szukaj wiatru w polu. O wpół do dwunastej — Bronek jest. Pogodnie uśmiechnięty, nonszalancki, z daleka widać, że ledwie idzie. Ledwie wgramolił się za kierownicę. Na moje molestowania, że nawalił, cholera, i że spóźnię się przez niego na ważne spotkanie, kategorycznie oświadczył, że się nie spóźnię. O dwunastej będziemy w Lublinie. Zaraz zobaczę, jak się jeździ. Nie tak się, obywatelu, jeździło.

Istotnie — zobaczyłem. Tak szaleńczej jazdy ciężką trzytonówką nie przeżyłem nigdy. Ruszył od razu na czwartym biegu i na tym biegu trzymał zygzakami aż do Lublina. Nie podejrzewałem nawet, że z tak ciężkiej, niemrawej maszyny można wydusić taką szybkość. I że, gdy istnieje absolutna pewność katastrofy — katastrofy jednak nie ma. Przetrzymałem morderczą jazdę z duszą na ramieniu, sercem w grdyce i ręką na klamce szoferki, w nadziei, że w ostatnim ułamku sekundy instynkt samozachowawczy wyrzuci mnie z szoferki na szosę. Połamię ręce i nogi, lecz, być może, ocaleję przed śmiertelną masakrą.

Tak czy inaczej — rekord szybkości jazdy na trzytonowej ciężarówce na od-

cinku dwudziestu kilometrów z kompletnie pijanym kierowcą został tego dnia pobity. Załamałem się nerwowo dopiero na rogu Bernardyńskiej i 1-go Maja, gdy Bronek przyhamował na chwilę przepuszczając czołgi. Wyskoczyłem z szoferki i stanąłem na gumowych nogach. Stąd miałem pięć minut marszu do redakcji *Rzeczypospolitej*, a zatem prawie się nie spóźnię.

W lewej kieszeni miałem paczkę papierosów. Sięgnąłem po nie, były zmiażdżone. Podczas jazdy trzymałem paczkę w dłoni.

Właśnie w pobliżu stał kiosk z papierosami i gazetami. Podszedłem do kiosku. Papierosy. Sprzedawczyni odliczała resztę.

Spojrzałem na leżącą obok papierosów dzisiejszą *Gazetę Lubelską*. Na pierwszej stronie, w żałobnej ramce: — Kapitan I Armii Wojska Polskiego Lucjan Szenwald...

Zginął poprzedniego dnia w katastrofie samochodowej na szosie pod Puławami, w drodze do Lublina.

Na umówione spotkanie w sobotę o dwunastej już nie przyszedł.

Do Berlina nie doszedł...

Z Włodzimierzem Słobodnikiem byliśmy któregoś dnia niedawno na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. O kilkaset kroków od grobu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego stoi niewielki obelisk na grobie kapitana WP Lucjana Szenwalda. Któryż jasnowidz mógłby powiedzieć na którymś z senaclów we „wspólnym pokoju", przy którejś bibce u „Wróbla" czy Fukiera, na jakimś wykładzie uniwersyteckim, na którym siedzieli obok siebie — że oto teraz Konstanty i Lucek w tej samej ciszy, pod tymi samymi drzewami, będą sąsiadować na zawsze? Konstanty i Lucek bardzo się lubili i cenili nawzajem za życia.

Na obelisku jest bareljef głowy Lucka — niezbyt wierny, nie oddający nic z patosu, pogody i rozumu jego twarzy. Są w niej jednak jakieś, zapewne nieświadomie przez kamieniarza wykute rysy. Coś z wyrazu, jaki miała dla mnie ta twarz o świcie w mieszkaniu przy Złotej 43 i o innym świcie na tle szerokiego okna z perspektywą na mgliste Pole Mokotowskie. Błysk iskry bogów — Natchnienia. Iskry bogów — Radości...

Stanisław Maria Saliński

NIEZNANE AUTOGRAFY CYPRIANA NORWIDA

W papierach zgromadzonych przez Władysława Michała Branickiego w warszawskiej willi „Fraskati", które później zawędrowały do Suchej, a po ostatniej wojnie przeszły do Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, przechowało się kilka nie znanych do tej pory autografów Cypriana Norwida. Znalazły się one w tece luźnych dokumentów (przeważnie korespondencji), oznaczonych sygnaturą 516. Są to: dwa wiersze i trzy listy Norwida

Jeden z wierszy jest dobrze znany pt. *Do mego brata Ludwika*. Podstawą jego dotychczasowej znajomości był pierwodruk w 4 nrze *Przeglądu Naukowego* z 1845 r. W pierwodruku jednak dało się zauważyć sporo pomyłek, które późniejsi wydawcy, jak R. Zrębowicz i Z. Przesmycki, starali się poprawiać drogą argumentacji logicznej. Dopiero dzisiejszy edytor będzie mógł sięgnąć do autografu i rozstrzygnąć wątpliwości ostatecznie.

Wiersz jest czystopisem, umieszczonym na arkuszu wymiaru 25 × 20,2 cm, po prawej stronie w 2 szpaltach, po lewej w 1 szpalcie. Tekst wiersza, pisany drobno atramentem, bez tytułu, ma na końcu dopisek ołówkiem: „Do Brata, we Florencyji, 15 grudn. r. 1844". Dopisek ten, skreślony pośpiesznie może ręką autora, a może adresata (Ludwika Norwida) lub też redaktora *Przeglądu Naukowego*, Hipolita Skimborowicza, wskazuje dokładną datę powstania utworu (w pierwodruku było: Florencja, 1844). Tytuł zaś wiersza jest krótszy od powtarzanego za *Przeglądem*, jest tylko *Do Brata*.

Autograf tego wiersza dostał się Branickiemu niewątpliwie od Skimborowicza, który pod koniec życia rozprzedawał zebrane przez siebie książki, papiery i archiwum *Przeglądu Naukowego*. Najprawdopodobniej z tego samego źródła wpłynęła do Branickiego i reszta znalezionych autografów Norwida.

Nie znany wcale wierszyk, dedykowany Bronisławie Zbyszewskiej, pisany na pojedynczej białej karcie wymiaru 17,8 × 10 cm, składa się z 7 wersów rymowanych *abababa*, po których stoi podpis w postaci C. N. Wiersz ten powstał zapewne w okresie kontaktów Norwida z redakcją *Przeglądu Naukowego*. Bronisława z Olechowskich Zbyszewska należała bowiem do współpracowników tego pisma.* W latach

* W części archiwum *Przeglądu Naukowego*, która dochowała się w zbiorze Suchej pod nrem 521, znajduje się kilka autografów Zbyszewskiej. Na jednym z nich Skimborowicz zanotował: „Bronisława z Olechowskich Zbyszewska, zm. w Markuszowie, majątku męża w Lubelskiem".

1847—48 drukowała w nim szkice literackie pt. *Bazgranina eks-autorki* oraz rozprawkę o emancypacji kobiet, podpisując się jako Bronisława albo B. O.

Nowe listy Norwida to: jeden do nie znanego nam z nazwiska recenzenta rzeczywistego czy recenzenta niedoszłego *Niedokończonego poematu* Zygmunta Krasińskiego i dwa najprawdopodobniej do Wojciecha Gersona (ur. 1831), ruchliwego i ustosunkowanego malarza warszawskiego.*

List o *Niedokończonym poemacie* obejmuje arkusz białego papieru złożony na pół o kartach 20,5 × 14 cm, zapisanych dość drobno atramentem. Brak jednak początku listu. W dochowanej, wcale niemałej części listu Norwid zdaje sprawę z dopiero co poznanego utworu Krasińskiego, podnosi jego znaczenie dla literatury i ideologii polskiej. *Niedokończony poemat*, pomyślany jako część I *Nieboskiej komedii*, wracał wiele razy na warsztat autora, lecz nigdy nie został skończony. Całość fragmentu ukazała się drukiem po śmierci Krasińskiego, w 1860 r.** List więc do nie znanego nam adresata musiał być pisany po 1860 r.

Z dwóch listów do pana Wojciecha wcześniejszy, nie datowany, wysłany był z Paryża przed 9.XI.1876 r. (*terminus ad quem* wyznacza mu list następny). Ma on postać karty wymiaru 20,5 × 13,5 cm, wypełnionej po obu stronach atramentem, dużym pismem. List drugi stanowi arkusz złożony na pół o kartach 16,3 × 10 cm, zapisany dużymi pociągnięciami atramentowego ołówka. W obu listach Norwid donosi o przesłaniu wstępu i pierwszego rozdziału swej pracy pt. *Historia karykatury*. Za pośrednictwem przyjaciela autor *Promethidiona* chce rozprawę umieścić „w jakim artystycznym dzienniku". O rozprawie o karykaturze dowiadujemy się tutaj po raz pierwszy. Wzrasta zatem bibliografia twórczości pisarskiej Norwida, zarazem przybywa nowa pozycja na listę utworów zagubionych.

*

Ogłaszamy tu nie znane jeszcze teksty Norwida, a więc: wierszyk dla Zbyszewskiej i trzy listy. Przy tym w kilku wypadkach odstępujemy od autografu. Mianowicie: modernizujemy pisownię (tragedya — tragedia, kontemplacia — kontemplacja, tellegramatyczny — telegramatyczny), opuszczamy znak zmiękczenia nad spółgłoskami przed „i" (dźieje się), uzupełniamy interpunkcję dodając przecinki i kropki, odrzucamy znaki przestankowe występujące w roli intonacyjnej (np. „Farys — któremu, gościnność jest prawo!"). Wyrażenia podkreślone przez korespondenta oddajemy przy pomocy pisma rozstrzelonego.

---

* Gerson z Norwidem poznał się w okresie 1856—58, kiedy przebywał w Paryżu. Pisze o tym w *Kartce z pamiętnika* ogłoszonej w *Tygodniku Ilustrowanym* z 1888, II, s. 12. Na postać Gersona zwrócił moją uwagę Juliusz W. Gomulicki, który w artykule *Sześć głosów o Norwidzie* przedstawił stosunki malarza z poetą (*Ateneum*, 1939, II, nr 3, s. 482—3).

** *Niedokończony poemat* (z pośmiertnych rękopisów). Paryż, Księgarnia Polska, 1860.

PANI BRONISŁAWIE ZBYSZEWSKIEJ *

Za to, że BYŁAŚ pod jego namiotem,
Wodą się dzieli i powszednią strawą,
I w gwiazdy patrząc, nie zapomni o tem
Farys, któremu gościnność jest prawo!
Niebo się owszem pierw rozwala grzmotem,
Nim ten włóczęga cofnie rękę prawą,
Jeśli ją podał raz... a spotka potem.

C.N.

DO NIEZNANEGO ADRESATA, PO 1860 r.

...jednym słowem: że tragiczniejszego poematu nie znam! — że tragiczniejszego n i e m a. Żaden naród takiej tragedii, jak *Poemat* n i e s k o ń c z o n y m nazwany, nie widział w piśmiennictwie swoim. Żaden.

A jak wykończony — jak zapełniony! — nazwali n i e s k o ń c z o n y m — o! — a on jest tylko: n i e s k o ń c z e n n y, n i e s k o ń c z a l n y...

Sam z a r y s wystarcza, aby arcydzieło poczuć, że arcydziełem jest. — Bohatyr jest M ł o d z i e n i e c ten sam, co w *Nieboskiej* już M ą ż, i dlatego tak nazwan tam i tu. Młodzieniec błądzi samopas — hula po górach — przyjaciel czuwa nad nim, ale on nie jest energią dziką, bezwiedną siebie — on jest kontemplacją — i modli się.

Młodzieniec, kiedy w uniwersytecie był, poznał się był z onym przyjacielem swym Aligierem (Allighierim) i w jakiej chwili? — kiedy? — Oto skoro otoczyli go uliczniki szkolne i zamachiwali się policzek mu dać uniwersytecki — coś — jak po pogrzebie wiekopomnej pamięci senatora Piotra Bielińskiego...** Tak więc było to bierzmowanie geniuszu — tak musi być — tak z góry zepchnąć się zamachiwała rzesza Zbawiciela, ale przeszedł pomimo pięści tych, którzy czuli, iż O n jest, co przyszedł miłość, pokój i powagę wznieść na śmiecisko-gwałtów. Ślicznie więc pomyślane, że odtąd poczyna się chwila przyjacielskiej jedności z Aligierem. — Czytając to w f o t e l u albo na sofie — o! jakże można zachwycać się wynalazkiem autora, który prawie n a t w a r z y swej (do uniwersytetu jeszcze chodząc) znalazł był pierwsze głoski onej dramatycznej intrygi. — Jakoż tak zaczęty policzkiem dramat cóż okazuje dalej? — Miłość! Ta miłość jest dla kobiety f o r m a l n i e c z a r u j ą c e j, ale ona już i słówkiem nawet do tragedii nie należy — figurantka-poważna przechodzi raz przez scenę — ostatnia piękność w kraju bohatera.... ale już jest żoną łotra. — Dalej — po policzku od swoich i po miłości takiej, jak brzmi powyżej, cóż zostaje? L u d z k o ś ć — d z i e j e — n a r ó d — bardzo pięknie!

I oto cały świat dziejów przechodzi bohater, aby dojść do onych spełnienia

* W autografie napis ten znajduje się po inicjałach autora. Wydawało się jednak właściwym umieścić go na miejscu tytułowym.

** Norwid przypomina zajście Krasińskiego na Uniwersytecie Warszawskim, które spowodowało niezamanifestowanie przez syna Wincentego Krasińskiego uczuć patriotycznych podczas pogrzebu senatora Bielińskiego, zmarłego 6.III.1829 r. Bieliński jako prezes sądu sejmowego przyczynił się do wydania wyroku uwalniającego od zarzutu zdrady stanu wykrytych członków tzw. Towarzystwa Patriotycznego, stąd miał dużą popularność w Warszawie.

czasów, w których miłość rządzić ma a które przeto ukoić są w stanie każde osobiste rozdarcie — ślicznie! — Tysiące przeto lat przechodzi bohater epokami i narody wszelakie aż do dni, kiedy Dziejów-Parakleta* i Pocieszyciela-widomy-sługa harmonią samą zebrane ma narody sądzić, N i e d z i e l ę wieków zagajając — hosanna! hosanna! hosanna!

Niestety wychodzi tu nagle personifikacja ciemnoty, głupstwa i gwałtu w czerwonych i białych kolorach i woła jak w klubie „Proszę o głos!" — Robi się burda uliczna przed tronem Ducha S⁰ widomym — i ta odpowiada policzkowi, który jest na wstępie. — Tak więc — s p o ł e c z e ń s t w o daje w twarz, k o b i e t a żoną łotra jest, a E p o k a kończy się na burdzie!

Cóż zostaje? — Przyjaciel, ale i ten nie jest człowiekiem — jest to d u c h, s y m b o l, a n i o ł. K t ó r e ż s p o ł e c z e ń s t w o t r a g e d i ę w i ę k s z ą m i p o k a ż e? A jaka prawdziwa!

Piekło także, które na wstępie pokazuje przyjaciel, aby młodzieńczą energię czymś u-w s p ó ł c z e ś n i ć i w y c i ą g n ą ć z h u l a n i a p o g ó r a c h z a z w i e r z y n ą — piekło same owe w pewnych zarysach wyższe od Danta!... Dant zabłądził do piekła przez las i spotyka mary miłości obłąkanej na wstępie otchłani.

Gdzież to porównać do tej wieży, w której wojsko *(legios)* stoi na czatach i biło się już za wszystko na świecie — za wiarę, za Boga, przeciw wierze, przeciw Bogu — tak i siak — tam i tu — za to i za owo — i już nic nie wie, tylko lufy czyści — tylko raz, dwa obraca żelazem i wściekle-heroiczno-strategiczno-zwariowane węszy nosem, aby krew gdzie pluskała się — a lufy czyści — a wąsy ma — a porządne jest — l e g i o s.

Albo ta scena kobiet w piekle, którym każą być cicho —

Które modlą się i póki modlą.... Aldony! — Widać też same, które wszyscy poeci nasi opiewali, to jest ż a d n e — bałwanki! — Każda kocha z daleka zza krat śpiewając i lampę paląc — żadna na dół nie zejdzie, kiedy mąż głowę o węgieł wieży oparł i boleje. — Bo zbrzydła nieco i nie uczesana jest.

Ale na co to wszystko piszę Ci. — Będą czytać *Poemat nieskończony* z jakie piętnaście lat i tak, jak czytali Aldonę w *Wallenrodzie,* nie zobaczą nawet, co napisane było. — Tak i *Tadeusza,* z którego tyle widać tylko, iż rubaszni są i kapuśniak jedzą, i biją się, a kobiety Telimeny lub Zosieczki maleńkie. A l e t e g o o n i n i e w y c z y t a j ą n i g d y — możesz więc im, co chcesz, pisać.

Twój *Cyprian Norwid*

[Dopisek ołówkiem:] Żaden z nich budowy i typów nie czyta nigdy — czytaj oto książki.

[Paryż, przed 9.XI.1876]

Drogi Panie Wojciechu!

W tych dniach przeséłam na ręce Twe r ę k o p i s m streszczający h i s t o r i ę - k a r y k a t u r y według źródeł, jakie dotąd znane są od egypskich do spółczesnych.

* Parakletos, wyr. grecki — pocieszyciel, rzecznik, poręczyciel.

Przeszlę trzecią część lub połowę, bo-ć zapewne domyśleć się tego raczycie, że nie można zaprzęgać się do prac, których celu i użytku nie wiemy. Czy ten przedmiot znany jest wam? Czy odkrytą niedawno karykaturę Chrystusa-Pana znacie? Choćby tę jedną tylko — to-ć i to obchodzi świat. Ci tylko coś robią, co stąpają tam, gdzie pierw nie wypielono im palcami ścieżek. Rękopism będzie ci przesłany bez-opłatnie. — Przerywam pisanie, bo dziś chory jestem, a wysłać chcę —

Daruj tylko, że Ci powiem w sekrecie, iż czasowo jestem w fatalnym braku finansowym. Wolałbym do jakiego bankiera pisać o pożyczkę, niż filozofię i poezję!!

A propos: dla powodów usłusznionych moją biografią nic bez-płatnie nie piszę.—

Racz się z jakim artystycznym dziennikiem ułożyć, jeśli są na wysokości rzeczy i interesu.

Cierpiąc dziś bardzo ściskam rękę Twoją.

Cyprian Norwid

Ale śpieszcie się.

*

[Do pana Wojciecha.]

Adres mój może się niebawem odmienić — jest jeszcze rue de Chaillot 49. Żyjemy w wieku dziewiętnastym-telegramatycznym; pośpiech nie od nas zależy — methodą z-użytecznienia godzin miarkujemy na wiedzy możliwości społecznych. Ktokolwiek, czy to prasy, czy jakiego tworstwa dotknął, znać to powinien.—

Czy rękopism odebrany? Nie wiem — umiałbym takimi arkuszami przesłać całe dzieło, które bez mej znajomości rzeczy i krytyki i bez dopełnień moich tłumaczone rzeczowo dojdzie was kiedyś jako tłomaczenie, ale nie jako uwłaszczenie!! — Tak was mniej więcej wszystko dochodzi i wyrabia z umysłów kopie. Dając tylko powierzchowny wyzysk, a nie zysk, dwie rzeczy wcale różne.

Czy mam Ci tłomaczyć, dlaczego pracujący człowiek musi śpiesznie wiedzieć, jak godziny swoje obrócić i ułożyć?

Mnie przysełają edytorowie 3 lub 10 punktów co do czasu, przeséłki, rzeczy, ja je podpisuję i dopełniam i oni dopełniają i to zowie się życiem. Posłałem był pod Twoim adresem o karykaturze: wstęp — punkt wyjścia krytyki — i o egipskich pierwszy rozdział. Są tam rzeczy na więcej niż na wysokości obecnej teorii i wiedzy.

Ściskam Cię serdecznie.

Cyprian N.

9 Novembr. 1876, Paryż.

Opracowała
Jadwiga Rudnicka

Zbigniew Bieńkowski

ANTYNOMIE

W wiecznym konflikcie poezji: słowo — rzecz, Francis Ponge opowiedział się po stronie rzeczy. Nie jest to w dzisiejszym świecie stanowisko całkowicie odosobnione. Cała poezja, cała sztuka zaangażowana bezpośrednio w konflikty epoki, a więc, mówiąc przykładowo, poezja polityczna (takiego Aragona, takiego Eluarda) w swoim przedłużeniu filozoficznym jest także po stronie rzeczy, tej — niech zabrzmi paradoksem — duszy rzeczywistości. Stanowisko Ponge'a byłoby więc przedłużeniem zaangażowania w sferę metafizyki. Jego reizm byłby wyznaniem wiary materializmu.

Konflikty poetyckie, na szczęście, nie są sprowadzalne do walki filozoficznych postaw. Zaangażowanie poetyckie ma swój własny wymiar i zakres, żaden *izm* nie odda całego jego sensu, sporo, wszystko niemal, a w każdym razie to, co jest najbliższe samej istoty poezji, pozostanie w sferze nieokreślenia. Stanowisko Ponge'a, tak jednoznaczne zdawałoby się już chociażby przez krańcowość, jest nie do wydzielenia, wyodrębnienia, nie do oderwania od swojej własnej antynomii.

Czyż można sobie wyobrazić współcześnie większe przeciwieństwo: Saint-John Perse i Ponge? Pierwszy — to ostateczna konsekwencja symbolizmu, to wytłaczanie w samej, czystej, idealnej materii słowa — wybrzeży, wzruszeń, szczytów, a więc fizycznej mapy świata. Drugi — to antysymbolizm w prymitywnej, programowej postaci, to wytapianie z rudy słowa w olbrzymiej hucie werbalizmu czystego kruszcu świata, rzeczy. Tam, u Saint-John Perse'a, słowo jest wartością pierwszą, elementem, żywiołem stworzenia. Tu, u Ponge'a, świat jest w niewoli, w mocy opętańczego, oszukańczego słowa, które trzeba rozbić, rozkruszyć, rozdeptać, aby wyzwolić ukrytą gdzieś na dnie, w piekle wieloznaczenia, czystą, prawdziwą, niepokalaną, olśniewającą rzecz, cud rzeczywistości. Saint-John Perse i Ponge, antynomia poezji słowo — rzecz, doprowadzona do najdalszych współcześnie konsekwencji wyobraźni. Współcześnie nikt, ani w jedną, ani w drugą stronę dalej świata poezji nie rozciągnął. Granice nieskończoności w poezji dzisiejszej to właśnie Saint-John Perse i Ponge. Dwa bieguny, dwa ideały. Ale już w tym zawiera się nieuchronność wzajemnego uzupełnienia. Bo te dwie najskrajniejsze współcześnie propozycje wyobraźni są nie tylko nie do pogodzenia, ale i nie do rozerwania. Jedna jest bowiem niepojęta bez drugiej, jedna jest odnośnikiem dru-

giej. Obie, dopiero zaprzeczając się wzajemnie, wyrażają czas dzisiejszy w jego najistotniejszym niepokoju, w polemice o znaczenie świata.

W poezji, z taką samą siłą jak w powieści, odbija się współczesny kryzys zaufania. Zaufanie do słowa Joyce'a, zaufanie nadrealizmu, ustąpiło nieufności, której wyrazem skrajnym jest twórczość powieściowa Nathalie Sarraute. Dzisiejszy powieściopisarz nie ufa strumieniowi świadomości, nie wierzy w odkrywczą moc monologu wewnętrznego. W słowie widzi nie moc wyzwalającą, ale właśnie funkcję paraliżującą, aktorstwo maskujące myśli, uczucia, intencje. Słowo nie obnaża, ale ukrywa, kłamie, nie rozjaśnia, ale zaciemnia, nie prostuje, ale paczy.

Ten kryzys zaufania do słowa to najbardziej zasadniczy kryzys literatury. Więc co? Więc literatura ma bronić się przed słowem? Jakimi narzędziami? Czyżby literatura miała przestać być literaturą? Ten kryzys zaufania do słowa na terenie powieści sprowadza się do poszukiwania takich technik, które byłyby hamulcami, śluzami czy wręcz tamami dla strumienia mowy. Skończyło się panowanie monologu wewnętrznego. Pojawia się umyślnie skonstruowana, nie obciążona obowiązkami autorskimi postać narratora, która ma za zadanie wtłaczać konflikty w czas teraźniejszy, aby przynajmniej odciąć relacji jej możliwości interpretacyjne. Władza słowa nie będzie wszechwładzą. Narrator będzie miał możność kontroli. Sprawa jest nadal otwarta dla eksperymentu, został bowiem zaledwie wytyczony kierunek. W poezji zmaganie się z wszechwładzą słowa, z nadużyciem wieloznaczenia i terrorem werbalizmu, trwa od zawsze. Konflikt słowo — rzecz, znak — świat jest pierwszą sprawą poezji. Dzieje poezji to suma kryzysów, zaufania i nieufności do słowa. Jak wruszenie wzruszeniem poezję lotną, oderwaną od ziemi, szybującą w nieskończoność na słowach-obłokach, słowach-skrzydłach, słowach-błyskawicach równoważyła poezja obciążona znaczeniem świata, przestrzegająca praw fizyki nawet w swojej metafizyce. Słowackiego równoważył Mickiewicz, Lermontowa — Puszkin. Te antynomie są naturą poezji. Dzisiejsza antynomia Saint-John Perse — Ponge jest spotęgowana ogólnym kryzysem zaufania do tego, co tak w życiu, jak w sztuce przybiera postać drętwej mowy.

Francis Ponge tak określa swoją metodę:

Praca musi polegać wyłącznie na ustawicznym uściślaniu, oczyszczaniu i rafinowaniu środków wyrażenia (bez najmniejszej a priori troski o formę, jaką ona przybierze), po to, by przylegało do samej (surowej) natury przedmiotu.

Opisując więc Loarę z określonego punktu obrzeżającej ją stromizny muszę ustawicznie zanurzać w wodzie rzeki mój wzrok, myśl moją. Za każdym razem, kiedy myśl czy spojrzenie spełzną na mieliznę wyrażenia, muszę je z powrotem zanurzyć w nurt rzeki.

Uznać najwyższe, nie ulegające przedawnieniu ani odwołaniu prawo przedmiotu do założenia sprzeciwu przeciwko każdemu poematowi... Nie ma poematu nie zagrożonego procesem ze strony przedmiotu, którego jest pretekstem. Każdemu poematowi grozi zawsze wniesienie skargi o naśladownictwo.

Przedmiot posiada zawsze więcej znaczenia, więcej danych, więcej możliwości (wszystkie prawa): nie ma wobec mnie żadnego obowiązku, to ja mam wobec niego wszystkie.

Na zawsze zakazana wszelka próba godzenia i godzenia się ze stanem rzeczy. Rzeczy i poematy są nie do pogodzenia.

Rolą poezji będzie więc usuwanie słowa w cień rzeczy, która dyktować będzie sama prawdę o sobie. Nie darmo swój programowy zbiór poematów Ponge zatytułował *Parti pris des choses.* Jest to opowiedzenie się po stronie rzeczy. Czy przeciwko słowu?

Tytuł jednego z następnych, po *Parti pris des choses,* zbiorów poezji Ponge'a brzmi: *La rage de l'expression — Wyrazić się za wszelką cenę!* Tymi dwoma tytułami Ponge jakby ukazał granice, w których będzie swoją poezję hodował. Po stronie rzeczy staje nie przeciwko słowu, a więc nie przeciw poezji. Ale po to właśnie, aby się za wszelką cenę wyrazić. Rzeczy właśnie mają go naprowadzić na właściwe słowa, na właściwe środki wyrażenia. Bo same są bezradne, nieme, ślepe i głuche. Jeden z najpiękniejszych poematów Francis Ponge'a *(Pory roku)* mówi o tym rozdarciu świata, które tylko poezja może scalić:

Znużone skrępowaniem, w jakim żyły przez całą zimę, drzewa nagle licytują się naiwnością. Już nie mogą wytrzymać — dają upust słowom: strumień, krwotok zieleni. Starają się doprowadzić do pełnego, nieograniczonego rozlistnienia się słów. Co będzie, to będzie. Wszystko to się jakoś ułoży. I to się układa, rzeczywiście!

Nie ma najmniejszej swobody w wymowie liści... Wyrzucają z siebie, tak im się przynajmniej zdaje, słowa takie, inne, jakiekolwiek, wypuszczają gałązki, łodyżki do zawieszania słów, nowych słów: po to mamy pnie, myślą, aby na siebie wzięły wszystko. Usiłują ukryć się, zajść jedne za drugie, uchodzić jedne za drugie. Wydaje się im, że są w mocy wyrazić wszystko, całkowicie pokryć świat słowami, słowami rozmaitymi: mówią tylko „drzewa". Nie są w stanie utrzymać nawet ptaków, które opuszczają je w chwili, kiedy tak bardzo się cieszyły, że wydały z siebie te jakże dziwne kwiaty! Zawsze taki sam liść, zawsze taki sam krój, takie samo unerwienie, zawsze liście symetryczne i symetrycznie zawieszone! Spróbuj jeszcze jeden liść! — Taki sam! Jeszcze jeden! — Taki sam! Nic by ich nie zdołało zatrzymać, gdyby nagle nie taka uwaga: „Nie wychodzi się z drzewa środkami drzewa". Więc nowe znużenie i nowe przejście moralne. Zostawmy, niech to wszystko zżółknie i opadnie. Aż przyjdzie stan niemoty, ogołocenia, JESIEŃ.

Ponge, opowiadając się po stronie rzeczy, nie opowiada się przeciwko słowu jako takiemu, bo nie opowiada się przeciwko wyrażeniu, bo właśnie szuka środków wyrażenia, które nie zafałszują, ale oddadzą, wyrażą rzecz jako taką.

W konflikcie słowo — rzecz Ponge staje więc po stronie rzeczy przeciwko słowom-niszczycielom, słowom-chwastom, słowom-gorszycielom, przeciwko tej całej aparaturze wyrażenia, która zaciemnia, fałszuje i paczy świat rzeczywisty. Poezja Ponge'a to krucjata nie przeciwko słowu jako takiemu, ale przeciwko zgorszeniu werbalizmu. W tym stawaniu po stronie rzeczy obecna jest także intencja: obronić słowo! Program Ponge'a dalej sięga niż program Nathalie Sarraute. Obejmuje on także zagadnienie reedukacji, rehabilitacji, przywrócenia słowom godności i blasku pierwszego, niepokalanego znaczenia.

Co to znaczy stanąć po stronie rzeczy? Ponge na to pytanie odpowiada przykładowo. Staje po stronie rzeczy, jak się staje po lewej czy po prawej stronie, konkretnie, bez deklamacji. A więc po stronie mięczaka, po stronie motyla, po stronie skórki chleba, pomarańczy...

Stając po stronie takich i innych konkretnych rzeczy Ponge nie daje się zasugerować legendą metafory, legendą wiedzy, niczym, co tę rzecz kiedykolwiek uogólniło. Przy opisywaniu mięczaka czy motyla nie mniejszą funkcję niż wyobraźnia spełnia pamięć: pamięta, by nic nie pamiętać. Mięczak czy motyl mają być przecie wyjęte z otoczki wszystkich słów i ujrzane po raz pierwszy. Mięczak, motyl, ale i człowiek także. Bagatela!

Wszystko może być przedmiotem takiej obserwacji i takiego zapisu. Skórka chleba, pomarańcza, kobiałka, kamyk, ale także elektryczność, ale także obraz malarski, wszystko, co w jakikolwiek sposób istnieje. Ponge robi nawet wysiłek, ażeby wszystko umieścić na tym samym planie, jako rzeczy wśród rzeczy. Nie wartościuje, hierarchia byłaby interwencją słowa. A słowo musi zapomnieć o swoich wpływach jakichkolwiek, o swoim zamierzchłym uprzywilejowaniu. Ono ma się przecież odrodzić, nauczyć się jednoznaczności przez powrót do rzeczy, do swojego pierwszego, nie skażonego źródła.

Poematy Ponge'a z samego założenia, z obowiązującego je kanonu poetyckiego mają obowiązki wobec rzeczy i wobec słowa. Jak je spełniają, jak godzą je z sobą?

Spełnić obowiązek wobec rzeczy to przedstawić ją najwierniej, najściślej jak to możliwe. Ponge cofa się przed symbolizm, wraca do opisu, osiemnastowiecznej formuły encyklopedycznej. Hasło encyklopedii awansowało do wzoru sztuki, wzoru niedoścignionego, bo ścisłość jest nieosiągalna. Ponge opisując nie może przekroczyć pewnych granic świata, nie może wniknąć w strukturę kamienia, we wnętrzności żywego ptaka. Stanąć po stronie rzeczy to przyjąć zobowiązanie.

Każdy opis spełnia tylko swoją własną rolę, nie jest w stanie rozrosnąć się w metodę. Metoda jest jednym z nadużyć słowa. Ponge musi więc czynić ustawiczne wysiłki oryginalności. Na szczęście oryginalność jest w samym świecie, a świat jest niewyczerpany. Opisać świat to czyste szaleństwo. Właśnie poezja Ponge'a jest próbą szaleństwa. Poeta wierzy, że kiedy cały świat będzie na nowo nazwany, słowa odzyskają czystość i niewinność równą czystości i niewinności rzeczy. Dopiero wtedy. Póki co, nie do pogardzenia jest semantyczna higiena.

Ponge zmusza więc słowa do liczenia się z rzeczywistością rzeczy. Uskromnia je, ujednoznacznia. W tym jest wielka, oczyszczająca funkcja jego poezji, tak bardzo bliskiej współczesnym tendencjom filozofii.

Zbigniew Bieńkowski

Paweł Jasienica

KONIEC SREBRNEGO WIEKU

W kościele kamedułów na Bielanach pod Krakowem wisi portret, który tak wygląda, jakby go wypożyczono w Wiedniu albo w Sztokholmie. Przedstawia wysokiego, starszego pana, ubranego w kusy i czarny strój cudzoziemski z białą kryzą. Siwe włosy, wąsy i broda podstrzyżone wcale nie po sarmacku. Zamiast karabeli szpada. Na stoliku czarny kapelusz. Twarz dostojnika ściągła, o sceptycznym wyrazie, oczy patrzą uważnie i niezbyt życzliwie. Właściciel ich za życia na pewno umiał trzymać ludzi na dystans, skoro czyni to nawet z obrazu.

Tak wyglądał Mikołaj Wolski herbu Półkozic, marszałek nadworny, a z czasem wielki koronny, fundator bielańskiego eremu.

Jego losy i obyczaje były oryginalne. Wychowywał się razem z austriackimi książętami krwi i od nich niewątpliwie nabrał zamiłowania do wyniosłych manier. Przez całe życie pozostawał stronnikiem polityki Habsburgów. Posłował, dużo podróżował. W testamencie chwalił się, że stojąc blisko tronu nic nigdy dla nikogo „nie zjednał". Cudzoziemców protegował na wszelkie sposoby. Bielany — jak sam wyraźnie stwierdził — założył nie dla Polaków, lecz dla Włochów. Za młodu, wraz ze słynnym Michałem Sędziwojem i królem Zygmuntem III, parał się alchemią. Od wojaczki stronił, popierał nauki przyrodnicze i matematyczne, technikę oraz sztuki piękne.

Sylweta całkiem europejska, ale materiału na zbawiciela kraju niewiele: Wolski maczał palce w aferze Samozwańca i w samozwańczych wojnach Samuela Koreckiego przeciwko Turcji; w początkach wojny trzydziestoletniej odrzucił błagania stanów czeskich o pomoc przeciwko Habsburgom, których popierał ze względów zasadniczych, ale kubany od nich także brał.

Wolski nie był dziedzicem bielańskiego wzgórza. Długo bezskutecznie zabiegał o jego kupno, a dostał w jeden mig i bez pieniędzy. Sebastian Lubomirski sprzedawać nie chciał, ale podochocony podczas uczty — podarował. Wolski natychmiast zrewanżował się srebrną zastawą stołową, wartą więcej niż całe wzgórze. Potem brzęczącą, drogą monetą ówczesną wyłożył na budowę pół miliona i pobił wszelkie rekordy, daleko za sobą zostawił Ossolińskich, murujących koło Iwanisk Krzyżtopór, legendarny „kamienny rok": od XI

stulecia powstają w Europie klasztory kamedułów, lecz znawcy twierdzą, że drugich takich Bielan nie ma na kontynencie.

Pan Wolski kazał się pochować pod posadzką kościoła w mniszym habicie. W testamencie zarządzał: „...obrazy *ad libidinem* i do grzechu pobudzające, co ich jedno w zamku krzepickim się znajdzie, wszystkie spalić; a te, co na murze w mojej izdebce, gdziem sypiał, i w komnatce nago są namalowane, proszę was, niech malarz, który to potrafi, sukienki jakiekolwiek domaluje, a *inhonestates* niech pokryje. Pod stropami malowane już tak, jako są, niech pozostaną".

Jak widzimy, imaginacyjny portret pana Wolskiego może wyglądać bardzo rozmaicie, raz przypominać zachodniego procedernika, to znów kresowego magnata. Wszystko zależy od doboru punktu widzenia.

Pan Wolski prawdziwy nie mieścił się w żadnym schemacie i przez to właśnie był typowy dla polskiego XVII stulecia.

■

W *Listach staropolskich z epoki Wazów** Hanny Malewskiej występuje dwóch Sebastianów Lubomirskich. Nie wiem, niestety, który z nich miał szeroki gest i podarował Bielany. Może kasztelan wojnicki, o którym dowiadujemy się od autorki, że nakładał opłaty na jagody i grzyby ze swoich lasów i został bohaterem pieśni: „Hejże, hejże, wojnicki, pobije cię płacz ludzki. Coś na grzybach nałupił, piekłoś sobie zakupił". W tym niewielkim tomie cały tłum postaci, prezentujących czytelnikowi rzeczywistą prawdę o sobie, epoce oraz rozmaitości charakterów ludzi, żyjących w jednej dobie pod tym samym słońcem.

Gdyby istniała rubryka „książka roku", dobijałbym się o poświęcenie jej utworowi Hanny Malewskiej. *Listy staropolskie* uważam za rzecz bardzo wybitną. Pochwały lepiej zastąpić przewidywaniem, że tej książce starość nie zagrozi. Będzie czytana, dopóki nie wygaśnie zainteresowanie historią. Jak wiemy z doświadczenia, ta gałąź humanistyki cieszy się godną uwagi długowiecznością. Kogo i czego tylko nie przetrzymała?

Postarajmy się wyśledzić główną tajemnicę sukcesu Hanny Malewskiej. Kryje się ona, moim zdaniem, w metodzie, którą określić całkiem łatwo, lecz w praktyce osiągnąć nader trudno. Autorka — o ile to w ogóle jest możliwe— nie dobierała punktu widzenia. Ona go s z u k a ł a, wertując dokumenty, dowody rzeczowe. O syntezie rozstrzygały zatem nie same tylko przekonania i poglądy, z którymi do archiwum przyszła, lecz także to wszystko, co w tym archiwum naprawdę jest.

Pozornie nic zwyklejszego: badanie, postrzeganie i wnioski. W naukach przyrodniczych chadza się tylko po tej drodze. W humanistyce ideał takiej rzeczowości jest nieosiągalny, a to po prostu dlatego, że nie istnieje sposób zamknięcia cyklu aktem w biologii niezbędnym. Nie podobna jeszcze raz zainscenizować sejmu z 1646 roku. Brakuje możności sprawdzenia wniosków przy pomocy celowo przeprowadzonego doświadczenia. W humanistyce bardzo rzadko mamy matematyczną pewność (metodologia powiada, że milczenie źró-

* H a n n a M a l e w s k a: *Listy staropolskie z epoki Wazów*. Warszawa 1959. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 380.

deł o jakimś fakcie wcale jeszcze nie stanowi dowodu, iż tego faktu nie było). Rozmaitość, nawet sprzeczność, poglądów jest nie tylko dobrym prawem, ale podstawowym warunkiem życia humanistyki.

Badawcza rzetelność to całkiem inna sprawa. Absolutu doskonałości i tutaj być nie może. Zdarzają się uczeni umiejący nałożyć hamulce własnym przekonaniom filozoficznym czy wierzeniom religijnym. Tadeusz Wojciechowski, który obalił dawne poglądy na rolę św. Stanisława, był praktykującym katolikiem. Ale jakże można sobie wyobrazić człowieka całkiem wyzwolonego od sympatii i antypatii dyktowanych chociażby przez temperament? Sądząc dawno umarłych ludzi patrzymy od strony skutków ich czynów. Zachwycamy się lub oburzamy, biorąc pod uwagę zdarzenia, których tamci ani znać, ani nawet przewidzieć nie mogli. „Prawo", na którego podstawie historyk ogłasza wyroki, wbrew kardynalnej zasadzie sprawiedliwości, działa wstecz. Nigdy tego nie zmienimy. Nie można komuś zabronić gniewać się i przejmować.

Rzetelność badawcza u humanisty to niewielka doza stronniczości. Po uważnym przeczytaniu *Listów staropolskich* doszedłem do przeświadczenia, że Hanna Malewska wyzwoliła się od niej w stopniu rzadko spotykanym. Chcąc tego dowieść, trzeba — zgodnie zresztą z dobrymi obyczajami publicystycznymi — zająć się fragmentem książki najtrudniejszym do obrony.

Rozdział nazywa się *Lektura szlachecka*. Jest rok 1643 — pan Zbigniew Gorajski, kasztelan chełmski, gorliwy kalwin, pisze do urodzonego Jerzego Słupeckiego, starosty pilzneńskiego, który postanowił porzucić wyznanie helweckie i powrócić do katolicyzmu. List i odpowiedź to spokojna rozmowa dwóch intelektualistów, zapewniających się nawzajem o potrzebie zachowania rozwagi i dokładnego sprawdzania motywów postępowania. Gorajski w delikatny sposób wyraża zdziwienie, że inteligentny człowiek może się godzić na absolutną władzę papieża w sprawach wiary. „Proszę — pisze — żebyś WPan i Brat dobrze uważył, co właściwie Kościołem Rzymskim Kościół zowie i co rzeczą samą ma władzę określania wiary: nic inszego, tylko papież... Tym dziwniejsze to uroszczenie, im jawniejsza, że nigdy ten jedyny lat kilkaset po czasiech apostolskich nie miał takiej władzy, takiej czci i poszanowania, jako teraz ma... Nie broń WM. sobie czasu długiego do lepszego rozbierania wszystkich tych okoliczności, które do pełnego poznania należą..."

„Tak oto rozmawiano u nas wówczas o wierze" — dodaje Hanna Malewska. W pewnej nie tyle treściwej, co krótkiej recenzji już jej wytknięto nadmiar optymizmu. Podkreślono, że bez trudu można dać przykłady zaciętości, nawet okrucieństwa starć na tle religijnym w Polsce ówczesnej.

Ano można. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy panowie Gorajski i Słupecki wymieniali mądre listy, w Wilnie działy się rzeczy mało chwalebne. Zbór kalwiński znajdował się poza murami, królewskim wyrokiem usunięty z miasta po tumultach jesieni 1639 roku (bernardynki oskarżyły wtedy kalwinów o rozmyślne strzelanie z łuku do obrazu św. Michała, znajdującego się na frontonie kościoła, i w ten sposób sprowokowały rozruchy). Duchowni musieli jednak nieść posługi religijne wiernym, zamieszkałym w samym mieście. Studenci jezuickiej akademii napadali „ministrów", bili do utraty przytomności, obdzierali z ubrań do naga. W dodatku jeszcze oskarżali kalwinów na piśmie o profanowanie Najświętszego Sakramentu, zbrojne napaści na katolików i tak zwane groźby karalne. Pobici duchowni kalwińscy sami byli

sobie winni. Dostało się im od jakichś włóczęgów, gdy „ku wieczorowi zasię w tychże kapłańskich habitach do domu podejrzanego na przedmieściu, blisko ogroda ich kalwińskiego będącego, z wielkim ludzi prostych, którzy ich za księżą katolicką rozumieli, wzgorszeniem i obelgą świętego stanu kapłańskiego chodzili..." *

Łatwo rozstrzygnąć, kto był ofiarą, a kto napastnikiem i oszczercą. Protektor wileńskich kalwinów, Krzysztof Radziwiłł, już nie żył. Wojewodą został po nim katolik, Janusz Tyszkiewicz.

Autorka, zwłaszcza tak dobrze znająca epokę, stanęła wobec konieczności wyboru: mogła podać nam teksty świadczące źle o kulturze kraju lub bardziej dlań zaszczytne. Zdecydowała się na to drugie. Warto sprawdzić, czy nie przesadziła, czy — mówiąc ostrzej — nie popełniła nadużycia.

„...w Europie wojny trzydziestoletniej, gdzie poza Polską mogłaby się taka rozmowa toczyć?" — pyta Hanna Malewska, mając na uwadze przytoczone listy.

Filip Erlanger, francuski historyk obyczajów, pisze o czasach poprzedzających wybuch tej wojny, w najgorszy sposób wsławionej okrucieństwem: „Przekonanie, że się broni ortodoksji, wystarczało na usprawiedliwienie zbrodni. Od księcia (z wyjątkiem Henryka IV), od prałata czy pastora aż do rajtara każdy przyznawał sobie umiejętność wyjaśniania woli Niebios i prawo narzucania jej odrażającymi środkami".

Tak było we Francji. A teraz jedno zdanie o Hiszpanii: „W chwili śmierci (1598) Filip II żałował tylko tego, że nie dość wytępił Żydów, heretyków i niewiernych".

W komentarzach do przytaczanych tekstów Hanna Malewska zwraca uwagę na ciekawe zjawisko. Był nim powszechnie w Polsce panujący szacunek dla osoby królewskiej. Szlachcic strzegł swych wolności o wiele pilniej niż łba, często kiereszowanego na sejmikach, ale majestatu nie obrażał. Zamach na Zygmunta III był dziełem człowieka umysłowo chorego i wzbudził zgrozę.

Francuscy jezuici przechowywali jak relikwie ząb swego ucznia, Jana Chastel, który porwał się na życie Henryka IV i zranił go w usta. Ukazywały się liczne rozprawy dowodzące, że kiedy wchodzi w grę dobro wiary, wolno osądzać spontanicznie i zgładzać monarchów. Hiszpański jezuita, Juan de Mariana, napisał w r. 1599 dzieło *De Rege et Regis Institutione,* w którym pochwalał czyn Jakuba Clément, zabójcy Henryka III, króla Francji. Oto główna teza książki: „Jeśli panujący obala religię kraju lub jeśli sprowadza wrogów dobra publicznego (czyli protestantów — przyp. *P. J.),* ten, kto dla pożytku narodu będzie usiłował go zabić, moim zdaniem, nie postąpi niesprawiedliwie".

Papież potępił wzmiankowane dzieło, ale zmarły w roku 1624 O. Mariana przeżył Henryka IV, czternaście lat wcześniej zamordowanego przez Ravaillaca.

Znamienne, że tego rodzaju teorie szerzyły się nie wśród francuskiego ludu, lecz wśród uprzywilejowanych.

Religijna motywacja politycznych posunięć była w XVII stuleciu traktowana ze skrajnym cynizmem, ideologia stanowiła parawan i nic więcej. Ale

* Dr Bogumił Zwolski: *Zburzenie zboru ewangelicko-reformowanego w Wilnie w 1682 r.* Wilno 1937 r.

ludzie byli zdumiewająco zabobonni, czuli na wszelkie podniety wywodzące się ze świata zjawisk nadprzyrodzonych. Podchodząc od tej strony łatwo ich było skłonić do postępków niepoczytalnych — nawet niechcący. W 1606 roku papieżowi Pawłowi V przyśnił się Paryż zniszczony ogniem. Wiadomość o tym wzbudziła panikę w obywatelach miasta. Tłumy uciekały na prowincję. Wobec takiego stanu rzeczy nie może zbytnio dziwić, że mieszkańcy Rouen odkopywali zwłoki protestantów poległych podczas walk i rzucali je psom na pożarcie. Ci, którzy zachęcali do podobnych uczynków, zmierzali do celów politycznych. Prowokować pospólstwo mogli bez trudu.

Wydaje się, że Hanna Malewska miała pełne prawo uznać spokojną korespondencję intelektualistów za zjawisko charakterystyczne dla epoki sporów religijnych w Polsce, w pierwszej połowie XVII wieku. Specjalne podkreślanie stron ciemnych nie byłoby sprawiedliwe, bo w tym względzie staliśmy daleko od europejskich szczytów.

Odłożę na chwilę *Listy staropolskie*, by sięgnąć do *Dziejów w Koronie Polskiej*, spisanych przez Łukasza Górnickiego w przepięknej, niezrównanie dobitnej polszczyźnie. Nie zmieniam ortografii wydania z roku 1750:

„Nastąpił rok 1551, ktorego Krolowa Barbara umarła, z wielkim Krolewskim żalem... Andrzey Zebrzydowski (biskup krakowski — przyp. *P. J.*), zabiegając, iżby Katolicka Religia wątlona nie była, słysząc o Krupce Przecławskim, iż sobie Marcina Lutera Heretyka naukę upodobał y iawnie dobrą ją bydź wyznawał, pozwał go przed się. Sąd był w Krakowie, w Biskupim Dworze..."

Skazujący wyrok oburzył szlachtę i sprawa wypłynęła na sejmie w roku 1552. Znowu cytuję podkreślając we własnym imieniu:

„...ukazowali Biskupi, iż żadna insza rzecz rychley nie wywróci każdego Panstwa, każdego Krolestwa, iako różność w chwaleniu Boga. Drudzy zaś przyznali to, iż odmiana wiary odmianę Panstw czyni: iednak żeby to w mocy Xięży bydź miało, czynić infamem kogo chcą, Boże tego uchoway. Po długim tedy rozbieraniu rzeczy, Krol uczynił Dekret: Iż z strony religij nikomu inszemu uznanie nie należy, kto dobrze abo źle wierzy, iedno Biskupom: lecz około poczciwości, nie onych to rzecz. Tym Dekretem Stan Duchowny tak był obrażon, iż uczyniwszy protestacyą, że się gwałt dzieie ich prawom, kilka dni do Rady nie chodzili..."

Chyba się nie mylę, widząc w tym sprawozdaniu naocznego świadka dowód bardzo wysokiej kultury politycznej Polski Zygmunta Augusta. Był rok 1552, na świecką koncepcję państwa należało jeszcze setki lat czekać. Sejm koronny uznał rolę religii, ale stanowczo odrzucił polityczne uroszczenia kleru. Wyprosił sobie ideologiczne parawany, za którymi kryje się żądza władzy (biskup Zebrzydowski prywatnie mawiał: wierz sobie i w kozła, byleś dziesięcinę płacił). A przecież to jest istota rzeczy! Dekret królewski wiernie służył prastarej i najlepszej tradycji europejskiej: Grecja i Rzym nie znały politycznie panujących kast kapłańskich, jaskrawo różniąc się pod tym względem chociażby od Egiptu.

W czasach, które przedstawia Hanna Malewska, było w Polsce o wiele gorzej niż za Zygmunta Augusta. Ale jeszcze nie przyszło do całkowitego odstępstwa. Jerzy Ossoliński, Mikołaj Wolski oraz inni pokończyli zagraniczne

szkoły jezuickie, które w określony sposób uformowały ich umysły, ale państwo nie ustępowało bez oporu. Władysława IV wprost szantażowano na sejmie 1640 roku, grożąc odmową podatków na wojnę, jeśli żądania strony katolickiej nie zostaną spełnione. Król musiał ustąpić, kazał przenieść zbór kalwiński za mury Wilna. Lecz wkrótce potem wysłuchał skarg dotyczących opisanych już napaści. Wysłał ostre listy do wojewody i biskupa. Temu ostatniemu zagroził ograniczeniem przywilejów akademii jezuickiej i dyktował: „gruntowną uczyniwszy inkwizycją, winnych na postrach innym... każesz pokarać".

Hanna Malewska oddała sprawiedliwość historii kraju. Listy Gorajskiego i Słupeckiego są na pewno charakterystyczne dla ówczesnej Polski, oglądanej na niezbyt powabnym tle Europy. Więcej jeszcze — treść i forma wywodów Gorajskiego muszą pozyskiwać sympatię czytelnika dla tego innowiercy, kulturalnego bojownika strony słabszej, politycznie przegrywającej.

Jednakże Hanna Malewska wzmocniłaby własną pozycję autorską, dając jakikolwiek tekst, świadczący o zapadającym zmierzchu. Jeśli kogo trochę skrzywdziła, to siebie.

Jerzy Ossoliński tak mówił na sejmie 1640 roku, nawiązując do nieszczęsnego strzelania z łuku w Wilnie:

„Co inszego ja tu przypomnę NMkrólu, bez czego nic i od czego wszystkie rady i dzieła nasze zaczynać potrzeba: to jest chwałę Bożą i całość kościoła świętego. Oboje to, że w tych czasach bezbożnie pogwałcone, przystojnie rozgrzeszyć potrzeba... Gdy WKMość zamyślasz podnieść krzyż święty na nieprzyjaciół, gdy kościoły i dziedzictwo Boże chcesz z rąk pogańskich ratować, wprzód tak świątobliwemu panu w królestwie swoim na to baczyć należy, by samego Boga od obelgi i sromocenia oswobodzić. Wtedy nie tylko ten postronny nieprzyjaciel, lubo potężny, ale i samo piekło i świat, choćby się w gruzy rozsypał, straszny nam nie będzie..."

Stary Ludwik Kubala przytoczył ten tekst i dodał od siebie, że podobna mowa pasowałaby może do jakiegoś tuzinkowego mnicha, uniesionego zapałem kaznodziejskim, lecz nie do kanclerza królestwa, który w gorliwości prześcignął samych biskupów, nie kwapiących się tym razem do wszczynania hałasu. Bo też Ossoliński zmierzał wtedy do utworzenia w Polsce ultrakatolickiego stronnictwa politycznego. Grał na zimno, z premedytacją.

Hanna Malewska przepuściła okazję. Jeszcze jeden krok w kierunku bezstronności, a trafilibyśmy w pobliże ideału.

*

Listy staropolskie z epoki Wazów składają się z kilkunastu rozdziałów. Zawierają liczne teksty źródłowe, połączone zwięzłym, bogatym i subtelnym komentarzem o charakterze eseistycznym. O wartości książki najlepiej może świadczy to, że każdy rozdział i niemal każdy cytat dostarcza okazji do napisania osobnego artykułu. Zebrane razem, dają obraz epoki wyjątkowo rozległy, całą panoramę.

Już nie artykuł, ale rozprawa mogłaby powstać na podstawie tych dokumentów, które pochodzą od osób ze wschodniej połaci Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Zaraz w drugim rozdziale spotykamy niezwykłą postać pana

Piaseczyńskiego, dyplomaty, wielokrotnego posła do Cara Perekopskiego, czyli chana. Ze znamienną dla niej wnikliwością Hanna Malewska podkreśla, że pan Piaseczyński zawsze podpisywał się: Ławryn. Takiego imienia nie ma w polsko-katolickim kalendarzu, jest tam Wawrzyniec. Bo też urodzony w województwie bracławskim, świetnie władający polszczyzną, Piaseczyński był z pochodzenia Rusinem, dziś powiedzielibyśmy — Ukraińcem. Pilnie strzegł ruskiej formy imienia i ten fakt dobrze charakteryzuje wielonarodowe państwo i epokę tolerancji. Piaseczyński cieszył się zaufaniem króla, zbierał pochwały sejmu i był popularny wśród szlachty, która wybierała go na rozmaite godności.

Cóż to za przemiły weredyk! Do monarchy pisywało się wtedy w słowach oględnych, pełnych szacunku. Nawet groźny Jan Karol Chodkiewicz miarkował temperament. Tylko pan Ławryn inaczej. Turcy dokuczali mu w Akermanie, więc: „uchylałem się jako goły w pokrzywach w obie stronie, i siak, i tak...". A Kozacy, którzy okręt „płynący z towary" zdobyli na Czarnym Morzu, „Grekom chrześcijanom pokazali dzieło miłosierdzia — obrawszy puścili nago wolno".

Ławryn Piaseczyński jest autorem traktatu o powinnościach posła za granicami państwa. Z dawnych wydań przedrukowali go ostatnio Adam Przyboś i Roman Żelewski w zbiorze *Dyplomaci w dawnych czasach* (Wydawnictwo Literackie, 1959). Posłuchajmy, jakich sposobów zaleca Piaseczyński używać, kiedy trzeba zdobyć wiadomości. Najpierw rozmowa, żarty, traktamenty i dary. „Na ostatek umyślnie tknąć w czem, a zwłaszcza w religijej poganina, tedy będzie li niećwiczony, jako na męce wszystko wypowie, łając tobie, a ty póki potrzeba materyjej podżygaj, aż wszystko wypowie, potrzeba wycierpieć, potym go umitygowawszy, żałosnym się pokazać. A wywiadszy, że to on niesłusznie uczynił, samego (chociaż winując) wielce ważyć i tak się znowu w zgodę z takim zawrzeć..."

Tylko człowiek chemicznie wyprany z kompleksu niższości mógł sobie pozwalać na takie zabiegi. W Ławrynie Piaseczyńskim ani cienia nadętego bonzy, obnoszącego się z własnym dostojeństwem. Ale kiedy chan Ghazi Girej przerywał mu oracje — „...poseł K.J.M. mówił: »Jest prawo wszech narodów, że nie tylko tak wielkiego monarchy, ale każdego posła poważnie i uczciwie słuchają. A wysłuchawszy statecznie, potem odprawują. Czego i twoi przodkowie strzegli... «Za którą przymówką posłową car zapłonąwszy mówić i przekazać przestał i rzekł: »Dobrze, dobrze, już mów, Panie pośle, ja będę słuchał wszystkiego do końca«".

Obyczaj swój własny, kresowy, animusz krotochwilny, a umysł wyszkolony, giętki... chciałoby się powiedzieć: łaciński.

W *Listach staropolskich* są pisma Chodkiewicza, kilku Radziwiłłów, Lwa Sapiehy, Józefa Budziły, chorążego mozyrskiego... ludzi, którzy nie pochodzili z Lachów i nigdy się za takowych nie uważali. Sienkiewiczowskiemu Bogusławowi Radziwiłłowi od polszczyzny wargi pierzchły. Teraz dowiadujemy się, że listy do narzeczonej pisywał tylko po polsku i znakomicie (co mu nie przeszkadzało uważać Rzeczypospolitej za sukno czerwone, ale to zupełnie inna sprawa).

Występujący w książce szlachcice ze wschodu byli ludźmi europejskiego pokroju. Działali w pierwszej połowie, lub nawet w samych początkach

XVII wieku, a więc — licząc okrągło — zaledwie w dwa stulecia po Władysławie Jagielle. Poziom, który reprezentują, niezbicie dowodzi, jak bardzo Korona potrafiła w przeciągu tego czasu kulturalnie oddziałać na Wielkie Księstwo Litewskie, o ile je podciągnęła.

Krzyżakom zdarzyło się raz napisać nieostrożnie do Jagiełły, że jego królewska mość coś tam bystrym swoim rozumem łatwo pojmie. Wybuchł skandal. Malborska dyplomacja musiała się usprawiedliwiać i tłumaczyć. Ławryn Piaseczyński był już całkowicie wyzwolony od tego rodzaju drażliwości.

W akademickiej *Historii Polski* pisze Ewa Maleczyńska: „Innym następstwem unii, które się ujawniło w pełni dopiero po upływie wielu dziesięcioleci, było nawiązanie stosunków kulturalnych między Polską a ziemiami W. Księstwa Litewskiego. Wobec coraz wyższego w owym okresie poziomu polskiej kultury umysłowej i artystycznej stała się ona czynnikiem zbliżenia między sąsiadami".

Podręczniki z konieczności dają tylko skróty. Ten jednak wydaje mi się nazbyt już lakoniczny. *Listy staropolskie* zawierają materiał archiwalny, przeważnie nigdy dotychczas nie drukowany, pozwalają więc czytelnikowi dotrzeć do samej podstawy, na której wspiera się wszelkie wnioskowanie historyka. Kto nigdy nie czytał takich źródeł, ten właściwie nie ma pojęcia o historii. Nie pomoże cały tuzin podręczników.

Precyzyjne, wielkiego statystę zdradzające pisma Lwa Sapiehy pochodzą z 1610 roku. Jego ród otrzymał polski herb w Horodle, w roku 1413. Doskonała, zwięzła polszczyzna tych listów pokazuje, jaką drogą litewska familia magnatów szła do kultury. Fakt niezależny od wszelkich ocen politycznych, bo nadrzędny.

*

Najłatwiejszy do przewidzenia zarzut przeciwko *Listom* polegać będzie na oskarżeniu o zbytnią pobłażliwość w stosunku do szlachty, a zwłaszcza magnaterii XVII wieku. Każdy może sięgnąć po wznowione niedawno *Prawem i lewem,* by czerpać stamtąd argumenty, od których skóra cierpnie.

Walery Łoziński zaraz w pierwszym rozdziale umieścił i podkreślił zdanie, którego jakoś nie bierze się pod uwagę. Brzmi ono: „Równocześnie we wszystkich sąsiednich krajach działo się nie o wiele lepiej, jeśli nie równie źle albo jeszcze gorzej niźli w Polsce".

Wolno zresztą znowu przyjrzeć się krajowi, który z Polską nie sąsiadował, a już wtedy przodował Europie.

PIW wydał pamiętniki kardynała de Retz i łatwo sprawdzić, jak hrabia de Soissons, członek francuskiej rodziny królewskiej, otoczony kohortą przyjaciół, w roku 1641 zabierał się do rokoszu. Retz pisze z wyjątkowym cynizmem, za który jednak każdy historyk będzie mu do grobowej deski wdzięczny: „Moi dwaj korespondenci z Sedanu... donosili mi od czasu do czasu, że hrabia żywi w dalszym ciągu najlepsze intencje... krzywdziliśmy go niegdyś, zarzucając mu słabość. Teraz jest wprost przeciwnie, i do tego stopnia, że trzeba go hamować, gdyż nazbyt już łatwo ulega wpływom cesarstwa i Hiszpanii".

Cesarstwo i Hiszpania, dwa habsburskie państwa, trzymające Francję niczym w kleszczach.

Wielki pan francuski z lat 1600 to, zdaniem współczesnego nam historyka: „... przeważnie człowiek pozbawiony kultury, nawet analfabeta (jak konetabl de Montmorency), którego pycha i porywczość nie znają granic, wyniosły, arogancki, wspaniały, brutalny, chciwy i marnotrawny, szlachetny dla swoich, niemiłosierny dla innych, głęboko oddany swemu domowi, klanowi, przerażająco drażliwy na punkcie honoru, lecz bez żadnych skrupułów pospolitych".

Nasze królewięta na tle ówczesnej Europy nie stanowiły wyjątku, reprezentowały raczej normę, kto wie, czy nie w złagodzonym wydaniu. Przyglądamy się im, pamiętając o katastrofie, która spotkała państwo, i to wykrzywia perspektywę. Przyczyny tej katastrofy były ogromnie złożone, narastały przez stulecia, niepostrzeżenie. Należy je nieustannie badać, a tymczasem wielu pisarzy, zupełnie niezależnie od swych założeń filozoficznych lub braku takowych, samozwańczo zwalnia się od tego obowiązku, poprzestając na ogólnikach lub efektownych oskarżeniach. Jeden pomawia Polaków o dziedziczną głupotę, inny dopatruje się w nich skłonności do „zrywów". Zygmuntowski Stańczyk nie miał racji, kiedy utrzymywał, że najwięcej jest na świecie lekarzy. Rekord biją niewątpliwie prokuratorzy.

Książka Hanny Malewskiej jest zjawiskiem wyjątkowym. Na ogół biorąc, w naszej historiografii lat ostatnich przeważa ton krytyki. Niekiedy mamy nawet wrażenie, że autorzy wysilają się w poszukiwaniu dziury w całym. Z dziwnym uczuciem odczytuję kąśliwe uwagi o Chrobrym czy Krzywoustym, oskarżanym o przestępcze zamiary podporządkowania Polsce prawego brzegu dolnej Wisły, czyli Prus. Należy mieć nadzieję, że wzmiankowani autorzy wiedzą, co się stało z owym terenem w wieku XIII i kto wybudował Malbork. Opanowanie Prus przez Polskę to był jedyny praktyczny sposób zapobieżenia temu, o czym wiemy z urzeczywistnionej historii. Jeśli wolno żywić żal do wczesnych Piastów, to właśnie z tego powodu, że nie poszli za Nogat. Ale oni na wschód w ogóle chadzali niechętnie, będąc pod tym względem zupełnym wyjątkiem w Europie, bo poczynając od Francji a kończąc na Rusi średniowieczne państwa rade parły w kierunku wschodnim, jako łatwiejszym. Trudno pojąć tok rozumowania historyka, który tak bardzo pragnie pokazać św. Wojciecha w ujemnym świetle, że zdobywa się na czyn u naukowca wręcz nieoczekiwany: popuszcza wodze wyobraźni, tworzy literackie fikcje. Co właściwie upoważnia do przypuszczeń, że Wojciech przemówił do Prusów w tym stylu: przybyłem tu jako wasz zwierzchnik i macie mnie słuchać? Jaka metoda zezwala na tego rodzaju twórczość radosną? — Jeżeli Wojciech naprawdę ułatwiał politykę Chrobrego na wschód od Gdańska, to tym bardziej należy mu się dodatnia ocena.

Ewentualnych oponentów uprzejmie proszę o niepowoływanie się na marksizm, rzekomo nakazujący bezwzględnie ujemną ocenę postaci epoki feudalnej i kapitalistycznej. Gorąco im zalecam lekturę bardzo ciekawej *Rusi Kijowskiej* Borysa Grekowa, któremu z punktu widzenia marksizmu nic zarzucić nie można. Proszę sobie przeczytać, z jakim akcentem uznania radziecki historyk pisze o szalonym rozmachu Światosława w wieku X. Jest obiektywny, nie pomija świadectwa arabskiego kronikarza: „Teraz nie pozostało ani śladu z Bułgarów, ani z Burtasów, ani z Chazarów, bo Ruś zniszczyła ich wszystkich, odebrała im i przyłączyła do siebie ich kraj...". Nie skreśla tego,

ale niezwykłą postać ruskiego księcia traktuje z podziwem — i słusznie. Nie zachowuje się jak chory na wątrobę kancelista.

W *Listach staropolskich* dobór materiału oraz komentarz świadczą o pozbawionym uprzedzeń, życzliwym stosunku autorki do przeszłości własnego kraju. Jest to postawa całkowicie dopuszczalna u uczonego. Parający się historią literat ma do niej najświętsze prawo.

Hanna Malewska ukazała nam państwo, za które nie ma potrzeby się wstydzić. Była to ostatnia świetna doba naszych dziejów. *Listy* doprowadzają czytelnika do samego początku cyklu wielkich wojen, które przerażająco zrujnowały kraj, obnażyły wszystkie słabości ustroju i właściwie odebrały nadzieję ocalenia.

Nie znalazłem w *Listach* ani jednego szowinistycznego akcentu. W ładnym, nawet szlachetnym świetle występuje starosta warszawski, Stanisław Warszycki, który opiekował się metropolitą Filaretem, ojcem Michała, pierwszego cara z dynastii Romanowów, oraz innymi zakładnikami moskiewskimi, polecał ich względom biskupa, a ponadto jeszcze zabiegał dla nich o protekcję arcybiskupa, Lwa Sapiehy, i samego króla. Jednocześnie jednak dowiadujemy się wzruszających rzeczy o Filarecie: „ten Metropolita... małą rzeczą kontentować się będzie, rybą a chlebem, bo mięsa nigdy nie jada... Człowiek to jest tak skromny, jako mi świadomi tego o nim powiedali, żeby mu umrzeć, nie rzecze nic ani o żywność, ani o wczas żaden, którego barzo mało zażywa". I jeszcze pisał Warszycki do Sapiehy o chwili, w której zakładnicy rozjeżdżali się do różnych zamków polskich: „Jaki ich rozjazd żałosny z płaczem niewypowiedzianym, kiedy się Galiczyn z towarzystwem i z sługami żegnał, wypisać się nie może, bo nie tylko Moskwa, ale i ci wszyscy, co patrzyli na ich żal, nie mogli się od płaczu utrzymać".

W książce Hanny Malewskiej brzmi ten ton, jakiego najbardziej potrzeba w dobie, która woła o zbliżenie między narodami, o szacunek i sprawiedliwość dla każdego z nich.

*

Na zakończenie parę słów o tym, co recenzje zazwyczaj pomijają. Słowa szczerego uznania należą się tym wszystkim, którzy pracowali przy wydawaniu *Listów staropolskich*.

Okładkę i obwolutę pięknie zrobił Andrzej Darowski. Zwłaszcza obwoluta— operująca motywem historycznym, ale na wylot nowoczesna, czysta w wyrazie.

Skład, łamanie i korekta były szczególnie trudne: stronice zaopatrzone są w spiętrzone odsyłacze. Wyszło jasno, przejrzyście i niemal bez pomyłek. Państwowy Instytut Wydawniczy dał nam pozycję pod każdym względem dobrą. Tylko nakład: dwa i pół tysiąca...

Paweł Jasienica

KONIEC CZY POCZĄTEK

Almanach młodych 1958/59. Warszawa 1960. „Iskry". Cz. I *Poezja* (przedmowa Artura Międzyrzeckiego); str. 5—176.

Obecny *Almanach* „Iskier" nie jest wydawnictwem grupy czy kierunku, lecz raczej ogólną platformą startu nowych liryków (lepiej mówić „nowych" niż młodych, bo niejeden przekroczył już czterdziestkę). Został ułożony na zasadzie „po jednym błyszczącym groszu od każdego", zasadzie raczej ujednolicającej niż ukazującej różnice między naszymi nowymi nadziejami poetyckimi. Jest on postawieniem na poezję w ogóle, ale czy istnieje rozwój poezji wyłączony od sporu o poezję? Oczywiście wspólny druk nie musi zaprzeczać zasadzie sporu i może być przypadkowy (kiedyś Verlaine i Mallarmé umieścili swoje utwory w *Le Parnasse Contemporain*). Wydaje się jednak, że w *Almanachu młodych* przypadkowość wspólnego startu, umożliwionego przez wydawnictwo, odzwierciedla również pewien ogólny stan rozwoju naszej poezji, znajdujący wyraz nie tylko w świadomości młodej liryki, ale także w świadomości patronujących temu poczynaniu poetów poprzedniej generacji. Najsilniej wyraził to Artur Międzyrzecki, autor wstępu do *Almanachu* oraz recenzji drukowanej w *Nowej Kulturze*. Najważniejsze tezy wstępu zostały w niej utrzymane i wypunktowane. Według Międzyrzeckiego poezja najmłodsza, w tym także prezentowana poezja *Almanachu*, pokazuje istotny proces zanikania pewnych aktualnych w poprzednim okresie sporów formalnych przede wszystkim między Skamandrem i Awangardą, zastąpionych obecnie przez znalezienie „strefy środkowej" (termin Międzyrzeckiego). W recenzji w *Nowej Kulturze* (1960, nr 7) pisał Międzyrzecki: „Wypada żywić nadzieję, że *Almanachem* zajmie się nasza krytyka: umiejętność witania to nie tylko klimat życzliwości, lecz także rozmowa o istotnych sprawach poezji, nie tylko o jej warsztatowych, często drugorzędnych zagadnieniach, nie o przeżytych i mylących sporach formalnych. Kto na przykład zechciałby dziś przyłożyć do młodych zjawisk poetyckich miarkę polemiki Awangardy ze Skamandrem, przekonałby się niechybnie, że miarka rozsypuje się w rękach. Jest zbyt staroświecka. Świat zmienił się do gruntu, czasy są inne".

Ale problem nie polega na tym, że polemika Awangardy ze Skamandrem dziś wydaje się istotnie przebrzmiała i że synteza określonych wartości, jakie przyniosły obie grupy, jest niewątpliwą koniecznością (ze świadomością odczuwaną po cichu, że jednak teoretyczne założenia Peipera i Przybysia z pierwszego okresu, a zdobycze poetyckie Czechowicza z drugiego okresu Awangardy zdominowały charakter nowatorstwa poetyckiego po drugiej wojnie). W tym układzie przede wszystkim prezentują się nam układy formalne *Almanachu*. Zasadniczy problem polega jednak na pytaniu, czy to, co jest znakiem, wykładnikiem obecnej chwili poetyckiej — brak określonego sporu wśród młodych — jest zwycięstwem, wyrazem nowej mądrości, czy też może również zatrzymaniem się, brakiem określonej perspektywy, słabością poetyckiego startu najmłodszej grupy liryków?

Obawiam się, że Międzyrzecki przy-

jął jako dobrą zasadę to, co może być przedmiotem dalszej dyskusji. Akcentując zakończenie tradycyjnych sporów — nie wskazał nowych. A tam, gdzie mówi się ogólnikowo o (wiecznie aktualnych przecież) problemach „poszukiwania i ciągłości wolności i dyscypliny", grozi obawa obracania się w kole akademizmu. Podobnie omawiając we *Współczesności* część poetycką *Almanachu* Sławomir Kryska poprzestaje na uznaniu dla ogólnie wysokiego poziomu wrażliwości i kultury poetyckiej, nie próbując nawet zastanowić się nad problematyką ogólniejszą, śledzić różnic czy sporów. Jak się zdaje, nie bez powodu.

Wydaje się, że mamy do czynienia z nową i interesującą sytuacją, że stoimy znów na jakiejś granicy, w punkcie dzielącym, tak jak widać to było wyraźnie na przełomie lat 1955 i 1956. Jeśli jednak przełom ówczesny wypływał bardziej z usuwania pewnych zewnętrznych nacisków i pomyłek w rozwoju poezji, obecny punkt graniczny wynika przede wszystkim z wewnętrznych praw rozwoju poezji, oraz także z poczucia ukształtowanej i ustabilizowanej sytuacji zewnętrznej.

Chciałbym te sprawy bliżej określić. Warunkuje je *au fond* niesłychanie szybki rytm przemian i osiągnięć tak formalnych, jak i postaw myślowych w poezji. Jeśli w wiewu XIX jeszcze prądy poetyckie liczyły sobie po dobrych kilkadziesiąt lat, w ostatnich latach siedemdziesięciu — czyli od symbolizmu, następują niesłychanie szybkie skoki i zmiany. Co pięć lat prawie mamy do czynienia z nowym prądem, z nowatorstwem i — podkreślić trzeba — były to w przeważnej mierze osiągnięcia istotne, nowatorstwo niekłamane, zdobycze rzeczywiste. Taka sytuacja sprzyja jednak temu, by wreszcie w chaosie zmieniających się haseł zaczęły się powtórzenia i pozory zmian. Młodzi, uwolnieni od bezpośredniego zaangażowania w minione hasła, widząc, jak wiele zaczyna się powtarzać, a jednocześnie, by uchylić się od jałowości pozornej rewolucji literackiej — ileż bo „rewolucji" można wymyślić na przestrzeni lat 20—30 (np. który już nawrót neosymbolizmu?) — zaczęli gospodarować we wszystkim na raz, biorąc to, co się da, dla własnego warsztatu, syntetyzując, a nie przeciwstawiając. Kazimierz Wyka pisał w swoim czasie o spirali poetyckiej, analizując rozwój poezji w dwudziestoleciu i po wojnie. Podjąłbym tę metaforę, ale ze szczególnym akcentem zmiany — jest to spirala nawijająca się nie od środka na zewnątrz, ale od zewnątrz do środka, przy czym ruch spirali staje się coraz szybszy, skoki spirali coraz bliżej siebie, staje się coraz ciaśniej, w końcu zdezorientowane, a nie dosyć ostre widzenie przestaje je rozróżniać — wszystko się zaciera, jesteśmy w samym środku oceanu, wśród koncentrycznie biegnących do środkowego punktu fal — wszystkich rewolucji i wszelkiego nowatorstwa formalnego i postaw. Jest to ten punkt, w którym rozpoczynając na nowo Mallarmé zakrzyknął:

> La chair est triste, hélas! et j'ai lu tous les livres.

Młody poeta, wystawiony na cięgi krytyki, dowiaduje się, że właściwie wszystko już było: powołanie społeczne poezji i wieża z kości słoniowej, kult piękna i kult brzydoty, sprawy ostateczne racji moralnych i sprawy codzienne, człowiek i natura, klasycyzm i brutalne nowatorstwo. Był tradycjonalizm i antytradycjonalizm, kult metafory i uparta walka z metaforą, poetyczność i odpoetyzowanie, regularna strofa i sylabotonizm, i wszelkie nowe metry, od czystego tonizmu do rytmów nieregularnych i swoistych. Postulowano dyscyplinę i anarchię, swobodę i ograniczenie. Spirala się zwęża, okrążenia coraz krótsze — co robić, gdzie znaleźć własne nowatorstwo? Albo indywidualne pojazdy wpadną na siebie, albo trzeba będzie wsiąść do jednego wielkiego autokaru... i oto mamy *Almanach*.

Obraz tu nakreślony jest ogólny, ale w istocie nie trudno byłoby pod wszystkie zakręty tu opisane i symbole — podstawić nazwiska, lata, prądy. Sytuacja jest ciekawa, w tym nasileniu znużenia sporami nie przeżywało chyba dostąd żadne poetyckie pokolenie (lecz nie chcę odskakiwać na sprawy ogólniejsze — rytmu kultury, dekadencji czy odrodzenia). Mimo to raczej należy założyć, że moment, w którym zdaje nam się, że po zawrotnej jeździe znajdujemy się w środku — należy jedynie do zmitologizowanej świadomości artystycznej. Nie ma innej rady. Jedynym rozwiązaniem — nowy ruch i nowa spi-

rala rozpoczęta od szerokiego obwodu.

Sytuacja najmłodszych debiutów w latach 1955—56 była o wiele łatwiejsza. Na mocy paradoksu toczyła się bowiem walka między ożywioną swoiście koncepcją romantyczno-pozytywistycznego ideału poezji, a tymi, którzy nagle uwzględnili na nowo cały okres nowatorstwa od symbolizmu poczynając, a kończąc na ostatnim czasie. Ale niesposób być na nowo Grochowiakiem i Harasymowiczem zarazem. Przykład Harasymowicza zresztą w ostatnim czasie ukazuje trudności tego samego typu, które przeżywają debiutanci, gdy nie wystarcza już samo akcentowanie wolnych praw, bogatej zresztą wyobraźni tego poety.

Słowo wyobraźnia, jakie pada ostatnio najczęściej w dyskusjach i sporach dotyczących poezji (padało także w dyskusji nad obecnym *Almanachem*) powołane zostało istotnie nie bez powodu. Ale jego sens — i trzeba sobie z tego zdać sprawę — jest programem minimalistycznym w stosunku do poezji (jeśli ułożyć elementy poezji na linii uzupełniających się składników — wyobraźnia — widzenie świata — postawa myślowa). Powiedziałbym nawet, że wyobraźnia nie wystarcza, aby być poetą. Utożsamia się niesłusznie wyobraźnię z widzeniem świata, które jest możliwe bez zajęcia określonej postawy myślowej. Stąd wiersze i tomiki młodych (także autorów *Almanachu*), które, jakkolwiek poprawne i interesujące z punktu widzenia wyobraźni poetyckiej — nie dają nam żadnego indywidualnego sposobu patrzenia na rzeczy, własnego widzenia świata. To pierwszy błąd.

Ale jeśli nawet rozumieć postulat wyobraźni w szerszym znaczeniu — również jako własnego widzenia świata — będzie to także program minimum, jeśli nie włączymy do niego własnej postawy myślowej. Ale ostatecznie posiadając własne widzenie świata można być i jest się poetą, posiadając zaś tylko postawę myślową — nigdy nie pisze się prawdziwej poezji. Stąd na tle sporu z poezją jedynie ideologizującą rewaloryzacja tylko praw wyobraźni czy też widzenia świata, nie doakcentowano natomiast ambicji wyższych: dodania do tego własnej postawy myślowej.

Platforma wyobraźni stała się zbawczą oazą, którą ujrzeli młodzi wśród owijającej ich ciasno, coraz ciaśniej — spirali sporów i polemik, odkryć i prób. Stała się kresem sporów, po których trzeba zająć się „syntetyzowaniem". Rezultaty są. W *Almanachu* nie ma prawie zgoła wierszy nieudanych czy grafomańskich — wiele za to poezji opisującej według najnowszych zasad syntetopoetyki, wierszy salonowych, salonu poezji, gdzie wstęp mają tylko ludzie rzeczywiście wrażliwi, inteligentni i posiadający wyszukaną kulturę literacką, poetycką oraz wyobraźnię.

Almanach nie jest wdzięcznym polem rozważań dla krytyka. Chodzi nie tylko o wydawanie laurek, których nie odważę się tutaj przydzielać na podstawie jednego czy dwu prezentowanych przez autorów utworów. Stąd też raczej ogólny zakrój omówienia. Bowiem tam, gdzie trzeba by przejść do kreślenia technik i postaw — nie można wskazać postaw indywidualnych na tak małym prezentowanym materiale, zaś wskazanie postaw ujednolicających się byłoby *ex definitione* ujawnieniem braków, a nie zalet. To jednak, co narzuca się ogólnie, to jakieś wielkie wyciszenie tonu problemowego, tonu myślowego tej poezji. Zgodzę się, że jest w tym ładunek dyskrecjonalności, nowoczesności, poetyki aluzji, znaku zastępczego, modnej zasady utrudnienia i „gęstości" wiersza. Ale zarazem świadczy to, że brak własnych myśli na tyle odkrywczych, by można je było podać w kształcie nowej prostoty.

Nie załatwiają tego echa realiów „nowej epoki" — technika, jeśli odbija się tu, to albo dobrotliwą drwiną z planetarnych podróży na Marsa, rzadko jest zachłyśnięciem się nowymi możliwościami, częściej — przerażeniem wieku „atomowego grzyba" i radioaktywnym deszczem, ale i to przyciszone, aluzyjne, bez wielkich tonów emocjonalnych. Ale uderza również brak silnych tonów osobistych — prawie zupełny brak poezji erotycznej, widzimy natomiast dość smętne zanurzenie się we wnętrzu włosa rozszczepianych na czworo postaw emocjonalnych.

Brak dostatecznie wyakcentowanej poetyki własnego sporu ze światem, własnych propozycji na tle wszechobejmującej świadomości, że „wszystko już było". Ale ma to i dobrą stronę. Od takiej świadomości może się zacząć wszelki nowy proces w literaturze. Stąd jako symptomatyczne dla postawy

liryków startujących w *Almanachu* wybiorę dwa wiersze Marka Skwarnickiego, bardzo dojrzałe, w których to, co jest ogólnym problemem i na ogół podświadomie odczuwanym — zostało już uświadomione z całą siłą. Nie chcę przeciwstawiać tego nazwiska innym, ani akcentować jego znaczenia, wydobywam je jedynie jako problem. Bo właśnie tu zostało powiedziane najsilniej to, co może próbował wyrazić Skolimowski w cytowanej przez Międzyrzeckiego *Undynie*, ale mu się nie udało.

Jest to świadomość podwójna: obecnej chwili poetyckiej i psychologii debiutu — że poeta musi zaczynać nie wtedy, gdy ma w ręku nowy kamień filozoficzny, ale właśnie w momencie najtrudniejszym, gdy wie, że wszystko zostało już powiedziane. To postuluje wiersz Skwarnickiego *Milczenie*, gdzie mowa o konieczności wyboru, to czytamy w wierszu *Początek świata:*

Bo oto zbliża się początek świata,
kiedy wszystko jest powtarzaniem,
wszystko umiera
nagrobki słów kolonie myśli
grzybnie kłamstw,
długo głuchnie wołanie
w nikczemnym uchu ziemi,
odeszli czwórkami mędrcy
transportem cieni,
odbiegła z kołatką w ręce
nadzieja filozofów,
pokryty bąblami muł życia
sączy się strugą,
jest spokój,

na spokój zbyt czeka się długo

tak

i wtedy nadchodzi początek świata,
biała mewa siada nad zielonym oceanem,
mały chłopczyk podsłuchuje mewę i wodę,
nazwać chce nowy świat,
usiłuje przekrzyczeć morze

tak

Więc mimo wszystko dobrze wróżę pokoleniu almanachowców...

Jacek Trznadel

W MROKU GWIAZD

Stanisław Grochowiak: *Rozbieranie do snu.* Warszawa 1959. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 64.

Cała dotychczasowa metafizyka opada z twórczości Grochowiaka jak kostium czy maska — pozostaje goła obsesja, coraz natrętniejsza, nie pozwalająca zapomnieć o sobie ani na chwilę, wciskająca się w każde zdanie poetyckiej tkanki. To ona kształtuje nowy tomik autora *Ballady rycerskiej* i *Menueta z pogrzebaczem.* A przecież w *Lamentnicach* — różnice rodzaju literackiego nie są tu istotne — postawa filozoficzna była czymś nadzwyczaj ważnym, a na pewno nie można by w niej widzieć tylko dekoracji. Augustynizm, z prawie całą jego rozległą problematyką (nadal jestem o tym równie przekonany, jak przed rokiem, gdy próbowałem poddać analizie ten nadzwyczaj ciekawy tom prozy) — kształtował istotnie strukturę poetycko kreowanej rzeczywistości, był jej generalną koncepcją i interpretacją, szkieletem, ideą. W *Rozbieraniu do snu* człowiek jest bardziej nagi i bardziej samotny. Nie wiadomo, gdzie znikł świat zobiektywizowanych idei i wartości, do niedawna obecny w twórczości Grochowiaka. Eschatologia — jedyny optymistyczny czynnik tego poetyckiego świata — została zastąpiona nie zneutralizowaną już przez żadną nadzieję obsesją śmierci. Teraz ta obsesja właśnie określa ostateczne cele, a właściwie już tylko ostateczne kresy drogi. Pozostał tylko ten sam, co dawniej, niepokój, bardziej jeszcze sugestywny niż przedtem.

Nie znaczy to, by z postaw, charakterystycznych dla *Lamentnic*, niczego już nie można było odnaleźć w *Rozbieraniu do snu.* Nawet przeciwnie: niektóre motywy filozoficzne stały się

dobitniejsze, bardziej istotne. Pozostało więc nadal poczucie dualizmu świata, i ono, obok obsesji śmierci, najczęściej dochodzi do głosu na stronach nowego tomiku.

Dualizm ten ma parę aspektów: po pierwsze jest to dualizm ciała i duszy; zmysłowej — i tej jakiejś innej, wyższej natury człowieka; po drugie — dualizm brzydoty i piękna, pospolitości i niezwykłości; wreszcie — dualizm ziemi i nieba. Ten ostatni najmniejszą jednak gra rolę: odrzucając prawie wszystko ze swej dawnej metafizyki — poza ową dualistyczną wizją człowieka i świata — poezja ta pozostawia przeciwstawieniu ziemi i nieba już tylko walor tęsknoty, by zobiektywizowało się jakoś, potwierdziło poza człowiekiem to wszystko, co dla poety jest wartością w samym człowieku. „Niebo", o którym mowa w wierszu *Introdukcja* — to już tylko projekcja owej drugiej, „wyższej" natury ludzkiej, symbol całej owej sfery wartości i wynikających z nich postulatów, które najistotniej tę naturę określają.

Że dualizm „ciała" i „duszy", czy też (by być wierniejszym analizowanemu tekstowi) zwierzęcości oraz istotniejszego, wyższego człowieczeństwa, ma genezę w dualizmie etycznym — o tym świadczy wiele. Przytoczę tu tylko: werset „Rozmyślać co wstyd" z *Centaura*, charakteryzujący (obok innych, w których mowa o funkcjach intelektualnych i estetycznych) istotę drugiej, ponadzwierzęcej natury człowieka — oraz piękny ustęp wiersza *Szekspir*, zaczynający się od zdania: „Jest świat przedmiotów czysty i szlachetny", z którego widać, że według koncepcji poety skażona jest nie cała materia, lecz tylko ta jej część, której zawdzięcza swą zwierzęcą, niższą naturę człowiek.

Najdobitniej, programowo wyraziło się to ostre poczucie dwoistości natury ludzkiej w wierszu pt. *Centaur*, wykorzystującym tradycyjny symbol, od wieków już zrośnięty z tą treścią.

Ale przeciwstawienie dwóch ludzkich natur, genetycznie wywodzące się z manichejskich pierwiastków, tak łatwych do wykrycia jeszcze w *Lamentnicach*, traci teraz cały swój sens etyczny wraz z utratą oparcia o augustyńską ontologię, odrzuconą już prawie bez reszty, chociaż nie było to logiczną koniecznością. Coś z tego zapewne zresztą pozostaje — i to „coś" niebłahego z punktu widzenia poetyckiego: ostry, wyraźny walor pejoratywny, o zabarwieniu pokrewnym ocenom moralnym, ilekroć mowa o zwierzęcej naturze człowieka. Ale to już tylko zabarwienie emocjonalne, nic więcej. Dualizm dobra i zła przestał istnieć w tym świecie. Jest „niższa" i „wyższa", zwierzęca i (nazwijmy to tak roboczo) duchowa natura człowieka, ale nie jest to zło i dobro moralne. Z tego punktu widzenia dwoistość wyrażona symbolem Centaura, bolesna skądinąd dla poety, stanowiąca źródło jego rozterek i problem do załatwienia — jest obojętna. I trzeba tu zauważyć, że wraz z odrzuceniem prawie całego zrębu metafizyki augustyńskiej — nastąpiło w twórczości Grochowiaka w ogóle odrzucenie problematyki moralnej. Jego nowa poezja jest w gruncie rzeczy immoralistyczna i nie powinien tu wprowadzać w błąd jej niepokój, który zdaje się tyczyć problemów etycznych: tłumaczy się on raczej obsesją śmierci, lękiem, a przede wszystkim kryzysem celowości, teleologicznego nastawienia, nieuniknionym przy tej ewolucji.

Wobec tego — dualizm dwóch istot natury ludzkiej oraz dualizm piękna i brzydoty nabierają bardzo pokrewnego charakteru. To właściwie główna baza wartości, które ocalały: wartości estetyczne. I stąd waga programu estetycznego, głoszonego z kart *Rozbierania do snu*.

Dualizm w świecie wartości pociąga za sobą kilka możliwych postaw. Jedną z nich jest postawa wyboru, drugą — postawa zgody na dwoistość. Zgoda też może być dwojaka: bądź zrezygnowana, a wtedy pełna ukrytej rozterki — bądź afirmująca, upajająca się bogactwem, wielością przeciwieństw i kontrastów. Gdyby nie immoralizm *Rozbierania do snu* — wybór byłby chyba nieunikniony. Liryka ta byłaby wtedy zapewne ascetyczna, jej patronem byłby może Sęp-Szarzyński. Ale wobec wartości estetycznych — i im pokrewnych — kompromis, synkretyczne dążenie do syntezy przeciwieństw, były jednak możliwe:

Tak mnie ugadzam, bo nie tylko z niebem,
Ale z odbiciem nieba w całej nafcie,

A teraz weźcie, teraz wy potrafcie
Tyle zachwytu połączyć z pogrzebem.

(*Introdukcja*, str. 7)

Więcej tu rezygnacji niż triumfu... I raczej żal za rajem utraconym niż afirmacja. Lecz zarazem duma z osiągniętej pełni:

Nie cały minę, choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w oście
I przeświadczenie, że śledź bywa w poście
Zarówno piękny, jak pod jesień owoc,

Bo kochać umiem kobietę i z rana,
Gdy leży cicha z odklejoną rzęsą,
A jak jest moja, to jest całowana
W puder i w słońce, w zachwyt i w mięso.

(*Introdukcja*, str. 7)

W imię tej pełni właśnie następuje rehabilitacja brzydoty, zrównanie śledzia w poście z owocem pod jesień. Można by tu dodać: śledzia — ale w poście, z owocem — ale pod jesień. Dopiero w takiej stylizacji widać, ile w tym manifeście kapitulacji wobec konieczności, wobec tego, co niesie z sobą czas, chwila. Każda rzecz i każda wartość znajdują swe miejsce w akceptującej świadomości, lecz raczej na zasadzie zgody na fatalną rzeczywistość — niż niczym nie skrępowanego wyboru. Jak u Eklezjasty jest czas dojrzewania i czas śmierci — tak tu czas piękna owocu i czas piękna śledzia.

Wbrew bowiem pozorom wyżej cytowanego fragmentu — cała ta akceptacja brzydoty — lub pospolitości — jest przede wszystkim systemem stopniowych kapitulacji, który ma opóźnić nadejście napawającego strachem końca. Brzydota jest bowiem ostatnim ratunkiem przed śmiercią, gdy już stać tylko na nią i tylko ona łączy jeszcze z życiem — lecz zarazem i towarzyszką śmierci:

Wolę brzydotę,
Jest bliżej krwiobiegu
Słów, gdy prześwietlać
Je i udręczać.

Ona ukleja najbogatsze formy,
Ratuje kopciem
Ściany kostnicowe,
W zziębłość posągów
Wkłada zapach mysi.

(*Części*, str. 18)

Nawet ów dopiero co wspominany śledź, rekwizyt charakterystyczny dla nowej poetyki Grochowiaka (termin „rekwizyt" nie ma tu pejoratywnego znaczenia: to częste zjawisko, spotykane u największych poetów, że pewne przedmioty czy też ich określony rodzaj — cieszą się szczególnymi względami, jako niezastąpiony wyraz specjalnych treści lub nastrojów) — zjawia się i w innym, jakże charakterystycznym kontekście mówiącym o śmierci:

...co czyhała w drzwiach
ze śledziem ogromnym na srebrzystej tacy

(*Śledź*, str. 39)

Obsesja motywu śmierci panuje nad *Rozbieraniem do snu* niepodzielnie. Tej obsesji podporządkowane jest właściwie wszystko. Śmierć ma w tej poezji wymiar uniwersalny, jest nie tylko indywidualnym lękiem, lecz dominantą struktury tego poetyckiego świata. To strach katastroficzny, w apokaliptycznych obrazach przedstawiający koniec rodzaju ludzkiego:

Surowość fauny lamentującej
Przerasta majestaty
Sądu Eklezjastów
Cyklopów
I trąb

I długa
Nieludzko żółta
W swym śmiertelnym smutku
Stoi ta krowio-wielorybia widownia
Wobec nas
Ubranych w noże
Żelaza
I histeryczne werble

Gdy w przepaść
Podążamy
Na rozkraczonych nogach

(*Widownia*, str. 29—30)

Dopiero w tym kontekście (potwierdzają to i niektóre inne wiersze, np. *Hamlet*) możemy właściwie odczytać to wszystko, co w *Rozbieraniu do snu* powiedziane jest o śmierci: najbardziej indywidualne — lub najbardziej abstrakcyjne — lęki są tylko poszczególnymi przypadkami lęku przed możliwością historycznej katastrofy. Komuż, jak nie poetom, przystoi wyrażać ten niepokój i troskę?

Skala tej obsesji jest niepokojąco

bogata. Od Apokalipsy *Widowni* — po enigmatyczne, zhieratyzowane i tajemnicze obrazy, jak w pięknym wierszu tytułowym. (To ciekawa sprawa: wiersz ten jest bardzo daleki od praktyki poezji surrealistycznej, głównie z powodu żelaznej logiki swej konstrukcji; a zarazem jest jakby idealnym ekwiwalentem — bo i nie opisem — najbardziej interesujących obrazów surrealistycznych; nasuwa na myśl przede wszystkim de Chirico, do pewnego stopnia może i Magritte). Jak w *Widowni* za podążającym w przepaść rodzajem ludzkim patrzyła w śmiertelnym smutku krowio-wieloryb ia widownia — tak w *Skazańcu* płaczą ściany, dziurki od kluczy i gwoździe. W *Rozstaniu* pod metaforyczną polarną gwiazdą „Zapach północy leży w uszach zmarłych W nozdrzach psów pokostniałych Na bezkresnym śniegu W porcelanowych medalionach dzieci Co wreszcie są cicho". W *I jest szczęśliwy* — trumna z fajansu, w której pływa żółta ryba z celuloidu, czeka na „określony czas". Wiersz *Gdy już nic nie zostanie* mówi o daremnym wysiłku zatrzymania przez sztukę odchodzących w śmierć. W wierszu *Z Verlaine'a* pointa: „Tymczasem w pani duszy stoją niebotyczne drzewa I gdzieniegdzie stopy Wisielca dyndają". W *Malarstwie* — obrazy to „deseczki trumien" i „Grobowców tapety". W kelnerce „O niebezpiecznie zjeżonych wąsikach" z wiersza *Jedzenie lodów* — rozpoznajemy śmierć, itd., itd.

A obok motywów śmierci — pokrewne im motywy sadyzmu-masochizmu (też w każdym nieomal wierszu), nekrofilii *(Piersi królowej utoczone z drewna, Akt błogosławiony).*

To skojarzenie motywów ma w literaturze polskiej rodzimą tradycję. Słowacki-Miciński... Pierwszy z nich jest bliższy z pewnością autorowi *Rozbierania do snu* niż cytowany w motcie tomiku Norwid. Na tę parantelę już wskazywałem, analizując *Lamentnice*. Jeszcze bliższe są pokrewieństwa łączące Grochowiaka z Micińskim. Aż do podobieństw poetyckiego obrazu, komponującego ekwiwalenty malarstwa surrealistycznego. Aż do takich samych u Micińskiego i Grochowiaka „czarnych gwiazd" (*Rozbieranie do snu*, str. 9).

Nie ma to być dowód wtórności — lecz ustalenie genealogii. Bo poezji tej z pewnością nie wyczerpie wskazanie na jej bliższych i dalszych antenatów. To sprawa ciekawa i istotna, zapewne, lecz nie wyjaśnienie ani nie definicja. Liryka Grochowiaka należy do poezji nam współczesnej, do drugiej połowy XX wieku, tylko tu można ją umieszczać. Ma tu już swoje własne, oryginalne miejsce, utrwalone ponad wszelką wątpliwość przez *Rozbieranie do snu.*

Jan Józef Lipski

POETYKA MAŁOOBRAZKOWA

Janusz Laskowski: *Siedem lat barwnych.* Warszawa 1959. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 91.

Wydaje się, że w poezji, która kształtuje się od czasu świetnych debiutów z roku 1956, wyodrębnić się dają najogólniej trzy nurty. Nazwać by je można umownie szkołą Białoszewskiego, szkołą Różewicza i szkołą Harasymowicza (tę ostatnią nazywa Jerzy Kwiatkowski — jak wiadomo — romantyczną). Są to szkoły, a więc obok wymienionych wyżej mistrzów występować muszą uczniowie, którzy działają pod wpływem płynących od nich impulsów. Swoistość zjawiska nie sprowadza się jednak tylko do takiego stosunku. Każda z tych szkół wypracowała już sobie bowiem pewien model liryki, wypracowała swoją formę, po którą ten czy ów poeta może sięgać jako po element gotowy i ukształtowany, nie zaciągając się świadomie w szereg uczniów, kontynuatorów czy naśladowców tego lub innego „mistrza". Jest to wynik swoistej dynamiki życia literackiego.

Zjawisko to daje się szczególnie wyraziście obserwować w tomach debiutanckich, opublikowanych w ciągu

ubiegłego roku — ciekawy zbiór Janusza Laskowskiego *Siedem lat barwnych* nie jest bynajmniej w tym zakresie wyjątkiem. Nie ma żadnych wątpliwości, do której ze szkół go zaliczyć, jeśli czyta się np. takie strofy:

Lotki buków u ramion jesieni
wycieczka w nieprzeżyte
niektórzy dosiedli osłów
inni żółwi

nasz impresario
w znoszonym płaszczu aladyńskim
z pagonami
z rozgniecionych brusznic
otwiera kawalkadę
na rdzawej mrówce.

(*Eskapada sezonu*)

Fragment wyjątkowo przejrzysty. Jeśliby się nie znało nazwiska autora, pierwszą reakcją byłoby przypisanie tego wiersza Harasymowiczowi. Nie o takie zbieżności jednak chodzi — Laskowski zresztą z całą pewnością nie jest epigonem autora *Cudów*, podrabiającym jego świat poetycki, mimo że należy do tej samej rodziny liryków. Powinowactwo przejawia się w czymś nierównie bardziej istotnym. Tomik Laskowskiego świadczy o tym, że ta szkoła poetycka, którą przed czterema laty zainaugurowały *Cuda*, dorobiła się już własnej formy, ukształtowała już własny gatunek liryczny.

Jest on na tyle klarowny, że jego określenie nie sprawia większej trudności — nazwałbym go miniaturowym obrazkiem lirycznym. Wydaje się, iż jego istotę stanowi to, że materia poetycka, znajdująca się najczęściej na pograniczu świata realnego i fantastyki, ujmowana jest w pełni empirycznie. W obrazku występują najczęściej konkrety. Wiersze stają się swego rodzaju reportażami ze świata powstałego na styku snu i jawy. Wartość liryczna wynika z namacalności rzeczy, z opisu, będącego wyrazem swoistego roznamiętnienia w tworach wyobraźni. Jest to w pewnym sensie liryka opisowa:

Co noc jedna
świetlista beczka pełna czartów
bełkoczących po swojemu
po leśnemu
stacza się z góry

Przebiegły sarny
mówi w zakłopotaniu gajowy
i jak oparzony wiesza fuzję
na sęku księżyca

(*Gusła nad Czarną Wisełką*)

Zasadniczym czynnikiem jest więc w obrazku widzialność świata przedstawionego. Obok niego występują i inne wyróżniki, charakteryzujące tę poetykę małoobrazkową. Dość ważna wydaje się dążność do maksymalnej kondensacji — kategoria reportażu już niemal nie na prawach metafory daje się odnieść do ciekawego cyklu, zatytułowanego *Wiersze incydentalne*. Każdy z ośmiu liryków tego cyklu jest miniaturową fabułą poetycką, w której pointę stanowi rozwiązanie „incydentu":

Z kwiaciarni wyszedł mężczyzna
z fiołkiem alpejskim.

Ucieszy się moja mała,
ucieszy jak co roku,
cyklamen to jej kwiat.

Padał śnieg.

Jedziemy! rzekł do szofera.
Jedziemy po kawalersku.
Powązki. Czwarta brama.

(*Incydent trzeci*)

W liryce Laskowskiego dążenie do pointy zaznacza się silniej niż u innych reprezentantów poetyki małoobrazkowej. Dzieje się tak może dlatego, że obrazek jest już tutaj gatunkiem ukształtowanym i w jakiś sposób zamkniętym. W wypadkach krańcowych cały wiersz jest tak skonstruowany, by uwydatnić pointę — np. w swego rodzaju odzie pt. *Tożsamość bogini:* w poincie Wenus przemienia się w prostytutkę, przypalającą papierosa „pod solidną gazową latarnią".

Przez pointę usiłuje zazwyczaj Laskowski zaostrzyć efekt groteskowy. Czasami mu się to udaje. W kilku wierszach poeta prezentuje dar konstruowania groteskowych przedstawień — jak np. w cytowanym niżej liryku, bardzo pomysłowym, choć może trochę zbyt elokwentnym:

Kto tylko rozporządzał
czarnym beretem
po śmierci wielkiego człowieka
rzucał go na słońce
żałoba

Miotaliśmy w słońce
czarnymi bryłami węgla
rozgorzały

Pociepłało na ziemi
wietrzyk zwichrzył obnażone głowy
żałoba
żałoba

Chodźmy stąd
bo zabrakło beretów
i zajadą sikawki strażackie
będą strzelać w słońce
rzekami tuszu.

(*Temperatura żałoby*)

Tak więc obrazek liryczny zagarnął sporą przestrzeń: rozwija się na terenie, którego krańce wyznaczają — z jednej strony na pół fantastyczny reportaż, z drugiej zaś: groteska. Są to jakby jego ramy naturalne. Laskowski — tak zresztą jak i inni reprezentanci omawianej tu poetyki — usiłuje czasami te ramy rozsadzić, zagarnąć dla tak ukształtowanego obrazka nowe obszary. I tutaj napotyka opór wybranej formy wypowiedzi. Gdy chce wyrażać tzw. przeżycia doniosłe, musi poddawać obrazek różnym dziwnym operacjom. Ujęty empirycznie mikrokosmos nie jest dobrym przewodnikiem dla „spraw wielkich". Toteż wiersze, które je podejmują (np. *Stulecie gipsu*, *Zgrzyt o grudę*), odznaczają się konceptycznością, w nienajlepszym sensie tego wyrazu.

Tak więc obrazek liryczny sam sygnalizuje kres swych możliwości wyrazowych, wyznacza granice dopuszczalnych przekształceń. Mimo wszystko jest bowiem gatunkiem małopojemnym. Toteż chyba nie należy mu rokować dłuższego żywota, mimo że jego doświadczenia są niezwykle istotne dla kształtowania wizji poetyckiej czy — jak to się mówi — fantazjotwórstwa. Do twierdzenia tego upoważnia nie tylko debiutancki tom Laskowskiego. Upoważnia przede wszystkim najnowszy zbiór Grochowiaka, w którym znajduje się kilka znakomitych wierszy — jakże inny od dwu książek poprzednich, w których dominowała właśnie obrazkowa stylizacja. Grochowiak w *Rozbieraniu do snu* wykorzystał swe poprzednie doświadczenia dla konstrukcji poetyki, opartej przede wszystkim na ironicznie traktowanej aluzji literackiej. Są to jednak już sprawy wykraczające poza ramy omówienia tomu Laskowskiego. W każdym razie przekształcenia poetyki małoobrazkowej nie są błahym zjawiskiem dla rozwoju najnowszej liryki.

Michał Głowiński

POETYKA PASTISZU

Kazimierz Wyka: *Duchy poetów podsłuchane*. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 145.

I

Na początek wypadnie rozgraniczyć jakoś wyraźnie pastisz od parodii. Kategorie te często bywają fałszywie utożsamiane albo też — z drugiej strony — rozróżniane na zasadach, które nie odpowiadają ich rzeczywistym odrębnościom. Mówi się więc — w drugim wypadku — że pastisz to po prostu naśladowanie jakiegoś stylu, natomiast parodia to naśladowanie połączone z ośmieszeniem. To, co określa się jako „ośmieszenie", jest w wysokim stopniu niejasne. Wszak pastisz (np. nieudolny) też może ośmieszać dany styl, a parodia wcale nie musi. Sądzę, że w celach wyłącznie orientacyjnych można z grubsza przeprowadzić następujące rozgraniczenie: przez parodię rozumieć będziemy takie naśladowanie jakiegoś stylu, które odrywa go od genetycznie z nim złączonych założeń i wprowadza w nowe związki, przyporządkowuje założeniom sprzecznym z tamtymi, jednym słowem: ustala sytuację konfliktową między stylem a jego motywacją (np. w poemacie heroikomicznym czy w nadrealistycznym obrazie), między „formą" a „mitem". Owa sytuacja konfliktowa jest zrozumiała wyłącznie na tle pewnej świadomości kulturalnej, w obrębie

której pewne „mity" zwykło się wiązać z pewnymi „formami". Celowo zresztą upraszczam całe to teoretyzowanie i ograniczam je do zjawiska stylu literackiego, choć w najgłębszym moim przekonaniu kategoria parodii ma znaczenie bardziej uniwersalne i odnosi się do wszelkiego typu „mitów" i „form" w świecie kultury.

Natomiast przez pastisz, ogólnie rzecz biorąc, rozumieć będziemy takie naśladowanie, które zachowuje daleko posuniętą lojalność względem zasad, które dany styl powołały do życia. Jeśli parodia unicestwia te zasady, to pastisz je respektuje. Parodia jest agresywna, pastisz — uległy. Parodia dąży do zburzenia równowagi cechującej jakiś skonwencjonalizowany układ, pastisz — przeciwnie — wyrasta z dążenia, by układ taki odtworzyć i to w stopniu daleko wyrazistszym, niż realizowały go konkretne utwory, ukształtowane w jego obrębie. Chyba już wystarczy tych elementarnych odróżnień.

II

Wśród esejów Wyki znajduje się tekst, który powinien był znaleźć się w ostatnio wydanym tomie jego pastiszów. Nie na prawach uczestnika parady stylów poetyckich, od twórcy *Trenów* począwszy, a na Zbigniewie Herbercie skończywszy, lecz jako komentarz, motywacja, ba, jako liryczne uzasadnienie dla niepoważnego procederu literackiego. Myślę o *Obronie van Meegerena*, którą w roku 1947 drukowało *Odrodzenie*. Wygłaszając mowę obrończą, w procesie genialnego fałszerza stylu Vermeera, sformułował Wyka szereg uzasadnień teoretycznych dla pastiszu w sztuce i zaopatrzył je w wyjaśnienie bardzo osobiste: „Wiem z własnego doświadczenia, czym jest zahamowany popęd poetycki, który się wyżywa w podpatrywaniu i naśladowaniu cudzych stylów. Starałem się wam dowieść, że w dziełach sztuki ten popęd odgrywa doniosłą rolę. Wiem wreszcie, że subiektywne powody takiego zjawiska bywają — nader wstydliwe". Nie przystoi w tym miejscu psychologizować, zwłaszcza że autor sam usłużnie wskazuje tropy. Zresztą nie geneza skłonności do pastiszu będzie nas interesować — choć psychologiczne źródła takich skłonności to wcale ciekawy problem — ale ich funkcjonalne związki z zasadniczym nurtem twórczości Wyki: z krytyką literacką. A więc pastisz nie jako forma zastępcza własnej twórczości (kompensata stłumionych popędów, używając gwary freudystów), lecz jako forma poznawania twórczości innych, jako instrument działań krytyczno-literackich. Tak to bowiem wygląda w wypadku Wyki. Utwory zebrane w tomiku *Duchy poetów podsłuchane* wyprowadzają na powierzchnię skłonności utajone w pracach krytycznych autora *Rzeczy wyobraźni* i nadają im kształt poetycki. Jeśli w szkicach krytycznych skłonności te znajdują przedłużenie w swoistej metodologii postępowania badawczego (w niektórych wypadkach także w stylu wypowiedzi *), to tu zostają utrwalone w formie pastiszu literackiego. Wyka dysponuje wyobraźnią, o jakiej zapewne myślał „scjentyfista" Hipolit Taine, gdy żądał od krytyka, aby ten oprócz duszy własnej miał jeszcze kilka innych, umożliwiających mu lojalne obcowanie z twórcami o rozmaitych „temperamentach". To w ogóle charakterystyczne, że tęsknoty takie objawiają zazwyczaj krytycy akademiccy, którzy pragną wyjaśniać zjawiska literackie, a nie ferować oceny wedle jakichś przyjętych miar wartości. Którzy chcą wejść w świat pisarza i przyjąć na czas analizy jego poetykę za swoją własną. Którzy bez nadmiernych uprzedzeń, a tylko z wiedzą, usiłują opisywać mechanizm zjawiska, oglądanego w jego własnej perspektywie. Dla których wreszcie wartościowanie jest zabiegiem dokonywanym immanentnie, z punktu widzenia założeń badanej poetyki. Mowa więc o tych, którym chętnie odmawia się miana krytyków literackich, rezerwując je — nie bez pewnej racji zresztą — dla uprawiających agresję wobec literatury.

Co innego jednak postulat wielu dusz krytyka, a co innego faktyczne ich posiadanie. W twórczości krytycznej Wyki lojalność badacza ma naturalną podstawę w swoistej wyobraźni odtwórczej. Odtwór-

* Muszę tu, niestety, odwołać się do własnych spostrzeżeń, zawartych w artykule o metodzie krytycznej Wyki (*Twórczość*, 1957, nr 5).

czej i mającej naturę Proteuszową. Zdolnej współbrzmieć z rozmaitymi indywidualnościami artystycznymi. Funkcjonującej za sprawą cudzych wyobraźni i cudzych stylów. Jest to zatem wyobraźnia pozbawiona tożsamości, określana przez twory wyobraźni innych pisarzy. W tej sytuacji pastisz musi stanowić integralny składnik procederu krytyczno-literackiego. Szkice Wyki są niemal z reguły potencjalnymi pastiszami, a czasem (np. w pracach o Adolfie Rudnickim) są nawet pastiszami w sensie ściśle stylistycznym.

Dlaczego pastisz, a nie parodia? Przecież wyobraźnia odtwórcza manifestować się może również w tej drugiej formie. Zapewne, może. Ale nie przy tych założeniach, jakie są podłożem postawy krytycznej Wyki. Autor *Pogranicza powieści* chce być świadomością twórcy, prowadzić z nim dialog z pozycji lojalnego i wyrozumiałego partnera. Natomiast parodia, choć wyrasta z podobnych co pastisz dążeń do podrabiania, jest zawsze nielojalna. Perfidnie respektuje styl, ale po to, aby go wytrącić ze zwykłych przyzwyczajeń i złączyć paradoksalnie z jakimś zaprzeczeniem (tematycznym, ideowym etc.). Dlatego mogłaby być doskonałym narzędziem działań dla krytyka będącego „przeciwświadomością" literatury, który treści tej literatury usiłuje sprowadzić do gestu, mit do formy, który chciałby skompromitować zwalczane zjawiska literackie przez zredukowanie ich do konwencji odciętej od swego pozaformalnego uzasadnienia. Parodia mogłaby być instrumentem dla krytyka w typie Sandauera, gdyby ten miał zdolność do przedrzeźniania, jaką ma jego mistrz — pierwszy święty obrządku ferdydurkistów. Jednakże autor *Bez taryfy ulgowej* konsekwentnie przetwarza parodystyczny grymas Gombrowicza na gębę jedynego sprawiedliwego w Sodomie. Postawę błazna wymienia na postawę kapłana.

III

Pastisz poetycki Wyki to nie tylko produkt osobliwej wyobraźni, to także produkt wszechstronnej kultury historyczno-literackiej. Dochodzi więc jeszcze jedna zależność: związek pastiszu nie tylko z postawą Wyki-krytyka, ale również z jego zawodem historyka literatury. Omawiana książeczka stanowi swego rodzaju bryk z historii stylów polskiej poezji.

Klarowna liryka Kochanowskiego obok barokowo-mistycznej poezji Sępa-Szarzyńskiego. Konwencjonalna sielanka Szymona Zimorowicza i wyszukany madrygał Andrzeja Morsztyna obok filozoficzno-gospodarskiej poezji Wespazjana Kochowskiego. Epigramatyczna bajka Krasickiego i jej narracyjny odpowiednik u Trembeckiego. Sentymentalno-rokokowy Kniaźnin i stylizowany pod Fontenella Józef Szymanowski. Poemat opisowy w wydaniu Trembeckiego. Mickiewicz i Słowacki. Trzy razy Norwid, przy czym jeden z nich (*Łyżki*) jest moim zdaniem arcydziełem pastiszu. Bohdan Zaleski ożeniony z Marią Konopnicką (Wyka świetnie uwidocznił to powinowactwo). Gadulstwo Asnyka pochylającego się nad głębiami i impresjonizm Tetmajera. Młodopolszczyzna w wydaniu anonimowego poety. Dwa style Kasprowicza: symboliczno-pustosłowny i z *Księgi ubogich*. Wizjonerstwo Tadeusza Micińskiego, z lekka parodiowany Berent, neoromantyczna Ostrowska i kabaretowy Boy. Leśmian, Staff, Morstin, Wittlin, Tuwim. Gongorystyczny styl Peipera. Liebert, Czechowicz, Łobodowski, Broniewski, Gałczyński, Miłosz. Bieńkowski i Różewicz. Bratny i Kubiak. Harasymowicz, Białoszewski i Herbert. Wreszcie koniec litanii.

Pastisze Wyki nie tylko utrwalają swoiste cechy stylu poszczególnych poetów, ale prezentują także style całych szkół poetyckich i gatunków. Krasicki i Trembecki są w tym ujęciu nie tylko odrębnymi indywidualnościami artystycznymi, są również reprezentantami dwóch odmiennych konwencji bajkopisarskich. Sielanka Zimorowicza i sielanka Szymanowskiego to zupełnie różne wersje tego samego gatunku, powstałe w obrębie odmiennych sytuacji kulturalnych i poetyk historycznych. Pastisz anonimowego poety Młodej Polski ma za podstawę nie jakiś indywidualny wariant stylu młodopolskiego, lecz system środków całego prądu.

Liście się sypią ulewą złotą
Na stawów zgasłą, ponurą toń —
Smętek jesieni senną pieszczotą
Czarnych cyprysów całuje dziś skroń.

Przekwitły lilie i asfodele,
Tuberoz kępy przesnuły się w nic,
Hiacynt, irys, czarne morele
Żałoby znakiem zdarły kwiecie z lic.

Płaczą fontanny łzą opalową,
Daniel przebiega przez daleki łęg
A nad mą bólem zmiażdżoną głową
Żurawi żalny dogorywa jęk.

itd. itd.

(*W jesiennym wichrze*)

W tym miejscu należałoby właściwie przywołać, jako załącznik, rozważania Wyki z książki *Modernizm polski* (rozdział *Główne dążności ekspresji artystycznej*), zwłaszcza zaś uwagi o porach roku i kwiatach w poezji modernistycznej. Tekst ten, mówiący o szablonach egzotycznych nazw roślinności i o schematach emocjonalnych skojarzeń związanych z jesienią w liryce Młodej Polski — wprost idealnie nakłada się na powyższy cytat. Analiza historyczno-literacka kodu artystycznego epoki i odtworzenie tego kodu w pastiszu nawzajem się uzupełniają. Wyka-badacz i Wyka-poeta zmierzają wspólnie do jednego celu. Mam wrażenie, że mógłby on w swoich pracach o poezji posługiwać się własnymi utworami jako przykładami i dochodzić do wniosków, które jak ulał pasowałyby do twórczości naśladowanej. Taki typ pastiszu, który w gruncie rzeczy jest poetycką wersją rozprawy krytycznej czy naukowej, nie może powstać inaczej jak tylko w oparciu o głębokie historyczno-literackie rozumienie utworów podrabianych. Wyobraźnia odtwórcza to dyspozycja elementarna. Obudowuje ją cały system zamiarów i chwytów badawczych, i on dopiero stanowi bezpośrednie podłoże pastiszów Wyki.

IV

Równolegle do funkcji wyżej opisanych ma przecież pastisz swoistą wartość — poetycką. Truizmem byłoby twierdzić, że wartość ta należy do innej kategorii niż wartość oryginalnego pierwowzoru. Chociaż pewne ujęcie zastosowane przez Wykę może ten truizm stawiać pod znakiem zapytania. Dwukrotnie mianowicie stosuje on chwyt przedłużenia tekstu oryginalnego przez pastisz. Raz w wypadku utworu Mickiewiczowskiego, a drugi raz w *A Dorio ad Phrygium* Norwida. Fragmenty oryginalne stwarzają w obu wypadkach jak gdyby rozbieg, który pozwala autorowi trafić we właściwy ton emocjonalny i stylistyczny. Wytyczają koleiny dla tekstu pastiszowego. Ma on więc być w zamyśle Wyki organicznie zrośnięty z konkretnym utworem i niejako sumować się z tekstem oryginalnym. Ta dosyć osobliwa okoliczność, kiedy pastisz ma za zadanie uzupełniać określoną wypowiedź poetycką, może nasuwać przypuszczenie, że Wyka usiłuje przez taki chwyt postawić pastisz w nowej sytuacji wobec tekstu oryginalnego, zbliżyć do siebie ich funkcje. Nie będziemy wchodzić w rozważania nad tą możliwością, ponieważ pojawia się ona tylko epizodycznie. Dodajmy jedynie, że teoretycznie wydaje się, iż eksploatowanie takiej właśnie formy pastiszu musiałoby w konsekwencji doprowadzić do jego likwidacji.

Funkcjonowanie pastiszu w pewnej zbiorowej kulturze literackiej opiera się na odczuciu jego bliskości i „podobieństwa" względem określonego pierwowzoru, ale równocześnie opiera się na uświadomieniu jego inności. Na jednoczesnym uchwyceniu tożsamości i różnorodności obu zjawisk. Bez tej ambiwalencji nie ma pastiszu. „Podobieństwo" stylu i „niepodobieństwo" funkcji — oto generalna formuła. Weźmy pierwszy z brzegu przykład:

Ani spostrzeżesz, jak się przewiercę
W rżniętej fujarki skręcone dno —
Bóg mi palcami przebiegnie serce.
Psiakrew — i serce pękło jak szkło.

(Julian Tuwim: *Śmierć*)

Czterowiersz ten budzi u czytelnika świadomego rzeczy dwojakie nastawienie. Poprzez szereg sygnałów językowych wywołuje w nim „obraz" stylu liryki Tuwimowskiej. Równocześnie jednak nie wzbudza w nim oczekiwań na przeżycia analogiczne do tych, jakich doświadczył stykając się z oryginalnymi utworami Tuwima. Jego przeżycie tym razem zostaje skierowane na sam fakt powinowactwa literackiego. Styka się ze znakiem, który jest dla niego zrozumiały na tle pewnego systemu znaków (poetyka Tuwima), ale którego znaczenie wyczerpuje się całkowicie w tym odnie-

sieniu, nie angażuje innych elementów, jest zatem zasadniczo odmienne od znaczeń lirycznych, jakie odnajdywał w tekstach autora *Rzeczy czarnoleskiej*. Wprawdzie słowa i zdania, składające się na cytowany czterowiersz, mają określone sensy, jednakże ulegają one zatarciu na rzecz semantyki — można powiedzieć — wyłącznie strukturalnej, wynikającej z kontekstu poetyki, do której aluzją jest ten czterowiersz. Znaczą jedynie w przyrównaniu i w opozycji do całego systemu nawyków i przyzwyczajeń, jaki poezja Tuwimowska zbudowała w świadomości owego czytelnika. Analogicznie mechanizm ten wygląda po stronie samego pastiszu. W logice i metodologii stosowane jest przeciwstawienie dwóch kategorii: „języka przedmiotowego" i „metajęzyka".* Rozpowszechnia się ono coraz bardziej także w lingwistyce. Wydaje mi się, że można je wykorzystywać przy opisie wszelkiego typu zjawisk literackich, zwłaszcza zaś w wypadku poetyki pastiszu będzie to uzasadnione. Gdy mówię: „1 + 2 = 3" lub „lubię befsztyk z cebulką" — to obie te wypowiedzi sformułowane są w określonych językach przedmiotowych (w języku arytmetyki i w języku polskim). Gdy jednak mówię: „w języku arytmetyki 1 znaczy to a to, znak plus to a to" itd., lub „w języku polskim słowo »befsztyk« znaczy to a to, słowo »lubić« to a to, w zdaniu jest ono orzeczeniem i pozostaje w składniowej zgodności z domyślnym podmiotem" itd. itd. — to moje wypowiedzi są sformułowane w obrębie metajęzyka. Metajęzyk to system zasad obowiązujących w danym języku. To jakby „nadświadomość" tego języka.

Tekst poetycki jest wypowiedzią w ramach „języka przedmiotowego", ukształtowaną zgodnie z pewnymi regułami: pod ciśnieniem tradycji literackiej, w związku z normami poetyki, w orbicie działania jakiejś konwencji stylistycznej, pod presją indywidualnej wyobraźni twórcy itd. Wszystkie te reguły składają się na „metajęzyk" danej twórczości poetyckiej. Otóż pastisz jest utworem skierowanym na ów „metajęzyk". Odtwarza jego reguły bardziej wyraziście niż sam oryginalny pierwowzór. Rozszyfrowuje styl, sprowadzając go do systemu warunkujących zasad. I jest zrozumiały wyłącznie na tle tego systemu. Pastisz znaczy jedynie w polu określonej świadomości literackiej. Jest to poezja nastawiona na kody poetyckie, funkcjonująca tylko w relacji do istniejącej poezji. Znak, który utrwala w sobie pewną (zresztą kulturalnie i historycznie względną) „nadświadomość" stylów literackich. Tym większa wartość pastiszu jako utworu poetyckiego, im szerszy zakres reguł i norm danego „metajęzyka" zdolny jest on ogarnąć. Oceniane wedle takiego kryterium pastisze Wyki, prezentujące indywidualne style uwikłane w wielorakie zależności historyczno-literackie, zdają się być tworami w swoim rodzaju niepospolitymi. Są zarazem poezją i wiedzą o poezji.

* Twórcą tego pojęcia był Alfred Tarski.

V

Ma przecież i pastisz swoje granice. Granice historycznie względne. Wydaje się, że każdorazowo odcinają one możliwość pastiszu z dwóch stron. A więc nie podlegają takiemu ujęciu style, które w obrębie danej sytuacji kulturalnej uznawane są za „naturalne", które nie pozostają w żadnej opozycji do konwencji wciąż żywej a równocześnie utwierdzonej w świadomości czytelników jako najbardziej odpowiadająca pewnym gatunkom wypowiedzi. Na przykład obecnie (nadal jeszcze) — proza Dąbrowskiej i wiersze Słonimskiego. I w jednym, i w drugim wypadku trudno sobie wyobrazić pastisz. Chodzi o takie style, które nie stały się jeszcze manierą, ale są już konwencją i to konwencją o dużej żywotności. Stanowią one niejako normę stylistyczną uznaną w przeciętnej (a nie awangardowej) opinii i ocenioną jako najwartościowszy dla danego gatunku sposób literackiego przekazu. Pastiszowi podlegają bądź style już „zamknięte" (a więc m. in. wszelkiego typu maniery), bądź też style w jakimś sensie opozycyjne względem tego, co jest uznane w pewnym czasie za normę, operujące środkami odstającymi od aktualnie żywotnych (ale już spetryfikowanych) upodobań artystyczno-literackich. Odstającymi — albo na zasadzie już odczuwanej „staroświeckości", albo na zasadzie „nowoczesności".

Natomiast owe wzorcowe style (powieściowe, liryczne etc.) mogą być

terenem eksploracji dla ujęć parodystycznych. Proza Dąbrowskiej czy wiersz Słonimskiego są dla współczesnego czytelnika jak gdyby zupełnie niewidoczne. Uczynić je widocznymi może agresywna parodia (np. przez kontrast „formy" i „treści"), niewypałem wobec nich byłby lojalny pastisz. To jedna granica.

Druga zdaje się wykluczać możliwość udanego pastiszu wobec stylów opartych na maksymalnej wieloznaczności. Stylów „palimpsestycznych", o różnych poziomach semantycznych i emocjonalnych, migocących wielorakimi sugestiami. Wątpię, czy może powstać dobry pastisz stylu Przybosia, a zastrzeżenie to obowiązujące również w wypadku Leśmiana. Pewne elementy — np. gest demiurga w liryce Przybosia czy maniera słowotwórcza Leśmiana — dadzą się podrobić, ale będzie to uleganie pokusom zewnętrzności. Pokusom takim uległ częściowo Wyka w pastiszu Leśmiana.

Jest więc jakiś azyl przed niebezpieczeństwem naśladownictwa i agresją cudzej „nadświadomości". Ba, ale czy się nie mylimy ustalając tak apodyktycznie granice (co prawda historyczne) dla sztuki pastiszu?

Janusz Sławiński

RÓŻNE DROGI KREACJONIZMU

Wanda Karczewska: *Czarne konie*. Warszawa 1959. „Czytelnik"; str. 290.

Nowy tom prozy Karczewskiej nie jest jednolity. Dziwić się nawet wypada, że autorka zdecydowała się w ten właśnie sposób zebrać w jednym tomie opowiadania pisane w rozmaitych okresach czasu i w różnej konwencji. Nie jest też całkiem jasne równoczesne ukazanie się nagrodzonego *Odejścia* zarówno w Wydawnictwie Łódzkim, jak i w omawianym zbiorze.

Jakkolwiek się rzeczy miały, otrzymaliśmy w wyniku książkę, która w części kontynuuje czy raczej poszerza poetykę znaną z *Odejścia*, a w części pozostaje całkowicie na gruncie konwencji klasycznego realizmu.

Wydaje się, że w danym wypadku zestaw tego typu różnych opowiadań nie jest poznawczo ciekawy. Można by pragnąć, by jako całość przedstawiały pewną konsekwentną ewolucję w określonym kierunku, ewolucję konieczną, bo dokonującą się pod naporem treści, które, nie znajdując już dla siebie wyrazu w ramach dosłowności, w ramach realizmu, kierują autora w stronę prozy zmetaforyzowanej i kreacyjnej. Chciałoby się móc prześledzić, jakie są te konieczne drogi, które prowadzą pisarza do wyrażania świata nie wprost, ale poprzez fantastyczne konstrukcje lub odrealnione sytuacje. Takiej możliwości jednak książka Karczewskiej krytykowi nie daje.

Jeżeli można w niej wyróżnić jakieś ogniwo pośrednie pomiędzy chronologicznie pierwszymi, realistycznymi opowiadaniami *Muflony* i *Dzbanek mleka* a najbardziej konsekwetnym w swym czystym kreacjonizmie opowiadaniem *Czarne konie*, dałoby się to uczynić jedynie na podstawie stopnia nasycenia pozostałych opowiadań realną, empiryczną rzeczywistością, która, pełniąc tak rozliczne funkcje, np. w *Odejściu*, przestaje tam już reprezentować tylko siebie samą, by zniknąć wreszcie całkiem i ustąpić miejsca rzeczywistości odrealnionej i na swój sposób fantastycznej. Od realistycznych *Muflonów* do kreacyjnych *Czarnych koni* nie prowadzi jednak żadna wyraźna linia problemowa i próżno by tu szukać jakichś głębszych powiązań treściowych, łączących omawiane opowiadania. Jedyny zatem możliwy i wyłaniający się samorzutnie sposób całościowego ujęcia tomu prozy Karczewskiej stanowi punkt wyjścia dla analizy bardzo ograniczony i niepełny.

Na drodze od realistycznych *Muflonów* do kreacyjnych *Czarnych koni* leży *Odejście*. Jest w tym szeregu ogniwem pośrednim, bo, nie odchodząc całkowicie od ukazywania rzeczywistości realnej i historycznej, jest zarazem

próbą uchwycenia dzięki niej i poprzez nią ogólnych i powszechnych wyznaczników ludzkiego losu. Karczewska zademonstrowała tu swoją koncepcję losu i przeznaczenia człowieka nie poprzez zbudowanie jakiegoś odrealnionego, lecz spoistego układu powieściowego, ale częściowo na materiale konkretnej sytuacji historycznej. Na ogół chwalono autorkę właśnie za to, że potrafiła połączyć postulat konkretności i historyzmu z postulatem daleko idących uogólnień i uniwersalizacji. Tymczasem od tej właśnie strony można by zarzucić *Odejściu* najwięcej niekonsekwencji i słabości.

Sytuacja historyczna, która posłużyła autorce do zbudowania szeregu scen metaforycznych i tej metafory najogólniejszej, wyrażającej „wieczne pielgrzymstwo i los ludzki", została w opowiadaniu ukazana tylko o tyle, o ile wymagała tego prezentacja autorskiego widzenia świata; straciła w konsekwencji swoje rzeczywiste kontury, swoje walory bezpośredniego, autonomicznego oddziaływania. Tymczasem pretekstowość fabuły, pretekstowość sytuacji nie pociąga za sobą wcale niedorysowania zasadniczych elementów, które tę fabułę, sytuację wyznaczają. Wręcz przeciwnie, uniwersalność znaczeń wtedy dopiero nabiera należytej siły oddziaływania, kiedy wyrasta z żyznej gleby realnych stosunków i uwarunkowań, kiedy jednostkowa i konkretna sytuacja stapia się tak dalece z utajonymi w niej możliwościami szerszych, ogólniejszych interpretacji, że przestajemy odczuwać intencje autora; nie widzimy rozziewu pomiędzy sytuacją a przydanym jej znaczeniem.

Odejście tego warunku nie spełnia. Wrześniowa wędrówka trojga bohaterów po drogach zagrożonych wojenną klęską, jako sytuacja realna i konkretna, zbyt gwałtownie i nagle przeskakuje co chwila w sytuację pretekstową, nazbyt jawnie ulega raz po raz metaforyzacji. Kiedy dygnitarz, uciekający w pośpiechu ze swoimi pieskami, bagażami, sekretarzem, urasta nagle do potęgi Palca Bożego, by potem z kolei zostać znów zepchnięty do roli reprezentanta bezdusznej biurokracji, to takie przeskoki, takie migotanie znaczeń jest artystycznie drażniące, złe, fałszywe. Nie dziwię się więc zbytnio Czeszce, który napisał recenzję, mylącą wprawdzie i nieuczciwą, ale bardzo za to wyczuloną na owe fałsze i zgrzyty, na owe zbyt pośpiesznie doczepiane znaczenia.

Karczewska jakby zawisła dość niezdecydowanie pomiędzy próbą wydestylowania maksimum wiedzy o człowieku z sytuacji mających swój rzeczywisty odpowiednik w historycznym doświadczeniu a próbą przekazania tej wiedzy poprzez układy i konstrukcje odrealnione, pozbawione możliwości skonfrontowania z empiryczną rzeczywistością. W konsekwencji czytelnik jest zmuszony oscylować za bardzo gwałtownie pomiędzy warstwą realistyczną książki, wspomagany w jej odbiorze własnymi doświadczeniami i pamięcią o wojennym wrześniu, a warstwą metaforyczną, mieszczącą w sobie odautorską koncepcję „spraw tego świata".

Opowiadania *Czarne konie* i *Stacje nieprzewidzianych pociągów* — bardziej konsekwentne w swym czystym kreacjonizmie — jako całość, w swej warstwie fabularnej, nie przystają już w żaden sposób do rzeczywistości realnej i sprawdzalnej obiektywnie; istnieją tylko i wyłącznie na podstawie powołującej je do życia koncepcji autorskiej. Fabuła, przedstawione zdarzenia nie wyrażają tu rzeczywistych układów i stosunków zewnętrznego świata, ale są rzuconymi w świat stawania się nieurzeczywistnionymi pragnieniami Rozalki czy anonimowego narratora z drugiego, wymienionego tu, opowiadania. Świat *Czarnych koni* to funkcja chorej wyobraźni bohaterki, wyobraźni spalanej na przemian ogniem pożądania i wyjaławianej pustką niedzielnego popołudnia, narrator *Stacji nieprzewidzianych pociągów* żyje w świecie, który jest wyrazem jego daremnych pragnień, jego, ogarniętej żądzą ucieczki, wyobraźni; tutaj całości podporządkowane są jednolicie i konsekwentnie nadrzędnej koncepcji materializowania jakiegoś jednego, obsesyjnego uczucia, ukazywania go poprzez wypadki, które, nie rządząc się już żadną rzeczywistą logiką, mają swe źródło tylko i wyłącznie w torturowanej obsesją wyobraźni bohatera.

Możliwość podobnego traktowania fabuły *Odejścia*, umieszczenia jej w schorowanej wyobraźni Piotra, zdaje się nam przynosić w zaskakujący sposób samo zakończenie opowiadania.

Pojawienie się w partii końcowej ostro zarysowanej sylwetki bohatera, z jego próbą rozprawienia się z własnym życiem, sugeruje traktowanie fabuły *Odejścia* jako funkcji rachującej się ze swoim losem wyobraźni bohatera: „Nie chciał niczego. Patrzył przed siebie, miął brzeg kołdry. Miał uczucie skończonej walki i poniesionej klęski. Ale był spokojny. Zużył bowiem wszystkie siły, całą wytrzymałość i cierpliwość, aby wyjść z niej jak najmniej pokonanym. Wygrać bowiem nigdy nie było można. Można było mniej przegrać".

Czy bohater dokonuje tu własnego bilansu przebytej drogi, czy też jest to wyraz autorskiego przekonania o nieuchronnej przegranej ludzkiego życia? Całościowa konstrukcja opowiadania, ze swym końcowym, zaskakującym wprowadzeniem planu realnego, nie daje na to pytanie dostatecznie jednoznacznej odpowiedzi.

Jest jeszcze i inna sprawa, na którą trzeba zwrócić uwagę. W swej końcowej partii ta rozległa parabola, tak daleko sięgająca w ambicjach ukazania podstawowych wyznaczników ludzkiego życia, zostaje sprowadzona, w planie fabularnym, do jednej tylko, aktualnej dla określonego bohatera, sprawy, do problemu jego rzeczywistego odejścia od świata. Bohater, wydarty czasowi, wydarty samemu sobie, zostaje z woli autorki wtrącony w otchłań niepamięci, jest „wolny od bólu ciała i od bólu pamięci twarzy ludzkich", jest wolny od siebie samego, ale wolny — w obłędzie. Jego wolność jest odejściem w niepamięć, w nieświadomość, jego uwolnienie — wyzwoleniem spod rzeczywistych więzów i spod tyranii ludzkiego oka; obłęd pozostaje dla Piotra jedynym możliwym i jedynym prawdziwym wyjściem z tej matni szarpiącej, jaką jest dla niego świat. Ale w ten sposób ogólny, metaforyczny sens opowiadania zostaje, przez końcowe ukonkretnienie bohatera, przełamany, przecięty, zawężony.

Myślę jednak, że nie *Czarne konie* ani *Stacje nieprzewidzianych pociągów* w swym jednostronnym i wąskim eksploatowaniu obsesyjności wyobraźni bohaterów, ale właśnie *Odejście*, jako bardzo ambitna próba stworzenia czegoś w rodzaju przypowieści filozoficznej o ludzkim losie, utrafia w najistotniejszy nurt współczesnych poszukiwań literackich, poszukiwań, zmierzających do wynalezienia takiej formy wyrazu, która by pozwoliła na przekazanie możliwie największej sumy wiedzy o człowieku i o jego rzeczywistej sytuacji w świecie.

Bożena Danek

STAN NIEPOKOJU

Andrzej Kijowski: *Oskarżony*. Warszawa 1959. „Czytelnik"; str. 129.

Oskarżony to trzecia po opowiadaniach *Diabeł, anioł i chłop* (1955) i *Pięć opowiadań* (1957) książka beletrystyczna Andrzeja Kijowskiego. Pierwszą, a nawet drugą książkę z zakresu beletrystyki można było jeszcze traktować jako przypadkowy wyskok w twórczości zawodowego krytyka. *Oskarżony*, zresztą nie tylko ze względu na magiczny sens trójki, wskazuje na to, że Kijowski twórczością ściśle artystyczną zamierza zajmować się serio, że nie stanowi ona marginesu jego poczynań pisarskich.

Fakt ten nie dziwi mnie ani trochę. Sam uciekałbym od krytyki, gdzie pieprz rośnie, gdybym mógł, gdybym z różnych i nader skomplikowanych względów nie był na ten właśnie rodzaj pisarstwa skazany. Pozycje krytyki to u nas pozycje z góry stracone. Krytyka, żeby mogła być sobą, musiałaby być czymś takim, jak wyznanie wiary kogoś, kogo stać na hodowlę kwiatów dla własnej przyjemności. U nas kwiaty sztuki wyrastają jak kąkol i chabry. W miejscach nie dla siebie przeznaczonych i trochę jak zło, któremu się z lenistwa nie chce zapobiec. Wiodą żywot pasożytniczy i świadczą o niedbalstwie tych, którzy by chcieli zbierać chleb. Tylko ktoś lekkomyślny dostrzega czasem ich piękno. Trudno jednak uważać

się za hodowcę chabrów i kąkoli, trudno być krytykiem sztuki, która jest niepożądanym wyskokiem natury. Żeby być krytykiem, trzeba być kimś niespełna rozumu. Krytyków zresztą u nas nie ma. Są ekonomowie, którzy udają od czasu do czasu, że mają bądź co bądź trochę wspólnego z faktem, że kwitną chabry i kąkole. Być żabą, której nogi kują, żadna satysfakcja. Po prostu kowal jest wariatem.

Nie dziwię się, jako się rzekło, że Kijowski szuka azylu twórczego w beletrystyce. Nie sądzę zresztą, że jest to z jego strony zwykła ucieczka od krytyki, czyli od sytuacji z gruntu głupiej. W krytyce, gdyby nawet była tym, czym być powinna, można chcieć się skomentować, nie można chcieć się wyrazić. O ile wszelkie możliwości d a n i a w y r a z u są nawet w najdoskonalszej sztuce co najmniej niedoskonałe, ludzkie możliwości skomentowania siebie są już rozpaczliwie znikome. Jeśli w ogóle można wybierać między tymi dwiema możliwościami (a nie zawsze można), nie ma się nad czym zastanawiać. Nie należy brać mniej, gdy można więcej.

Powstaje jednak dosyć subtelna kwestia, gdy sprawę Kijowskiego rozważa się konkretnie, a nie ogólnie. Kijowski prozaik ma ambicje przede wszystkim intelektualne. Kształt jego prozy zależy od funkcjonowania aparatu myśli, nie uczuć, nie wrażliwości zmysłowej, nie wyobraźni. Świadczy o tym także *Oskarżony*, w którym w stosunku do dwóch pierwszych książek beletrystycznych Kijowskiego technika przedstawiania świata uległa widocznemu udoskonaleniu. Świat opowiadań Kijowskiego był przejrzystą konstrukcją intelektualną. Świat *Oskarżonego* skomplikował się psychologicznie, wzbogacił się o nastroje, zróżnicował się i zrelatywizował. Ludzie Kijowskiego stali się bogatsi wewnętrznie, a mimo to ich sprawy nie przestały być sprawami natury niemal wyłącznie intelektualnej. Sprawy te dotyczą co najwyżej kwestii bardziej zasadniczych, mają wymiar nie tyle społeczny, co egzystencjalny, nie tyle historyczny, co metafizyczny. Samo intelektualne podejście Kijowskiego do tych spraw nie uległo jednak zmianie. Cóż wobec tego zyskuje krytyk, który od eseju ucieka się do form beletrystycznych? Cóż wobec tego, żeby uciec się do jaskrawszego przykładu, zyskiwał Camus, myśli *Mitu Syzyfa* czy *Człowieka zbuntowanego* wyrażając w *Dżumie* czy *Upadku*? Wydaje mi się, że bardzo wiele i nie mam na myśli wyłącznie tak zwanej komunikatywności.

Czy Kijowski wykorzystuje te szanse wypowiedzi intelektualnej, które stwarza jedynie sztuka? Czy, innymi słowy, celowo ucieka się do prozy artystycznej, nie wykraczając w zasadzie na jej terenach poza sferę pytań intelektualnych? Jeśli mógłbym mieć jakiekolwiek wątpliwości co do pozytywnej odpowiedzi w tej sprawie przy dwóch pierwszych książkach beletrystycznych, nie mam ich przy *Oskarżonym*. W *Oskarżonym* stawia Kijowski kwestie intelektualne, których nie odważa się stawiać w swoim pisarstwie krytycznym. W krytyce na ogół rzadko wykracza Kijowski poza sferę zagadnień socjologicznych, i w życiu, i w literaturze, uciekając się co najwyżej do szukania związków między estetyką a socjologią. Jakkolwiek sam niefrasobliwie staram się w swojej działalności krytycznej nie trzymać się wyłącznie tych rejonów, cenię ostrożność intelektualną Kijowskiego. Myślę, że programowo nie chce on wykraczać w krytyce poza tereny jako tako sprawdzalne. Kijowski ośmiela się dopiero w prozie artystycznej, ściśle mówiąc, ośmiela się w *Oskarżonym*. Cokolwiek by się nie pomyślało o tej jego powieści, jest to książka ze wszech miar interesująca. Pod względem intelektualnym, zwłaszcza w jej końcowych partiach. Gdy cała historia staje się już niemal wyłącznie przedmiotem komentarzy filozoficznych, gdy odsłania się jej pretekstowy charakter.

W swoim schemacie faktograficznym historia ta jest prosta, zwyczajna i jednoznaczna. Psychopatka i narkomanka zażyła nie większą niż zwykle dawkę phanodormu, przy dosyć zwyczajnych zaniedbaniach ratowniczych spowodowało to śmierć. Zamiar samobójczy jest mało prawdopodobny, byłby to zresztą także fakt jednoznaczny moralnie, nie wchodzi w rachubę zabójstwo w zwykłym, potocznym sensie. Nawet moralny prokurator powieści nie chce sposobem prokuratora z *Kraksy* Dürrenmatta sprowadzać całej sprawy do faktu tak jednoznacznego. Doktor Kramer, bezkompromisowy oskarżyciel w powieści, wyklucza świadomie

i programowo tego typu redukcję: „Widzę, że chce pan być koniecznie zbrodniarzem pospolitym, chce pan swoją sprawę sprowadzić do najprostszego schematu kryminalnego czy nawet romansowego, przeszkodzę panu, nie pozwolę — jako lekarz. Mówiłem panu, że naszym zadaniem jest przeszkadzać wszelkiemu nawykowi — niech pan nie przywyka do roli zbrodniarza, niech się pan nie upadla. Niech pan uważa: jeszcze chwila, a poczuje się pan całkiem nieźle w swojej roli, równie dobrze jak w roli nieszczęśliwego, ofiarnego męża chorej kobiety. Ofiaruję panu dystynkcję znacznie wyższą, stan pełen niepokoju i pełen godności..." (str. 123—124).

Doktor Kramer wypowiada zasadniczą propozycję humanistyczną Kijowskiego. Stan niepokoju (we wszystkich jego możliwych treściach) to według autora stan błogosławiony, stan, w którym człowiek osiąga pełnię człowieczeństwa, w którym właściwie reaguje poznawczo i moralnie na swoją sytuację. Poczucie stabilizacji, stan jakiejkolwiek pewności w dobrym czy złym, jest niczym nie usprawiedliwiony, jest sprzeczny z naturą życia, jest jedną z form śmierci. Zdaje sobie z tego sprawę Piotr, który świadomie szuka stabilizacji, który chce przejść do porządku dziennego nad śmiercią matki, który chce uciec od niepokoju. „Chciałoby się być szczęśliwym przez bohaterstwo, jest się szczęśliwym przez filisterstwo, szukało się szczęścia, które daje świętość, znalazło się szczęście w małej szui, bywa i tak. Ale rezultat jest zawsze ten sam; stan, w którym już niczego więcej się od nas nie wymaga, kiedy wiadomo, że musi być to, co jest, że nie ma wyboru. I wtedy jest dobrze, i to nazywa się szczęście, tyle tylko można osiągnąć. Dochodzi się we współżyciu z drugim człowiekiem do stanu, w którym przestaje się go zauważać, obowiązki stają się odruchem, przestają ciążyć, jest się szczęśliwym. Tak samo wrasta się w społeczeństwo — prawo i hierarchia stają się jedyną znaną zasadą świata — i jest się szczęśliwym. Obrządek, gest, forma zastąpią wszelki niepokój, wszelką myśl — i jest się szczęśliwym. Tylko zdecydować się na gest, na pierwszy gest — reszta już pójdzie sama" (str. 72). Piotr decyduje się na cynizm, żeby być szczęśliwym, żeby trwać w śmierci. Piotr decyduje się na stan, w którym trwa oskarżony w *Kraksie* Dürrenmatta.

Dürrenmatt prowadzi swego oskarżonego od stanu pewności na „tak" do stanu pewności na „nie", od poczucia niewinności do poczucia winy. U Kijowskiego wszelka pewność jest niedobra. Ojciec Piotra a mąż zmarłej żył w przekonaniu, że nie tylko jest niewinny, że jest święty. Latami cierpliwie i z pełnym poświęceniem poddawał się szaleństwu zmarłej. Przeciwko tej pewności występuje doktor Kramer. „Pan, podając narkotyki na każde żądanie, ulegając manii żony, poddał się chorobie w równym stopniu, co ona — proszę iść śladem mojego wnioskowania. Ona żądała dla siebie snu, pan spokoju. Pastylki były środkiem dla niej i dla pana, oboje podlegaliście tej samej narkotycznej chorobie woli, od której prowadzi droga prosta do naszej kabiny — tam traci się równowagę, niebezpieczną równowagę, którą osiągnęła ona i pan, i cały wasz dom. Cały wasz dom poddał się reżymowi narkotyku, straciliście miarę wszyscy, nie tylko ona" (str. 122). Kramerowi nie chodzi jednak o odwrotną pewność, o pewność winy, o pewność zbrodni. Każda pewność daje poczucie spokoju, człowiek u Kijowskiego gotów jest przystać na każdą pewność. Tego nie bierze pod uwagę Dürrenmatt. Oskarżony Dürrenmatta, gdy uzyskał pewność winy, zbuntował się i wybrał samobójstwo. Kijowski zdaje się wiedzieć o człowieku rzecz straszniejszą, podejrzewa go o możliwość zgody na wszystko, o możliwość zgody na zbrodnię. Świadomość zbrodni, tak samo jak świadomość świętości, może gwarantować poczucie równowagi. Takie poczucie jest nie do przyjęcia.

I dlatego doktor Kramer widzi jedyne ocalenie człowieczeństwa w ustawicznym burzeniu poczucia równowagi. W tym widzi Kramer swoje posłannictwo lekarza, swoje posłannictwo prokuratora. „Każdy stan jest zły. Nie pozwalamy ani na spokój, ani na szał, ani na wesołość, ani na ów tępy smutek, w którym po naszej terapii pogrążają się najwięksi wesołkowie. Potrafimy szybko unieruchomić tych, co się zanadto ruszają, rozruszamy zaraz tych upiornych kataleptyków, którzy jak nowoczesne posągi tkwią po kątach z dziwacznie powykręcanymi członkami.

Szok to zmiana, to regeneracja. Takie jest nasze założenie. Dla laika może wyglądać okrutnie, ale choremu pomaga walczyć z obłędem, który dobiera się do niego, gdy tylko jego pozbawiony woli organizm osiągnie jakąkolwiek stabilizację. Stabilizacja to śmierć, to otchłań, walczymy z nią naszymi aparatami, w naszej kabinie zabiegowej odmieniamy wszystko. Nie pozwalamy na równowagę, którą osiągają niektórzy nasi pacjenci. Oznacza ona, że zadomowili się w swoim obłędzie" (str. 120). Sytuacja prawdziwie ludzka, to stan wiecznego niepokoju.

Wolałbym nie dociekać, kogo w intencjach Kijowskiego oznacza doktor Kramer. W powieści jest lekarzem z obowiązku, prokuratorem z powołania. Kim jest w życiu? Pisarzem? Politykiem? Odpowiedź na to pytanie mogłaby być decydująca dla sensu książki. Nie jestem pewien, czybym się z nim zgodził. Powieść napełnia niepokojem, jak się rzekło, programowym. Jedno jest pewne: oskarżony jest bezimienny, oskarżonymi jesteśmy wszyscy. Ta jedna pewność nie umożliwiła jednak równowagi, stan oskarżenia to stan największego niepokoju. Znaczyłoby to, że Kijowski osiągnął swój cel pisarski.

W *Oskarżonym* wyraża Kijowski myśli atrakcyjniejsze niż to, co zwykł wyrażać w działalności krytycznej. W beletrystyce myśli Kijowski swobodniej, myśli odważniej. Już to chociażby usprawiedliwia sprzeniewierzanie się krytyce, jakkolwiek sprzeniewierzenia te mniej niż jakiekolwiek inne mogłyby podlegać zabiegom oskarżycielskim. Ja zresztą w żadnym wypadku nie byłbym oskarżycielem.

Henryk Bereza

Z NATURY I Z OBYCZAJNOŚCI

Anna Danuta Kaczyńska: *Z ziemi i deszczu*. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 156.

Przedziwne. Ani jednej wulgarności, a w jedynej brutalnej scenie mówi się o duszy nieśmiertelnej. Kim więc są bohaterowie tej powieści? Są to niewątpliwie ludzie, w potocznym znaczeniu, kulturalni. Przypadkiem należą do inteligencji. Nie, nie przypadkiem.

Bohaterowie Kaczyńskiej, z racji swojej sytuacji zawodowej, żyją w kręgu środowiskowym rządzącym się specyficznymi wartościami, wyobrażeniami i prawami. To środowisko nie jest w powieści pokazane bezpośrednio — powieść jest bardzo kameralna i nie chodzi tu o środowisko — chodzi o pewne konflikty ludzkie w ich aspekcie psychologicznym; krąg środowiskowy jest wciąż wyczuwalnie obecny, jako atmosfera sprawcza takiego, a nie innego kształtu i przebiegu tej historii ludzkiej, starej jak świat. Atmosferę tworzy specyficzna hierarchia wartości, w której praca jest źródłem wartości bardzo głębokich i sprawą ściślej osobistą niż gdziekolwiek indziej. To jest głównym powodem wytworzenia się subtelnej sytuacji, w której Teresa i Aldona, była i aktualna żona Marka, codziennie przebywają obok siebie, w tej samej redakcji. Dalej, atmosferę tę tworzy specyficzna hierarchia pozycji społecznych, która Aldonie pozwoli przyrównać związek Marka z Teresą do związku królewicza z Kopciuszkiem, a Teresie — boleśnie odczuwać swoją pozycję maszynistki. Wreszcie — atmosferę tę tworzą specyficzne konwencje obyczajowe i to jest dla powieści najważniejsze. Można powiedzieć, że szczególną konwencją, która rządzi światem Teresy, Aldony i Marka, jest brak konwencji, to znaczy brak zewnętrznego nacisku, zewnętrznych przeszkód, ciążenia społecznych wyobrażeń o tym, co uchodzi, a co nie uchodzi — przynajmniej jeśli idzie o sprawy osobiste. Bohaterowie, wchodząc w konflikty ze sobą, nie wchodzą w konflikty z konwencjami, ten problem dla nich nie istnieje. Znajdują się w sytuacji moralnie jednoznacznej, w której ich zasadniczych spraw nie zaciemniają zniekształcenia i komplikacje pochodne czy wtórne. Gdy przestają działać konwencje, ob-

naża się istota rzeczy, obnaża się wartość i uprawnienia miłości i szczęścia. W momencie decyzji, jak konflikt rozwiązać, staje przed tym trojgiem pytanie, jaka jest ta wartość i jakie są te uprawnienia „naprawdę".

To ostatnie zdanie brzmi tak, jakby w powieści Kaczyńskiej konflikty bohaterów utrzymane były w wymiarach górnych i ostatecznych. Nie, jest to powieść ściszonej analizy psychologicznej, przejmującej raczej niż niepokojącej, nastawionej w pierwszym rzędzie na dociekliwość poznawczą, nie na pytania moralne. Wynika to w dużej mierze z wyboru momentu, w którym autorka swoich bohaterów pokazuje — w dość długi czas po zasadniczej zmianie ich życia, po ich najważniejszych decyzjach, tak że pytanie o wartości i uprawnienia staje się niejako pytaniem *post factum*, pytaniem w związku z dalszymi konsekwencjami takiego, a nie innego, dokonanego już obrotu sprawy, dalszymi konsekwencjami w ich życiowym przebiegu. Wynika to także z kompozycji powieści, w której akcent przesunięty został z Marka, nosiciela całego konfliktu, na obie kobiety.

Retrospekcje Teresy i Aldony sięgają do źródeł i początków ich aktualnej sytuacji, w ich świadomości przeszłość jest ciągle obecna, zajęta niegdyś w decydujących momentach postawa określa ich oblicze wewnętrzne. Marek jest w powieści nieomal nieobecny, w jego retrospekcjach ani razu nie pojawia się Teresa, nie wybiegają one dalej niż do momentu, w którym w jego życiu wewnętrznym była już tylko Aldona. Dla Marka przeszłość nie istnieje. Wiemy tyle, że ją przekreślił, ale ten fakt nie wyjaśnia w żaden sposób jego oblicza wewnętrznego. Trzeba dodać, że w powieści obiektywny narrator jest pozorny, następujące po sobie fragmenty narracji są zamaskowanymi cytatami świadomości bohaterów, wgląd w ich wnętrze, o ile sami go nie ujawnią, jest niemożliwy. Ujawnienia Marka jego sytuacji wewnętrznej w decydującym dla losu ich trojga (czworga) momencie nie obejmują. Postać Marka jest tak skomponowana, że wszelkie próby rekonstrukcji „od zewnątrz" jego oblicza wewnętrznego pozostawiają w niepewności, czy taką, a nie inną decyzję — przekreślenie przeszłości — podjął dlatego, że był cynicznym łajdakiem (czy kochał kiedykolwiek Teresę, czy też wykorzystywał ją, dopóki mu była potrzebna?), potworem bezmyślności (postępowanie z Piotrusiem), igraszką w ręku przeznaczenia (trochę tak wystylizowane są sceny nad morzem), narzędziem mistycznym w ręku natury (macierzyństwo Aldony), czy zgoła dlatego, że wymagała tego immanentna logika jego rozwoju wewnętrznego, sprawa powikłana i tragiczna?

Z żalem przychodzi stwierdzić, że nie to jest w powieści najważniejsze, że to w powieści w ogóle nie jest ważne. Z żalem, gdyż bohater postawiony w tak świetnej sytuacji, został nie wykorzystany; cała nośność problemowa jego konfliktu, nośność „od wewnątrz", została pominięta, uchylona. Losy postaci zostały w powieści tak ukształtowane, że próby rekonstrukcji oblicza wewnętrznego Marka są dla tej powieści nieistotne, bo jakkolwiekby się przedstawiał psychologiczny przebieg decyzji Marka, całe jej wewnętrzne umotywowanie i moralny osąd, nie zmieniłoby to w niczym skutków tej decyzji dla obu kobiet. A one właśnie interesują Kaczyńską przede wszystkim, akcent położony jest na analizie ich przeżyć psychologicznych. I fakt, że te przeżycia krążą wokół niewiadomej, którą w gruncie rzeczy stanowi Marek, jest obojętny.

Teresa i Aldona. Nieustanna gra napięć. Walka obu z własną małostkowością, tanią satysfakcją, porywami zazdrości; falowanie żalu, goryczy, niechęci i nienawiści; wzajemne niesprawiedliwości. I ciągle porównywanie. I ciągła udręka: Aldony — jak wyglądała przeszłość Marka i Teresy, Teresy — jak wygląda teraźniejszość Marka i Aldony. W nieustającej grze napięć nieszczęście Teresy jest spokojniejsze od szczęścia Aldony. Szczęście Aldony jest niespokojne i niepełne. Jej ostatecznego zespolenia z Markiem, mogącego zrównoważyć wartość i treść związku Marka z Teresą, dokonać mają narodziny dziecka. Ku tej kulminacji zmierza cała opowieść. I kulminację osiąga. Jakie temu subiektywnemu przeżyciu Aldony towarzyszą równolegle zmiany w wielokierunkowej i skomplikowanej grze napięć między wszystkimi osobami dramatu?

Uspokojenie Aldony pozostaje w przejmującym kontraście z obudzeniem się w Teresie niepokojącej nadziei, z wtargnięciem do świadomości

Marka jego przed pięciu laty narodzonego syna, z odkryciem przez Piotrusia ojca. Uspokojeniu Aldony towarzyszy zburzenie względnej równowagi całego dotychczasowego układu. Z jedynego punktu stałej równowagi wytrącony zostaje Marek.

Wtargnięcie głosu Piotrusia do zamkniętego kręgu miłości i szczęścia Marka jest u niego przebłyskiem prawdziwej dojrzałości, będącej od początku udziałem obu kobiet. Stawia przed właściwą osobą pytanie o tej miłości i szczęścia wartość i uprawnienia. Jest początkiem wyzwolenia z sytuacji Marka całej jego, nie mającej dotąd w strukturze powieści miejsca, wewnętrznej nośności problemowej. Lub raczej mogłoby nim być. Bo powieść Kaczyńskiej do końca daje tylko empiryczne przesłanki do narodzin tych nareszcie dojrzałych pytań o nareszcie istotne sprawy. Stwarza tylko pewną atmosferę. Ale jest to atmosfera, w której walkę o prawa miłości przeciw konwencjom zastępuje pytanie o uprawnienia miłości ze względu na szczęście cudze, bunt przeciw obyczajom zastępuje spór o obyczajność. I to jest już duże osiągnięcie.

Danuta Danek

O NARODZINACH BUNTOWNICZOŚCI

Józef Morton: *Wielkie przygody małego ancykrysta*. Warszawa 1959. „Iskry"; str. 270.

Na kilka lat przed wojną do redaktora działu literackiego jednego z dzienników warszawskich zgłosił się młody pisarz, nikomu nie znany. Przyniósł on gruby zeszyt, wypełniony czytelnym, wykaligrafowanym pismem: była to pierwsza jego powieść pt. *Spodziedź*.

Redaktor śpieszył się tego dnia; odcinek dziennika, w którym powieść mogłaby się ukazać, był już zajęty. Zdawało się, że z tej rozmowy niewiele może wyniknąć. Ale nieznajomy nie dawał za wygraną.

— Proszę pana! — powiedział. — Pan m u s i przeczytać moją książkę!

Redaktor zgodził się niezbyt chętnie. Lecz zaledwie wrócił do domu i przewertował pierwsze rozdziały, zainteresował się rękopisem. Gdy skończył, tej samej jeszcze nocy zdał sobie sprawę, że zrobi wszystko, by powieść mogła zostać wydrukowana. Istotnie, odłożono poprzednio zamówione powieści felietonowe. Cztery tygodnie później ukazał się w dzienniku pierwszy odcinek *Spowiedzi* Józefa Mortona. Po pewnym czasie opublikowano książkę.

Czym najbardziej zainteresował ów debiut chłopskiego, nie związanego z żadną grupą pisarza? Autentyzmem opisu, „czystą" i bez patosu opowiedzianą historią chłopca umierającego z głodu i nędzy. Ale równocześnie jakimś akcentem buntowniczości, któremu wrażliwe ucho nie mogło odmówić posłuchu... Po latach, po kilkunastu książkach wydanych przez Mortona, podobny ton, choć w zupełnie innym kontekście, wydaje się sprawą najbardziej uderzającą w ostatniej opowieści tego pisarza, noszącej tytuł: *Wielkie przygody małego ancykrysta*.

Tę młodzieżową (w sensie środowiska, w jakim się rozgrywa) książkę — można nazwać analizą instynktu buntowniczego. *Wielkie przygody* to jakby narodziny nieświadomie kształtującego się ducha negacji. Bohaterem jest chłopak wiejski dwunasto- piętnastoletni, żyjący w epoce międzywojennej. Zaczyna on od różnych drobnych psikusów „chuligańskich". Komuś tam potłucze garnki suszące się na sztachetach, komuś innemu rozbierze strzechę na stodole, jeszcze innemu „rozpęta" konie lub zasmaruje okna błotem. To jeszcze bardzo dziecinne. Ale potem zaczynają się figle zuchwałe: wtargnięcie na teren dworu, nauka brzydkich słów (z przewrotnym wytłumaczeniem ich sensu) na użytek naiwnych paniczów, schowanie ubrania kąpiącemu się w rzece kamerdynerowi... Potem już zaczyna się rozwijać wyobraźnia dziecięca; podsuwa ona pomysły bardziej

skomplikowane, a zarazem wymagające odwagi: wdarcie się nocą do zamkniętej dzwonnicy (przez stojące obok drzewo, co było połączone z ryzykiem), wymknięcie się pogoni, zatarg z nauczycielem, z kościelnym, księdzem i jednym z parafian, wreszcie ucieczka ze wsi, gdzie dla małego anarchisty życie musiało już być zupełnie niemożliwe i groźne. Oczywiście, nie wszystkie pomysły chłopca są bardzo oryginalne, ale nie o to chodzi, chodzi o samą żywiołową żądzę przygód i awantur, figlów coraz śmielszych i coraz bardziej niebezpiecznych, organizowanych w coraz szybszym i coraz bardziej „nieuchronnym" rytmie. Ale z chwilą wydostania się bohatera powieści ze wsi, od rozdziału dziewiątego, ten rytm zaczyna się już komplikować, czy nawet rwać. Przygody, w które zostaje wmieszany „ancykryst", są już wymyślne, czasem sztuczne. Chłopiec napotyka najpierw osobliwego dziada, trochę handlarza sacharyną, a trochę żebraka; wędrują wspólnie, gdyż dziad pragnie sobie z dziecka zrobić niby-przewodnika, gdy ma występować jako ślepiec. Ale malec wyprzedza dość umiarkowane i kompromisowe anarchizowanie dziada; pociągnięty żądzą przygód, a nawet zemsty za cudze i własne krzywdy, organizuje grubsze już figle sekwestratorowi i policjantom (m. in. wrzucenie karabinów do studni). Narażony na pościg, goniony przez całą koalicję przeciwników, mały bohater tej opowieści jest raz na wozie, drugi raz pod wozem (w przenośnym i dosłownym znaczeniu); okup wyznaczony na jego głowę oddaje go na jakiś czas w ręce woźnicy, gotowego go sprzedać za kilkanaście złotych. Już nie tyle spryt i szybka orientacja, co szczęście raz po raz (bo także i w innych wypadkach) uwalnia w ostatniej chwili małego „ancykrysta" (jak część ludności wiejskiej nazywa bohatera utworu). I wreszcie, dość niespodziewanie — osiada on w lesie, w szałasie litościwego gajowego.

Jak widać nie o zasadę prawdopodobieństwa chodziło autorowi tej książki — i nie w tym wymiarze należy oceniać Mortonowską opowieść. Środkiem działania jest tu przede wszystkim pomysłowość wyobraźni. Jak w książkach kryminalnych, „matematyka" przygód musi być w takim utworze wciąż nowa i świeża, a zarazem mieć cechy jakiejś „konstrukcji". Otóż w *Wielkich przygodach małego ancykrysta* wyobraźnia zdaje się — jak wspomniałem — wyczerpywać w miarę rozwoju akcji. Bujna i świeża na początku, wyjaławia się w rozdziałach końcowych, produkuje pomysły dość niemiłe (psikusy z „piwkiem" dla sekwestratorów i policjantów), posługuje się różnymi rodzajami przypadkowości i nieomal „cudowności"; zaczyna nużyć. Wydaje mi się, że gdyby pomysłowość przygód utrzymała się w dalszych rozdziałach na tym samym poziomie, co początkowo, *Wielkie przygody małego ancykrysta* byłyby utworem jeszcze ciekawszym.

Trudno jednak nie dostrzec swoistego talentu w tej książce, wciąż zaskakującej. Wzruszająco zarysowuje się na przykład postać ojca, biednego robotnika rolnego o dużej świeżości uczuć. Jego łagodność, delikatność, przywiązanie do dziecka, a nawet bezradność i smutek mają jakiś zniewalający wdzięk: „Ile razy przeskrobałem coś za bardzo, a ktoś ze wsi naskarżył na mnie przed ojcem, zaraz, ledwo się znalazł w izbie, przywoływał mnie do siebie, obejmował mocno swoimi wychudłymi ramionami i pytał:

— Coś tam zmajstrował? Przyznaj się!

Choć wiedziałem, że nie spotka mnie żadna kara, bo ojciec nigdy mnie jeszcze za nic nie zbił, bałem się mówić prawdę.

— Nic nie powiesz? — pytał ojciec po chwili.

W głosie jego nie było surowości. Była tylko miłość".

Zaciekawia też niespodzianka, jaką zaskakuje w dramatycznej sytuacji stara babka. Drapieżnie, choć szkicowo jest potraktowana postać woźnicy-delatora. Lecz inne figury bywają niedorysowane (dziad, gajowy) albo konwencjonalne (kobieta, której umiera dziecko), albo czysto groteskowe (nauczyciel, kamerdyner ze dworu, egzekutor, organista, kościelny, ksiądz, Kaśka itd.). Zresztą figury te pełnią raczej funkcje „pośrednie": są elementami owego pasma przygód i działań, których doznaje lub które organizuje główny bohater.

Jest on dość samotnym okazem buntowniczości. Wieś go albo demonizuje, nazywa „ancykrystem", albo biernie, czysto pasywnie z nim sympatyzuje. Bo też jego bunt jest osobliwego rodzaju, stanowiąc mieszaninę protestu i gry,

awanturnictwa i potrzeby zapełnienia sobie pustki życia, nadmiaru młodzieńczej siły i bolesnego, choć niejasnego poczucia krzywdy. Od *Spowiedzi* do *Wielkich przygód* droga jest daleka, a jednak jest to podobna droga niepokoju i ujmującej, niczym nie zafałszowanej, szczerości.

Wojciech Natanson

KTO CZYTA RAPORTY?

Władysław Machejek: *Raport nie będzie wysłany*. Warszawa 1959. „Książka i Wiedza"; str. 438.

Muszę przyznać, że nie mogłem się — po przeczytaniu powieści — oprzeć uczuciu podziwu dla autora. Książka o powstaniu leskim jest bez wątpienia odważną propozycją. W okresie poszukiwań, niemocy i zniechęcenia podejmuje ona temat historyczny wielkiego wymiaru, lansuje bohatera, daje własną formułę tragizmu: w ogóle wkracza dość obcesowo na tereny literackie raczej omijane, zaprzecza sceptycyzmowi mówiącemu o wyczerpaniu pewnych konwencji, daje wyraz wierze w żywotność, możliwość i przydatność epoki. Brawo. Nie umiałbym wymienić ani jednego nazwiska w literaturze współczesnej w Polsce, które mogłoby w tym względzie Machejkowi towarzyszyć. Sam pisarz przypomina tu doprawdy swego bohatera: towarzysze z okręgu nie wierzyli w szansę chłopskiego powstania, przestrzegali przed awanturniczym wystąpieniem, aż oto trafił się młody działacz, towarzysz na tyle zawzięty i wierny swej gwieździe, że rozpoczął werbunek i akcję zaczepną na własną rękę. I rzeczywiście udało się, towarzyszom z okręgu wypadło już tylko gratulować, a młody działacz przeżył swój wielki triumf i zarazem moment gorzkiej satysfakcji: „A gdyby się było nie udało? Byłbym postawiony pod ścianę za awanturę, taak, co?"

Czy naprawdę tak bardzo się udało jedno i drugie, będziemy się zaraz zastanawiać, w każdym razie wskazać można pewien moment, w którym ruch zbrojny ogarnął znaczny obszar Beskidu (książce bardzo brakuje mapki orientacyjnej), ustanowił na nim swoją władzę, postawił pod znakiem zapytania siłę i rację polityczną burżuazyjnego rządu. Jest to rok 1932. Tło historyczne powieści narysowane zostało — jak autor daje do zrozumienia — według autentycznych wydarzeń: ludność łemkowska powiatu leskiego sprzeciwiła się w obawie przed pańszczyzną pomysłom ekonomicznym wielkich właścicieli. Bezpośrednim pretekstem stał się projekt „święta pracy", który wyszedł od hrabiego Potockiego i propagowany był na wsiach. Rządy policji i sekwestratora dokonały reszty: oburzeni chłopi chwycili za pałki, kosy i broń palną, tu i ówdzie przechowywaną, i przystąpili do znoszenia posterunków. Powstała sytuacja walki zbrojnej, na czele chłopów stanęli ludzie o pewnym doświadczeniu frontowym, członkowie partii. Po kilkutygodniowych zmaganiach z policją i wojskiem chłopi zostają rozproszeni, częściowo aresztowani, zbuntowane wsie spacyfikowane. Wieś wraca pod znienawidzone rządy granatowej policji i sekwestratora.

Machejek dojrzał w tej historii klasyczny schemat rewolucyjnego zrywu, antagonizm konsekwentnej lewicy i centrystów, etapy wznoszenia się fali, szczytu połączonego z odwetem i klęski. Rozgrywka polityczna wewnątrz kierownictwa trwa bez przerwy, przejawia się poprzez doświadczenia i temperamenty, bezkompromisową odwagę, ofiarność i — z drugiej strony — obawy, sceptycyzm, wreszcie strach przed następstwami. Obraz zmieniających się nastrojów w łonie mas chłopskich a przede wszystkim kierownictwa — to bez wątpienia najsilniejszy nurt książki. Tu autor jest rzeczywiście epicki, budzi zainteresowanie jako malarz chłopskich twarzy, uczuć, charakterów. Istnieją sceny, które budzą pewne reminiscencje z Szołochowem, są zdaje się wyraźnie przez *Cichy Don* inspirowane

i mimo że wszystkie wydarzenia stają się po trochu mikroodbiciem rosyjskiego Października, mają one jednak swój walor dramatyczny. Kiedy na przykład chłopi dokonują sądu nad wójtem i komendantem „Strzelca", czytelnik doświadcza rzetelnych emocji, Machejek nie jest najświetniejszym stylistą, a jednak obrazy jego są plastyczne i mocne. Nie, nie, to nie tylko scena-samograj, jak podpowiada mi druga, sceptyczna dusza. To cały, szeroki nurt powieści z ciekawie i wyraziście zarysowanymi bohaterami: szaleńczo ofiarnym, pełnym sekciarskich odruchów Stefanem, chytrym i rozsądnym Madejem, ograniczonym i okrutnym Bazylim. Nie wiem, czy pisarz współczesny ma w ogóle prawo traktować tak bez ironii, tak realistycznie — całą sprawę, czy wzór Szołochowa nie jest tu stosowany trochę na wyrost. O tym za chwilę, przy rozważaniach teoretycznych. W każdym razie w ramach konwencji stosowanej przez autora są to rzeczy dobrze zrobione.

Bohater ruchu i zarazem nosiciel jego sumienia politycznego, Stefan Bubno, przeżywa równolegle romans z dziewczyną wiejską, uwiedzioną wcześniej przez kochanka i skazaną przez obyczaje wiejskie na pogardę. Stefan miłością swoją i wciągnięciem Łuci do ruchu nobilituje dziewczynę, Łucia pozbywa się poczucia mniejszej wartości, przestaje być „zawytką", powstanie i miłość Stefana niszczy w niej ciemne, chłopskie uprzedzenia. Ale tutaj już konwencja autorska zaczyna przypominać o swojej anachroniczności. Romans Stefana i Łuci jest rodem z pozytywistycznej powieści, miłość jest sielankowa, szczęśliwa, zakończona małżeństwem. Mimo najróżniejszych dramatycznych powikłań nie przestaje być azylem ukojenia. Erotyka u Szołochowa zjawiała się zawsze w atmosferze klęski osobistej, co dawało wrażenie wstrząsające. Machejek bywa jednak poetą, potrzebuje piękna i wprowadza erotykę typu raczej sienkiewiczowskiego, tyle że bardziej pikantną: mówi nie tylko o oczach i ustach, ale także o rękach i nogach. W moim przekonaniu nie wypada już dzisiaj pisarzowi malować miłości tak, jakby nie istniał nigdy Freud. Szołochow wyczuł instynktownie tę sferę konfliktów, u Machejka zaś największym zmartwieniem Stefana jest sytuacja, w której nie można: przed ślubem Łucia nie chce, to znów bohater nie ma czasu, to towarzysze patrzą. Ale to się szybko i dobrze kończy.

Warto byłoby podkreślić tu pewną niekonsekwencję, przewijającą się w całej powieści: erotyka odgrywa nieustannie kolosalną rolę i zawsze jest przedstawiona jako sfera przeżyć dających niezawodną satysfakcję. Różnego typu zresztą: starosta powiatu i jego żona dybią tylko na cudzołóstwo i rozpustę, podobnie jak policjanci, uczestnicy rewolucji są wierni swoim dziewczynom. Ale miłość pełni zawsze rolę swoiście pozytywną, nie kryje w sobie zasadzek, komplikacji, rozczarowań. A zdawać by się mogło, że sytuacja społecznego wrzenia nieuchronnie ujawnić musiałaby jakieś kompleksy.

I tu, poprzez erotykę małżeńską, dochodzimy do postaci czołowego antagonisty Stefana, Jana Kosteckiego, funkcjonariusza policji. Kostecki był niegdyś przyjacielem Stefana, rozdzieliła ich dziewczyna, która wyszła za umiejącego się lepiej urządzić policjanta, teraz dawni przyjaciele są śmiertelnymi wrogami. Kostecki jest poza tym małym Wallenrodem, służy w policji i wmawia sobie ciągle, że pomaga w ten sposób chłopom i lewicowcom, że uprzedza represje, opóźnia pościgi itp. Oczywiście tłumaczenie to jest tylko uspokajaniem naruszonego sumienia — czytelnik nie ma wątpliwości co do winy Kosteckiego. W ogóle postać ta należy do udanych w powieści, zwłaszcza monolog wewnętrzny policjanta tłumaczącego sobie ciągle konieczność stosowania represji wypadł przekonywająco. Aż do momentu, w którym Kostecki zaczyna brać udział w rozgrywkach personalnych wewnątrz leskiego starostwa. Negatywny bohater przegrywa, bo chce awansować w najszerszym tego słowa znaczeniu, chce wspiąć się po „schodach", dlatego demoralizuje się, dlatego zdradza go żona. I tutaj schematyczna równoległość: rewolucjonista Stefan spotyka dziewczynę szlachetną i wierną, która daje mu szczęście — oportunista Kostecki żeni się z ognistą i piękną Nacią, która go w końcu haniebnie zdradza. Erotyka nie jest — jak wiemy — sferą podporządkowaną społecznym prawidłowościom i taki finał obu wątków budzi duże zastrzeżenia. Ale wiąże się on z pewną sprawą ogólniejszą: sposobem widzenia wrogów rewolucji.

Machejek bywa w powieści spostrzegawczym i bezlitośnie obiektywnym narratorem, ale w pewnych momentach budzi się w nim żywiołowo sojusznik ruchu chłopskiego i wtedy pióro epika zamienia się momentalnie w ołówek rozgniewanego oskarżyciela. Opisując chłopów, stosuje konwencję „drapieżną", jego bohaterowie są chciwi, chytrzy, zawistni, wściekli, okrutni itp. Kiedy zaś na scenę wkraczają przedstawiciele strony burżuazyjnej, obiektywna „drapieżność" zmienia się we wściekłą zajadłość, rysunki bohaterów negatywnych nabierają wbrew zamierzeniom cech groteskowych. Ci gadają między sobą tylko o wskazaniach marszałka, rozkazach wojewody i rozpuście. Rządzi nimi wyłącznie obłuda, pochlebstwo, pragnienie kariery, cielesne pożądanie. Jan Kostecki, dopóki ma do czynienia z komunistami, jest tchórzliwym, niemniej skomplikowanym człowiekiem. Kiedy siada przy stoliku starosty i komisarza, głupieje od razu, drży ze strachu, czeka na rozkazy, przestaje myśleć i zaczyna zachowywać się jak tępa kłoda. Tu Machejek ponownie rozbija przyjętą konwencję epickiego malowidła, stosuje na użytek jednej strony zasadę bezwzględnego demaskowania, niemal schematu. Wzbudza to nawet zastrzeżenia. W okresie powieści schematycznej udawały się na ogół portrety postaci negatywnych, natomiast bohaterowie pozytywni wypadali z reguły blado. W powieści o powstaniu leskim jest akurat odwrotnie, co tłumaczy się chyba koniecznością rozkładu akcentów. Oskarżenie stało się być może silniejsze, ale powieść na tym bezsprzecznie traci.

Jak widać, autor niezbyt konsekwentnie trzymał się, widocznej w ogólnej konstrukcji, konwencji epickiej. Poszczególne sfery zagadnień ujawniały jakieś inne, nieepickie źródła inspiracji, co było chyba do uniknięcia. Ale najbardziej interesujące byłoby chyba pytanie inne, odnoszące się do nadrzędnej koncepcji powieści. W jakiej mianowicie mierze epickość jako styl była w ogóle przydatna, czy możliwa była do konsekwentnego utrzymania i jakie przyniosła rezultaty? Innymi słowy, czy wybrana tradycja literacka odpowiadała treściom, które miały zostać przedstawione? Jest to sprawa najmniej może ważna w recenzji, ale ponieważ autor zademonstrował w tym względzie pewną odwagę, należy mu się i tu odpowiedź.

Otóż zdaje mi się, że bogate malowidło Machejka działa trochę mistyfikująco. Czytelnik w pewnym momencie traci rozeznanie wymiaru i znaczenia sprawy, wyobraża sobie, że Bóg wie co się w powiecie leskim rozstrzygało i jakie konsekwencje mogło przynieść. A tymczasem historia mówi nam, że rację miał towarzysz Arnold, który od początku sprzeciwiał się powstańczym manifestom, gdyż wiedział, że powiat leski należy w Polsce do najbiedniejszych i najsłabiej zaludnionych i taki powiat nie może zainicjować poważniejszego ruchu. Wiedział po prostu, że istnieje historia na serio, która rozstrzyga się gdzie indziej i w inny sposób i że z tamtej „stołecznej" perspektywy powstanie leskie jest tylko skromnym epizodem, że chłopska krew przelana gdzieś przez głupawych posterunkowych ma nikłe, bardzo nikłe znaczenie na szali europejskiej polityki. Któż zechciałby na serio pomagać wówczas biednym i rozjuszonym chłopom, któż się ich znowu tak bardzo boi? Całe zagadnienie nie przekracza granic powiatu i pojawiający się w limuzynie wicewojewoda wkracza na scenę w atmosferze zgoła monarszej: proszę, proszę, sam pan wicewojewoda przyjechał. Jaki to ja sukces odniosłem — może sobie powiedzieć ambitny Stefan Bubno.

Tej powiatowej atmosfery autor powieści zupełnie nie zaznacza. Wprowadza obrazy typu Szołochowa. Ależ, na Boga, w książce Szołochowa rozstrzyga się niemal istnienie świata! Nie można przywódców rebelii, która znosi dwa wiejskie posterunki, kreować na wodzów ruchu chłopskiego i dawać im rysów epickich. Rzecz prosi się o ironię, o dystans, o litość wreszcie, o te wszystkie estetyczne kategorie, które pozwalają czytelnikowi zrozumieć wymiar, znaczenie i w związku z tym szczególny tragizm sprawy. Tragizm naiwnego buntu, klęskę ludzi odważnych i szlachetnych, ale ludzi, którzy naprawdę zapomnieli, w jakim świecie żyją. Tę naiwność, tę prowincjonalność trzeba było pokazać. I dlatego właśnie konwencja epicka typu Szołochowa nie jest tu na miejscu, dlatego robi tu ona wrażenie anachroniczne. Rozumiem solidarność, która każe rzecz podnieść do rangi typowości, ale nie rozumiem am-

bicji, która drobiazgom pragnie dać rysy monumentalne. I zdaje mi się, że to jest istotny punkt odniesienia, jedyne uchwytne i racjonalnie uzasadnione kryterium.

Włodzimierz Maciąg

OPORTUNIZM PRAKTYCZNY I TUPET BEZ SKRUPUŁÓW

Stenogramy Anny Jambor: Start w Warszawie. Tom II. Warszawa 1959. „Iskry"; str. 683.

Kto by mniemał, że te stenogramy pisała niewiasta — dozna zawodu. Są to zapiski pamiętnikarskie niby dobrze ułożonej panienki, a autorem okazał się... dyrektor różnych przedsiębiorstw pomorskich, wielkopolskich, aktualnie buchalter, ob. Kazimierz Bieroński. Zapiski te przynoszą niewiele materiału literackiego w ścisłym słowa rozumieniu. Obyczajowego natomiast — bagaż bardzo pojemny. Handlowo-kupieckiego o szczególnym zabarwieniu i specjalnej wadze łupieżczo-kombinacyjnej aż za dużo. Po prostu nie chce się wierzyć, że w suwerennym państwie rzeczy takie były możliwe! Tupet bez skrupułów omijał prawo i dobre zwyczaje kupieckie, a procenciki, prezenty, ordynarne łapówki tuszowały parszywe afery. Anna Jambor, magister nauk ekonomicznych uniwersytetu poznańskiego, radca ministerstwa skarbu i ministerstwa przemysłu i handlu, pochodziła ze starej niemieckiej rodziny von Jamborgów. Rodzina ta częściowo tylko spolszczyła się. W Polsce było wielkie pole do różnych kupieckich, rolniczych, rzemieślniczych, kombinatorskich inicjatyw. W Polsce łatali swoje fortuny pruscy generałowie, ich wnuki i prawnuki. Oportunizm ich nie przebierał w środkach: w Prusach, w Gdańsku byli wyznawcami hitleryzmu, a u nas trzymali zawsze z tymi, co mają władzę. Anna Jambor urzędowała w ministerstwach warszawskich, a brat jej Hans (studia w Anglii) od r. 1933 pracował w służbie dyplomatycznej III Rzeszy w Waszyngtonie i Argentynie.

Jest ciekawe, że tego rodzaju fakty mogły się dziać, nie budząc moralnego protestu. Czyżby pieniądz wszystko rozgrzeszał? Lakiery francuskie, dostawy demobilu wojskowego, leśno-drzewne kalkulacje o międzynarodowym zasięgu, sklepy bławatne, domy czynszowe, wille szwajcarskie — to wcale nie wyczerpująca lista „praktycznego oportunizmu" Anny Jambor vel Jamborg und zu Hermsdorf. W każdym państwie europejskim, a nawet w Stanach Zjednoczonych, znajduje się wujek, stryjek, dziadek, kuzynek, gotowy w każdej chwili, przez banki lub osobiście zarabiać na polskim drewnie lub innym surowcu czy produkcie pochodzącym z naszych obszarów. Anna Jambor nie żywi żadnych skrupułów. Jest po prostu... agentem warszawskim rodzinnej kabały handlarsko-kombinatorskiej, za co otrzymuje ciepłą rączką i przez banki różne świadczenia.

Zwraca uwagę wszystko, co dotyczy obyczajów Anny Jambor. Unika ona małżeństwa, bo mężczyzn może mieć więcej, niż jest to jej potrzebne. Kazimierz Bieroński obdarza ją cechami bardzo charakterystycznymi, niby dla kobiecości, lecz mentalność tej panny jest raczej inna, wymyślona przez autora. Gadatliwość to nie tylko cecha kobieca! 680 stronic tego pamiętnika nie rozgrzesza chyba ani nie uzasadnia, a powtarzanie różnych bajd, plotek kawiarnianych i brydżowych nie może dostarczyć jakichś realiów, jakichś faktów o znaczeniu ogólniejszym. Nawet wyjazd z Włoch na statku „Piłsudski" w pierwszą podróż czy pierwszą wycieczkę rozrywkową nie daje nic. Uprzywilejowani współwycieczkowicze Anny Jambor, wszyscy bez wyjątku, upijali się jak wieprze, nie zwracając uwagi ani na morze, ani na mijane porty, lądy, szukając głównie wzruszeń erotycznych. Anna Jambor „kobiecym" swoim piórem „dyskretnie" stwierdza: to był burdel, a nie wycieczka inteligencji polskiej, uprzywilejowanej, bo pasażerowie pochodzili ze sfer prorządowych, sanacyjnych, słowem wstyd

i nic więcej! Załoga statku była przez pasażerów specjalnie wynagradzana za „zarzyganie", ale przecież i to nie jest ekwiwalent moralny.

Stenogramy Anny Jambor, jako książka... sensacyjna, zostały rozchytane przez czytelników. Dyrektor i prezes, Kazimierz Bieroński, nie omylił się, dał materiał „chodliwy". Czy jednak niezbędny, potrzebny dla masowego czytelnika? Oszczędzamy na wydawnictwach, gdyż musimy się zamykać w ramach naszych zasobów papierowych. A jednak wciąż nie dotyczy to kryminałów i tym podobnych sensacji. Autor zapowiada kilka nowych opowiadań czy publikacji. Nie jest moją sprawą sądzić o pomysłach „praktycznego" sześćdziesięcioletniego miłośnika literatury, chwytającego się pióra w celu urozmaicenia sobie pracy buchaltera.

Anna Jambor — to na pewno nie jest literatura. A więc co? Na str. 95 poucza czytelnika 24-letnia panna i magister równocześnie: „Na co komu potrzebne jest państwo? Chyba tylko dla polityków, którzy w ten sposób stwarzają sobie warunki do egzystowania dla samych siebie! Kiedyś w przyszłości to wszystko znudzi się ludziom i wówczas przepędzą na cztery wiatry polityków i generałów". Sic!

Można by takich kwiatków wynotować kilka stronic. Nie będziemy tego czynić. Autor-buchalter jest w porządku: chce swoje stenogramy sprzedać. Nie znaczy to wcale, żeby były niezbędne dla czytelników.

Eustachy Czekalski

TECHNIKA I HUMANIZM

Powiadają, że nasze czasy są czasami specjalizacji. Dawno już podobno minęła epoka *homo universalis*, który w wiedzy swej i w swej myśli mógł połączyć wszystko, co stworzyła odkrywczość ludzka, zarówno w dziedzinie techniki, jak i humanistyki. Dziś ciasna specjalizacja odrywa poszczególne dziedziny od ogólnej masy ludzkich osiągnięć. Technika oddziela się od humanistyki.

W przeciągu mojego życia spotkałem kilku bardzo wielkich uczonych. Nigdy nie zapomnę wykładów Ludwika Wertensteina dotyczących teorii fizyki. Wykłady te odbywały się w epoce grozy i zdziczenia, w beznadziejnej sytuacji lat 40—41 bieżącego wieku. Dla garstki zebranych w leśnym ukryciu ludzi — ten wspaniały uczony roztaczał skarby swej wiedzy, wskazując na sprawy nieprzemijające. I nie wiem, co bardziej trzeba było tu podziwiać, czy jego wiedzę, czy jego ludzką postawę — prawie heroiczną — którą mu pomagało osiągnąć tak wysokie mniemanie o powinności człowieka.

Inny wielki uczony, Fryderyk Joliot-Curie, zdradzał swą ukochaną naukę, w której tyle miał do powiedzenia, dla walki, którą uważał za słuszną i którą postawił na pierwszym planie ostatnich lat swego życia, walki o pokój. Ten tylko, kto z nim mógł rozmawiać przez parę godzin, pojmował, czym może być wielki i ścisły umysł, ozdobiony przymiotami wykształconego i światłego humanisty.

Przykłady takich ludzi świadczą jednak o tym, że może istnieć jeszcze w naszych czasach *homo universalis* i że istnienie takich ludzi wzbogaca nasz świat oschły i ubogi w sposób mogący pogodzić nas nawet z rzeczywistością.

To jednak są wielcy uczeni, teoretycy. A technicy?

Niedawno słyszałem w Genewie wykład znanego uczonego niemieckiego, fizyka. Oczyszczał on gwałtownie wszystkich teoretyków od zarzutów działania na szkodę ludzkości i składał winę za wszystkie zgubne dla świata aplikacje wielkich osiągnięć teoretycznych — na techników. Im przypisywał wszystko, co zdaje się zagrażać dzisiejszemu światu.

Myślę, że częściowo miał rację.

Wiele się teraz mówi o rozwoju techniki, o potrzebie technizacji działalności uczonych, o politechnizacji nauki, poczynając od szkół podstawowych. Tylko ślepy i głuchy mógłby zaprzeczać tej konieczności w naszym nowym, wspaniałym świecie. Ale chciałoby się jednak, aby ci, którzy na wykształcenie techniczne tak słuszne kładą akcenty — pomyśleli także o harmonijnym rozwoju człowieka, o możliwości tworzenia typu *homo universalis*, których piękne przykłady dane mi było oglądać.

Zwłaszcza pewien lęk mnie ogarnia, gdy pomyślę sobie o „technizacji" w naszej drogiej ojczyźnie, gdzie tak się lubi przeginać pałkę. Widzę już oczyma wyobraźni „politechniczne" abecadło, „politechniczne" bajeczki dla starszych dzieci i „politechniczne" produkcyjniaki.

W ostatnich czasach zetknąłem się w różnych artykułach z postacią zwariowanego technika, promotora silnika odrzutowego, znakomitego uczonego

radzieckiego, Konstantina Edwardowicza Ciołkowskiego. Chyba to już nie jest czysty teoretyk — ale technik także. Cóż to za wspaniała osobowość: technik zhumanizowany, pełny, piękny człowiek — z tą odrobiną szaleństwa, jakiej nie może być pozbawiony żaden geniusz.

Czy wykształcenie politechniczne nie podbite głębokim, mądrym prądem humanizmu da dla ludzkości należyte rezultaty? Czy zapewni człowiekowi przyszłości konieczną równowagę? Śmiem wątpić. I chciałoby się, wskazując właśnie na Ciołkowskiego, zaopatrzyć naszych uczniów czarnoksiężnika w piękną humanistyczną formułę, pozwalającą zapędzić do worka Pandory wszystkie groźne i straszne duchy.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

„Uczonych i pisarzy od dość dawna zdaje się fascynować niezwykła historia społeczeństwa, które, zaplątane w najbardziej dramatyczne wydarzenia dziejowe, bądź to wykupuje się z opresji ofiarą swoich młodzianków, bądź też zachowuje postawę na poły infantylną, żadną miarą nie mogąc się zdobyć na dojrzałość w kierowaniu swym losem." Oczywiście chodzi o polskich „uczonych i pisarzy", o „niezwykłą historię" polskiego społeczeństwa, której Krzysztof T. Toeplitz poświęcił obszerny, dwadzieścia jeden stron *Dialogu* (czyli czterdzieści dwie szpalty) liczący esej pt. *Święci młodziankowie*. Oryginalną swą tezę o polskiej niedojrzałości wywodzi pisarz aż od Jana Chryzostoma Paska, którego wspiera Sienkiewiczem, Gąsiorowskim i Przyborowskim, a także odległymi wspomnieniami z gimnazjalnych czytanek. „Wysyłanie swoich dzieci na wojnę staje się ulubionym zajęciem i marzeniem rodziców" — pisze dowcipnie publicysta, przywołując sobie do pomocy oczywiście Boya, którego nie bez głębokiej racji nazywa „przedstawicielem postawy racjonalistycznej". Fascynacja młodością, zauważa dalej, towarzyszy w kulturze polskiej specyficznemu patriarchalizmowi, to znaczy zaciera konflikty pokoleń: „»Synkowie« są najlepszym, najwrażliwszym i najbardziej przeto godnym wcieleniem tej samej tradycji, której hołdują »ojcowie«, przekazujący ją swym latorośłom. Ojcowie podziwiają swych potomków itd." Dopiero „ostatnie dwudziestolecie przyniosło koniec tej sielanki" — stwierdza gorzko autor i nie można mieć do niego pretensji, że u Paska, Sienkiewicza, Gąsiorowskiego, Przyborowskiego oraz w gimnazjalnych czytankach *Mówią wieki* nie wyczytał nic o Mochnackim i Lelewelu, o „Honoratce", o Goszczyńskim, o walce stronnictw, która zawsze wyprzedzała wszystkie powstania, towarzyszyła powstaniom i toczyła się po ich upadku, i o tym, że podział na stronnictwa zwykle pokrywał się z podziałem na pokolenia, że tak było nie tylko podczas powstania listopadowego, ale także w roku 1846 i 1848, w 1863 i później, w latach pozytywizmu, w latach poprzedzających rok 1905, rok 1914 i podczas Wielkiej Wojny, i że „ostatnie dwudziestolecie" nie przynosi końca sielanki (czy też raczej sielance), gdyż żadnej sielanki nie było, gdyż wyobraził ją sobie tylko mały Krzyś, wychowany na powieściach historycznych dla młodzieży, od których przeszedł zbyt raptownie do lektury Dygata i Czeszki, i że ostatnia wojna nie „postawiła tu niewątpliwej cezury", ponieważ ostry konflikt pokoleń nie jest niczym nowym w polskiej historii i polskiej kulturze, ale, przeciwnie, stanowi jej najżywotniejszą tradycję, decyduje o jej dynamice.

W dalszym ciągu swych wywodów znęca się Krzysztof T. Toeplitz nad polskim narodem przy pomocy streszczania powieści i filmów, z którymi zapoznał się w ciągu dziesięciu lat swej działalności krytycznej. *Popiół i diament* Andrzejewskiego, *Pokolenie* Czeszki, *Pożegnania* i *Jezioro Bodeńskie*

Stanisława Dygata pomagają mu przezwyciężyć irracjonalną mitologię, którą w duszy jego posiała lektura Gąsiorowskiego. Książki Mariana Brandysa, Stanisława Zielińskiego oraz Jerzego S. Stawińskiego prowadzą go do źródeł nowego, a raczej pierwszego prawdziwego konfliktu pokoleń, który, według naszego krytyka, uczącego się historii Polski z lektury powieści i oglądania filmów, wybuchnął w oflagach po powstaniu warszawskim. Tragiczny ten konflikt, w którym „chodziło tylko o obyczaje i o pięć lat doświadczenia wojennego — to znaczy o wszystko", miał swoje przedłużenia powojenne, jak o tym świadczy *Zielona gęś* Gałczyńskiego („co celnie wydobywa w swej monografii Stawar"), wspomniany Jerzy Andrzejewski w *Popiele i diamencie* oraz Tadeusz Konwicki we *Władzy*. Zaraz na następnej szpalcie Krzysztof T. Toeplitz stwierdza, że jednak był to konflikt nie tylko obyczajowy (musi o tym przekonać tylko siebie), lecz „nosił również cechy polityczne", że najważniejszą ewolucją, jaka zaszła w środowisku młodzieży, była ewolucja na lewo, przez co bunt pokolenia zyskiwał sens „polityczny i światopoglądowy". A więc nareszcie, po wiekach udzielnej władzy, jaką nad młodzieżą polską sprawował porucznik Florian Gotartowski z *Huraganu*, imć pan Kmicic i inni bohaterowie z dziecinnej biblioteczki Krzysia, teraz, dzięki socjalistycznej rewolucji, pisarze tacy, jak (wyliczam za Toeplitzem) Woroszylski, Braun, Gruszczyński, Konwicki, wszczęli prawdziwy konflikt pokoleń, jeszcze prawdziwszy od tego, który opisał Stawiński i ukazał Munk; Tadeusz Borowski był tu natchnieniem, a Kazimierz Brandys monografem (Toeplitz ma na myśli *Obronę Grenady* i *Matkę Królów*, które to utwory nauczyły go rozeznawać się w trudnej problematyce naszych dni). A jednocześnie narasta poważny problem moralny młodzieży nieco wykolejonej, ważki i nabrzmiały problem, który podsunęła Toeplitzowi znana powieść Kazimierza Koźniewskiego pt. *Piątka z ulicy Barskiej* oraz jej filmowa wersja. Sporo także nauczył się publicysta z publikowanego na łamach *Nowej Kultury* pamiętnika uczennicy. Ten ostatni dokument rozpoczyna proces, który Toeplitz nazywa „buntem młodzianków". Rozpatrując to ostatnie zjawisko, Toeplitz zmienia radykalnie metodę. O ile dotąd wnioskował o historii i o życiu na podstawie literatury, teraz zaczyna postępować odwrotnie. O ile nie miał wątpliwości, iż prawdziwy jest obraz historii Polski w powieściach Gąsiorowskiego, Przyborowskiego i Sienkiewicza, w utworach obydwu Brandysów, Konwickiego, Czeszki i Stawińskiego, a także w niektórych ówczesnych filmach Forda, o tyle obecnie zarzuca utworom Hłaski, Brylla, Grochowiaka, artykułom Bratkowskiego i Manturzewskiego, teatrzykom studenckim, a także filmom takim, jak *Lunatycy*, *Niewinni czarodzieje* i in. (wspomina także o niektórych dziełach kinematografii zachodniej, które podjęły podobny problem), że zmitologizowały, zmistyfikowały, wykołysały, rozdmuchały problematykę „zagadkowej młodzieży". Podłożem owego mitu była szczególna atmosfera polityczna, związana z „odrzuceniem kultu jednostki". W atmosferze tej powstał jak gdyby „kompleks winy starszego pokolenia wobec młodzieży". Kompleks ten połączył się z tradycyjnym mitem niewinnych młodzianków, który, jak już wyżej Toeplitz dowiódł, od wieków pokutuje w narodowej świadomości. W ten sposób powstały warunki dla owej szczególnej egzaltacji, z jaką w ciągu ostatnich pięciu lat traktowano u nas problem młodzieży. Gloryfikowano jej nudę, nieróbstwo i cynizm, kreowano jej bohaterów (Toeplitz analizuje szczegółowo karierę Hłaski, którego opowiadania uważa krytyk za „grzeczne" i „konwencjonalne"). Toeplitz podkreśla rolę erotyki, która w twórczości młodych przybrała postać cyniczną i brutalną. Uwagi Toeplitza na ten temat są tak wnikliwe, że warto je zacytować w całości: „Ze świadectw nowoczesnej psychologii i psychoanalizy wynika, że ogromny procent wtajemniczeń seksualnych przynosi bądź rozczarowanie, bądź też staje u źródła zawiłych kompleksów. Jest to zrozumiałe jako wynik zderzenia romantycznych i idealnych wyobrażeń o miłości, jakimi zazwyczaj karmi się młodzież, z rzeczywistością. Jeśli Irena Krzywicka *(sic!)* nie bez racji napisała w jednym ze swoich artykułów, że miłość, jak każda sztuka, wymaga zarówno uzdolnień, jak i umiejętności, nie możemy się dziwić, że początki tej sztuki są tak samo uciążliwe i trudne, jak każdej innej". Istotnie, nie możemy się dzi-

wić, jest to tak proste, że człowiek baranieje. Zwłaszcza gdy się te okrycia Ireny Krzywickiej i Krzysztofa Toeplitza przeniesie na teren literatury: „Tym należy tłumaczyć fakt, że opisy przygód i uniesień miłosnych w utworach pisarzy młodych są zazwyczaj gorzkie, bolesne i napiętnowane cierpieniem, niekiedy nawet brutalne, natomiast pogodne świadectwa tych spraw pozostawiają z reguły pisarze dojrzali, zdolni wznieść się do poziomu wykwintnej sublimacji, jak Romain Rolland w *Colas Breugnon* czy Anatole France w *Zbrodni Sylwestra Bonnard.*" No tak.

No tak. Ale co dalej — jak pyta w takich wypadkach Artur Międzyrzecki. Toeplitz już właściwie wszystko załatwił. Kiedy człowiek otrzyma taki lewy prosty, nieprędko zaczyna myśleć. Toteż już bez protestu przyjmuje się dalsze twierdzenia Toeplitza, wśród których miejsce kluczowe zajmuje zdanie, iż cała ta zagadka generacji, rozdmuchana przez „ojców" obciążonych kompleksem winy, zdyskontowana przez pisarzy i twórców filmowych, którzy znaleźli w niej pewien klimacik odpowiadający ich snobizmowi, że cała ta więc „zagadka generacji sprowadzona zostaje — pisze Toeplitz na zakończenie — do wymiarów trywialnego snobizmu i prowincjonalnego kompleksu".

Zdaje mi się, że o to chodziło Toeplitzowi, że po to tylko zapełnił dwadzieścia jeden stron (czyli czterdzieści dwie szpalty) pożytecznego skądinąd i świetnie redagowanego miesięcznika. Zresztą jest mi dość obojętne, o co chodziło Toeplitzowi. Uwikłany w jego logikę, już prawie zapomniałem, o co chodziło mnie samemu, gdy zabierałem się do streszczania jego artykułu. Wydaje mi się, że chciałem wykazać mu jakiś błąd metodologiczny, że chciałem przestrzec go przed wnioskowaniem o rzeczywistości na podstawie literatury oraz przed wnioskowaniem o literaturze na podstawie rzeczywistości. Chciałem też zwrócić mu uwagę, iż niedopuszczalne jest łączenie obydwu chwytów w tym samym artykule, iż autor, który tak czyni, popełnia klasyczny błąd logiczny, zwany „błędnym kołem". Chciałem dalej uprzytomnić Toeplitzowi, że zmiany w rzeczywistości nie są jedynym źródłem przemian w literaturze, że „odbija" ona nie tylko rzeczywistość, ale siebie samą, że kształtują ją nie tylko reakcje intelektualne, ideowe czy emocjonalne, których źródłem są aktualna historia, aktualne wydarzenia, aktualny nastrój, ale także reakcje estetyczne, których źródłem jest wyczerpywanie się środków artystycznych, przemiany gustu i wrażliwości. Inaczej mówiąc, romantyzm rozwinął się nie tylko dlatego, że zjawił się i upadł Napoleon, że prymat społeczny objęło wzbogacone mieszczaństwo, że policja Świętego Przymierza stanęła na straży myśli i obyczajów. Romantyzm rozwinął się także dlatego, że wyczerpał się klasycyzm, że w ramach klasycyzmu zostało już powiedziane wszystko. Taki, a nie inny obraz rzeczywistości w literaturze dowodzi nie tyle tego, iż rzeczywistość jest właśnie taka — dowodzi przede wszystkim, że literatura w ten sposób właśnie chce tę rzeczywistość widzieć. Ma to swoje skutki społeczne, zwłaszcza wtedy, gdy styl literatury przyjmie się w tak szerokim sensie, jak np. styl romantyczny. Ale wygląda to różnie: wiadomo przecież, że styl romantyczny spopularyzował się w Polsce naprawdę dopiero wtedy, gdy literatura romantyczna już dogorywała. Częstokroć zaś literackie przemiany pozostają zupełnie niepopularne, dotyczą wyłącznie samej literatury, oddziaływują tylko na koła artystyczno-intelektualne. Poza tym są tu zjawiska równoległe: problematyce intelektualno-artystycznej, która rozgrywa się w bezpośrednim kręgu literatury, towarzyszy jakieś zjawisko masowe, które jest podobne co do genezy, zgoła różne co do treści. Proces, który dotyczy tego samego pokolenia, realizuje się inaczej na płaszczyźnie literacko-artystycznej, inaczej na gruncie np. nauki, inaczej zgoła na płaszczyźnie moralno-obyczajowej. Różnie wygląda on także w poszczególnych warstwach społecznych i w poszczególnych środowiskach. Czy istnieje intelektualna problematyka nowego pokolenia? Toeplitz, sprowadzając ją do wymiarów „trywialnego snobizmu i prowincjonalnego kompleksu", sprowadza ją po prostu do tych zjawisk, które zachodzą wśród lumpenproletariatu i drobnomieszczaństwa. Sprowadza ją do zjawisk socjologicznych, które stały się częstym tematem utworów literackich i filmów. Jednakże ten wymiar sprawy świadczy

wyłącznie o tych utworach: o ich szczególnej tendencyjności czy też o ich ograniczeniu, o niczym więcej. I nie miałbym nic przeciwko krytycznej polemice z tymi utworami, gdyby nie to, że Toeplitz popełnia przy tym szczególne fałszerstwo: zamienia przedmiot sprawy, zamazuje granice między literaturą a życiem, literaturą a historią, literaturą a świadomością zbiorową, procesem literackim a procesem społecznym.

Czyżby po prostu nie rozróżniał? Jestem tego pewien. I właśnie jedynym powodem, dla którego pozwoliłem sobie na tym miejscu zreferować ten monstre-felieton, jest jego przydatność dla wykazania żałosnej ciasnoty myślowej, właściwej pisarzom, którzy świat poznają za pośrednictwem literatury.

I to drugorzędnej. Ale to już jest prywatna sprawa Krzysztofa T. Toeplitza.

Andrzej Kijowski

UWAGI O POEZJI WIKTORA GOMULICKIEGO

Wiktor Gomulicki należy do tych poetów polskich, których brak w literaturze odczulibyśmy z pewnością, lecz którego obecność wciąż nie dość się zauważa.

Czas debiutu Gomulickiego nie był szczęśliwy. Po pierwsze dlatego, że w cztery lata po wybuchu powstania styczniowego, a w trzy po jego krwawej klęsce, w owym roku 1867, gdy młody Gomulicki zamieścił swój pierwszy wiersz w warszawskim *Tygodniku Ilustrowanym*, poezja, rzekoma współwinowajczyni zbrojnego ruchu, a więc pośrednio i sprawczyni owej nocy, co zapadła nad krajem w wyniku upadku powstania, nie była mile w społeczeństwie widziana. Czadom romantycznym przypisywano mylne wyliczenia polityków, a romantyczne czady w Polsce nieodmiennie z poezją się łączą.

Po drugie, stawiano poezji z tych samych racji ogromne wymagania. Domagano się od niej trzeźwego rozsądku, bezpośredniej służebności na rzecz potrzeb kraju. Piętnowano bezinteresowność poetów, owego zastępu „czułych śpiewaków gila i makolągwy", i czyniono to nie bez racji o tyle, że poezja owych Florianów, Adel, Emilii i Jaskółek, licznie zapełniających szpalty czasopism, była wtórna, martwa i nic wspólnego nie miała ani z krajem, w którym powstawała, ani z miastem, po którego tragicznym, szarym bruku chodzili domorośli poeci i ich niezadowoleni czytelnicy, ani wreszcie z wysokim mniemaniem o doniosłości i godności słowa, jakie tradycyjnie tutaj się utarło.

Pierwszy zbiór wierszy dwudziestopięcioletniego Wiktora Gomulickiego, wydany w r. 1873, został z gwałtowną nieprzychylnością oceniony przez Antoniego Pileckiego na łamach organu młodej prasy ówczesnej, *Przeglądu Tygodniowego*. Anonimowy ów recenzent, również parający się rymem, odzwierciedlał najpewniej ogólny wówczas stosunek młodej generacji literackiej do poezji. Walery Przyborowski w wiele lat później opisując owe lata warszawskiej literatury w swojej *Starej i młodej prasie*, oddając co należy „pierwszorzędnemu talentowi" Gomulickiego, powiada: „Wśród wzrastającej liczby współpracowników *Przeglądu* znalazł się w r. 1868 Wiktor Gomulicki, poeta, który z czasem tak wydatne miał zająć stanowisko na Parnasie ojczystym... Jest to przede wszystkim artysta lubujący się w kolorycie... Już wtedy, gdy był jeszcze młodym chłopcem i stawiał pierwsze kroki w swym zawodzie, przebijał w nim ten artyzm i zajmował go wyłącznie". I dalej snuje Przyborowski, świadomy uczestnik wielkiego ruchu literacko-społecznego, u którego podwalin leżą pierwociny publicystyczno-literackie młodych naówczas współpracowników *Przeglądu*, myśli o poezji Wiktora Gomulickiego, wskazując, że poeta ów był obojętny na sprawy społeczne i polityczne, że nie miał dość zainteresowania dla problemów przyszłości kraju etc. Zarzuca mu obojętność „na

sprawy najserdeczniejsze", co oczywiście pozostaje w jawnej sprzeczności z tematyczną choćby zawartością wszystkich tomów poezji Gomulickiego, a także z jego świetną działalnością na polu historyczno-literackim czy też w dziedzinie tak oczywiście niebezinteresownej, jak prace o przeszłości Warszawy.

W późniejszym okresie poezje Wiktora Gomulickiego opatrzono, bez jakichkolwiek zasadnych podstaw, etykietą parnasizmu. Dla pokolenia Młodej Polski, dla jej krytyków, ład i porządek tych wierszy, potoczność i czystość mowy, miłość, z jaką poeta kreślił obrazy i barwy życia, ów spokój apolliński tak sprzeczny z dionizyjskim nurtem modernistycznej poezji — wszystko to, dodając kunsztowną umiejętność osadzania poetyckich obrazów w konkretnej rzeczywistości miasta, pejzażu, osób i rzeczy, pasowało Gomulickiego na parnasistę.

W istocie Parnas polski, jako odpowiednik francuskich „*parnassiens*", nigdy nie istniał. Parnasizm, czyli obojętność wobec życia, swoistego rodzaju aleksandrynizm, nigdy nie był udziałem polskich poetów. Formalny kunszt Gomulickiego nie upoważnia bynajmniej do użycia takiej nomenklatury. Gomulicki, fałszywie oceniony przez rówieśników piórem Pilickiego czy później Przyborowskiego, mylnie określony przez kolejną epokę literacką, dziś dopiero, po latach, które dodały urody wielu jego wierszom lub też zasypały inne piaskiem niepamięci, odsłania się przed naszymi oczyma w całej pełni swojej literackiej zasługi.

W istocie, o ile dla pilnego badacza i miłośnika poezji każdy tom wierszy jest na swój sposób ciekawy, każdy bowiem świadczy o żywotności lub klęsce przeróżnych stylów i poetyk, o ciągłości tradycji i sposobów, o tyle dla przeciętnego czytelnika, po prostu lubiącego poezję, nie tak znów wiele pozostało do czytania z liryki ostatnich dekad dziewiętnastego stulecia. Asnyk, Konopnicka — oni to może z racji swojego tak serdecznego współżycia ze sprawą narodową pozostaną na zawsze czytelni spośród plejady nazwisk tego czasu. Gomulicki inaczej, na swój sposób, choć w równej mierze podbija nasze serca.

Czyni to jednak nie odwołując się bezpośrednio do haseł, których samo pojawienie się w twórczości poety polskiego sprawia, że ów piszący pozyskiwał sobie wdzięcznych czytelników. Owymi hasłami, jak gdyby rozpoznawczymi sygnałami, był temat patriotyczny, za czasów zaborczych skrzętnie maskowany w dekoracji historycznej. Tak na przykład czynił Or-Ot. Umiejętności jednak wyniesienia codziennej prozy życia do godności poezji bez użycia szablonowych już wówczas sposobów, zapożyczonych z Heinego czy Musseta, jak to widzimy u współczesnych Gomulickiemu Ordona czy Mirona, obu poetów nie bez talentu, lecz wpływami owymi, przyjmowanymi dość bezkrytycznie, bardzo zmanierowanych, nikt nie posiadał w takiej mierze, jak autor *Francuzicy* czy *El mole rachmim*.

Cywilizacja miejska, słaba jeszcze, niedorozwinięta, tak nie licująca z obrazem polskich karczem, dworów i wsi, znalazła w Gomulickim swojego poetę. Cywilizacja ta jednak pod jego piórem nie staje się jakąś pikantną nowinką i, by jej sprostać w swym poetyckim dziele, nie musi Gomulicki sięgać po wzory do ksiąg Heinego czy Musseta. Zadziwiające nawet, jak mało wpłynęły na niego owe dwie wielkie mody czasów jego młodości. Tę samodzielność w obróbce materiału, czerpanego z cywilizacji miejskiej, zawdzięcza niewątpliwie Gomulicki organicznym związkom, jakie on, urodzony pod Pułtuskiem, wychowany w krajobrazie nadnarwiańskim, potrafił zadzierzgnąć nie tylko ze współczesną Warszawą, ale, co ważniejsza, z Warszawą historyczną. Wielki erudyta w tej, a także, jak później zobaczymy, i w innych dziedzinach, Gomulicki nie tylko widzi i czuje miasto, ale przede wszystkim je rozumie. Potrafi odnaleźć w pejzażu Warszawy lat osiemdziesiątych to, co jest w nim naprawdę charakterystyczne, a zwłaszcza potrafi ów dostrzeżony przez siebie obraz utrwalić w słowach w sposób nowy, jak nikt przed nim. Najpiękniejsze wiersze cyklu — *Życie w obrazach, Ogródek na przedmieściu, Na huśtawce, Ślepy, Balkon, Rodzina* — to dokumenty wrażliwości poetyckiej, która potrafiła znaleźć stosowne środki wyrazu.

Powiedziałbym, że to właśnie jest charakterystyczne dla poezji Gomulickiego i to właśnie, wyróżniając je

spośród bez liku ogłaszanych tomów owej epoki, sprawia, że świadomi czasu, kiedy te wiersze powstały, czytamy je z uczuciem radości i zadowolenia, jakie zawsze sprawia czytelnikowi dobrze uchwycona przez poetów proporcja między myślą i uczuciem a środkami użytymi do ich wyrażenia.

Poczucie umiaru, przy jednoczesnym trafnym wyborze wśród trwałych i przemijających piękności świata, choćby zacieśnionego do granic miasta, to pierwsza i nienajmniejsza zasługa poety. Zobaczmyż teraz, jak przedstawiają się zarzuty owej rzekomej obojętności „na sprawy najserdeczniejsze".

O ile nie wydaje się trafne nazwanie Gomulickiego parnasistą, o tyle niewątpliwe chyba byłoby stwierdzenie, że wielki wpływ miała na niego retoryczna, lecz znowu w retoryzmie swym proporcjonalna do humanitarnych swoich założeń poezja Wiktora Hugo.

Przekonanie, że „w czynach tkwi poezja, a w poezji czyny" (*Dwa głosy*), wydaje się kluczem do zrozumienia zarówno muzy Gomulickiego, jak i rozpoznania istoty błędnych ocen poezji w czasach nie tylko pozytywizmu warszawskiego.

Myśl, że poezja jest czynem, że jest rodem z ziemi i do owej ziemi należy, była udziałem wszystkich wielkich poetów polskich. Klasycznym przykładem takiego stanowiska wobec sztuki w ogóle mógłby być program literacki Cypriana Kamila Norwida i tego programu wypełnienie. Ale rozdział między życiem i sztuką w Polsce, zwłaszcza w wieku dziewiętnastym, był nieunikniony. Wynikał on przede wszystkim z historycznych warunków, w jakich kształtowało się i życie, i literatura. Ta znowu, krępowana owymi warunkami na równi z życiem, zwłaszcza po dwóch klęskach powstaniowych, usiłowała początkowo stać się w ścisłym znaczeniu tego słowa kierownikiem poczynań narodowych, co musiało sprowadzić ją na tory wąskiej praktyki życiowej, albo też nieco później, rezygnując całkowicie z poprzedniego stanowiska, zajęła pozycję krańcowo odmienną, usiłując z kolei wyrażać jedynie sprawy „ogólne", ponad czasem i miejscem, poza geografią i historią, problemy duszy i ciała, uwolnionych z więzów obowiązku ludzkiego i społecznego. Ci, którzy sądzili, że kreacja artystyczna jest już dostatecznie ważnym czynem i że liczyć się winna na równi z wszelkimi innymi osiągnięciami życia narodowego, byli stosunkowo nieliczni. Nie rozumiejąc ich koncepcji, zarzucano im artystostwo lub inaczej brak wrażliwości albo zgoła obojętność na „sprawy najserdeczniejsze". Wydaje się, że ofiarą takiego właśnie nieporozumienia czy raczej może — tragicznego i tradycyjnego w piśmiennictwie polskim nierozumienia istotnych zadań i celów sztuki w ogóle, a poezji w szczególności, padł właśnie Gomulicki.

Tymczasem kiedy dziś przerzucamy karty jego książek poetyckich, zdumiewa ów poeta nie tylko bogactwem form, ale i różnorodnością ważnych w jego epoce treści. Na pierwszym miejscu postawiłbym zainteresowania poety filozofią sztuki i natury. W poezji owych lat, która albo rozbrzmiewa pastuszą sielską nutą, albo przeciwnie — z upodobaniem drapuje się w stroje wypożyczone z garderoby Monachium czy Paryża, niewiele znajdziemy takich wierszy, jak wspomniane już *Dwa głosy*, *Gdzie piękno?*, *Czym są pieśni?*. Drugim tematem, szlachetnie górującym w tej poezji, nie zaś przeciwnie, jak to się często zdarza, obniżającym jej lot — jest wielki temat społeczny. Rozgrywa go Gomulicki na różnych płaszczyznach, czy to przez opis nędzy miejskiej, czy przez ukazywanie tragicznego rozdźwięku między szlachetnością programów i realizmem życia (*Z listu*), czy przez przywrócenie godności pomiatanym lub obcym (*Głos zelżonego*, *Francuzica*, *El mole rachmim*). Zadziwia więc, że poecie tak żywo głoszącemu naówczas hasła humanitarne i tak serdecznie współczującemu z nędzą, samotnością i opuszczeniem ludzkim zarzucano nieczułość na „sprawy najserdeczniejsze". Przyczyną tego wydaje się formalna świetność tej poezji. Jest to zapewne paradoks, lecz nim tylko można chyba wytłumaczyć, że poważni czasem krytycy kwitowali Gomulickiego jako „piewcę Warszawki i warszawianek", nie dostrzegając jak gdyby najświetniejszych jego utworów. W swojej epoce bowiem jedyny może Gomulicki potrafił używać pełnej palety, malując szare przedmieścia Warszawy i ciemne podwórko żydowskiego

domu. Od tego stwierdzenia do związania owej poezji z powstającym ówcześnie i także ówcześnie, a nawet i długo później nie rozumianym nowoczesnym malarstwem polskim już tylko krok. I wydaje się, że wcześniejsze nieco od owego malarstwa wiersze Wiktora Gomulickiego zapowiadają jak gdyby wczesne obrazy Gierymskiego, Pankiewicza czy Podkowińskiego, których kolorystyczne bogactwo służy prawdzie rzeczy powszednich, wynosząc do rzędu piękności przedmioty, twarze i krajobrazy, w których nikt przedtem nie potrafił odnaleźć urody życia. Owo prekursorstwo Gomulickiego w poezji ma swój odpowiednik w zainteresowaniach historyczno-literackich autora *Nowych pieśni*. Gomulicki na wiele lat przed Miriamem-Przesmyckim zajął się twórczością Cypriana Norwida, zamierzając pisać monografię poety i jego literackiej działalności. Jakkolwiek z odmiennych częściowo źródeł czerpiąc swoje natchnienia, musiał zapewne Gomulicki, jeden z niewielu refleksyjnych liryków owego czasu, zdawać sobie sprawę z całej doniosłości takiego, jak Norwid, pisarza dla pozbawionej filozoficznego gruntu poezji polskiej. Zapewne w owym zainteresowaniu grała nienajmniejszą rolę i owa wyznawana przez Gomulickiego dewiza o poezji, która jest czynem, i o czynie, będącym poezją zarazem. Już to jedno zainteresowanie Norwidem w latach, gdy blask tej rzekomo ciemnej poezji mógłby był rozjaśnić nieco nadwiślańskie mroki, sprawia, że spoglądamy inaczej na poezję Gomulickiego niż dotychczasowi jego krytycy lub wielbiciele. Miał bowiem Gomulicki i wielbicieli. Ale oni może właśnie wyrządzili mu więcej krzywdy niż krytycy. Odnajdywali bowiem i oświetlali blaskiem swojej admiracji to, co w dorobku poety było najmniej istotne. Gomulicki, jak zazwyczaj z poetami bywa, nie zawsze potrafił się ustrzec przed pewną banalnością czy łatwizną. Te utwory, zawsze nieskazitelne formalnie, zawsze podbijające urokiem rzeczy dobrze już znanych, znajdowały o wiele łatwiej chciwe oczy przeciętnego czytelnika niż rzeczy ambitne i trudne. Poetów należy jednak czytać nie tylko w obrębie ich własnej twórczości, w oderwaniu od ich własnej epoki i od prac wykonanych dawniej przez innych. Wydaje się, że i Gomulicki rozumiał tak właśnie literaturę, poezję. Wskazuje na to jego niestrudzona działalność kolekcjonerska, literacko-historyczna, jego zainteresowanie poetami zapomnianymi, poniechanymi przez historię literatury. Niewielu znamy pisarzy polskich o takiej kulturze i wiedzy, jak Gomulicki. Obszar jego prac — od studiów historycznych do tłumaczeń poezji Baudelaire'a — jest niezwykle rozległy. Świetny erudyta, niestrudzony łowca rzadkich druków, szperacz biblioteczny, znawca starej Warszawy, był jednocześnie, jak o tym świadczą jego wiersze, bacznym obserwatorem współczesnego sobie życia. Patrzył na nie może z ubocza, ale widział je za to doskonale. Nie tkwił w żadnym z obozów, ale szlachetnością swoich myśli przetrwał niejeden radykalny program. Na tle ostatnich dekad dziewiętnastego stulecia, gdy parafrazując powiedzenie Słowackiego o okresie polistopadowym nowi poeci, po krwawym deszczu styczniowym, rodzili się jak grzyby, poetycka sylwetka Gomulickiego rysuje się wyraziście pomiędzy nie docenionym Faleńskim a zakrywającymi współczesnych Asnykiem i Konopnicką.

Jednej nuty brak może w dawnych tomach poezji Gomulickiego. Można by ją wytłumaczyć oczywiście ówczesną cenzurą, ale takie tłumaczenie niczego nie wyjaśni. Potrafiono bowiem już wówczas pisać między wierszami. Owa brakująca nuta to nuta patriotyczna, czy raczej ów szczególny ton nadawany poszczególnym słowom, zdaniom, obrazom, który sprawiał, że pomiędzy autorem i czytelnikiem wytwarzało się owo konspiracyjne porozumienie, do którego poezja polska, jak żadna inna, przywykła od wieków.

Owego tonu brak w wierszach Gomulickiego. Brak tu także klasycznej symboliki owych lat. Wydaje się, że to właśnie przyczyniło się między innymi do pomawiania poety o obojętność dla „spraw najserdeczniejszych". Trzeba tu jednak od razu się zastrzec, że poezja Gomulickiego, podnosząca w najlepszych swych osiągnięciach potoczne życie do rzędu piękności, nadająca urodę powszedniości, wyrastająca wprost ze szczelin tratowanego przez kozackie konie bruku warszawskiego, owego szarego bruku, o którym mówi tak wstrząsająco Norwid, była już

owym czynem patriotycznym, który gdzie indziej, w innych książkach poetyckich, zapowiadano jedynie w symbolach, o którym mówiono, ale którego nie spełniano.

Po latach, w ostatnim przedśmiertnym tomie pt. *Światła*, wśród utworów różnej wartości i treści, znajdzie się kilka świetnych wierszy, napełnionych owym tonem poprzednio nieobecnym.

Rozumiał Gomulicki swoje posłannictwo poety narodowego inaczej niż wielu jego współczesnych. Rozumiał je według mnie o wiele mądrzej i ciekawiej. I jeśli Norwid powiada, że arcydzieła skuteczniej bronią języka niż miecz i tarcza, to trzeba powiedzieć, że zbrojna w dewizę, iż sztuka jest czynem — poezja Gomulickiego, arcydzielna w wielu swoich fragmentach, poprzez skromność swojego spełnienia oddała większą usługę piśmiennictwu narodowemu niż wiele utworów pysznych zapowiedziami i hasłami.

Spokojna uroda tych wierszy, które dzisiaj, już wyklarowane i ustałe, świadczą o artystycznej szlachetności ich autora, jest nam równie potrzebna, jak bolesny niepokój poezji Konopnickiej czy zamyślony rozsądek najpiękniejszych strof Asnyka.

Są sprawy w poezji przebrzmiałe, których podjąć nie może już żadna inna epoka. Są prace wykonane i raz na zawsze zamknięte. Czytanie poetów, których zasługą było tych prac wykonanie, winno służyć jako zachęta do rozwijania przewodniej myśli, co przyświeca wszelkiej poezji, a którą jest odnalezienie właściwej proporcji między środkami wyrazu i zamiarem wypowiedzenia własnego sądu o stających się z kolei naszym udziałem sprawach świata.

Paweł Hertz

O HAMSUNIE

Lata nie dają mądrości. Prócz starości, lata nic nie dają.

Knut Hamsun

Dla krytyka będącego zwolennikiem rozpatrywania utworów literackich w oderwaniu od postawy społecznej i życia pisarza — „sprawa Hamsuna" nie powinna nastręczać jakichś szczególnych trudności. Jest to autor powieści i opowiadań o znaczeniu światowym, których jakości i walorów nikt nie zechce podawać w wątpliwość.

Inaczej ma się rzecz z tymi, którzy hołdują zasadzie analizowania twórczości na tle postawy światopoglądowej twórcy i w ścisłym związku z jego życiem i działalnością. Dla tych Hamsun stanowi poważny orzech do zgryzienia. Nie jestem wprawdzie krytykiem zawodowym, ale należę właśnie do tej drugiej grupy, dla której to, jak pisarz żyje i jak się jego życie przedstawia w stosunku do jego dzieła — jest zagadnieniem kapitalnej wagi. Nie można tego ani obejść, ani pominąć.

4 sierpnia 1959 roku minęła setna rocznica urodzin Knuta Hamsuna. W ojczyźnie jego, Nerwegii, ukazało się 30-tomowe wydanie jego utworów, w prasie pojawiły się artykuły, urządzono akademie poświęcone omówieniu jego życia i twórczości. Przebaczono mu jego współpracę z hitleryzmem lub po prostu starano się o niej nie wspominać. W każdym razie kordon milczenia został przerwany. Nie można przez całe lata zachowywać się tak, jakby nigdy nie było ani Hamsuna, ani jego książek. Z historii literatury norweskiej i światowej nie da się wykreślić jego imienia. I zresztą nie ma potrzeby.

Istnieje natomiast potrzeba (zwłaszcza u nas, gdzie od dawna o pisarzu tym nie mówiono, nawet z okazji minionej setnej rocznicy jego urodzin) przepatrzenia jego dróg: życiowej i twórczej, w ich wzajemnej zależności. Potrzeba ta jest tym większa, że Wydawnictwo Poznańskie przystąpiło do publikowania utworów Hamsuna i dotychczas wypuściło na rynek sześć bodaj najwybitniejszych jego powieści. Powieści te są kupowane i czytane, gdyż Hamsun zawsze był poczytny i przez społeczeństwo czytające pożądany. Muszę tutaj wyznać, iż Hamsun był pisarzem mojej młodości (bałbym się

powiedzieć: mojego pokolenia, choć niejedno i na to by wskazywało) i ta potrzeba porachowania się z wybitnym twórcą jest zarazem moim najbardziej osobistym pragnieniem.

■

Więc jak do tego doszło, że Hamsun stał się kolaboracjonistą? Że czynnie wspomagał hitleryzm, zarówno we własnym kraju, jak i w Niemczech, biorąc udział w zjazdach, będąc gościem Goebbelsa i Hitlera i wypowiadając się przy tej okazji zdecydowanie po stronie faszyzmu?

Zanim spróbuję odpowiedzieć na te pytania, przypomnijmy w grubych choćby zarysach drogę pisarza. Knut Hamsun (właściwe nazwisko Pedersen), urodzony 4 sierpnia 1859 roku, pochodził z rodziny rękodzielników norweskich, w której najwięcej było krawców. Kiedy miał lat trzy, rodzice jego przenieśli się nad zatokę Hamsund i od niej właśnie w wiele lat później wziął swój pseudonim pisarski.

Do szkół uczęszczał nieregularnie, a od dziesiątego roku życia przeszedł pod opiekę wuja, proboszcza, który okazał się prawdziwym tyranem. Hamsun był kolejno uczniem sklepowym, wędrownym handlarzem, praktykantem u szewca, nauczycielem na dworach, pomocnikiem sędziego. Dwa lata pracował jako robotnik drogowy, następnie wyjechał do Ameryki, gdzie imał się różnych zajęć: przebywał na farmie, handlował, był przedstawicielem firmy drzewnej, sekretarzem sekty religijnej. W r. 1884, nabawiwszy się gruźlicy, wraca do kraju.

W ciągu krótkiego czasu zmieniał kilkakrotnie miejsca pracy. A więc od pracy urzędnika na poczcie przerzucił się do pracy literackiej, która nie zdołała zapewnić mu utrzymania, by wylądować jako prelegent wygłaszający odczyty o literaturze. W r. 1886 wyjeżdża powtórnie do Ameryki, gdzie zarabia na życie jako konduktor tramwajowy, kolejowy, jako deklamator, a wreszcie jako rybak. Zawiedziony i rozczarowany powraca znowu do kraju. Ogłasza pokaźnych rozmiarów książkę pt. *O życiu duchowym współczesnej Ameryki*, w której występuje ostro przeciw angloamerykańskiej cywilizacji i kulturze.

Dwie podróże angloamerykańskie uczyniły zeń wroga świata anglo-amerykańskiego; zwalczał ten świat piórem do końca życia. W latach 1893—96 przebywał w Paryżu, gdzie poznał Gaugina i Muncha, a także Bojera i Strindberga. Odbył podróż do Rosji (Kaukaz, Petersburg, Batumi), opisaną i opublikowaną później w formie dziennika, zwiedził Turcję, wielokrotnie przebywał w Niemczech, które uważał za swoją drugą ojczyznę i dokąd posyłał na studia swoje dzieci. W r. 1920 otrzymał nagrodę Nobla za powieść *Błogosławieństwo ziemi*. Był dwukrotnie żonaty. Druga jego żona, Maria, była również pisarką, wydała m.in. dwie książki wspomnień o swoim pożyciu z Hamsunem.

W r. 1934, czyli w rok po dojściu w Niemczech do władzy Hitlera, Hamsun odmawia przyjęcia tytułu doktora *honoris causa*, ofiarowanego mu przez uniwersytet w Kolonii. Sprzeciwia się również projektom przyznania mu nagrody im. Goethego przez władze miejskie Frankfurtu nad Menem. W liście do żony swej pisze na ten temat: „Nie można przecież brać pieniędzy od kraju, w którym panują takie stosunki. To byłyby pieniądze zbroczone krwią".

Ale już w dwa lata później zaatakował na łamach gazety norweskiej *Tidens Tegen* wtrąconego podówczas przez hitlerowców do więzienia Carla Ossietzky'ego, laureata nagrody pokojowej Nobla, którego hitlerowcy zamęczyli na śmierć. Hamsun wymyśla mu od sobków i egoistów, twierdząc, że Ossietzky mógł opuścić kraj, ale nie uczynił tego z chęci zdobycia rozgłosu i sławy „męczennika". Gdy armia niemiecka zajęła Norwegię, Hamsun napisał artykuł, apelując w nim do ziomków, aby pogodzili się ze stanem okupacyjnym. Hitlera uważał za wielkiego człowieka. Wierzył, że w ramach germańskiej Europy Norwegia jako kraj Germanów zajmie należne jej i zaszczytne miejsce. Tu, a nie w znienawidzonym przez niego świecie anglosaskim, Norwegia winna widzieć swoją przyszłość. W roku 1943 Hamsun, będąc w gościnie u Goebbelsa, powiedział m.in.: „Nie wystarczy powalić bolszewików i Jankesów. Należy przede wszystkim zniszczyć Anglię. To nie są rzeczy wyssane przeze mnie z palca — niegodziwe czyny Albionu oglądałem na własne oczy. Mój kraj dobrze wie, jak Anglia wykorzystuje swoją prze-

moc. W jej kleszczach znajdował się nasz handel".

Zdawało się, że rozwój i przebieg wypadków drugiej wojny światowej wpłyną na zmianę stanowiska Hamsuna. Nic podobnego. Omal w przededniu kapitulacji Niemiec, gdy już Hitler odebrał sobie życie, Hamsun ogłosił o nim na łamach gazety *Aftenposten* (organ Quislinga, wychodzący w czasie okupacji Norwegii) artykuł pośmiertny. Uczynił to w chwili, kiedy zwolennicy hitleryzmu uciekali, starając się zacierać ślady po swojej działalności. Zachowanie takie uznał Hamsun za niegodne i niehonorowe. Sam trwał z uporem na swym stanowisku.

Po zakończeniu wojny cały naród norweski odwrócił się od niego. Publicyści żądali ukarania go za działalność okupacyjną. Do jego posiadłości znoszono i zwożono zewsząd jego dzieła, rzucając je na ziemię. Z książek tych utworzyła się w ogrodzie pisarza olbrzymia góra. 26 maja 1945 roku władze wyzwolonej Norwegii zarządziły w stosunku do Hamsuna areszt domowy. Następnie przewieziono go do szpitala, gdzie sąd przeprowadzał przesłuchiwania i rozmowy, które trwały do końca grudnia 1947 r. W szpitalu zaczął pisać swoją ostatnią książkę *Na zarośniętych ścieżkach*, rodzaj spowiedzi autobiograficznej.

Ze względu na sędziwy wiek pisarza sąd wyznaczył mu tylko karę pieniężną. Hamsun oświadczył wówczas: „I tak pieniądze swoje miałem przekazać państwu. Skoro zażądało pieniędzy już w tej chwili — oddaję". Ostatnie lata spędził w zakładzie dla psychicznie chorych w Oslo. Odebrano mu okulary, żeby się nie okaleczył, pozbawiono go również przyrządów do golenia. Hamsun, na wpół oślepły i głuchy, zmarł 19 lutego 1952 roku przeżywszy 93 lata.

■

Pierwszy swój utwór, który przyniósł autorowi sławę, napisał Hamsun w 1888 a wydał w 1890 roku. Była to powieść *Głód*. W niecały rok później ukazała się ona w Niemczech. W r. 1893 powstało w Monachium nowe wydawnictwo Albert-Langen-Verlag (istniejące do dziś), które od początku zaczęło specjalizować się w wydawaniu dzieł Hamsuna. Pierwszą w ogóle książką tego wydawnictwa były Hamsunowskie *Misteria*. Przez Niemcy zainteresowanie norweskim pisarzem poszło na całą Europę, nawet utwory jego tłumaczono początkowo z języka niemieckiego.

Nie trzeba chyba podkreślać, jakie fakt ten miał znaczenie dla młodego pisarza. „Uczepił się" on Niemiec jako kraju dla siebie opatrznościowego. Całym swoim sercem przywarł do narodu, który okazywał mu niekiedy więcej zainteresowania niż jego właśni ziomkowie. To zadecydowało o sympatii Hamsuna dla Niemiec, o postawieniu na Niemcy, którym pozostał wierny, bez względu na to, jakie panowały tam prądy polityczne i umysłowe. Nie jest też przypadkiem, że już w czasie pierwszej wojny światowej pisarz cały swój autorytet rzucił na szalę tego państwa.

Myślę, że tu należy szukać genezy przyszłych jego pomyłek — w tej ślepej i bezkrytycznej miłości. Tu przede wszystkim, ale nie wyłącznie i nie jedynie.

Hamsun wyznawał niejednokrotnie, że największy wpływ wywarli na niego trzej twórcy: Fryderyk Nietzsche, August Strindberg i Teodor Dostojewski. (O Dostojewskim napisał na kartach swych wspomnień: „Jest to jedyny pisarz rosyjski, od którego się czegoś nauczyłem".) Nietzsche z filozoficzną koncepcją „nadczłowieka" i „woli mocy", Strindberg ze swoją „mistyką krwi" i „walką płci", a wreszcie Dostojewski z chorobliwą wprost nienawiścią do starej liberalnej Europy ujemnie zaważyli na kształtowaniu się osobowości młodego Hamsuna. Te doświadczenia lekturowe zbiegły się u niego z doświadczeniami życiowymi. Z pobytu w Ameryce wyniósł zdecydowaną niechęć do „nowoczesnego boga techniki", który — jego zdaniem — pożera i niszczy człowieka. Ponieważ równocześnie nie może uznać ani Anglii, ani Rosji, pozostaje mu jedyny kraj na kontynencie, zdolny zapobiec destrukcyjnemu wpływowi cywilizacji na duszę ludzką. Takim krajem są Niemcy. (Ciekawe, iż chętnie wyjeżdżając do Francji, nigdy nie przeznaczał jej Hamsun żadnej większej roli w przyszłym rozwoju kontynentu europejskiego.)

Surowe i trudne dzieciństwo wytworzyło w nim nieufność do ludzi i niewiarę w skuteczność zespołowej pracy i zespołowego działania. Tyrania, jakiej doznał w domu swego wychowawcy, wuja proboszcza, zniweczyła przekona-

nie o dobroci ludzkiej. Więcej: zasiała podejrzenie, że ideologia i cywilizacja dążą jedynie do tego, by pozbawić człowieka jego przyrodzonej wolności i skrępować jego naturalny, założony przez naturę rozwój. W rezultacie Hamsun głosił pochwałę człowieka pierwotnego, odwoływał się do jego instynktów, istota ludzka jawiła mu się jako zespół popędów, poza wszelkim dobrem i złem. Był pesymistą w odniesieniu do tego, co nazywamy postępem społecznym. Nie cierpiał życia miejskiego z jego „komfortem" i kulturą.

Ta postawa doprowadzała go często w życiu do dziwactw i niekonsekwencji. Na przykład: nie kupował nowych sznurowadeł, wiązał w supełki stare i wyrzucał je dopiero wraz z butami. Zwymyślał syna, gdy ten zaproponował mu kupienie auta, ale w końcu, po iluś tam latach, sam je kupił, bez niczyjej namowy i dorady.

W utworach swoich opiewał tężyznę, siłę fizyczną, upór, niektórzy bohaterowie jego powieści są urodzonymi władcami, despotami z natury, współczesnymi cezarami. Hamsun był przeciwnikiem demokracji, widząc w niej niwelację indywidualności, przeciętność i szarzyznę. Tylko to jest cenne, co człowiek wyrwie sam pazurami w walce z żywiołem, naturą i innym człowiekiem. Giną słabi, zwyciężają silni. Takie jest prawo życia i natury i nikt i nic nie potrafi tego zmienić.

Może najwyraźniej tendencje te doszły do głosu w powieści *Dzieci swojej epoki*, wydanej w 1913 roku. Warto tutaj przyjrzeć się temu utworowi bliżej, zwłaszcza że nie jest w języku polskim dostatecznie znany. Chyba w żadnym innym utworze mit rasy, mit krwi i ziemi nie ujawniły się tak jasno i z taką siłą. Kult dyscypliny, przygody i awantury święcą tutaj swoje najpełniejsze triumfy. Rzecz dzieje się w prastarej posiadłości norweskiej na wysokiej skale nad morzem. Mieszka w niej dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta, potomkowie arystokracji. On pochodzi ze starego rodu norweskiego, ona — z pruskiej szlachty. Autor ukazuje tragedię małżeńską, która doprowadza tych dwoje do wzajemnego zniszczenia. Niezależnie jednak od tego psychologicznego wątku, w porównaniu z którym to, co na ten temat pisał Strindberg, jest po prostu kaszką z mlekiem, występuje w powieści również motyw polityczny. Hamsun ukazuje mianowicie, jak tę małą gminę, złożoną z kilkuset ludzi zamieszkałych nieopodal owej posiadłości arystokratycznej, toczy „rak demokracji".

Otóż kiedy właściciel posiadłości, pan Holmsen, którego Hamsun nazywa z lubością „porucznikiem", idzie przez wieś: wysoki, chudy, lekko pochylony do przodu, z nieodłączną szpicrutą w ręce, ludzie nie kłaniają mu się jak dawniej, z bogobojnym uniżeniem. Porucznik widzi, że duch niepokoju i buntu wkrada się do tego świata. Staje się on obrońcą starego porządku, przy czym w walce tej bardzo istotną rolę spełnia owa trzcinowa szpicruta. „Oni słuchają jedynie bata, potrzebują bata, są szczęśliwi pod batem" — powtarza wielokrotnie porucznik, a czytelnik nie ma wątpliwości, że są to również wyznania samego Hamsuna. Kiedy bowiem porucznik uderza jakiegoś śmiałka szpicrutą w twarz, sympatie autora są po stronie bijącego, nie zaś — bitego.

Kontynuacją tego utworu jest poniekąd powieść *Miasto Segelfloss*, gdzie Hamsun przedstawił dalszy rozwój małej wioski, która przeistacza się w miasteczko ze wszystkimi socjalnymi urządzeniami i instytucjami. Występują w niej politycy socjalistyczni, nazywani z reguły głupcami, postępowi kupcy to banda złodziei, a robotników charakteryzuje autor następującymi słowy: „To jest towarzystwo podejrzane; jeżdżą rowerami do pracy, noszą buty z klamerkami i modne kołnierzyki; przyswoili sobie wszystko, co stanowi zewnętrzny polor tego miasta parweniuszy, ale ich dusze pozostały, jak zawsze, parszywe. Podejrzane towarzystwo, na wskroś podejrzane". Jedynie przeciwstawienie dla tej chałastry widzi Hamsun w postaci nie żyjącego już, niestety, porucznika, którego nazywa „mistrzem" i „wodzem".

We wspomnianych już na tym miejscu *Misteriach* jest scena, w której autor opisuje, jak pijany mieszczuch znęca się, niby to dla żartu, nad bezbronnym kaleką. Czytając ten fragment nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia z jakimś opisem mentalności prehitlerowskiej: z jej zwierzęcym poczuciem humoru i sadystycznym bestialstwem.

Dlatego trudno zgodzić się z norweskim krytykiem literackim, panią Ragnhild Fearnley, dowodzącą w serii

artykułów na łamach *Verdens Gang*, że przyczyną przejścia Hamsuna na stronę Niemiec hitlerowskich był po prostu jego starczy wiek (80 lat w chwili wybuchu wojny w 1939 roku), choroba i przekonanie, że współpraca ta oszczędzi narodowi norweskiemu cierpień.

Przyczyny zdają się leżeć głębiej i dalej, jak to starałem się wykazać w niniejszym szkicu. Czyn Hamsuna stał się konsekwencją jego postawy światopoglądowej, którą tak, a nie inaczej ukształtowało życie. Był on wrogiem wiedzy, jaką niosą z sobą cywilizacja i kultura. Opisywał z lubością człowieka pierwotnego z jego instynktami i naturą. Nie cierpiał racjonalizmu. Stanowił antytezę tego, co reprezentował, na przykład, Tomasz Mann, doszukujący się wszędzie obecności i działania rozumu i wierzący w zwycięski pochód ludzkiego poznania.

Hamsun był „dzieckiem natury", odczuwał świat jako panowanie żywiołu uczucia i żywiołu siły. Dlatego niechętnie i wręcz z nienawiścią odnosił się do wszelkich idei postępu, demokracji i nowoczesnej kultury.

Wszystko to można starać się zrozumieć. Można zapewne wielkiemu pisarzowi przebaczyć, tak jak przebaczono mu w jego własnej ojczyźnie. Śmierć Hamsuna uczyniła jego życie losem. Nic już w tym życiu zmienić nie podobna. Trzeba je brać takim, jakim ono było.

Jednego, czego nie można, to: zapomnieć. Z historii literatury nie da się wymazać owej „tragicznej pomyłki" pisarza, tym większej, że popełnił ją człowiek ponad miarę łaskami talentu obdarowany. Z tą pamięcią będziemy wracać do jego książek. Nie do wszystkich. Głównie do tych, w których autor nie jest przeciwko człowiekowi, lecz za człowiekiem. A więc do takich między innymi utworów, jak *Głód*, *Wiktoria*, *Włóczęgi*, *August Powsinoga*, *A życie toczy się dalej* i zwłaszcza *Błogosławieństwo ziemi*.

Jan Koprowski

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

Anglia

THE LONDON MAGAZINE (luty) obok stałych dostawców poezji, Aleksa Comforta, Alana Rossa i Donacha MacDonacha, przynosi zapowiedziane poprzednio przekłady młodo zmarłego Duńczyka, Hansa Lodeizena. Nota biograficzna mówi, że był to umysł samotny, talent wyjątkowy, który rozbłysnąwszy gwałtownie na przestrzeni dwu lat, zgasł, pozostawiając po sobie jeden tomik poezji.

Ted Hughes, występujący zwykle w poetyckich szrankach, zamieszcza cienko zrobione i wytrzymane w nastroju do końca opowiadanie *Koń deszczowy*, a Robert Graves opowiadanie o markierancie wojennym pt. *Jesteś górą Houdini!*.

Poruszając sprawę zaangażowania pisarza, David Caute (nowe nazwisko, pierwsza powieść w 1959) próbuje wyłonić jakieś prawdy ogólne określające odrębność angielskiej literatury. W artykule swoim dowodzi, że zaangażowanie jako wytwór spekulatywny obce jest mentalności angielskiej, wychowanej na empiryzmie Hume'a i Burke'a. Rozróżnienie między sztuką tendencyjną i bezinteresowną istnieje już u źródła, u samych twórców. Dostojewski pisał do Strachowa, że potrzeba wcielenia pewnych idei w dzieło jest u niego tak silna, iż musi jej ulec, „nawet gdyby to miało zniszczyć moją powieść (*Biesy*) jako dzieło sztuki". Nieco dalej Gamini Saldago, pisząc o działalności krytycznej D. H. Lawrence'a, określa go jako typowego przedstawiciela krytyki „zaangażowanej". Same tytuły jego artykułów brzmią jak slogany wyciągnięte z manifestu. Dla Lawrence'a istotną funkcją sztuki była moralność. I właśnie Lawrence'a, który był anty-akademicki w każdym sensie, nazywa dr Leavis „najsubtelniejszym krytykiem naszych czasów — największym

krytykiem, jeżeli w ogóle taki istniał". Lawrence odrzucając naukowe systemy interpretacji w słynnym eseju o Galsworthym pisze: „Punktem newralgicznym jest wzruszenie, nie rozum. Oceniamy dzieło sztuki według tego, jak oddziaływa ono na nasze uczucia, nic więcej". Wiedział, że krytyka musi zrobić jak najlepszy użytek z dwu półprawd, głoszących obiektywizm dzieła sztuki i niezawisłość uczuć krytyka. Utwory krytyczne Lawrence'a są rozproszone. Najcelniejsze fragmenty zawierają listy, które razem z listami Keatsa i Hopkinsa można zaliczyć do najświetniejszych wypowiedzi napisanych przez artystę o sztuce.

TWENTIETH CENTURY otwiera ciekawy i pouczający artykuł *Psychosomatyzm*. Jest to nowa dziedzina medycyny, upatrująca przyczyny powstawania chorób w zaburzeniach psychicznych. Przeprowadzając możliwie pełną analizę zagadnienia autor artykułu, Liver Jelly, chirurg z zawodu, wyraża wątpliwość, czy ta modna teoria może zadowolić wymogi medycyny oficjalnej. G. Wagner pisze o przeważającym wpływie socjologii na współczesną powieść amerykańską i angielską. Bestsellery lat pięćdziesiątych należały do gatunku określonego trafnie przez Jacquesa Barzuna jako „powieść niezbeletryzowana". Przeciętnego czytelnika interesują socjologiczne związki, behawiorystyczne próby badania rzeczywistości. Z drugiej strony powieść typu estetyzującego coraz bardziej przekształca się w groteskę. W roku 1959 ukazała się w druku czwarta z kolei powieść Wiliama Goldinga *Free Faal*. Mimo że trzy poprzednie wynoszone były przez krytykę pod niebiosa, ta, będąca niejako ich logiczną kulminacją, zrobiła klapę. Jan Gregor i Mark Kinkead-Weekes w artykule *Dziwny wypadek pana Goldinga i jego krytyków* postawili sobie za zadanie rozwiązanie tej zagadki. Casus ten pobudza do refleksji, zwłaszcza jeśli idzie o nieodpowiedzialność krytyków.

Hubert Butler kreśli portrecik biskupa Roberta Fowlera na podstawie prowadzonego przezeń dziennika. Mimo sukienki duchownej głównym talentem tego młodzieńca, pochodzącego ze znakomitej rodziny, była miłość. W czasie rewolucji francuskiej przebywa dla zdrowia w Lozannie, gdzie nawiązuje, co nas może zainteresować, romans z księżną Lubomirską. Wartościowy jest szkic Elizabeth Jenning, poświęcony poetyckiej prozie Thomasa Traherne, pisarza siedemnastowiecznego, *Wieki rozmyślań*, których przedmiotem jest poszukiwanie Boga w mistycznym doświadczeniu.

Poza mało rewelacyjnym wypadem MacInnesa w świat prostytucji (uzasadnienie instytucji alfonsa) i zdawkowym hołdem złożonym zmarłemu Camusowi w postaci przedruku jego eseju o powołaniu artysty, numer przynosi zakończenie „pyskówki" między niepoprawnym Colinem Wilsonem a jego przeciwnikami. Anglicy celują w tego rodzaju korespondencjach. Kontrowersja wyłoniła się z oceny osoby Mosleya, przerodziła się jednak w bardziej zasadniczą sprawę „bezstronnego" ustosunkowania się do zbrodni wojennych przez pokolenie, które ich nie zaznało. Wobec świeżej groźby nazizmu redakcja odcina się ostro od tego rodzaju „bezstronności".

ENCOUNTER (luty). Otwierający numer szkic Trevor-Ropera *Trzej cudzoziemcy i filozofia angielskiej rewolucji* stanowi bodaj najciekawszą pozycję. W ten sposób podawana historia może być lekturą pasjonującą. Trzej cudzoziemcy, którzy stali się poplecznikami Cromwella, to uchodźcy: Samuel Hartlib, John Dury i Jan Amos Komeński, wyznawcy filozofii Bacona. Poza tym zawartość numeru dość nijaka. Poczesne miejsce zajmuje duże studium socjologiczne czy reportaż dokumentarny o amerykańskich bazach lotniczych na terenie Anglii. Za to materiał literacki ogranicza się do trzech pozycji. Miłośnikom Prousta można polecić artykuł Pameli Hansford Johnson *Proust 1900*. Jest to rok, od którego — jak autorka chce wykazać — zaczyna się stopniowa degrengolada bohatera powieściowego. Samo jednak ustalenie chronologii wypadków nastręcza trudności i wymaga niemal karkołomnych sztuczek. Noel Annan w artykule *Miłość wśród moralistów* omawia książkę Doroty Krook *Trzy tradycje myśli moralnej*. Adeptka szkoły krytycznej prof. R. F. Leavisa rozróżnia trzy tradycje: religijną, świecką i humanistyczną. Dobrzy moraliści to ci, którzy stawiają miłość w centrum moralnego systemu. Moraliści świeccy nie pasują do jej

schematu, ponieważ zajmują się polityką. Model człowieka moralnego, jaki sobie stworzyła, ma tak mało wspólnego z życiem, jak człowiek ekonomiczny ekonomii klasycznej. Wreszcie Katherine Anne Porter, wybitna pisarka starszego pokolenia, w świetnie napisanym szkicu *Wieniec dla leśniczego* daje podsumowanie długo toczącej się kampanii o pełne wydanie *Kochanka lady Chaterley* oraz swój osobisty pogląd na tę sprawę. Wolność słowa dla pisarza jest rzeczą, o którą zawsze warto kruszyć kopie. Jeśli jednak idzie o sam utwór, który zyskał tak jednogłośny aplauz krytyki, Katherine Porter uważa, że stosunek Lawrence'a do erotyki był całkowicie błędny i że pracowicie napisał bardzo złą książkę, czego w interesujący sposób dowodzi.

Z radością witamy nowy kwartalnik poświęcony literaturze i sztuce, pod redakcją Davida Wrighta i Patricka Swifta. Tytuł pisma, oryginalny i enigmatyczny, stanowi czerwona literka X, co, jak wyjaśnia umieszczony na wewnętrznej stronie odnośnik, według definicji *Concise Oxford Dictionary* oznacza „nieznaną wielkość... nie dający się obliczyć czynnik czy wpływ". Jak z tego wynika, nazwa pisma ma sugerować jego zainteresowanie tworami intelektu pisarza lub artysty, których wpływ na naszą cywilizację nie da się w tej chwili przewidzieć. Kwartalnik, wydany luksusowo i ozdobiony reprodukcjami obrazów Franka Auerbacha i rysunkami Alberto Giacometti, zwraca uwagę odmiennym od zwykłego formatem. Stosownie do założeń, formułą redakcyjną jest nowość, uwzględniająca wszystkie aspekty sztuki nowoczesnej. Dobór nazwisk i tematów składa się na zawartość, która, mając skutek przede wszystkim inspirujący, porusza i zapładnia myśl. Anthony Cronin przeprowadza estetyczne dociekania na temat udziału poezji w procesie poznania. Wbrew pozorom nawet w poezji najbardziej osobistej można dojrzeć pewne funkcje społeczne: konieczność nazwania uczuć czy lęków, aby się od nich uwolnić. Pojęcie zaangażowania nie jest niczym nowym, istniało zawsze, tylko występowało pod innymi nazwami. Nigdy, na przykład, nie mówi się o poezji trzech najbardziej wpływowych poetów naszego wieku: Eliota, Ezry Pounda i Yeatsa, jako zaangażowanej, chociaż każdy z nich jest głęboko i namiętnie związany z określoną ideą jako poglądem na moralne podstawy cywilizacji. Szereg ciekawych uwag zawiera artykuł Jamesa Mahona *Sztuka oficjalna i współczesne malarstwo*. Chodzi o historię tego dziwnego zwierzęcia, zwanego malarzem awangardowym. Według utartego schematu człowiek, który wyprzedza swój czas, ponosić musi zazwyczaj smutne tego konsekwencje, póki nie wybije godzina jego triumfu. Jest to normalna cena sztuki naprawdę oryginalnej. Użytkowość malarstwa z punktu widzenia społecznego jest bowiem znikoma albo bardzo wątpliwa. Jednakże w naszych czasach, gdzie system sprzedaży objął wszystkie dobra duchowe na równi z materialnymi, cała machina zorganizowanej kultury patronuje „nowoczesnej i postępowej sztuce". Bernard Buffet jest klasycznym przykładem niebezpieczeństwa komercjalizmu. W ten sposób powstaje nowa sztuka oficjalna, nowy akademizm, który w końcu nie wiadomo, czy jest lepszy od starego. Artysta, który dawniej znajdował się poza obrębem oficjalnego poparcia, w samotności wypracowywał sobie swoje zbawienie; sztuka jego była niekonwencjonalna i niepokojąca. Kierkegaard powiedział, że jeżeli człowiek nie jest odizolowany od świata wbrew swej woli, wtedy tragedia staje się fikcją. Dzisiaj artyści spod sztandarów sztuki nowoczesnej nie mogą narzekać na brak zainteresowania, przeciwnie, są psuci jak dzieci. Nigdy też sztuka oficjalna nie była tak konformistyczna i uniformistyczna, jak w tej chwili. Może jest to naturalny okres impasu, który następuje po wielkich odkryciach. Jeżeli ma powstać coś absolutnie nowoczesnego, coś całkowicie nieprzewidzianego — będzie to raczej coś spoza nurtu, który uzyskał oficjalną sankcję. Znamiennym komentarzem do tych uwag jest wypowiedź malarza, Franka Auerbacha, który, po dziesięciu latach odosobnienia, doszedł do przekonania, że trzeba niszczyć to, czego się nauczyło, aby móc pracować dalej, móc przyjmować nowe koncepcje, nowe fakty. Jedyny możliwy postęp zawiera się w niszczeniu... wtedy zostaje się niczym i można zaczynać od nowych faktów.

Prześlizgując się tylko po hermetycznych tekstach Becketta i Roberta Pin-

geta, chcielibyśmy więcej miejca poświęcić szkicowi Martina Gerarda *Czy powieść jest istotnie konieczna?* Narracja, będąca kiedyś jej formą fundamentalną, doprowadziła do fałszowania życia na nieprawdopodobną skalę, gdyż, zamiast zgłębić istotę ludzkich konfliktów, wymija je w konwencjonalny sposób. Dylemat „milczenie czy kłamstwo" można rozwiązać tylko dając świadectwo istnieniu kłamstwa, powołując je do życia za pośrednictwem fikcji. Jeżeli język *Ulissesa* jest bardziej staranny i wyrazisty niż, powiedzmy, *Tessy z D'Urberville*, to dlatego, że zajmuje się aktualną materią życia. Jednym z wielkich odkryć estetyki był fakt, że nic nie jest pospolite, jej siłą — intymność stosunków między przedmiotem a artystą, fakt, że wielkie napięcia rozbłyskiwały z rzeczy drobnych, poślednich i bliższych ludzkim wymiarom aniżeli zakładał to przedmiot epicki przez stosowanie fałszywej logiki. Toteż z dzisiejszego punktu widzenia powieść typu konwencjonalnego (do której zaliczyć można wszystkie arcydzieła światowej literatury) jest wehikułem o zbyt małej nośności do przekazania prawdy o życiu, obciążają ją bowiem serwituty zbyt wielkie, niezbędne dla tego typu narracji. Jakie formy wymyślą przyszli twórcy powieści, trudno przewidzieć.

ADAM (nr 275) to niewielkich rozmiarów miesięcznik, poświęcony literaturze międzynarodowej, ale odznaczający się niezwykłymi ambicjami i inwencją. Miron Grindea, redaktor naczelny, mimo ciężkich perypertii, jakie pismo przechodziło i z którymi ciągle musi walczyć, należy do rzadkiego gatunku entuzjastów, zamiłowanych szperaczy po odległych i zapomnianych zakątkach literatury.

Omawiany numer dotyczy Szwajcarii, kraju czterech literatur, i gromadzi tak wybitne osobistości, jak: Arnold Toynbee, C. G. Jung, Peter Brook, Friedrich Dürrenmatt, Max Frisch. W Editorialu, będącym dziennikiem podróży, nie byle jakie nazwiska znaczą szlak wędrówki. Bazylea — Karl Jaspers, obecnie obywatel szwajcarski i wykładowca na uniwersytecie, dalej Luc Boissonas, wybitny historyk sztuki, posługujący się swobodnie pięcioma językami swej ojczyzny, Bern — Pierre Jacquillard, autor zdumiewającej topografii Proustowskiej, Neuchâtel — Dürrenmatt (jego słuchowisko radiowe pt. *Pewien wieczór później jesieni* drukowane jest w dalszych partiach numeru), Genewa — Ludwig Hohl, Lozanna — znany rysownik Gea Augsbourg, Zurych — Jung. Szkic o C. F. Ramuzie, szwajcarskim Gustawie Flaubercie, który pozostawił 50 tomów realistycznej prozy, poprzedza fragment dziennika z ostatnich chwil życia pisarza. Synem Szwajcarii był Le Corbusier (Charles Edouard Jeanneret), zażywający dziś światowej sławy, podobnie jak Dürrenmatt, który, zdaniem Peter Brooka, znajduje się w paradoksalnej sytuacji pisarza, będącego w orbicie dwu kultur: francuskiej i niemieckiej. O najważniejszym wydarzeniu od lat 50 w niemiecko-szwajcarskiej literaturze donosi Walter Weideli. Jest to książka Maxa Frischa *Stiller*, rodzaj manifestu czy teoretycznego traktatu, wyrażającego moralne stanowisko ludzkiej alienacji.

at

Francja

Lutowy zeszyt NOUVELLE REVUE FRANÇAISE otwiera krótka nota o Camusie. Następny, marcowy numer pisma będzie cały poświęcony tragicznie zmarłemu pisarzowi. Interesujący poemat debiutanta, Michel Deguy, pt. *Fragment z kadastru*. Zabawne *Kartki z dziennika* Ionesco, pełne resentymentów wobec Brechta, sarkazmów w stosunku do „owych półintelektualistów, ewoluujących pomiędzy filozofią a dziennikarką, których istnienie jest szankrem na intelektualizmie", i ciekawych wyznań o własnej twórczości. „Teatr tzw. »ludowy« jest w gruncie rzeczy teatrem antyludowym, narzuconym masom przez niewielką grupę bardzo pewnych siebie ludzi, którzy uważają się za mądrzejszych od innych czy też wtajemniczonych i którzy, wiedząc z góry, czego »lud« potrzebuje, zmuszają go do tego, by nie potrzebo-

wał, broń Boże, czego innego, niż oni uważają, że powinien potrzebować. Ów teatr »ludowy« może być tylko demagogiczny (jak spektakle na Broadwayu czy francuski teatr bulwarowy, które podobają się publiczności, ale jej nie reprezentują) albo też propagandowy i tyraniczny, »terrorystyczny«. Tymczasem, dość paradoksalnie, dusza ludowa, świadomość zbiorowa wytryskują swobodnie, w sposób dziwaczny i nieprzewidziany — często wręcz niedostrzegalny — z serca samotnego człowieka, wyrażającego serca wszystkich ludzi. To, co indywidualne, jest, w ostatecznym rachunku, właśnie najbardziej prawdziwie ludowe." (Jasne, iż owym „samotnym człowiekiem, wyrażającym serca wszystkich ludzi" jest i może być tylko Ionesco. Już taki Brecht na przykład, to w żaden sposób.) W tym samym numerze zakończenie eseju Jeana Starobinskiego *Montaigne w ruchu* i dalszy ciąg powieści Jacques Serguine'a *Les Saints Innocents*. Wśród kronik i not zwracają uwagę studia Yvona Belavala o poezji Max Jacoba (ze szczególnym uwzględnieniem tomu *Laboratoire Central*) oraz Serge Doubrowsky'ego o *Śmiechu* Ionesco.

Jak zwykle interesujący numer kwartalnika DIOGÈNE, wydawanego przez UNESCO pod redakcją Roger Caillois. Zwracają uwagę: szkic amerykańskiego uczonego, Alfreda Sterna, *Nieodwracalność historii*, studium socjologiczne Kenneth L. Little'a o miastach w Afryce Zachodniej oraz praca Salo W. Barona o *Etapach emancypacji Żydów*. (W pracy tej uczony amerykański zbija dość rozpowszechnione mniemanie o tym, jakoby Żydzi byli grupą społeczną specjalnie upośledzoną w średniowieczu. Salo W. Baron dowodzi, iż przeciwnie, korzystali oni często z prerogatyw większych niż inne klasy społeczne, większych w każdym razie niż chłopi, w większości *„glebae adscripti"* a stanowiący 90% społeczeństwa. Toteż proces zrównywania Żydów w prawach i obowiązkach, przebiegający w dziewiętnastym wieku, bynajmniej nie wszędzie i nie zawsze spotykał się z aplauzem społeczności żydowskich.) Wśród kronik sprawozdanie uczonego radzieckiego, Walentyna L. Janina, o nowoczesnych metodach archeologicznych, stosowanych w Niżnym Nowgorodzie) oraz polonicum: *Uwagi o przedmiocie historii filozofii* profesora Romana Ingardena.

Zimowy numer kwartalnika CAHIERS DES SAISONS o wiele lepszy od poprzednich. Pismo to wyraźnie nabiera rozpędu, zamierza zresztą w najbliższym czasie rozpocząć wydawanie u Julliarda nowej serii beletrystycznej. Jak dotychczas jednak, „mocną stroną" pisma jest świetnie robiony *Journal de bord*, zbiór żywych, polemicznych, inteligentnych not i komentarzy. Z tekstami jest gorzej, chociaż w ostatnim numerze wyraźna poprawa. Świetne opowiadanie Jacques Bureau (którego urocza powieść *Trois pierres chaudes en Espagne*, wydana u Laffonta, zasługuje na przekład polski, choć nie wyróżniła jej żadna nagroda), fragment prozy autobiograficznej Jean Freustié i znakomity szkic Jean-François Revela o nowym eklektyzmie, wydrwiwający niemiłosiernie zgodny chór filozofów sławiących dziś rocznicę Bergsona — świadczą o przełomie.

Od połowy ubiegłego roku wychodzi w Paryżu nowy kwartalnik poświęcony wyłącznie poezji, pt. LA VOIX DES POÈTES. Trudno sobie wyobrazić, aby mógł się on długo ostać na rynku, który tak dalece zniechęcony jest do poezji, że tygodniki jej z reguły nie drukują, a miesięczniki literackie z rzadka. Zresztą dobór materiałów jest bardzo nierówny i świadczy o daleko posuniętym liberalizmie redakcji. Nieliczne dobre wiersze toną w powodzi nijakich. Część eseistyczna nie istnieje, krytyczna jest wprost żenująca.

Przyklasnąć natomiast trzeba innym narodzinom w wielkiej rodzinie pism literackich. Pod wspólną redakcją Alaina Bosqueta (Paryż) i Rolanda Busselena (Bruksela) wyszedł w Brukseli pierwszy numer kwartalnika L'VII. (Wynikałoby więc z tego, że jest to pismo belgijskie, ale literatura francuska jest jedna i w poezji Flandria jest tylko jedną z prowincji francuskich.) Pierwszy numer tego pisma o tak dziwacznej nazwie jest wręcz olśniewający. Nie tylko dzięki wyjątkowo starannej, pomysłowej, wykwintnej a zarazem skromnej typografii, ale przede wszystkim dzięki wyjątkowej

zawartości. Widać, że redakcja nie zamierza tu stosować żadnej taryfy ulgowej, nawet dla przyjaciół. Wśród zamieszczonych w tym numerze tekstów, wszystkich wartościowych i godnych uwagi, wyróżniają się szczególnie opowiadanie Samuela Becketta *Odkrycie Pima* i Henri Michaux *Sprawy nieosobiste*, piękne erotyki Pierre Emmanuela, wiersze Fernando da Pessoa, Karla Krolowa, Merilla Moore'a i Borysa Pasternaka w bardzo starannych przekładach, wreszcie fragment pasjonującego szkicu Roger Caillois z pogranicza entomologii i mitologii pt. *Kompleks meduzy*, który czytelnicy *Twórczości* znajdą w całości w jednym z najbliższych naszych numerów. Nowemu pismu życzymy więc powodzenia, wytrwałości i licznych czytelników.

Lutowy numer ESPRIT przynosi na czołowym miejscu wstrząsający apel poety i filozofa, Lanza del Vasto, o wstrzymanie doświadczeń atomowych we Francji, apel, który, jak wiadomo, okazał się próżny, bo poprzedził o parę dni zaledwie wybuch pierwszej francuskiej „atomówki". Dalej niezmiernie interesujące studium Serge Malleta *Gaullizm i neokapitalizm*, będące wstępem do zbioru jego szkiców ekonomiczno-socjologiczno-politycznych, ukazującego się we Włoszech (we Francji jeszcze nie zebrano ich w książce). Zwracaliśmy już kilkakrotnie uwagę na łamach *Twórczości* na niezwykłą wartość i nowość analiz i badań Malleta. Cenne polonicum: opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego *Syn* z tomu *Noc*, w przekładzie Ewy Goriely.

Grudniowy (tak, o dwa miesiące spóźniony!) numer TEMPS MODERNES został skonfiskowany wkrótce po nieudanym puczu algerskim, ale zdążył jeszcze dotrzeć przed konfiskatą do księgarń i prenumeratorów. Nie trudno zrozumieć, co spowodowało konfiskatę. Numer zawiera dość potężną porcję materiałów i dokumentów dotyczących sytuacji w Algerze: analizę polityczną sytuacji, pióra A. P. Lentina, list młodej dziewczyny z Kabylii o torturach, jakim francuscy „para" poddają podejrzanych politycznie (list ten opublikował młody adwokat, Jacques Vergès, autor poprzednio tu drukowanego *Zielonego Zeszytu*, zaprzysiężony obrońca Algerczyków przed sądami francuskimi, który w połowie lutego schronił się do Genewy w obawie przed aresztowaniem i przekazał Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi akta wszystkich swoich podopiecznych, oraz komunikat Komitetu Maurice Audin, dotyczący okoliczności, w jakich ten naukowiec-komunista został zamordowany podczas śledztwa przez francuskiego oficera (wymienionego z imienia i nazwiska). Poza tym ciekawe obserwacje Claude Alphandéry o kłopotach wynikających z nadprodukcji i nierównomiernego podziału dóbr w Ameryce i dalszy ciąg „powieści odcinkowej", czyli pracy historycznej Henri Guillemina o źródłach Komuny Paryskiej. (Małe sprostowanie: w jednym z poprzednich przeglądów pisałem, że warto, by jakieś wydawnictwo zainteresowało się tą pracą, gdy wyjdzie w książce. Otóż dwa pierwsze tomy już się ukazały, pt. *Cette curieuse guerre de 1870* i *L'héroique défense de Paris*, oba u Gallimarda. Oby się tylko polski wydawca nie zniechęcił rozmiarami tej olbrzymiej pracy, trud jej przełożenia opłaci się sowicie. W końcu Komuna Paryska była nie tak znowu bagatelnym wydarzeniem w dziejach, a książka Guillemina, zaręczam, będzie bestsellerem.)

jl

Jugosławia

Dwa kalendarzowe miesiące przerwy w przeglądaniu literackiej prasy jugosławiańskiej pokazują zdumiewającą względność czasu mierzonego numerami miesięczników. Najszybciej w tym czasie żyli Słoweńcy: ukazało się 5 numerów miesięcznika NAŠA SODOBNOST (Nry 10, 11, 12, 1, 2); niewiele w tyle pozostaje belgradzkie DELO, wyszły numery od 11 do 2. KNJIŽEVNOST jest jeszcze ciągle w roku 1959: właśnie wyszły Nry 10 i 11. W normal-

nym tempie ukazywały się chyba tylko dwutygodniki: KNJIŽEVNE NOVINE i NAŠI RAZGLEDI.

W ostatnio drukowanych utworach dramatycznych panuje urodzaj na mitologię grecką i starożytność klasyczną w ogóle. *Delo* Nr 11 drukuje ostatni akt sztuki J. Hristicia *Czyste ręce*. Pierwszy akt drukowała *Književnost* Nr 9. Na kanwie fabularnej nieco zmodyfikowanego mitu o Edypie ludzie w w maskach bohaterów i bestii mitologicznych (Sfinks) przeżywają, a raczej przegadują problem losu, wolności woli, dobra i zła. Wtóruje im w momentach decydujących chór, czyli „działacze polityczni i kulturalni". Bezpośrednio przed dramatem Hristicia *Delo* już drukowało w Nrze 9-10 sztukę M. Matkovicia *Dziedzictwo Achillesa* z całą plejadą bohaterów *Iliady* w rolach głównych i drugorzędnych. *Mogućnosti* (Split) Nr 11 drukują w całości najnowszy dramat M. Krleży *Areteusz czyli legenda o Świętej Ancylli, rajskim ptaku... fantazja w pięciu obrazach*. Jeden z tych obrazów odbywa się w III wieku n. e., reszta współcześnie. Spokojną i niezbyt entuzjastyczną recenzję przedstawienia tej sztuki w Belgradzie zamieszczają *Književne Novine* z 15.I. Recenzja jest anonimowa. W *Književnich Novinach* z 1.I Čedomir Brašanac publikuje w dziale *Maski i Twarze* dialog pt. *Legenda o Herostratesie*, ponoć oryginalny i wygrzebany „w starych tekstach greckich". *Književnost* (11) przynosi obszerną recenzję V. Petricia o przedstawieniu *Lizystraty* Arystofanesa w SNP w Nowym Sadzie, a *Izraz* (11—12) rozważania Miodraga Bogicievicia w związku z wystawieniem w Sarajewie *Króla Edypa* Sofoklesa.

Zainteresowanie starożytnością w Jugosławii dotyczy nie tylko tematyki literackiej, obejmuje także filozofię, historię. Oto kilka świadczących o tym pozycji: *Savremenik* (11) drukował esej M. Dżuricia *Nauka Platona o geniuszu*. W 12 Nrze *Našej Sodobnosti* Ivo Pirkowić zastanawiał się nad aktualnymi do dziś elementami filozofii greckiej, zwłaszcza Epikura. *Savremenik* (13) publikuje recenzję P. Vukadinovicia wydanego właśnie zbioru esejów M. Dżuricia *Ze skarbnic heleńskich*. *Književne Novine* z 12.II na czołowym miejscu drukują artykuł *O muzykalności Homera*. Z notek recenzyjnych w *Književnih Novinach* dowiadujemy się też o ukazaniu się w końcu roku 1959 w przekładach serbochorwackich trzech dialogów Platona, *Historii* Herodota i Seneki *O gniewie* (Rad, 1960). W przekładzie słoweńskim wydano w Lublanie *Listy z wygnania* Owidiusza i *De rerum natura* Lukrecjusza. Jak na plon jedynie ostatnich trzech miesięcy to chyba sporo.

Delo w ostatnim okresie poświęca też sporo uwagi historii starszej serbskiej literatury i sztuki. Obok systematycznie w tym piśmie do końca 1959 roku prowadzonej kolumny *Letopis* (Kronika), zawierającej wybrane przez S. Radojčicia ciekawsze urywki prozy średniowiecznej (wyjątki z kroniki, listy, zagadki, sentencje), znajdujemy w Nrze 11 ciekawe studium Gjorgje Trifunovicia o niektórych nastrojach w literaturze serbskiej XIII wieku. Autor zajmuje się głównie marginesowymi zapiskami i wtrąconymi w tekst osobistymi uwagami autorów i kopistów, świadczącymi o ich stosunku do wykonywanego zawodu i do literatury w ogóle. W następnym (12) numerze *Delo* przynosi artykuł Dejana Medakovicia o serbskim baroku. Okres baroku w serbskiej sztuce (XVIII w.) jest zdaniem autora szczególnie interesujący przez to, że stanowi „niezależnie od wszelkich skomplikowanych dróg, którymi barok docierał do naszego środowiska, okres zachodniej orientacji naszej kultury". Między innymi ciekawa jest w tym artykule wzmianka o bardzo pośrednim (poprzez klasztory rosyjskie i ukraińskie) wpływie barokowej sztuki polskiej w tym okresie.

Mimo tych wyraźnych zainteresowań historycznych *Delo* poświęca aż dwa czołowe artykuły w dwu kolejnych numerach (w 12-tym i 1-szym) dyskusji zasadniczej oraz szczegółowej polemice z bułgarskimi teoretykami literatury; dyskusja dotyczy kryteriów oceny dzieła literackiego.

Artykuł S. Lukicia ciekawy jest dla nas może nie tyle ze względu na polemiczną i teoretyczną treść, co przez bardzo sumaryczną i ogólną charakterystykę i ocenę współczesnej literatury jugosłowiańskiej. Oto główne cechy i zjawiska w tej literaturze, widziane oczami Lukicia: „Realizm socjalistyczny nie całkiem się u nas przyjął. Potem przychodzi obrachunek z nim i z rodzimym dogmatyzmem, najpierw

polityczny, potem w coraz większym stopniu estetyczny i teoretyczny. Tu gdzieś pojawiają się też pierwsze utwory godne uwagi... Musimy przyznać, że w tym okresie osiągnęliśmy najsolidniejszą dotychczas przeciętną narodową i że najlepsze nasze utwory literackie, i to spora ich liczba, także praktycznie przekraczają granice kraju... Co do charakteru, sztuka nasza jest dość różnorodna, rozczłonkowana... W literaturze mamy różnorakie prądy, aspekty i warstwy... Osiągnięte zostało to, że się różnorodne zjawiska nawzajem tolerują, istnieją równolegle, że ani jeden rodzaj nie jest forsowany kosztem pozostałych: Andrić i Davičo, Ćosić i Vasko Popa, „Himmelskomando" i Ranko Marinković... Nasza sytuacja jest dynamiczna, otwarta". Dalej zajmuje się autor problemem zadań i tematyki literatury wielkiej i literatury przeciętnej, stwierdzając, że większość produkcji literackiej stanowią właśnie utwory „złotego środka". Prozę jugosłowiańską ostatniego okresu tak charakteryzuje: „Literatura jugosłowiańska wyzwoliła się z lokalnego zacieśnienia... zajmując wyższą postawę ideową wobec wąskich determinant człowieka. To nie jest jeszcze proces definitywnie skończony... Odczuwamy silną tendencję do psychologizowania, z pewnością wspólną dla całej naszej prozy... Więcej niż kiedykolwiek mamy dziś w literaturze dobrych znawców swego rzemiosła. Ale u młodych, zwłaszcza u nich, jest to mistrzostwo zewnętrzne... Nasza proza zetknęła się z problemem dialogu... Jeśli tylko ludzie nie mówią po wiejsku, dialog nasz jest z reguły słaby. Nie umiemy mówić po miejsku, intelektualnie". Jako następną ujemną cechę wymienia Lukić „eklektyczne mieszanie materii literackiej", mieszanie gatunków literackich w jednym utworze, wreszcie oderwanie od rzeczywistości historycznej. „W naszej literaturze epoka jest na dalszym planie... Rzeczywistość jest przetransponowana, zbyt wysublimowana". Mimo to zdaniem autora nie zachodzi tu ucieczka od rzeczywistości, tylko dowolne korzystanie ze swobody wyboru.

Nr II *Dela* przynosi artykuł D. Suvina *O terminologii poetyckiej;* propozycje poszczególnych terminów umotywowane są i poparte bibliografią i tradycją różnych szkół teorii literatury i stanowić mają według autora pierwszy w Jugosławii jednolity system takiej terminologii.

Savremenik w Nrze 12 publikuje kilka wierszy i szkic *O poezji* Quasimodo w przekładzie S. Musicia. Przy sposobności odsyłacz przypomina, że jeszcze w r. 1958 wyszedł w Zagrzebiu tom wierszy tego poety w przekładzie serbochorwackim. *Savremenik* (12) zawiera jeszcze wiersze dziewięciu młodych poetów i przekład obszernego fragmentu wydanej przed rokiem powieści słoweńskiego pisarza A. Ingolicia. Nowszej historii literatur jugosławiańskich dotyczą artykuły D. Mitreva o macedońskim poecie Kosta Racinie i P. Zoricia o powieści M. Crnjanskiego *Seobe*.

Književnost (10) zawiera rozważania V. Petricia o dramaturgii filmowej. Główna teza autora brzmi: „scenariusz znajduje się pośrodku między dramatem i powieścią, przy czym w ostatnich czasach narastają w nim elementy powieściowe". W tym samym numerze znajdujemy recenzję L. Zacharowa wydanej ostatnio w przekładzie serbochorwackim antologii radzieckiego humoru i satyry. *Književnost* (11) przynosi duży esej E. Sekvi o Quasimodo, wiersze B. Pasternaka w przekładzie B. Miljkovicia.

Mogućnosti (11) zawierają wspomnianą już sztukę Krleży oraz artykuł T. Tanhofera o letnich festiwalach teatralnych w Splicie, uznanych przez autora przede wszystkim za nową formę teatru ludowego, a w drugim rzędzie dopiero za imprezę reklamową dla cudzoziemców. Tanhofer jest zdania, że powodzenie festiwali zależeć będzie od nawiązania do istniejących na Przymorzu Chorwackim tradycji teatru ludowego i od ustalenia repertuaru właśnie w duchu tej tradycji. W N-rach 11 i 12 Zvonimir Golob publikuje *Marginalia* na temat wczesnych poezji O. Davičo.

Izraz wyszedł w omawianym okresie w dwu podwójnych numerach: 11—12 i 1—2. Pierwszy z nich zawiera przede wszystkim materiały krytyczne i historyczno-literackie z zakresu współczesnych literatur jugosłowiańskich: Petar Džadžić pisze o powieściach A. Vučo, a słoweński krytyk literacki Janko Kos w referacie *Temat poetycki* rozważa ogólne problemy współczesnej poezji jugosłowiańskiej.

Poezji współczesnej poświęcony jest w tym numerze *Izrazu* także dyskusyj-

ny artykuł Rade Vojvodicia. Literaturą międzywojenną zajmują się H. Tahimišić (o wierszach O. Župancicia dla dzieci) i V. Pavletić (o poezji chorwackiego poety i eseisty Tina Ujevicia). Serbskiej literaturze międzywojennej poświęcony jest też jej sumaryczny przegląd, napisany przez S. Velmar-Janković i M. Proticia. V. Madźiarević pisze o przedwojennej walce „Młodych" w Stowarzyszeniu Pisarzy Chorwackich. Najnowszy (1—2) *Izraz* przynosi głównie eseistykę i materiały z zakresu literatur i kultur obcych: J. Focht pisze o religii i sztuce w filozofii Hegla. M. Karaulac o kierunkach w najnowszej powieści francuskiej, D. Milačić o osobowości Stendhala, Stefan Morawski o *Perypetiach teorii realizmu socjalistycznego*, N. Smailagić drukuje ostatni odcinek serii *Przemysł i kultura*.

Trudno omówić wszystkie ciekawsze pozycje *Književnich Novin* drukowane w tak długim okresie. Ciągle trwa tam jeszcze dyskusja na temat estetyki, ale zaczyna jak gdyby wpadać w styl „golono-strzyżono". Niektórzy dyskutanci zabierali głos po 5 razy (Jeremić) lub 4 razy (Damnjanović), a większość pozostałych po 2 razy (M. Marković, P. Stefanović, Ž. Vidović). Samo zestawienie tytułów w kolejności ich występowania daje pewne pojęcie o charakterze dyskusji: *Na pytanie — czemu estetycy, Nie tylko estetyka, Tylko estetyka, Dlaczego estetyka, Uzupełniające uwagi krytyczne, Uwaga końcowa, A jednak estetyka*. Na razie ostatnia jest wypowiedź I. Fochta *O konieczności zajęcia się przez estetykę badaniami ontologicznymi*, tak że właściwie nie wiadomo, kiedy i czym się to skończy. W kolumnie *Życie wokół nas* M. Milankov (*Književne Novine*, 4.XII) zwraca uwagę na to, że głównym motywem i podstawą atrakcyjności najbardziej popularnych rozrywek (od zabaw dziewięcioletnich chłopców poprzez sport, aż do filmów i literatury) jest brutalna siła i morderstwo. Jugosławia w dziedzinie np. konsumpcji literatury kryminalnej jest bliska przeciętnej światowej. Jedynie prasa codzienna, zdaniem autora, nie osiąga poziomu prasy zachodniej pod względem umiejętności wykorzystania rzeczywistych faktów jako źródła literackiej sensacji. W związku ze śmiercią A. Camusa *Književne Novine* opublikowały oprócz artykułu M. Jeremicia *Camus i solidarność* oraz fragmentów z pism Camusa także bibliografię *Camus w Jugosławii*. Bibliografia obejmuje wydane w Jugosławii przekłady Camusa oraz literaturę o nim.

Słoweńska *Naša Sodobnost* poświęciła dwie pozycje twórczości Slavka Gruma, wybitnego i oryginalnego, a do niedawna zapomnianego słoweńskiego pisarza lat trzydziestych. Zainteresowanie Grumem obudziło się w Słowenii w związku ze wznowieniem w 1954 roku jego sztuki *Wydarzenie w mieście Goga*. Sztuka, która przed dwudziestu dwu laty zeszła z afisza po paru przedstawieniach, teraz wywołała sensację swoją nowoczesnością formalną i treściową. W Nrze 11 J. Koruza recenzuje wydany ostatnio tom zebranej prozy i dramatów Gruma, a w Nrze 2 drukuje I część rozważań o prozie Gruma. Z ciekawszych pozycji trzeba jeszcze wymienić dramat M. Bora *Welon z poświaty księżycowej* (*Naša Sodobnost*, Nry 1 i 2) oraz Miry Mihelić *Zmarli wracają*. Jest to fragment nowej powieści tej autorki. O ile można sądzić z tego fragmentu, powtarza się tu środowisko, czas akcji i nawet typ konfliktów zaprezentowany w wydanej przed rokiem dobrej powieści tej autorki *Kwiecień*.

W jugosłowiańskiej prasie literackiej znowu możemy odnotować garsteczkę poloników. Co ciekawe, przodują pod tym względem Słoweńcy. Styczniowy numer *Našej Sodobnosti* przyniósł informację M. Ljubicia o nowych kierunkach w polskim filmie. *Naši Razgledi* z 12.XII opublikowały sześć wierszy K. I. Gałczyńskiego w przekładzie i z notką informacyjną L. Krakara. Numer z 26.XII zawiera sporą recenzję o wystawie polskiej książki naukowej w Lublanie. Numer z 23.I ma aż dwie pozycje: U. Kraigher przełożył jedno z opowiadań T. Borowskiego *Was hab' ich getan* — śmierć Schillingera, a dramaturg i krytyk literacki zamieszcza tekst obszernego referatu o Juliuszu Słowackim, wygłoszonego 27.XII w Lublanie na akademii poświęconej pamięci poety. Popularno-naukowy miesięcznik *Jezik in Slovstvo* poświęcił także czołową pozycję ostatniego swego numeru J. Słowackiemu (autor: R. Stefanova). Belgradzkie *Književne Novine* przedrukowały w lutowym numerze artykuł B. Krefta. Ten sam dwutygodnik wydrukował w numerze z 4.XII

w dziale tłumaczonych esejów *Kryterium liryki* J. Przybosia, a 18.XII kilka *Myśli nieuczesanych* St. J. Leca w przekładzie T. Wójcik oraz informację o polskim przekładzie *Górskiego wieńca* Njegoša. *Delo* w Nrze 2 zaczęło drukować przekład *Proroka i błazna* Leszka Kołakowskiego, dokonany przez spółkę Kaszyński-Jerković.

Naši Razgledi z 6.II. przynoszą dwa raczej smutne polonica, dotyczące tego, „co Polacy wiedzą o Słoweńcach". W artykule pod tym właśnie tytułem L. Krakar informuje swoich rodaków, że i jak dalece Polacy o Słoweńcach nic nie wiedzą. Tak dalece, że niektórzy profesorowie uniwersytetów nawet nie domyślają się ich istnienia. Proponuje wobec tego, aby na stypendia do Słowenii przyjeżdżali nie asystenci uniwersytetów, tylko poeci, którzy lepiej przysłużą się sprawie popularyzacji literatury słoweńskiej. Drugi autor, B. B., recenzuje dwa polskie slovenica (nowele Cankara i artykuł V. Molè o współczesnym malarstwie słoweńskim).

Jako ciekawe na wpół polonicum słoweńskie warto zasygnalizować fakt, że teatr w Celju jako pierwszy — poza Niemcami — wystawił sztukę E. Sylwanusa *Korczak i dzieci*, wyprzedzając w ten sposób zapowiedzianą premierę francuską i duńską.

ho

Niemcy

NEUE DEUTSCHE LITERATUR (Berlin, NRD), nr 2, luty 1960 r. Tym razem pierwszeństwo dano młodym prozaikom. Klaus Steinhaussen, który przed dwoma laty zadebiutował jako poeta, publikuje nowelę *Kähling powraca*, obrazującą kontrasty społeczne pomiędzy NRD i Niemcami zachodnimi. Opowiadanie Karl-Heinza Jakobsa *Nowela weimarska* dotyczy problemów współczesnego życia NRD. Walter Radetz drukuje fragment powieści *Turniej w Finlandii* osnutej na biografii słynnego sportowca, Seelenbindera.

Słuchowisko Hermanna Wernera Kubscha *Zmiana* opowiada o ludziach dzisiejszej wsi niemieckiej. Akcja toczy się tutaj w roku 1955, w stacji traktorowo-maszynowej. Wiązanka wierszy Uwe Bergera zawiera poezje o treści lirycznej, filozoficznej i społecznej. Większość z nich wzoruje się na tradycyjnej technice poetyckiej.

W numerze znajdujemy tylko jeden esej, ale poruszający bardzo ciekawy problem, który nasze czasopisma z reguły pomijają milczeniem: Ernst Schumacher pisze na temat literatury pięknej w stuleciu nauki. Autor należy do najlepszych znawców twórczości Berta Brechta, którego sztuce dramatycznej poświęcił obszerną książkę. Również i w tym szkicu, analizującym powiązania literatury z nauką, wywody opierają się na przykładach zaczerpniętych ze sztuk i teoretycznych tez Brechta.

Schumacher jest zdania, że literatura musi, zachowując swoją estetyczną specyfikę, posługiwać się zdobyczami nauki, a poza tym stosować estetyczną metodę, opartą na naukowych zasadach. „Tylko pod tym warunkiem — brzmi konkluzja — może ona być przyjaciółką i pomocnicą ludzi, którzy w stuleciu nauki muszą rozwiązać olbrzymie problemy. Tylko wtedy będzie mogła ukazać obiektywne piękno poprzez formalne piękno dzieła, tylko w ten sposób będzie mogła być literaturą piękną."

SINN UND FORM (Berlin, NRD), nr 5/6, koniec roku 1959. Podwójny zeszyt wypełnia lukę ostatnich czterech miesięcy minionego roku i liczy trzysta stron. Materiał, bardzo ciekawy, obejmuje prace kilkunastu autorów różnej narodowości. Obok Niemców z NRD (Brecht, Hans Mayer, Helmut Richter, Joachim Müller, Herbert Ihering) i NRF (H. H. Jahnn) znajdujemy tu nazwiska Austriaków (Ernst Fischer), Rosjan (Tarlé, Demczenko, Genin), Francuzów (Aragon, Pozner), Włochów (Carlo Levi, Quasimodo), Irlandczyków (Sean O'Casey), Amerykanów (V. J. Jerome).

Przeważa proza. Reprezentują ją nowele Carla Levi (*Słowa są kamieniami*), O'Casey'a (*Obrazy w przedsionku*),

fragment powieści Aragona *La Semaine Sainte* i opowiadanie Poznera *Niebieski płaszcz*. Z poezji, obok wierszy Quasimoda, zasługuje na uwagę nie drukowany dotychczas wiersz Brechta. *Tak niebezpieczny jak pożyteczny*.

Dwóchsetlecie urodzin Schillera uczczono aż trzema rozprawami. Świetny historyk literatury, Hans Mayer, pisze o interpretacji dzieł Schillera w ciągu 150 lat po jego śmierci i o wpływie jego na późniejszą literaturę niemiecką. Germanista węgierski György M. Vajda rozważa wpływ Schillera na literaturę europejską. Wreszcie Demczenko i Genin piszą o inscenizacjach sztuk Schillera na scenach rewolucyjnego Piotrogradu.

Z zaciekawieniem czyta się wspomnienia Nazima Hikmeta o Meyerholdzie i esej Helmuta Richtera o Kafce. Ostatni szkic omawia niektóre nowele Kafki i wykazuje ich powiązania z niemiecką klasyką. Richter interesuje się przede wszystkim społeczną problematyką Kafkowskiej prozy, w której dostrzega motywy ostrej krytyki naszego stulecia. Praca ta jest o tyle charakterystyczna, że wskazuje na dużą rozbieżność zdań o Kafce w krytyce marksistowskiej, gdzie, obok prób całkowitego przekreślenia dorobku tego pisarza, spotykamy się z tendencją wręcz przeciwną. Już przedtem marksistowski krytyk austriacki, Ernst Fischer, wysoko ocenił twórczość autora *Wyroku*, w tym duchu wypowiedział się również Hans Mayer, a obecnie Richter idzie również w ich ślady.

Numer zamykają wywody Iheringa o aktualnych wydarzeniach teatralnych i filmowych oraz noty.

MERKUR (Stuttgart), nr 144, luty 1960 r. Wiersze Johna Keatsa w przekładzie Heinza Piontka, fragment powieści Melity Maschmann — *Trzynasty*, wreszcie fragment powieści austriackiego prozaika, Aleksandra Lernet-Holenii — oto utwory ściśle literackie. Najciekawszą pozycją numeru jest niewątpliwie artykuł Theodora W. Adorno, świetnego teoretyka sztuki i socjologa niemieckiego, pod tytułem *Kultura i administracja*.

Adorno bada wpływ biurokracji na rozwój życia kulturalnego w związku z coraz większym rozrostem instytucji życia publicznego w naszym stuleciu. Autor rozważa problem z punktu widzenia paradoksu: „Kultura ponosi szwank, jeśli jest planowana i zarządzana; ale jeśli jest pozostawiona sama sobie, grozi jej nie tylko utrata możliwości oddziaływania, lecz także możliwości istnienia".

Wśród recenzji zwraca uwagę artykuł Johannesa Holthusena, który omawia niemieckie przekłady rosyjskich i polskich liryków. Przekładów tych jest coraz więcej, co wskazuje na wzrost zainteresowania rosyjską i polską literaturą w Niemczech zachodnich. Z rosyjskich poetów wydano w NRF ostatnio wybór tłumaczeń Błoka, którego przełożył znany poeta Paul Celana, dalej poezje Osipa Mandelsztama, Majakowskiego i Pasternaka. Holthusen omawia obszernie tom polskiej liryki, wydany przez Dedeciusa, której nie szczędzi słów pochwały. Autor cytuje fragmenty wierszy Różewicza, Koszuckiego, Elektorowicza i Herberta.

Numer zamykają recenzje bieżących nowości wydawniczych.

NEUE DEUTSCHE HEFTE (Gütersloh), nr 67, luty 1960 r. Zaczynamy od poloników. Miesięcznik ogłasza całą stronę *Myśli nieuczesanych* Stanisława Jerzego Leca, w przekładzie Karla Dedeciusa. W dziale recenzji zwraca uwagę obszerne omówienie *Matki Królów* Kazimierza Brandysa. Artykuł, którego tytuł brzmi *Krytyczny formalizm*, mówi o powieści z uznaniem. „Być może — konkluduje recenzent, Gunar Ortlepp — że byłoby tu odpowiednie porównanie z Kafką i jego ludźmi, i sądowymi instancjami. U Kafki i u Brandysa figury poruszają się jak zbłąkane istoty w obcym człowiekowi świecie, w którym już nie ma pewności. Jeśli istnieją w nim przyczynowe związki, to wymykają się one możności ludzkiego poznania. Tym samym tu i tam subiektywna świadomość nie może rozpoznać winy... Ale Brandys, w odróżnieniu od Kafki, jest przede wszystkim krytykiem społecznym. Podczas gdy Kafka tworzy nierealny świat przy pomocy realistycznych szczegółów, Brandys postępuje odwrotnie: jego świat jest dokładnie skonkretyzowany w czasie i przestrzeni, dopiero poprzez szczegóły rozpływa się w sferze nierealnego snu. Sędziowie Kafki są nieosiągalni, natomiast Brandys zna swoich sędziów i oskarża ich o nieludzkość".

Z prozy należy się wzmianka fragmentowi powieści Szołochowa *Zorany ugór* w przekładzie Heinza Ischreyta. Książka ta ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa Paul List (Monachium), które już przedtem wydało *Cichy* Don. Miesięcznik zapowiada również szkic Ischreyta o twórczości Szołochowa.

Z esejów warto przeczytać rzecz Borrisa o formie nowoczesnej muzyki oraz artykuł Partalasa: *Film francuski na nowej drodze*. W dziale recenzji znajdujemy omówienia bieżących nowości wydawniczych.

DIE KULTUR (Monachium), nr 148, luty 1960 r. Miesięcznik nie zajmuje się tym razem sprawami literatury, lecz problemami polityki. Cały numer jest poświęcony analizie faszystowskich i antysemickich ekscesów. Temu zagadnieniu nie poświęcono w niemieckiej prasie należytej uwagi, toteż lutowy zeszyt monachijskiej *Kultury* jest tutaj chlubnym wyjątkiem. Redakcja w całej pełni oceniła grozę wydarzeń i uderzyła na alarm. Większość artykułów jest surowym oskarżeniem tego, co się dzieje w Niemczech zachodnich. Wiele wypowiedzi, materiał fotograficzny ilustrujący ohydę wypadków i sądy najwybitniejszych intelektualistów robią wstrząsające wrażenie.

W artykule wstępnym prozaik Robert Neumann rozprawia się z fałszywym mitem: „Przede wszystkim natykamy się na kłamstwo i samookłamywanie. Że o okrucieństwach, których dopuszczono się wobec Żydów, dowiedzieliśmy się dopiero po roku 1945, że to wszystko rozegrało się za drutami kolczastymi w leżących na uboczu obozach koncentracyjnych, że zbrodni dopuścili się Hitler, Himmler, SS i SD w konspiracji milczenia; twierdzić to dzisiaj — oznacza uprawiać konspirację, której celem jest wybielenie nieczystego sumienia. Duża część niemieckiego Wehrmachtu na wschodzie brała udział w morderstwach albo wiedziała o nich, a duża część zaplecza była tego świadoma".

„Co robić? — konkluduje autor — Wychłostać kilku małych łajdaków czy bikiniarzy, czy smarowozów, którzy dzisiaj smarują swastyki na murach? Nie, to do niczego nie doprowadzi. Ale jeśli wydarzenia ostatnich tygodni skłonią dorosłych, by powiedzieli dzieciom, jak się rzecz naprawdę miała z tysiącletnią Rzeszą, i jeśli się zmusi nauczycieli powiedzieć prawdę dzieciom, jeśli się zmusi władze, by zmusiły do tego nauczycieli — jeśli to wstrząśnie ludźmi tak, że pójdą z tym do swoich związków zawodowych albo do swoich kapłanów, o ile są oni prawdziwymi kapłanami — wtedy będzie to wielka rzecz."

Pisze również na ten temat Erich Kästner: „Naród, który był tak zdemoralizowany, jak naród niemiecki w trzeciej Rzeszy, powinien przykładać większą wagę do publicznej moralności, winien wykazać więcej publicznego taktu, nie powinien dopuścić, by intelektualni pomocnicy ludobójstwa lub komentatorzy ustaw norymberskich, jak Teodor Oberländer czy Hans Globke, byli ministrami lub podsekretarzami stanu w urzędzie kanclerza związkowego, nie powinien pozwolić, by rzecznicy SA byli ministrami, nie powinien też tolerować dawnych nazistowskich wielkości w urzędach, na uniwersytetach, w szkołach, w urzędzie prasowym, w akademiach.

Czy chodzi tu o Żydów? Z lat 1933—1945 wynieśliśmy naukę: antysemita jest potencjalnym wrogiem ludzkości, wrogiem narodu niemieckiego. Naziści wyrżnęli nie tylko miliony Żydów, ale i Polaków, Czechów, Rosjan, Węgrów, Cyganów, Francuzów i miliony Niemców. Kto morduje niewinnych ludzi pod niedorzecznym pretekstem, ten wnet będzie mordował innych ludzi bez pretekstu. Czy Niemcy przebaczyli i zapomnieli wymordowanie sześciu milionów Żydów i wymordowanie milionów Niemców na wojnie, w obozach koncentracyjnych, na mocy wyroków owych sędziów, którzy jeszcze dzisiaj są sędziami, czy wybaczyli winnym wojny światowej i podziału Niemiec, winnym śmierci milionów Europejczyków, czy zapomnieli trzecią Rzeszę?"

W sprawie antysemickich wypadków redakcja rozpisała ankietę i drukuje wypowiedzi najwybitniejszych pisarzy niemieckich i autorów zagranicznych. Z Polaków zabierają głos Jarosław Iwaszkiewicz i Leszek Kołakowski.

rk

W styczniowym numerze TEMPO PRESENTE Nicola Chiaromonte opowiada o spotkaniach z Camusem. Włoski eseista poznał autora *Obcego* w Algerze w roku 1941. Camus był znany wtedy wśród miejscowej młodej inteligencji, młodych literatów, dziennikarzy, studentów. Młodzież ta utrzymywała przyjacielski kontakt z Arabami, darzyła natomiast nienawiścią miejscową burżuazję oraz rząd Pétaina. Można ich było spotkać wałęsających się gromadą na plaży a wieczorami tańczących przy dźwiękach patefonu. Urządzali też przedstawienia teatralne. Duszą tej młodzieży był Camus. On też wyreżyserował *Hamleta*, w którym grał rolę tytułową, zaś żona jego grała Ofelię. W tym okresie Camus pisał swój utwór dramatyczny *Kaligula*. Wspomniał tylko o tym Chiaromontemu, nie wykazując chęci wynurzania się na ten temat. W ogóle Camus był skryty i małomówny, ale pełen życzliwości dla ludzi, których obdarzał dyskretną przyjaźnią. Drugi raz Chiaromonte spotkał Camusa po wojnie w Nowym Jorku w roku 1946. Sławny już wtedy pisarz francuski został zaproszony przez Columbia University w celu wygłoszenia odczytu. Autor wspomnień daje szczegółowe streszczenie tego odczytu na podstawie porobionych notatek. Camus w wygłoszonym odczycie zawarł kwintesencję swojej filozofii, która zdaniem Chiaromonte polega na negowaniu wszelkich ideologii, pretendujących do globalnego prawa nad życiem ludzkim.

Czasopismo *Tempo Presente*, wyliczając wypowiedzi włoskich pisarzy w związku ze śmiercią Camusa, wyraża żal, że Elio Vittorini wykorzystał tę okazję, aby pomniejszyć znaczenie zmarłego pisarza, laureata nagrody Nobla. Vittorini zapytany, co myśli o Camusie, odpowiedział: „Przykro mi mówić o tym teraz, w takiej chwili, ale nie był on osobistością pierwszoplanową w kulturze francuskiej". Należy jeszcze wspomnieć, że Moravia musiał w specjalnym liście wydrukowanym w *Mondo* zdementować kilka niepochlebnych zdań o zmarłym, jakie mu przypisywano.

Ciekawy artykuł Elemira Zolli *Jak się rodzi antysemityzm?* opiera się na publikacji niemieckiej P. W. Massinga *Vorgeschichte des politischen Antisemitismus*, wydanej w roku 1959 we Frankfurcie nad Menem. Powody jak u Engelsa są ekonomiczne i polityczne. Już Engels bowiem twierdził, że antysemityzm powstał w łonie arystokracji żywiącej pogardę dla swych bankierów Żydów, ale przeznaczony on był dla drobnomieszczaństwa, wśród którego miał budzić nienawiść przeciw wielkiej burżuazji. Antysemityzm współczesny powstaje właściwie w roku 1873, w roku wielkiego kryzysu w przemyśle niemieckim, stając się odtąd elementem gry politycznej sfer rządzących. Wina za klęski ekonomiczne zostaje zepchnięta na Żydów. Jeden z pierwszych ideologów antysemityzmu, Wilhelm Marr, przez oczernianie Żydów zmierza właściwie do skompromitowania polityki Bismarcka, nazywając myśl o zjednoczeniu Niemiec intrygą żydowską i dążeniem do „Nowej Palestyny". Zastanawiając się nad przyczynami gwałtownej formy antysemityzmu w Niemczech Massing dochodzi do wniosku, że jest to wynik uprzemysłowienia kraju bez przeprowadzania rewolucji demokratycznej jak w innych krajach Europy. Burżuazja niemiecka nie została dopuszczona do sprawowania władzy i musiała się zadowolić poczuciem wyższości rasowej nad Żydami, jaką wmawiały jej teorie antysemickie. Nienawiść skierowana przeciw Żydom mniej kryła w sobie niebezpieczeństw niż krytyka radykałów pod adresem systemu kapitalistycznego, monarchii i militaryzmu. Autor już w tych przejawach dopatruje się przyszłych zbrodni hitlerowskich, które zostały dokonane nie tylko na Żydach.

Miesięcznik COMUNITA, organ wielkiego przemysłowca włoskiego, Olivetti, ma raczej charakter magazynu, w którym znaleźć można wszystko: problemy religijne — postępowy ruch katolicki we Francji; społeczne — ankieta wśród młodzieży szkolnej; polityczne — porównanie przeprowadzone między dwiema konstytucjami, NRF i Republiki Włoskiej; problemy architektury współczesnej — Galeria Sztuki Współczesnej, która została ostatnio

wybudowana w Turynie; kronika poświęcona najnowszym filmom. Obchodzące nas sprawy literackie są reprezentowane przez recenzje poświęcone nowościom na rynku księgarskim. Dają one przegląd produkcji miesięcznej książek autorów włoskich oraz obcych. Dość ciekawą pozycją wydaje się *Młoda siostra* Giovanniego Arpino. Jest to historia miłosna między młodą mniszką... jeszcze nie wyświęconą, a czterdziestoletnim mężczyzną... jeszcze nie żonatym. Powieść ma formę dziennika, co z góry predestynuje ją do rozstrząsań psychologistycznych. Z innych pozycji można wymienić bardzo chwalony zbiór opowiadań Aldo de Jaco *Wyjątkowy tydzień*. W jego nowelach — pisze recenzent — odżywają najlepsze tradycje neapolitańskiej prozy (Matylda Serao, Salvatore di Giacomo), jej ciepły koloryt, umiejętność odmalowania środowiska, pejzażu i oddania atmosfery niezwykłego miasta, jakim jest Neapol.

js

ZSRR

Styczniowe numery miesięczników radzieckich przynoszą sporo interesującej lektury. Widać, że redakcje starannie przygotowały się do startu w 1960 roku, na co zresztą wskazywały już zapowiedzi wydawnicze z końca ubiegłego roku.

NOWYJ MIR rozpoczął druk powieści Natalii Dawydowej *Miłość inżyniera Izotowa*, której akcja rozgrywa się współcześnie w środowisku inteligencji technicznej. Powieść — mogliśmy się dotychczas zapoznać jedynie z jej początkiem — sprawia wrażenie utworu napisanego z nerwem i opartego na dobrej znajomości środowiska.

W tym samym numerze znajdujemy *Bajkę noworoczną* Włodzimierza Dudincewa, którą opublikowała już *Nowa Kultura* w doskonałym przekładzie Wacławy Komarnickiej. *Bajka* jest znacznie ciekawsza pod względem artystycznym od *Nie samym chlebem* i przemawia za tym, że Dudincew nie pozostanie autorem jednej książki.

Dział prozy uzupełniają wspomnienia Samuela Marszaka *Na początku życia*, które już sygnalizowaliśmy naszym czytelnikom w poprzednich przeglądach, oraz nader zajmujące fragmenty *Notatek dla siebie* Wikientija Wieriesajewa. Wieriesajew postanowił napisać tę książkę w połowie lat dwudziestych i pracował nad nią aż do ostatnich dni swego życia, wykorzystując swe notatki i pamiętniki.

W dziale poezji zwracają uwagę nowe wiersze Anny Achmatowej (napisane w latach 1956—1959). *Nowyj Mir* publikuje także utwory Nikołaja Rylenkowa oraz przekłady wierszy kubańskiego poety Nicolasa Guillena.

Dużo miejsca w miesięczniku zajmują materiały związane ze stuleciem urodzin Czechowa. Wymienić tu należy obszerny esej W. Łakszyna *Czechow i Lew Tołstoj* oraz polsko-radziecki dwugłos w sprawie nowoczesnego odczytania dramaturgii Czechowa (*Rycerze wiecznej rozterki* Natalii Modzelewskiej i *Replika krytykowi* A. Anastasjewa). Rzeczowy i precyzyjny artykuł Natalii Modzelewskiej, podtrzymującej tezę, że zdecydowana większość dotychczasowych inscenizacji sztuk Czechowowskich w zasadniczy sposób odbiega od intencji autora, oraz polemiczna, nienagannie kurtuazyjna odpowiedź A. Anastasjewa dowodzą przekonywająco, że nawet w jubileuszowej atmosferze może toczyć się ostra i ciekawa dyskusja.

W przeglądzie wydawniczym warto odnotować recenzję B. Sarpowa o tomiku nowych wierszy Michaiła Świetłowa oraz omówienie kapitalnych pamiętników Igora Iljinskiego (A. Mackin — *Igor Iljinski i jego książka*), które znany aktor publikował w ciągu ostatnich dwóch lat w miesięczniku *Teatr*.

OKTIABR otwiera styczniowy numer powieścią Aleksandra Andriejewa *Przyleciały szpaki*. Jest to książka o aktualnej tematyce wiejskiej, akcja jej rozgrywa się w kołchozie w okresie pozjazdowych reform gospodarczych. Powieść Andriejewa posiada poważną wartość dokumentarną, wprowadza

nas w krąg spraw, którymi żyje dziś wieś radziecka.

Jurij Nagibin zamieszcza krótkie opowiadanie *Rozmowa*, napisane z dużą dbałością o lapidarność i oszczędność środków wyrazu.

W dziale poezji znajdujemy poematy Nikołaja Asiejewa i Iwana Ryżikowa oraz wiersze Ludmiły Tatjaniczewej.

Interesująco prowadzony dział *Trybuna Życia* rozpoczął zapowiedzianą w ubiegłym roku dyskusję na temat *Czym jest komunizm?* inauguracyjnym artykułem Fiodora Panfiorowa. W najbliższym czasie wypowiedzą się na ten temat na łamach *Oktiabria* znani radzieccy ekonomiści, socjolodzy i przedstawiciele nauk filozoficznych.

Wśród materiałów czechowowskich godny odnotowania jest esej L. Malugina *Dramaturgia Czechowa i jej badacze*, poświęcony polemice z pracami krytyka W. Jermiłowa. Spór dotyczy, podobnie jak w polemice Modzelewskiej i Anastasjewa, scenicznej realizacji utworów dramaturgicznych pisarza. Malugin stoi na gruncie tradycji mchatowskich i zarzuca Jermiłowowi, że „domagając się, aby grano *Trzy siostry* jako komedię, a *Wiśniowy sad* jako wodewil, cofa on nasz teatr do smutnych czasów »wulgarnego socjologizmu«. Na marginesie warto zaznaczyć, iż Jermiłow nie jest odosobniony w swoich poglądach i że dyskusja o dramaturgii Czechowa jeszcze przez długi czas będzie jednym z węzłowych zagadnień radzieckiej krytyki teatralnej.

W *Dzienniku krytyka* T. Trofimowa w przekonywający sposób wykazuje wątłość teoretyczną rozważań W. Nazarenki, który wystąpił z teorią „rosyjskiego stylu twórczości", właściwego jakoby wszystkim pisarzom rosyjskim, zarówno klasykom jak i współczesnym.

ZNAMIA przynosi w pierwszym tegorocznym numerze porcję prozy. Miesięcznik rozpoczął druk powieści o tematyce współczesnej Aleksandra Czakowskiego *Drogi, które wybieramy* oraz opowieści o rodzinnej wsi Włodzimierza Sołouchina, zatytułowanej *Kropla rosy*. Najciekawszą pozycją prozatorską numeru styczniowego jest chyba jednak opowiadanie Nikołaja Czukowskiego *Trudna miłość*. Autor *Bałtyckiego nieba* z upodobaniem powraca do tematyki wojennej. Akcja jego nowego opowiadania rozgrywa się na jednym z lotnisk oblężonego Leningradu, znajdującym się pod stałym niemieckim ostrzałem. Niezwykle ciężkie warunki egzystencji modelują w swoisty sposób życie bohaterów Czukowskiego, ich postępowanie i uczucia. Czukowski stara się nakreślić wyraziste portrety psychologiczne ludzi uwikłanych w ciężkie konflikty wewnętrzne.

W dziale poezji znajdujemy nowe wiersze Nikołaja Tichonowa oraz Borysa Słuckiego.

Spośród prac krytycznych wybija się na czoło esej Wiktora Szkłowskiego o Czechowie. Tę pracę literaturoznawczą, bynajmniej nie popularyzatorską, przeczytają jednym tchem nawet oponenci Szkłowskiego, chociażby ze względu na jej walory stylistyczne. Szkłowski rozpoczyna od uwag na temat tradycyjnej percepcji Czechowa, przypominając, że swego czasu pisarz był uważany nawet przez postępowe koła za czołowego przedstawiciela „czarnej literatury", następnie zaś przechodzi do analizy nowatorskiego warsztatu twórczego pisarza i ładunku ideowego zawartego w jego dziełach. Należy sądzić, że któreś z naszych pism literackich umożliwi polskim czytelnikom zapoznanie się z esejem Szkłowskiego.

Niemal połowę ostatniego numeru MOSKWY zajmuje reportaż N. Michajłowa i Z. Kosienko *Amerykanie* — żywa i pełna humoru relacja z podróży autorów do USA.

Jak zwykle w tym miesięczniku, obszernie reprezentowana jest poezja. Znajdujemy tam wiersze tak znanych poetów, jak Nikołaj Asiejew, Leonid Martynow i Aleksander Prokofiew.

Moskwa publikuje specjalnie dla niej napisany artykuł Michela Wilsona *Strach nam już obrzydł*, poświęcony wizycie Nikity Chruszczowa w Stanach Zjednoczonych oraz perspektywom stosunków radziecko-amerykańskich.

W związku z uroczystościami ku czci Czechowa miesięcznik ogłosił ankietę na temat *Za co kochamy Czechowa*. W ankiecie wzięli udział m. in. Aleksiej Arbuzow, Aleksander Bek, Jurij Olesza, Konstanty Paustowski, Ilja Selwinski, Konstanty Fiedin, Włodzimierz Tendriakow, Korniej Czukowski, Wiktor Szkłowski i in.

zf

MARGINALIA CZECHOWOWSKIE

Tołstoj i Czechow

Któż by się teraz odważył go odbrązowić? Tonie w dymie uwielbienia niemal bałwochwalczego, w powodzi frazesów, którymi za życia gardził. Ale zanim kanonizowano go na klasyka i postawiono na cokole, nie zawsze umiano, jak wiadomo, nawet w Rosji rozeznać jego atuty i forty ani doszukać się głębszych wartości. Spozierano na jego pospieszną produkcję sceptycznie i krytycznie i, mimo powodzenia, z lekceważeniem, niechęcią i zawiścią oczami zawodowych skrybów dziennikarskich i okularami dobrze ryczałtowanych arystarchów, jak Michajłowski i Skabiczewski. „To przecież anegdociarz, umiejący sprytnym chwytem zabawić publiczność, bez zasad, bez głębszej myśli, bez idei..."

Nawet „prorok" z Jasnej Polany, który wszystko w lot chwytał i o wszystkim wypowiadał kategoryczne sądy, w 1889 notuje: „Czytam milutkie utworki Czechowa. Kocha dzieci i kobiety — no, to jeszcze mało"...

W parę lat później przypadła Tołstojowi do smaku *Sala nr 6:* „Jaka to dobra rzecz..." A w 1895 donosił synowi: „Odwiedził nas Czechow, podobał mi się, bardzo utalentowany i zapewne dobrego serca, lecz nie posiada dotychczas wyraźnego własnego stanowiska" (*„no do sich por niet u niego swojej opriedielionnoj toczki zrienija"*).

Chodziło właśnie o tę osobistą *„toczkę zrienija"*, i to nie tylko Tołstojowi. Czechow bowiem wydawał się pisarzem „nie zaangażowanym", biernym, nie przyjmował pozycji walki. To dyskwalifikowało. Pisarz musiał o coś walczyć, przekonywać, uzasadniać, potępiać, wychowywać, przewodzić, prorokować. On zaś jedynie obserwował i z okrutnym obiektywizmem spokojnie rejestrował. „Chciał być tylko widzem", jak to lapidarnie sformułował Stanisław Brzozowski w 1904 roku.

Lektura pysznej noweli Czechowa *Dama z pieskiem* każe Tołstojowi oburzać się w swym dzienniku (16.I.1900): „To wszystko Nietzsche! Ludzie, którzy nie wypracowali w sobie jasnego poglądu na świat, rozróżniającego dobro i zło. Przedtem załamywali się, szukali, teraz zaś myśląc, że są po tej stronie dobra i zła, pozostają po tamtej stronie, niemal jak zwierzęta"...

Nie po raz pierwszy skarżył się Tołstoj na tę zatratę poczucia rozróżnienia dobra i zła. „To straszne — pisał w 1893 po przeczytaniu jakiegoś romansu Potapienki — że ci wszyscy pisarze, i Potapienki, i Czechowy, Zole i Maupassanty nawet nie wiedzą, co dobro, a co zło; przeważnie to, co złe, uważają za dobre i tym karmią publiczność, pod postacią sztuki demoralizując ją."

Problem ten ujawnił się w całej ostrości, gdy Tołstoj biedził się w tym samym roku 1894 nad przedmową do rosyjskiego wyboru nowel Maupassanta, któremu wprost zarzucał brak właściwego, tj. moralnego, stosunku do opisywanych przedmiotów. „On sam mówi — pomstował w liście do córki — że celem sztuki jest *faire quelque chose de beau.* A to *beau* jest *une convention humaine*, tzn., że to piękne, co kto uważa za piękne. I tak myślą

wszyscy: i Riepiny, i Kasatkiny, i Czechowy"...

Tołstoj zdecydowanie nie znosił dramatów Czechowa. W styczniu 1900 wybrał się w Moskwie zobaczyć w Teatrze Stanisławskiego *Wujaszka Wanię* i był oburzony! „Do wywołania nastroju — eksplikował Siergiejence — wystarcza wiersz liryczny. Forma dramatyczna służy i powinna służyć innym celom. W utworze dramatycznym powinno się postawić jakąś nie rozwiązaną jeszcze sytuację i zmusić do rozwiązywania jej przez każdą z działających osób, zgodnie z jej dyspozycjami. Nic podobnego nie znajdujemy u Czechowa! Nie potrafi wytworzyć odpowiedniego zainteresowania. Skupia np. uwagę widzów na losach nieszczęśliwych: wujaszka Wani i Astrowa, i lituje się nad nimi, nie uzasadniwszy w ogóle, czy zasługują na współczucie, a mnie się zdaje, że oni byli zawsze marni i nędzni"... Więc nie zasługiwali na współczucie.

Innym razem, w rozmowie z Bełdowem, powiedział: „Nie rozumiem zupełnie nowych sztuk, np. Czechowa. Co za potrzebę uczuł malować na scenie, jak się nudzą trzy dziewczęta rosyjskie. Udało mu się wywołać tym jedynie nudę"...

W listopadzie 1901 roku odwiedzili Tołstoja w Gaspra na Krymie Gorki, Czechow i Balmont. „Czechow to zupełny bezbożnik" — notował Tołstoj. Gorki wydawał mu się o wiele głębszy.

We wrześniu 1903 r. zapisywał Tołstoj w dzienniku: „Rozmawiając o Czechowie z Łazariewskim, uświadomiłem sobie, że on, podobnie jak Puszkin, udoskonalił formę. To wielka zasługa".

Łazariewski powtórzył słowa Tołstoja obszerniej: „Czechow!... Czechow to Puszkin w prozie. Podobnie, jak w wierszach Puszkina każdy może znaleźć coś z własnego przeżycia, tak i w opowiadaniach Czechowa ujrzy czytelnik w którymś z nich niezawodnie siebie i swoje myśli"...

Po śmierci Czechowa napisał Tołstoj w 1905 roku posłowie do edycji jego opowiadania *Duszeńka*. Bohaterka tej noweli dziwnie go wzruszała. Przyznawał się, że nie mógł powstrzymać łez przy czytaniu niektórych epizodów. Autor, mówi Tołstoj, nasycił takim cudownym światłem tę miłą istotę, „że pozostanie na zawsze wzorem tego, czym może stać się kobieta, ażeby być sama szczęśliwa i uczynić szczęśliwymi tych, z którymi los ją związał"...

Tołstoj darzył Czechowa szczerą, jakby ojcowską sympatią i życzliwością nie pozbawioną jednak krytycznego spojrzenia. Gorki zaświadcza, jak go Tołstoj lubił, i że raz patrząc za nim powiedział: „Ach, cóż za miły, piękny człowiek! Skromny, cichy, jak panienka. Po prostu cudowny!".

Nie przemówiły do wielkiego starca, tkwiącego w swych naturalistycznych kanonach, subtelne półtony lirycznych komedii Czechowa, nie aprobował jego dramatów, ale uznawał rzetelny talent prozaika, prawdziwego artysty, widział i umiał ocenić człowieka.

Piotr Grzegorczyk

BUŁGARSKI PRZEKŁAD „PANA TADEUSZA"

Historia bułgarskiego przekładu *Pana Tadeusza* brzmi trochę jak dawna opowieść o pracy poety-tłumacza, który, zafascynowany obcym dziełem poetyckim, całymi latami wdraża je w kształt swego ojczystego języka, szlifując i cyzelując swój przekład, aby go w najgodniejszej ukazać postaci. Historia taka mogła się w naszych czasach wydarzyć chyba tylko w Bułgarii, gdzie się żyje mniej nerwowo niż u nas, gdzie poeci mają więcej czasu i — co tu gadać — znacznie lepsze warunki na kultywowanie swoich zamiłowań. I dlatego też praca tłumacza poezji, utalentowanego tłumacza poezji, jest tam w hierarchii twórczej ceniona znacznie wyżej niż u nas. Dlatego też zapewne u nas jedynie Tuwim mógł się zdobyć na przekład tak wielkiego objętościowo utworu, jak *Komu na Rusi dobrze się dzieje* Niekrasowa — i to też nie rozkładając swej pracy na dłuższy okres czasu, jednym, ale za to potężnym zrywem.

Błaga Dymitrowa, wybitna poetka bułgarska, swój przekład *Pana Tadeusza*, wydany latem roku zeszłego, rozpoczęła w 1943 roku, a więc szesnaście lat temu. Szesnaście lat poświęciła na tłumaczenie Mickiewiczowskiego arcydzieła, kilkakrotnie zmieniając koncepcję formy metrycznej, aby jak najbardziej zbliżyć się do oryginału, jak najlepiej w swym języku ojczystym ukazać wszystkie jego właściwości. Toteż

nic dziwnego, że w efekcie tej fantastycznie wytrwałej pracy, wspieranej talentem tłumaczki i świetną intuicją językową, powstał przekład chyba najlepszy — obok ukraińskiego tłumaczenia Maksyma Rylskiego — spośród wszystkich przekładów słowiańskich.

Pouczające są zmiany ogólnej koncepcji metrycznej, jakie kolejno, w toku tłumaczenia, rezygnując nieraz z wyników pracy kilku lat, wprowadzała Błaga Dymitrowa. Pisze o tym w swojej obszernej i wyczerpującej przedmowie prof. Piotr Dinekow, znawca literatury polskiej i bodajże stały konsultant Dymitrowej przy jej tłumaczeniu *Pana Tadeusza*. Pierwszych sześć ksiąg poematu (z czego część została wydrukowana w 1945 r.) poetka przełożyła czternastosylabowym wierszem daktylicznym, osiągając zdaniem prof. Dinekowa — płynność, epicki spokój i szerokość frazy. Jednakże chcąc osiągnąć jak największe zbliżenie do oryginału, Dymitrowa złamała rygor wiersza daktylicznego przechodząc na wiersz różnostopowy. W ten sposób chciała ona w ramach dominującej w bułgarskiej wesyfikacji sylabotoniki nadać wierszowi brzmienie możliwie zbliżone do polskiego trzynastozgłoskowca sylabicznego. Tak właśnie wyglądał fragment księgi dwunastej, drukowanej w 1955 roku.

Jednakże po licznych próbach przeważyła słuszna tendencja, aby przy tłumaczeniu *Pana Tadeusza* wziąć za podstawę formę najbardziej właściwą wersyfikacji bułgarskiej, najbardziej przy tym zgodną z próbami uprzednich przekładów polskiego trzynastozgłoskowca. Tym tradycyjnym metrum, stosowanym w swoim czasie w tłumaczonych jeszcze przez Wazowa, a potem przez Dorę Gabe fragmentach *Pana Tadeusza*, był sześciostopowy jamb. Błaga Dymitrowa wprowadziła tu jednak pewne innowacje: przede wszystkim ruchomą średniówkę — po trzeciej stopie lub w połowie czwartej — a także stałe rymy żeńskie. Prof. Dinekow zapewnia, że „rymy żeńskie, właściwe wierszowi polskiemu, brzmią po bułgarsku tak samo dobrze, mając zresztą swą tradycję w pieśniach ludowych. Jeśli chodzi zaś o rytm jambiczny, to jest on konieczny, gdyż stwarza największe możliwości w oddaniu żywej i różnorodnej, obfitującej w język potoczny opowieści Mickiewicza".

Ale przecież obranie właściwego kształtu metrycznego, które, jak widzimy, nastręczało tłumaczce tyle wątpliwości, było tylko cząstką, i to chyba niewielką, tych wszystkich trudności, z jakimi spotkała się ona w zetknięciu z tekstem. I właśnie tu odniosła Dymitrowa istotne zwycięstwo. Zdołała pokonać opory pozbawionego deklinacji rzeczowników, opartego na odmiennych zasadach fleksyjnych języka bułgarskiego i przekazać w tym języku bardzo odrębne, całkowicie obce kulturze bułgarskiej treści i realia *Pana Tadeusza*. Nawet tak trudne ze względu na specyfikę partie poematu, jak księga siódma, *Rada* — mają w przekładzie Dymitrowej właściwe brzmienie i tempo. Oczywiście ze zrozumiałych powodów w tej właśnie księdze częściej niż gdzie indziej nie zachowuje Dymitrowa ekwilinearności, czasem przegadując, czasem zbyt skracając tekst, oczywiście można by jej wytknąć te i inne potknięcia, ale przecież nie o to chodzi w przekładzie olbrzymiego poematu. I czyż można mieć pretensję do tłumaczki, że nie wypadł jej zręcznie choćby taki dwuwiersz, jak:

Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo [wymowna,
Ale wymowa szum, drum; kropić! to rzecz [główna.

Trzeba zresztą wziąć pod uwagę, że przy ocenach przekładów *Pana Tadeusza* na obce języki jesteśmy szczególnie drażliwi i wymagający — zbyt dobrze każdy z nas od dziecinnych lat pamięta każdy wiersz, każdy zwrot i mimo woli zbyt wielkiej żądamy od tłumaczy dosłowności.

A przecież jakże wzruszający i świeży jest niezbyt dosłowny, lecz w jakiś sposób po bułgarsku wierny zwrot z inwokacji pierwszej księgi:

Swieta Zakrilnice na Jasna Czenstochowa.

Przekład Błagi Dymitrowej jest wierny i twórczy.

Seweryn Pollak

KŁOPOTY Z DRAMATEM

Czasopisma literackie wyrażają ogólne niezadowolenie ze stanu młodej

dramaturgii w Niemczech zachodnich. Kraj, który w minionym stuleciu miał głośnych na cały świat autorów dramatycznych, dzisiaj jest właściwie pozbawiony współczesnych utworów scenicznych.

W tej sprawie zabiera głos w *Neue Deutsche Hefte* (Stuttgart) pani Ursula Brumm, która pisze:

„Niemcy są krajem o najgęstszej sieci teatrów na świecie i najbardziej w teatrze rozmiłowanej publiczności. Nie ma miasteczka, w którym by teatr, utrzymywany z publicznych funduszów, nie ukazywał co wieczór obywatelom problemów ludzkiego życia. Dzisiaj niemieckie teatry grają nowoczesne dramaty z całego świata, ale niestety mają bardzo mało sztuk młodych niemieckich dramatopisarzy. Wyjątkami są piszący po niemiecku Szwajcarzy, Dürrenmatt i Frisch. Oczywiście, nie przeżywamy rozkwitu niemieckiej literatury, ale po wojnie ukazało się kilka powieści i zbiorów poezji, o których można poważnie dyskutować, nie ukazał się natomiast żaden dramat dużej miary, prócz *Na dworze przed drzwiami* Wolfganga Borcherta, który zmarł w 1947 r."

Co do kryzysu niemieckiego dramatu nie ma różnicy zdań, natomiast spór toczy się o jego przyczyny. Tutaj opinie są sprzeczne, jedni powołują się na względy natury ekonomiczno-organizacyjnej, inni na brak współpracy między teatrem a młodymi pisarzami, jeszcze inni zwalają winę na publiczność itd. Rozważania Ursuli Brumm idą w innym kierunku. „Elementarnym wyposażeniem dramatopisarza — pisze — jest niezbędna doza własnych sądów. Sądów o naturze człowieka, o jego powołaniu i losie. To brzmi całkiem prosto, ale w tym kryje się odwaga podejmowania zasadniczych decyzji."

Autorka rozwija tę myśl następująco: „Powieści, zwłaszcza w nowoczesnym, nierealistycznym stylu, można pisać, nie podejmując problemu rozstrzygających sądów o człowieku; jeśli jednak ktoś umieszcza go na scenie jako postać działającą, musi wypowiedzieć o nim swoje krytyczne zdanie. Wydaje się jednak, że zarówno w demokratycznym społeczeństwie amerykańskim, jak i w społeczeństwie powojennych Niemiec panuje strach przed takim sądem. W pierwszym ludzie mają odwagę co najwyżej finansowo wznieść się ponad bliźnich; w drugim zazębianie się ludzkiego życia z mechanizmem państwa utrudnia wyrobienie sobie jasnego zdania o naturze ludzkiej".

Konkluzja brzmi: „Osoby współczesnych dramatów niemieckich mają w sobie coś marionetkowego; niewiele mówią o naturze człowieka, nawet nie pouczają nas, jak to się dzieje, że jedni są tacy, a drudzy inni. Tak więc niemiecki dramat stoi wciąż jeszcze przed trudnym zadaniem wyklarowania koncepcji o człowieku, odpowiadającej czynom i wydarzeniom ostatnich lat pięćdziesięciu". Krótko mówiąc, Ursula Brumm daje delikatnie do zrozumienia, że niemieccy dramatopisarze ułatwili sobie życie. Zamknęli oczy na to, co się w niedalekiej przeszłości stało, i nie mają odwagi przeprowadzić rozrachunku z minionym czasem. Udają, jak gdyby wszystko zaczęło się przed chwilą. Stąd papierowe konflikty, papierowe postacie i papierowe dramaty.

rk

IKONOGRAMY

Spotkanie ambicji pokrewnej więc ambicji nękanej podobnymi potrzebami i podobnymi niezaspokojeniami, szukającej podobnie, tzn. podobnie błądzącej — to szczęście i okazja. Okazja przede wszystkim. Wszystkie możliwe spotkania w sztuce polegają na przeciwstawieniu, konfrontacji, walce. Poezje muszą być niepodobne, skłócone wzajemnie i dopiero z niezgody czerpią siły do życia, tzn. do oryginalności. Tam miłości, jeżeli są, to jedynie miłości-kontrasty, miłości niemożliwe jak nieba do ziemi, wody do ognia. Najbardziej nienawidzą się właśnie podobieństwa wyobraźni płynące do wspólnego morza, ideału, mianownika. Po pokrewieństwa trzeba iść do dalekich krajów, do innych niemal ras wzruszenia. Do malarstwa, do muzyki się wędruje. O takim jednym własnym spotkaniu i takim jednym pokrewieństwie piszę w tej chwili.

Adam Niemczyc, autor *ikonogramów* (albo, jak początkowo nazwał swoje obrazy: *epigramatów* malarskich), które wystawił w Warszawie, chce swoim

malarstwem mówić tak, jak mówi poezja, to znaczy chce wyjść na przedpola sensu, tam, gdzie dopiero powstaje mitologia rzeczy, gdzie rodzą się ich pierwsze znaczenie i pierwsze piękno. Bo to jest i było funkcją poezji od pierwszego zachwytu i pierwszego przerażenia światem. To jest jej racją bytu i powołaniem. Czymże ma być, jeśli nie odkrywaniem świata wciąż na nowo, w każdej rzeczy stwarzaniem go do nowego sensu? Jeśliby tej re-kreacyjnej funkcji nie spełniała, byłaby zwyczajnym klepaniem wierszy jak pacierzy.

Jeśli się zastanowić głębiej, rozsunąwszy zasłony — kategorie wyrażenia, to cel malarstwa, cel muzyki, cel każdej sztuki jest identyczny z tym pierwszym celem poezji. Dać każdej rzeczy olśnienie Stworzenia — tego pragnie malarstwo od najdawniejszego do najnowocześniejszego. W tak zwanych głębiach przeżycia sztuki (poezji czy malarstwa) wszystko jest proste, komplikacje tworzą się dopiero na wyższych piętrach. Tam dopiero, tam wysoko — malarstwo jest tylko malarstwem, barwą, linią, walorem, tam dopiero forma odrywa się od realności, sztuka kłóci się ze światem.

W malarstwie bardziej może niż w innych sztukach panuje bizantynizm formuł. Temat, ilustracyjność są kategoriami potępienia, piekłem. A przecież olbrzymia część dzieła takiego Picassa (nie mówiąc już o Chagalu) to przede wszystkim temat, to wizja tortur świata, świata rzeczy i świata ludzkiego ciała. Malarstwo nowoczesne w swoich najskrajniejszych objawach wyrywa się z terroru formuł i sięga do tych głębin, gdzie tworzą się mity.

Myślę o tym wszystkim patrząc na *ikonogramy* Adama Niemczyca. Wydają mi się ciekawą i bardzo twórczą próbą znalezienia nie wyjścia z impasu — jak to się zwykle minimalistycznie formuje — ale wejścia na otwartą przestrzeń możliwości. Niemczyc szuka ostentacyjnie, powiedziałbym: prowokacyjnie związków z literaturą, z poezją, chce z jej pomocą trafić na źródło pierwszych sensów i pierwszych wzruszeń rzeczy. Jest więc *przedstawiający*, więcej, tematyczny, ale to, co przedstawia, ten jego temat, jest skrótem metaforycznym, mitologiczną próbą.

Autor *ikonogramów* tą tematyką nawiązuje do niektórych moich sformułowań i celów poetyckich. Niektórymi swoimi kompozycjami próbuje wyrazić te same sprawy, które ja zaproponowałem do przeżycia i do uogólnienia (*Przestrzeń między nami, Kosanakamienia* np). I w tych właśnie kompozycjach widzę najwyraźniej specyfikę tego malarstwa, które jest tylko pozornie ilustracją. Jest to malarstwo przede wszystkim zgłodniałe symboliki i odwołujące się własnymi środkami wyrażenia do najdalszych, najgłębszych pokładów przeżycia sztuki. Tu środki wyrażenia: gwałtowna czerwień, zieleń, czerń, sakralne złoto, dają mu blask baśni, baśni Stworzenia.

zb

ORĘDZIE O UŚMIERZENIU NGO

Orędzie o uśmierzeniu Ngo jest jednym z klasycznych poematów wietnamskich, dokumentem zarówno historyczno-politycznym, jak i kulturalnym. Pisane językiem niezwykle powściągliwym, z rzadko spotykaną godnością osobistą i narodową (nie zapominajmy, że rzecz zredagował poeta dworski na zlecenie zwycięskiego cesarza), jest jednocześnie świadectwem samodzielności cywilizacyjnej Wietnamu, zwłaszcza na tle chełpliwej grandelokwencji Chin feudalnych.

Orędzie zostało napisane prawdopodobnie w r. 1427 n. e. albo w roku następnym; jest to bowiem data ukończenia 21-letniej wojny wyzwoleńczej przeciwko inwazji chińskiej, która rozpoczęła się w r. 1406 za panowania Mingów; wojna ta miała charakter powstania ogólnonarodowego: podniosło się ciemiężone przez najeźdźców chłopstwo, występując ramię w ramię z patriotyczną częścią arystokracji.

Wiek XV jest okresem bardzo ważnym również i w rozwoju kultury wietnamskiej, literatury w pierwszym rzędzie. Wówczas założona została pierwsza akademia poetycka, nazwana Tao Dan (Trybuna Muz) albo Akademią 28 gwiazd — od liczby partycypujących w niej poetów. Powstanie tej akademii jest momentem decydującym w formowaniu się nowoczesnego języka literackiego Wietnamu.

W. W.

NIE NA ŚMIETNIKU

W numerze styczniowym Waszego pisma ukazał się *Pamiętnik Dawidka*, opatrzony wstępem ob. Marii Jarochowskiej.

Stwierdzam, że ob. Jarochowska błędnie przedstawiła historię pamiętnika. Pamiętnik nigdy nie leżał na śmietniku, ponieważ przechowywałem go od czasu wywiezienia Żydów z Bodzentyna do momentu oddania za pośrednictwem ob. Wołczyk jej mężowi do wykorzystania w miejscowym radiowęźle, tj. wyłącznie w Bodzentynie.

Pamiętnik był znany, gdyż wiele osób widziało go u mnie. Wartość jego była oceniana między innymi przez profesora historii w Liceum Bodzentyńskim, mgr Bolesława Szybalskiego.

Od wielu lat zbieram materiały do opracowania monografii Bodzentyna, a *Pamiętnik Dawidka* stanowi ich część.

Ob. Wołczyk obok pamiętnika posiada także i inne moje materiały do historii Bodzentyna.

Powyższe podnoszę dla sprostowania i obiektywnego przedstawienia historii pamiętnika Dawidka, o czym proszę zawiadomić ob. Jarochowską.

Mgr inż. *Antoni Waciński*

Dyrektor Technikum POW

Sandomierz, ul. H. Sawickiej 18

W SPRAWIE ILFA I PIETROWA

Do
Redakcji „Twórczości"

W zamieszczonym w styczniowym numerze br. *Twórczości* szkicu pt. *Ilf i Pietrow* autor jego, p. René Śliwowski, zauważa w odnośniku na str. 93, że *Ameryka parterowa* ukazała się w Polsce pod niewłaściwym tytułem — *Ameryka jednopiętrowa*, podobnie jak i *Złotego cielca* niesłusznie nazwano *Złotym cielęciem*. Dlatego też p. Śliwowski na przestrzeni całego szkicu posługuje się poprawionym przez siebie tytułem *Złoty cielec*.

Przyznając autorowi szkicu słuszność odnośnie do pierwszego tytułu, tj. *Ameryki jednopiętrowej* (pamiętajmy jednak, że wydano tę książkę w przekładzie Zofii Maliniak w 1937 r., a wiemy, jaki był poziom większości ówczesnych przekładów), czuję się w obowiązku skruszyć przysłowiowe kopie w obronie tytułu *Złote cielę*, jako że poruczono mi pieczę nad redakcyjnym opracowaniem pierwszego polskiego wydania tej książki. Skłania mnie do tego jeszcze i ta okoliczność, że tuż po ukazaniu się tej książki wielu recenzentów, bodajże z A. Mandalianem na czele, postawiło ten sam zarzut pod adresem przekładu tytułu.

Pozwolę więc sobie zacytować fragment przedmowy Konstantina Simonowa do pierwszego powojennego wydania *Dwunastu krzeseł* i *Złotego cielęcia*.

„W *Złotym cielęciu* satyryczny pierwiastek znalazł się w założeniu powieści, jak również i w jej budowie. Jeśli przy *Dwunastu krzesłach* można tylko mówić o przewadze obrazów satyrycznych, to *Złote cielę* jest pomyślane jako utwór w całości satyryczny".

Tym też objaśnia się fakt, że Ilf i Pietrow nie posłużyli się utartym biblijnym wyrażeniem *Złatoj tielec* a filuternie przymrużywszy oka sparodiowali je w tytule *Zołotoj tielenok*.

Zasłużeni spece od humoru i satyry, Jan Brzechwa i Tadeusz Żeromski, w lot odczuli intencje autorów i... nie zabili komizmu zawartego w tytule groźnym i śmiertelnie poważnym *Złotym cielcem*, jak to czynią wszyscy „poprawiacze" i surowi obywatele.

Dlatego też mógłbym do mego wywodu użyć jako motta słów żartobliwego wstępu Ilfa i Pietrowa do *Złotego cielęcia*, który to wstęp p. Śliwowski wprawdzie fragmentarycznie cytował, ale właśnie opuścił jego zakończenie. Brzmi ono, jak następuje:

„W końcu postanowiliśmy:

a) starać się, żeby nasza powieść była w miarę możności jak najbardziej zabawna.

b) jeżeli surowy obywatel będzie twierdził nadal, że satyra nie powinna być śmieszna, zwrócić się z prośbą do prokuratora, żeby na podstawie odnośnego artykułu pociągnął wymienionego obywatela do odpowiedzialności za zawracanie głowy z włamaniem".

Z poważaniem

Kierownik Redakcji Lit. Radzieckiej

I. Szenfeld

LITERATURA POLSKA

Klasycy literatury polskiej

Mickiewicz Adam — (*Wiersze*). Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. (Poeci polscy). Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 123, 5 nl.

Wyspiański Stanisław — *DZIEŁA ZEBRANE*. Tom 8. *Noc listopadowa*. Karty tytułowe, tłoczenia i obwolutę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie 1959; str. 315, 1 nl.

Żeromski Stefan — *Syzyfowe prace*. Powieść współczesna. Posłowie: Władysław Słodkowski. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 280.

Klasycy literatury obcej

Balzac Honoriusz — *KOMEDIA LUDZKA*. XIII. *Blaski i nędze życia kurtyzany. Jak kochają ladacznice. Po czemu miłość wypada starcom. Dokąd wiodą złe drogi. Ostatnie wcielenie Vautrina*. Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 555, 5 nl.

— *KOMEDIA LUDZKA*. XII. *Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau. Bank Nucingena. Król cyganerii. Bezwiedni aktorzy. Aferzysta*. Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 504, 4 nl.

Poezja

Dąbrowska Ewa — *Uliczka nienazwana*. Projekt okładki i ilustracje. Henri Poulain. Biblioteka Poetów 1959). Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 52, 4 nl.

Dolecki Zbigniew — *Morze zatapia sny*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektowała Krystyna Maślanka. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 109, 3 nl.

Hikmet Nazim — *Paryskie zgadywanki*. Poezje. Okładkę projektował Jan Śliwiński. Warszawa, „Iskry", 1960; str. 130, 2 nl.

Łączkowski Zdzisław — *Ciemność z bursztynu*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektowała Krystyna Maślanka. Warszawa, „Pax" 1959, wydanie I; str. 94, 2 nl.

Łoboda Roman — *Szósty smak*. Projekt okładki i ilustracje: Henri Poulain. (Biblioteka Poetów. 1959). Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 93, 5 nl.

Piotrowski Andrzej — *Przerażenia*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektowała Krystyna Maślanka. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 130, 2 nl.

Piotrowski Włodzimierz — *Progi niepokoju*. Projekt okładki i ilustracje: Henri Poulain. (Biblioteka Poetów. 1959). Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 44, 4 nl.

Safrin Horacy — *Mucba na cokole*. Projekt obwoluty, karty tytułowej i ilustracje: Wacław Kondek. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 158, 2 nl.

Szczawiński Józef — *Witraże*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektowała Krystyna Maślanka. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 77, 3 nl.

Wilmański Jerzy — *Poemat niedoskonały*. Projekt okładki i ilustracje: Henri Poulain. (Biblioteka Poetów. 1959). Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 35, 5 nl.

Almanachy

Almanach młodych. 1958—1959. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Iskry", 1960; str. 399, 1 nl.

Proza

Aymé Marcel — *Zielona kobyła*. Tłumaczyła Krystyna Byczewska. Obwolutę projektowała Hanna Stachurska. Warszawa, „Czytelnik", 1960, wydanie I; str. 263, 1 nl.

Brandt Lew — *Pirat.* Przełożyła Magdalena Metanowska. Okładkę projektował Józef Wilkoń. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 222, 2 nl.

Dobraczyński Jan — *Najeźdźcy.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie IV; str. 667, 3 nl.

Gulbranssen Trygve — *...a lasy wiecznie śpiewają.* Tłumaczył Henryk Goldmann. Okładkę i obwolutę projektował Zbigniew Kaja. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie II; str. 353, 3 nl.

— *Dziedzictwo na Björndal.* Tłumaczył Henryk Leśniewski. Okładkę i obwolutę projektował Zbigniew Kaja. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 435, 3 nl.

Hellens Franz — *Nędzarka.* Tłumaczyła Daniela Kolendo. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 207, 1 nl.

Horodyński Dominik — *Syberia inaczej.* Okładkę i stronę tytułową projektował A. Kowalewski, Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1959, wydanie I; str. 154, 6 nl.

Kaider Wojciech — *Śmierć jest światłem.* Obwolutę projektował Henri Poulain. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 196, 2 nl.

Kijowski Andrzej — *Oskarżony.* Obwolutę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 127, 1 nl.

Kisielewski Zygmunt — *Poranek.* Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 177, 3 nl.

Krasiński Janusz — *Haracz szarego dnia.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej Możejko. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 199, 1 nl.

Makarczyk Janusz — *Kobieta zawsze płaci. Gawędy z mórz i wysp koralowych.* Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 502, 2 nl.

Mann Henryk — *Poddany.* Tłumaczyły Maria Wołczacka i Janina Marecka. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 505, 3 nl.

Masters Dexter — *Wypadek.* Tłumaczył Julian Stawiński. Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 499, 1 nl.

Morcinek Gustaw — *Victoria.* Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 205, 3 nl.

Mrożek Sławomir — *Wesele w Atomicach.* Obwoluta, rysunki, dobór rycin i opracowanie graficzne: Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 134, 6 nl.

Opitz Karl Ludwig — *Ci z Wehrmachtu.* Opowieść prawdziwa. Przełożył Czesław Przymusiński. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektowała Hanna Bodnar. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1959, wydanie I; str. 211, 1 nl.

Paustowski Konstanty — *Bieg czasu.* Przełożył Jerzy Jędrzejewicz. Okładkę projektował Hubert Hilscher. Warszawa, „Iskry", 1959, wydanie II; str. 273, 3 nl.

Remarque Erich Maria — *Trzej towarzysze.* Tłumaczył Zbigniew Grabowski. Obwolutę projektował Roman Cieślewicz. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 553, 3 nl.

Rogowski Zbigniew K. — *Historia ostatniej sekundy.* Okładkę i stronę tytułową projektował Jan Śliwiński. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1959, wydanie I; str. 127, 5 nl.

Rudnicki Adolf — *Żołnierze.* Okładkę projektowała Barbara Baranowska. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 204, 2 nl.

Rytcheu Jurij — *Gdy śniegi topnieją.* Tłumaczyła Wiera Bieńkowska. Okładkę projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1960, wydanie I; str. 301, 3 nl.

Stawiński Jerzy Stefan — *Sześć wcieleń Jana Piszczyka.* Okładkę projektowała Krystyna Dąbrowska. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 151, 1 nl.

Z teki dwudziestolecia. Opowiadania. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik" 1959, wydanie I; str. 249, 3 nl.

Listy, pamiętniki, wspomnienia

Broniewski Stanisław, Drobner Bolesław, Krzyżanowski Marian, Pronaszko Andrzej, Słapa Aleksander, Świderska Alina, Turski Marian, Wasilewski Antoni — *Kopiec wspomnień.* Okładkę i ilustracje wykonał Antoni Wasilewski. Obwolutę projektowała Zofia Darowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 449, 7 nl.

Esej

Morstin Ludwik H. — *Dziwy kultury antycznej.* Eseje. W kraju Latynów. Dziwy kultury antycznej. Okładkę projektowała Zofia Darowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 400, 4 nl.

Reportaże

Babinicz Waldemar — *Listy z parafii.* Okładkę projektował Stanisław

Ibis-Gratkowski. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 235, 5 nl.

Kropka ale nie koniec. Wyboru dokonał i opracował Andrzej Mularczyk. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 236, 4 nl.

Lovell Jerzy — *Cud się zdarzył.* Reportaże i groteski. Obwolutę projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 137, 3 nl.

Stolarek Zbigniew — *Byłem w Lourdes.* Miasto cudów widziane własnymi i cudzymi oczami. Obwolutę projektowała Krystyna Dąbrowska. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 149, 3 nl.

Satyra

Hesse Philippe-Jean — *Na arce plotkują zwierzęta.* Ilustrował Jean Effel. Przełożyła Zofia Wasitowa. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 67, 5 nl.

HISTORIA

Sieradzki Józef — *Polska wieku XIV.* Studium z czasów Kazimierza Wielkiego. Okładkę, inicjały i przerywniki projektował Zygmunt Górnicki. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1959, wydanie I; str. 375, 7 nl.

SZTUKA

Dutkiewicz Józef E., Dobrowolski Tadeusz, Blumówna Helena, Krakowski Piotr, Krakowski Wojciech, Molé Wojsław — *Sztuka współczesna.* Studia i szkice pod redakcją Józefa E. Dutkiewicza. Okładkę projektował Jerzy Napieracz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 236, 4 nl.

Film

Michałek Bolesław — *Trzy portrety.* Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 1959; str. 120, 4 nl.

RÓŻNE

Wiatr Jerzy J. — *Na tropach antyludzkiego mitu.* Okładkę projektował Jerzy Zbijewski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 102.

Kalendarz informator studenta. 1960. Warszawa, „Iskry", 1960; str. 202.

LITERATURA DLA DZIECI

Amicis Edmund, de — *Serce.* Opowiadania miesięczne. Tłumaczyła Maria Konopnicka. Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 76, 4 nl.

Bechlerowa Helena — *Pokaż mi swój domek.* Ilustrowała Olga Siemaszkowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 6 knl.

Bielicki Marian — *Lacho z rodu Ha.* Opowieść tybetańska. Ilustrował Mieczysław Majewski. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 259, 1 nl.

Chotomska Wanda — *Wiersze pod psem.* Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 34 knl.

Kinnan Rawlings Marjorie — *Roczniak.* Przełożył Adam Galis. Ilustrował Józef Wilkoń. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 438, 2 nl.

Krüger Maria — *Karolcia.* Ilustrowała Halina Bielińska, Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 244, 4 nl.

Krzywicka Irena — *Wicher i trzciny.* Stronę tytułową i okładkę projektował Józef Wilkoń. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 265, 3 nl.

Lenartowicz Teofil — *Oj, sikorko, sikoreczko...* Ilustrował Jerzy Karolak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 8 knl.

Lorentz Zofia — *Wakacje pod błaszanym człowieczkiem.* Projekt okładki i ilustracje Stefana Wegnera. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 143, 1 nl.

Nesbit Edith — *Feniks i dywan.* Tłumaczyła Irena Tuwim. Ilustrowała Maria Orłowska-Gabryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 262, 2 nl.

Oleksik Klemens — *Czarownica znad Bełdan.* Ilustrowała Bożena Truchanowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 171, 5 nl.

Rabska Zuzanna — *Ania w Łazienkach.* Ilustrowała Jadwiga Umińska. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 194, 2 nl.

Rosińska Maria — *Patyczki.* Ilustrowali: F. Barącz, J. Niesytto. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; 8 knl.

Szwarc E. *Uczennica I klasy.* Przełożyła z języka rosyjskiego Eleonora Mendelson. Okładkę projektowała Halina Gutsche. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; str. 118, 2 nl.

W poprzednim numerze:

Jan Śpiewak: Słowo o samotności i niewiedzy — *Andrzej Brycht:* Noc w środku życia — *Michał Eminescu:* Dalekom jest od ciebie... Wzdłuż nieparzystych topoli... O mamo... — *Stanisław Czernik:* Spotkania chińskie — *Janusz Odrowąż-Pieniążek:* Krajobraz i abstrakcja. Kraby. Enna. Colosseum. Morze Śródziemne. Nawał. Tryby. Otwarcie — *Alain:* Król Garniec (przełożył *Jerzy Lisowski)* — *Włodzimierz Maciąg:* Wzór polonistycznych doświadczeń — *Jacek Trznadel:* Nieznane listy Bolesława Leśmiana — *Jerzy Jedlicki:* Pustelnik z ustronia — *Zbigniew Bieńkowski:* Camus.

Książka miesiąca: *Henryk Bereza:* Akt samookreślenia.

Wśród książek: *Michał Głowiński:* Źle i dobrze o wierszach Jerzego Skolimowskiego — *Andrzej Szmidt:* Czarne i białe — *Jan Józef Lipski:* Magia zielonego przedmieścia — *Andrzej Kijowski:* Nowe opowiadania Mrożka — *Wojciech Natanson:* Nowa proza Parandowskiego — *Włodzimierz Maciąg:* „Rudy Mojżesz" — *Helena Zaworska:* Literatura bezpretensjonalna — *Stefania Podhorska-Okołów:* Przekrój jednego roku — *Eustachy Czekalski:* Rówieśnik i kolega o wspomnieniach warszawskich — *Wojciech Natanson:* Legenda sprawdzona faktami — *Stanisław Fita:* Listy Bolesława Prusa — *Jan Wyka:* Sylwetka autentycznego rewolucjonisty.

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* Rok Chopinowski — *Andrzej Kijowski:* Przegląd prasy — *zn:* Mit i mitotwórstwo — Przegląd Zagraniczny.

Noty

Książki nadesłane

AT
K-29

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.
Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 1314/c z dnia 25.2.60 r.
Nakład 4.800 egz. Druk ukończono w kwietniu 1960 r. C-32

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Ilja Erenburg — O Tuwimie · W. Tiendriakow — Trójka, siódemka, as · Wiersze: Achmatowej, Aliger, Jewtuszenki, Martynowa, Samojłowa, Słuckiego, Swietłowa, Wozniesieńskiego, Zabołockiego · Zbigniew Bieńkowski — Dziennik rosyjski · Andrzej Kijowski — O Szołochowie